



JÓZEF HEN

BRULIONY PROFESORA T.

JÓZEF HEN

BRULIONY PROFESORA T.



Copyright © by Józef Hen 2006, 2016.
Autora reprezentuje Agencja Literacka Syndykat Autorów

Projekty graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-975-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl



WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21

22

23

Nota bibliograficzna

1

Ledwie napisałem tych kilka pierwszych słów – *Nigdy jej nie objąłem, nigdy nie poznałem smaku jej ust* – i od razu ich pożałowałem. Odłożyłem pióro i wstałem od biurka. Jeff, upomniałem się, a oczy mnie zapiekły, Jeff, na litość boską, musisz się od niej oddalić, musisz skupić się na swoim zadaniu, to nie o niej masz pisać. I nie używaj tego „nigdy”, wszystko jeszcze może się zdarzyć, ona sama kiedyś coś podobnego powiedziała. Zerkałem w panice na duży otwarty notes – czyste kartki, coś odpychającego. Tylko to pierwsze zdanie, to dwukrotne „nigdy”... Pokryłem tych kilka słów czarnym atramentem. Przekreślone.

Przetarłem papierową chusteczką oczy, chociaż bólu, który rozpląwał się po całym ciele (jak rozlewisko, które nie wiadomo gdzie się umiejscowiło), tego bólu nie udało mi się usunąć, wciąż we mnie falował. Nie szkodzi, uspokajałem siebie, wiem, co mam robić. Opowiedzieć.

Zaczynam.

Barbara spytała:

– Jeff, o czym myślisz?

Staliśmy przed drzwiami jej dawnego mieszkania, tego, z którego wyprowadziła się piętnaście lat temu, kiedy Wiktor, jej mąż, został zamordowany, i ona dobrze odgadła, że myślę nie o tym, po co tu przyszliśmy.

– Jeff – zniecierpliwiła się. – Słyszałeś mnie?

– Tak, chyba tak. – Zachowywałem się, jakbym ocknął się ze snu.

– Pytałam, o czym myślisz.

Odpowiedziałem:

– O swetrze.

Był upał. Maj, ale powietrze suche.

– Źle się czujesz? – Najwyraźniej się zaniepokoiła.

– Myślę o swetrze Osipa Mandelsztama. Dostał go od Maksyma Gorkiego, podczas okropnej zimy w Piotrogradzie. Sweter Gorki Osipowi dał, ale spodnie z listy skreślił. Nie wiem, może go nie lubił, Mandelsztam

nie był łatwym człowiekiem, może nie cenił, a może tych spodni nie miał, w każdym razie pani Mandelsztam, wtedy młodziutka Nadia, nigdy tego Gorkiemu nie potrafiła wybaczyć, do końca życia wciąż z gniewem do tego wracała: Skreślił spodnie! Sweter zostawił, a spodnie skreślił!

Dostał w końcu jakieś spodnie od niezłe sytuowanego Gumilowa, przypomniałem sobie, i bardzo był z nich dumny – mówił, że czuje się w nich jakiś uskrzydłony.

– Jeff? – odezwała się Barbara.

– Tak?

– Dlaczego akurat teraz o tym myślisz?

– Bez powodu. Po prostu myślę. – Samego mnie to zastanowiło. – Dlatego, że... – szukałem wytłumaczenia. – Stale o tym myślę. Obsesja.

Barbara potrząsnęła mną.

– Możesz na chwilę przestać?

– Tak, oczywiście.

– To tu go zamordowali. Prawie na progu.

– Mówisz: zamordowali. Było ich więcej?

– Dwóch. To wykazało śledztwo. Kiedy im otworzył, był w pizamie. Jeden z nich miał pod kurtką łom. Uderzył Wiktora w głowę, a kiedy stracił przytomność, wciągnęli go do mieszkania. Gardło podciął mu pewno ten drugi. Scyzorykiem.

– Chryste... Musiało być morze krwi.

– Pozbyłam się dywanu – powiedziała Barbara. – Mieszkanie sprzedałam za bezcen. Rozumiesz, że chcieliśmy z Jacusiem stąd uciec.

Zadzwoiła do drzwi. Domyślała się, że starucha, która tu zamieszkała, popatrzy przez wizjer, więc odsunęła się trochę, żeby tamta mogła więcej zobaczyć. Barbara była kobietą rosłą, jej okrągła, mleczna twarz wciąż piękna, piętnaście lat jej nie widziałem, niewiele się zmieniła, i przymrużone niebieskie oczy lśniły spoza wąskich okularków tak samo jak kiedyś.

– Ach, to pani... – usłyszeliśmy zza drzwi. Spodziewałem się starczego skrzeczenia, ale głos był wysoki i po kobiecemu dźwięczny. Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyliśmy malutką, wysuszoną staruszczkę, z pomarszczoną, jaskrawo umalowaną twarzą – czerń wokół powiek, gruba czerwona szminka na popękanych wargach, rumieńce na policzkach – przypatrywałem się temu ze smutkiem, podczas gdy ona, ta stara kobiecina, zmieniła głos, teraz prawie zaskrzeczała (a może tak mi się tylko

wydawało): – No i po co? Wszystko zapłaciłam, wszystko! Mam kwity. Zaraz, zaraz... – Potruchtała do komody w saloniku. – Wszystko jest. Zaraz znajdę. Pan z policji?

Barbara szybko wyjaśniała:

– Ależ nie, pani Anno, to dawny przyjaciel mojego męża, gość z Ameryki, chciał sobie przypomnieć rozkład mieszkania – pani wie, sentymenty...

Ożywienie gospodyni zgasło. Wydawało się, że żałuje, że ominęła ją awantura.

– To może herbaty? – spytała niepewnie.

Tak, sentymenty, Barbara ma rację, tak powinno być. Ale tak nie było. Rozglądałem się i nie potrafiłem odnaleźć w sobie żadnego sentymentu.

– Mord rabunkowy? – spytałem.

Barbara pokręciła głową.

– Chyba nie. Znikły jakieś drobiazgi, nic więcej. I teczki z maszynopisami.

– To ciekawe.

Pani Anna się wtrąciła:

– Mnie tu stale okradają. Stale, proszę pana. Mają dorobione klucze i buszują. Wciąż czegoś brakuje. Poskarżyłam się administratorowi, a wiecie państwo, co on powiedział? Żebym zrobiła „inwentaryzację”. Żebym przylepiła do szuflad kartki, co w której jest, to wtedy będzie można się przekonać, czego brakuje. Taki mądry. Robotę mi zadał. Ja i bez tego wiem, czego brakuje. I czego brakuje jemu. Na co ma ochotę. Czy państwo uwierzą, że on się w nocy do mnie dobija? O drugiej, trzeciej w nocy! Nie daje spokoju! Nie wiem, jak się bronić!

– W nocy? Po co? – spytałem. – Może chce mu się pić?

– Tak, pić, dobry pan sobie. Nie wie pan, jakiego miodu zachciewa się takiemu grubasowi? Czego może chcieć od kobiety? Niech nie myśli, że ja nie potrafię się bronić! Na policji też byłam – i wiecie państwo co? Oni mi dali swój numer telefonu. Jak będzie panią napastował, to niech pani do nas dzwoni! Mam dzwonić, jak już będę zgwałcona? To jest straszna dzielnica, proszę państwa, tu uczciwa kobieta nie może obronić swojej godności!

Szepnąłem do Barbary:

– Wiejemy.

Wymknęliśmy się do pobliskiej kawiarni. W ogródku, między drzewami mirabelki, siedząc pod parasolem, zamówiliśmy po małym piwie z beczki.

Barbara opowiadała:

– Leżał tak kilka godzin, dopóki ktoś nie nacisnął klamki i okazało się, że drzwi są niezamknięte.

– Kto nacisnął klamkę? Dozorca?

– Nie, sąsiad, miał sprawę, chciał pożyczyć od Wiktora paręset złotych.

– A dozorca?

– Dozorcy nie było. Sobota, cieć z żoną oboje na działce.

– Aha, sobota, dozorca na działce, wszystko przewidziane, można mordować. A ty gdzie byłaś?

– Z moim partnerem.

– Z partnerem – powtórzyłem za nią.

Uśmiechnęła się.

– Tak się dzisiaj mówi. Byliśmy w Bieszczadach.

– Dość daleko. Marcin miał na imię ten młody człowiek, dobrze mówię?

– Nie, to nie był Marcin.

Ja się zastanawiałem, czy chciałbym z nią pójść do łóżka. Tak, myślałem, powinienem chcieć, świetne ciało, co za skóra, ponętna różowość przyciągającego wzrok dekoltu. Ale nigdy nie romansowaliśmy, nie, nigdy, to była jego kobieta, Wiktora, wiedziałem o Marcinie, o tym, jak ona mówiła, dzieciuchu, którego uczyła fizycznej miłości, chociaż kto wie, może to on ją uczył, wiedziałem, ale oczywiście nigdy o nim nie napomknąłem Wiktorowi, zresztą tak się złożyło, że to on sam, Wiktor, Barbarę z nim poznał. Powinien był się domyślić, co się między nimi dzieje, a jeśli się nie domyśla, to i lepiej.

Nie zapytałem, kto z nią był w Bieszczadach, to nieważne – skoro byli razem, to gość ma alibi. Ona uznała, że trzeba mi się zwierzyć:

– Z Marcinem kilka tygodni wcześniej zerwałam. To był jednak dzieciuch. Ciągnęło go na obozy harcerskie, na kolonie, chyba do młodych dziewcząt. Głupol, nie potrafił się zmusić do czytania. Studiował historię i zawałał rok po roku. Wiesz, jak to jest, kiedy się nie szanuje faceta... Byłam z innym. Czy muszę ci powiedzieć, z kim?

– Nie, nie musisz.

– Poważny gość, sporo starszy ode mnie. Zawsze przyzwoicie zapięty. Wiesz, ci starsi panowie są bardzo wdzięcznymi kochankami.

Zaśmiałem się.

– Powinienem coś o tym wiedzieć.

– No tak, ty tak, owszem.

- A twój Jacuś?
- Jacek był na Mazurach. Weekend, mówiłam ci.
- Morderca wziął to pod uwagę, niewątpliwie.
- Dość dziwne było to, że Wiktor otworzył im drzwi. Od pewnego czasu nie otwierał drzwi, kiedy był sam w domu.
- Bał się czegoś?
- Tak, najwyraźniej. Był posłem, pracował w komisji spraw zagranicznych. Ale nie o to chodziło. Kupiliśmy trochę biżuterii – takie zabezpieczenie przed inflacją. Była seria włamań do mieszkań osób pokazywanych w telewizji. Jak cię pokazują w telewizorze, to chyba jesteś nadziany.
- A jednak otworzył. To znaczy, że któryś z zabójców wydał mu się znajomy. Ktoś, do kogo miał zaufanie.
- Taki był wniosek. W śledztwie sprawdzono wszystkich przyjaciół. Posłów, partnerów od tenisa. Większość miała alibi. Inni byli poza podejrzeniem.
- Przyjaciółki też?
- Nie bądź taki dowcipny. Tam nie było kobiety. Dwóch chłopów.
- Jak zareagował Jacek?
- Dlaczego o to pytasz?
- Pamiętam, że miewał załamania nerwowe.
- Dwukrotnie – uściśliła. – To były stany depresji. Ze skłonnością do samobójstwa.
- Milcząc, przetała zamglone okulary. Zapytałam:
- A tym razem?
- Zniósł to całkiem dzielnie. – Nałożyła okulary i nawet się uśmiechnęła.
- Podtrzymywał na duchu mnie. Miałam wsparcie we własnym synu. To było nowe – i krzepiące. Był naprawdę bardzo dzielny.
- Terapeutyczne działanie wstrząsu? – zaryzykowałam.
- Możliwe. Jego lekarz też był tego zdania.
- Lekarz – powtórzyłam. – Pamiętam, na czym polegało jego cierpienie. Wbiła wzrok w ziemię. Szepnęła:
- Za dużo pamiętasz.
- Pamiętam, bo to była moja diagnoza. Że Jacek kocha się w tobie. Jak w kobiecie.
- Nie, nie – broniła się. – To twoje wymysły.

– Obejmował cię, pieścił... Całował. Jego wybuchy zazdrości. To ty mi o tym opowiadałaś! Byłaś zaniepokojona.

– Dziwisz się? Byłam zaniepokojona, naturalnie. Ale on go nie zabił! – prawie wykrzyknęła. – Nie, nie zrobiłby tego. Zresztą, był na kajakach, naprawdę.

– Ktoś to sprawdzał?

– Ja.

– Więc jednak...

– Tak, ja. Sprawdzałam. – Znowu wybuchnęła: – Do czego ty zmierzasz?! Jacek uwielbiał ojca. Powtarzam ci: uwielbiał! Nie o niego był zazdrosny, ale o moje znikanie z domu. O Marcina, który był niewiele od niego starszy. Krzyczał na mnie. „Kurwisz się! – tak krzyczał. – Płacisz mu czy on tobie płaci?!”

– I stąd stany depresji. Ja się tego domyślałem.

– Tak, ty tak. Zawsze byłeś przenikliwy.

Westchnąłem ostentacyjnie:

– Niestety, nie w swoich sprawach. Jak to przyjął twój nowy partner, ten starszy poważny pan?

– Wcale nie przyjął. Uciekł niemal bez słowa. – Politowanie w jej śmiechu. – Wystraszył się. Rodzina, poważne stanowisko, wyobrażasz to sobie, planował wyjazd na placówkę. Za to Marcin...

– Już z nim nie byłaś.

– Ale zgłosił się natychmiast. Jakieś nieoczekiwane pokłady czułości. Kto by się spodziewał? Dojrzał pod wpływem tego, co się stało. Opiekuńczy i pełen zrozumienia dla mojego stanu. Znowu byliśmy ze sobą.

– Przy aprobacie Jacka?

– Jacek przycichł. Wiesz, on chyba zrozumiał, że ja potrzebuję męskiego wsparcia. Wszystko to ciężko przeżywałam. Byliśmy bardzo do siebie przywiązani, ja i Wiktor. (Nigdy nie zdrabniała jego imienia). To była mocna miłość. Moja wielka miłość. Jedyna. – Spojrzała na mnie z ukosa i uśmiechnęła się. – Nie wierzysz...

– Mocna miłość i wciąż jakieś romanse?... – Dodałem z udanym smutkiem: – Niestety, nie ze mną.

Znowu się uśmiechnęła i było teraz w tym uśmiechu poczucie wyższości, rodzaj pobłażania dla mojego prostactwa. Odgarnęła kosmyk jasnych włosów znad skroni. Ten gest, lekki, miękki, jakby musnęła palcami kwiat, pomógł jej się wydobyć z opresji.

– No cóż – mruknęła. – Życie...

Kiwnąłem głową.

– Życie, tak. Kubek w kubek to samo powiedziała Nina Berberowa.

– Nina jak...? Aktorka?

– Poetka. Urocza, inteligentna dziewczyna. Oczu cziornyje, bo na pół Ormianka. Żyła z poetą Władysławem Chodasiewiczem. Napisała w pamiętnikach mniej więcej tak: skoro jest życie, to są i „zdrady”. I te „zdrady” wzięła w cudzysłów.

Na przykład jej tajemny romans z panem Włodzimierzem Żabotyńskim. „Najmądrzejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam”. Poeta z Odessy, ona zachwyciła się jego tłumaczeniem *Kruka* Edgara Allana Poe. A potem przywódca militarystycznej frakcji ruchu syjonistycznego. Ale o tym Nina w pamiętnikach nie wspomina. Ani o tym, że dzisiaj we wszystkich miastach w Izraelu jest Zhabotynski Street. Wspomina mężczyznę.

Barbara odezwała się:

– Kiedy to napisała?

– Nie wiem, kiedy to napisała – wiem, kiedy pomyślała. Mniej więcej osiemdziesiąt lat temu.

– Och, a ja już myślałam, że to jakaś twoja nowa fascynacja!

Nie byłem łatwy do fascynacji, ale tylko ja o tym wiedziałem, w cudzych oczach to wyglądało inaczej. Mimo to i ja zdobyłem się na uśmiech.

– Dobrze myślałaś.

Siedzieli u pani Idy Nappelbaum, młodej poetki z grupy „Dźwięcząca muszla”, w mieszkaniu na Newskim Prospekcie, był, jak zwykle, poniedziałek, siedzieli wokół dużego stołu, ze dwadzieścia osób, i popijając herbatę z marchwi, recytowali kolejno swoje wiersze. Mama Idy, tęga, dobra, „prawdziwa mama”, jak mówiła o niej córka, „zawsze uśmiechnięta” – to już spostrzeżenie Niny – kładła przy każdym obecnym kawałek czarnego chleba. Ona, Nina, ma na sobie w ten mroźny wieczór płaszcz na watolinie, zieloną szpiczastą czapkę, „walonki – wspomina Nina – uszyte przez wdowę po jakimś byłym ministrze, z kawałka strzyżonego chodnika, zapinane na mosiężne guziki odprute z czyjegoś munduru”. Chyba to była zima roku 1921, na ścianach szron, Chodasiewicz przyniósł w skostniałych dłoniach przydział śledzi, wymieni je na papierosy, a ona, Nina, dziesiętnastoletnia dziewczyna, też się ośmiela czytać swoje wiersze, w których pojawia się uroda emaliowanej miednicy, durszlaka, szczotki do zamiatania, splatanie warkoczy, poeci słuchają chciwie nowych zestawień

słów i nowych rytmów – wiersze, tylko to się liczy! Osip Mandelsztam mówi do swojej przyjaciółki Achmatowej: – Anno Andriejewno, wiersze to władza! Słyszę to ja, Jefferson S. Thompson z Indianapolis, chcę tam się wdrzeć między nich, chcę wstrząsnąć nimi, krzyknąć: „To nieprawda! Wiersze to wasza zguba! Uciekajcie od wierszy! Dziewczyno – chcę powiedzieć do czarnookiej dziewiętnastolatki – nie ulegaj zac zadzeniu! Walcz o życie!”. Nazajutrz Kola Czukowski, jeszcze wyrostek, syn zwalistego Kornieja, tego nadzwyczajnego obserwatora psychiki dziecięcej, mówi do dziewczyny, w której się trochę podkochuje, ale bez szans, cóż, dobry i uczynny kolega, ale smarkacz, bądź co bądź, i on jej donosi: – Wiesz, Ninoczka, Chodasiewicz bardzo chwalił twoje wiersze, słowo honoru, rozpląwał się. Nina słucha go i jest szczęśliwa.

– Jeff, odpłynąłeś? Jesteś tu?

– Jestem, ja tylko myślę intensywnie. Więc wróciłaś do Marcina...

– Na krótko. Po pewnym czasie coś zaczęło mi w nim przeszkadzać. Jakiś zły zapach. Poczułam fizyczną niechęć. Prawie obrzydzenie.

– Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

– Nie, nie interesuję się. Skreśliłam go. Podobno założył jakieś biuro podróży. Grecja, Bliski Wschód.

– A jak się ma Jacek?

– Prowadzisz śledztwo?

– Prawdę mówiąc, mam ochotę kogoś wsadzić za kratki. Ale nie Jacka.

– To mnie cieszy. Jest z kimś. Bardzo są z siebie zadowoleni. Odwiedź ich, bo to ciekawa para.

– Zrobię to. Co ustaliło śledztwo?

– Po dwóch latach prokurator je umorzył.

W tej chwili żałowałam, że już nie palę. Zaciągnąłbym się jak sam Marlowe, wypuściłbym kłęby niebieskiego dymu i zaczął się głęboko zastanawiać. Na razie postąpiłem jak komisarz Maigret: poprosiłem o następne piwo. Mruknąłem.

– Chętnie bym pana prokuratora zapytał, dlaczego to zrobił.

– Nie zapytasz go: on nie żyje.

– O!

– Jakies zderzenie czołowe. To znaczy nie, chyba wpadł na słup. Nie pamiętam. Jest jednak coś, o czym warto, żebyś wiedział. Chyba że cię to już znudziło.

– Mów.

– W połowie lat osiemdziesiątych mieliśmy raz w domu rewizję. Na pewno nie chodziło o biżuterię. Wiktor przez kilka dni był maglowany. Zdaje się, że on to lubił, podniecała go gra. Wracał z pałacu Mostowskich zadowolony z siebie. Jakby to on im dawał w kość. No, a później, kiedy wszystko się zmieniło, po 1989 roku, Wiktor został posłem i nagabywania ustały. Znowu odpłynąłeś?

– Nie, zastanawiam się, kto mógłby coś powiedzieć o prokuratorze. I o tych przesłuchiowaniach. Masz jakiś pomysł?

– Henryka. Tak, ona. Pamiętasz Henrykę? Byli sobie bardzo bliscy, ona i Wiktor. Możliwe, że ich nawet coś łączyło. Ale to mądra baba, on miał zaufanie do jej rozumu. Potrafiła zawsze być przyjacielem, dla mnie też. Jeśli chcesz z nią porozmawiać, to śpiesz się.

– Tak z nią źle?

– Połączę cię z nią.

Barbara wyjęła komórkę i wystukała numer. Henryka zgłosiła się.

– Pamiętasz Jeffa? – spytała Barbara. – Jakiego Jeffa? – Jest tylko jeden Jeff: Jefferson Spencer Thompson z Indianapolis. Przekazuję mu telefon.

– Jeff, to ty? – usłyszałem. Rozpoznałem głos, choć był na pewno niższy niż dawniej. – Jeszcze mówisz po polsku? Okej, miło cię słyszeć. – Tak, pomyślałem, głos dużo niższy, prawie męski. – Dobrze, przyjmę cię. Ale nie przestrasz się mojego wyglądu.

– Byłem w Wietnamie – przypomniałem.

Zaproponowałem, że ją odwiedzę za dwa dni. Zapisałem numer mieszkania, w którym piętnaście lat temu bywałem.

– Tylko nie przynoś mi żadnych słodczy! – zastrzegła się Henryka. Pamiętałem ją jako tęgiego łasucha. – Nie wolno mi.

– Jeff, nie zapominaj o mnie – powiedziała Barbara na pożegnanie. Musnęliśmy się ustami. – Nie myśl o mnie źle. O tych moich romansach i w ogóle. Ja mu tylko odpłacałam pięknym za nadobne. – Pokręciła głową, jakby wróciła do niej jakaś stara bolesna i niechciana historia. – On mnie strasznie zdradzał.

2

Znowu jest przy mnie. Pojawia się nieoczekiwanie, najczęściej w ślepej kuchni tego mieszkania, które odnajmuję. Nalewam sobie kawy, a ona przygląda mi się z ukosa, tymi swoimi czarnymi, a właściwie, jak zapamiętałem, ciemnobrązowymi oczyma pół-Ormianki, zupełnie jakby się domagała, żebym i jej nalał – „marzę o prawdziwej kawie; hósposdi, co za zapach, co za barwa, zupełnie jak na telewizyjnej reklamie”! – wszystko jej się pomieszało – telewizyjna reklama! skąd? gdzie? kiedy? – a ona buzię w ciup, cmoka w powietrznym pocałunku, patrzę z zachwytem na mięsistość jej warg, no i proszę bardzo, ani śladu szminki, a co za czerwień. Panienko, mruczę, barysznia, posłuchaj, znikaj, nie mam czasu na majaki, muszę przygotować się do wykładu, przeszkadzasz mi. Przechodzę do jedyne go pokoju, który jest moim gabinetem i sypialnią, biurko zavalone notatkami, porządkuję je, wyławiam te o Franklinie, będą mi potrzebne dzisiaj, na wykładzie w tej prywatnej uczelni, wyższej szkole czegoś tam, mediów i marketingu czy odwrotnie – zdaje się, że to jakaś kolejna hochsztaplerka, ale cóż, studenci są studentami, młodzi ludzie żądni wiedzy, wręcz łapczywi, zaproszono mnie, nawet coś płacą, przybrali imię „Benamina Franklina”, no to okej, mogę im się przydać. A oni mnie. Pojęcia nie mają, jak bardzo nawet.

Właściwie to lubię, kiedy ona mnie nachodzi, kiedy ocierając się o moje ramię biustem (raczej obfitym, jak na kaukaską czarnulę przystało), zwierza się ze swoich wstydliwych panińskich sekretów, lekko zapłonią, „niech pan słuha, tylko panu mogę to opowiedzieć”. Muska mi ucho szeptem o jakiejś swojej wczesnej miłości. Miała wtedy osiemnaście lat i głowę pełną poezji. „Czy opowiadałam już panu, jak popełniłam plagiat z Lermontowa? Miałam dziesięć lat. Dobrze, opowiem panu, ale kiedy indziej”. Głód, mróz, ale Nina koniecznie chce mieć loki ukręcone gorącymi szczypcami. Więc to było w Nachiczewaniu, na północnym Kaukazie, w roku – zaraz, żebym się nie pomylił, to znaczy, żebym ja, profesor Thompson, się nie pomylił – tysiąc dziewięćset dwudziestym,

początek roku (bo potem przyjechała do Piotrogradu). W Moskwie nie mogła już wytrzymać. Poszła na rynek Suchariwski, żeby sprzedać pantofle, ale jej to zwinęli. Rozpacz: nie tylko nie zje, ale i loków nie będzie. Pojedzie na południe, tam łatwiej się wyżywić. W Rostowie nad Donem wysiadła z wagonu owinięta w kołdrę, boso, oczyścili ją do cna, walizkę rozpruto. Ale dotarła na miejsce. A tam, proszę posłuchać, sir, zawędrowałam na rynek, niewyobrażalne rzeczy, jabłka, brzoskwinie, pomidory, bakłazany, no i pszenne placki, gorące pieczywo. Tu można przetrwać, choćby kilka miesięcy. Działa uniwersytet, Nina chodzi na wykłady. I tu się zakochała.

Erudyta, artysta, grawer, żonaty z młodą kobietą. Nina wpadła w ubóstwienie, marzyła, by wziął ją w ramiona i by mogła mu powiedzieć: „Kocham pana”. Życie dla mężczyzny – tak sobie to wymyśliła, „obsadziłam się w roli biednego Łazarza”. Zdarzyło się, że żona tego pana wyjechała na kilka dni i wtedy on zaprosił ją do siebie. Był mróz, ale przemykała ku niemu rozplómięta. Trochę ją ostudziły, opowiadała, dwa złe czarne psy, których dureń nie uwiązał. A potem stało się to najgorsze. Kiedy drżąc z zimna, jeszcze w palcie, usiadła obok niego na kanapie, nareszcie przy nim, usłyszała: „Pani jest moją boginką!”. Boginką! Ona! Zerwała się – muszę już iść, przepraszam – a on tym razem, trzeba przyznać, uwiązał te cholerne psy na łańcuchu. „Przecież to ja miałam kochać! – słyszę i w tych słowach pobrzmiwa śmiech. I żal: – A ja myślałam, że tak kocham...”

Nino, dziękuję za opowieść, jest dla nas, panów, bardzo pouczająca. Może nie należy bez reszty poddawać się uczuciu. Pozwolić kobiecie pomarzyć, powalczyć, pointrygować, by czuła, że czegoś dopięła. Inna rzecz, że żadne doświadczenie, żadne teoretyzowanie na nic się nie zda, kiedy – przepraszam za zużyte wyrażenie – uderzy grom. Jeśli da się jeszcze korzystać z doświadczeń, zwłaszcza cudzych, jeśli poddać się spekulacji, kontrolować odruchy, to znaczy, że miłość nie opanowała nas całkowicie.

Marynarka, krawat. Wiem, że przydałyby się rozwichrzone włosy, może bokobrody à la Stendhal, bluza, a pod nią rozpięta koszula z apaszką wokół szyi. Ciekawe, co by na mój krawat powiedziała panna Nina. Odnotowała w swoim pamiętniku, że tam u nich, podczas czytania wierszy, zarysowywał się podział: na tych z przedziałkiem w uczesaniu i na tych ostrzyżonych na jeża lub kudłatych. Nie było to bez przyczyny: uczesaniem

manifestowano przynależność. (Jesus Christ, myślę, wszystko już było! Przypomnij sobie tylko fryzury podczas rewolucji francuskiej, można było stracić głowę wraz z peruką albo z niewłaściwej długości harcapem). Ci, którzy byli „upozowani na staroświeckość”, jak wyraża się Nina, manifestowali swój związek z tym, co odeszło. Chodasiewicz się od nich różnił, mówi ona i słyszę jej śmiech, „on był nasz”.

Widzę ją, jak siedząc w wannie, myje głowę. Jest 15 marca 1917 roku (według kalendarza europejskiego), smarkula nie ma jeszcze szesnastu lat, dużo czyta i pasjonuje się polityką. Zapamiętała, że miało być przyjęcie, ona suszyła włosy i kiedy je wysuszyła, one trzeszczały – i ja teraz, w Warszawie, to trzeszczenie słyszę. Zapamiętała dlatego, że dotarła do nich wiadomość (Witte, były premier, odwiesza słuchawkę telefonu, „Panowie – mówi – car abdykował!”). Rząd runął, car abdykował – powtarzają sobie w salonie i to przyjęcie, nasze przyjęcie, będzie ostatnie w starej Rosji. Wszyscy podnieceni: Rosja wolna! Nina też radosna, carem gardziła – napisze, że przejmował ją wstydem. Tańczy się tango – to taniec niemal wyuzdany – w powietrzu atmosfera erotyzmu. Mówi się, że w Paryżu kobiety skróciły suknie – żadne żurnale nie docierają, tylko plotki – odsłoniły się kostki. Panie, słysząc to, uśmiechają się do siebie znacząco, panowie chrząkają (też znacząco). Nina zapamiętała jeszcze, że mama obawiała się, że z cukierni Iwanowa nie przyniosą lodów. Przynieśli.

Lenin w Zurychu entuzjazmuje się: „Rosja to teraz najwolniejszy kraj świata”. I wzywa partię, w listach słanych do pani Aleksandry Kołontaj, do nowego zadania: przechwycić władzę i wprowadzić dyktaturę proletariatu! (Skończyć z „najwolniejszym krajem świata”). Towarzysze w Piotrogradzie uważają, że oddalony od kraju wódz nie rozumie nastrojów.

– Prhosze państwa! – zacząłem i od razu przeszedłem na angielski. – Mógłbym mówić bardzo śmiesznie po polsku i odnieść sukces jako showman, ale nie po to tu jestem.

Usłyszałem kilka życzliwych chichotów. Siedzieli niedbale na plastikowych krzeselkach, niektórzy okrakiem, chyba trzydziestka młodych ludzi, byli między nimi, jak mnie zapewniał rektor, studenci po absolutoriach.

– Mogę państwa zapewnić – powiedziałem – i proszę tego nie brać za przechwałkę...

Urwałem, bo otworzyły się drzwi i na progu stanęła Ona. Piszę wielką literą, bo, wiercie lub nie, ale od razu wiedziałem, że ona to Ona. Ta, która

miała się pojawić. Niczego oczywiście nikt po mnie nie poznał, w Indianapolis nauczono mnie panować nad sobą, to tylko ja byłem pewny, że coś się stało, spojrzała na mnie pytająco („czy mogę wejść?”), wskazałem dłonią niezajęte krzeselko w pierwszym rzędzie, i ona ku mnie szła, nie wiadomo dlaczego uśmiechnięta, szła krokiem z lekka tanecznym, w obcisłych kremowego koloru spodniach w duże kwiaty, jej biodra w tym tanecznym marszu rytmicznie się kołysały, zupełnie jak u modelki na wybiegu. Usiadła, wybąkała ze skruszonym uśmiechem „przepraszam”, podczas gdy ja zdążyłem prześliznąć się wzrokiem po białej bluzce zapiętej pod szyją, luźnej, tak że nie można się domyślić kształtu jej piersi, jej obfite jasne włosy zgarnięte na czubku głowy w swobodny kok, przez który przewiewało światło, te jej włosy wydały mi się olśniewająco piękne. Tak, to ona. Już wiem, że nie spuszczę z niej oka – chcę czy nie chcę, ale to do niej będę mówić. Nie tylko mnie to nie krępowało, przeciwnie, inspirowało i rozhuśtywało moją zwykłą powściągliwość.

– Kiedy pani wkraczała – mówiłem – miałem się właśnie pochwalić, że w moim macierzystym języku jestem na pewno bardziej inteligentny niż po polsku. Zresztą, o ile pamiętam, w moim kontrakcie zapisana jest angielszczyzna. Postaram się – uzupełniłem – mówić do państwa po angielsku, nie po amerykańsku, studiowałem kilka lat w Oksfordzie, słuchałem profesora Berlina, który co prawda zatracał akcentem rosyjskim, ale mówił same mądre rzeczy.

Dostrzegłem skupienie w jej oczach (zielonych, jak mogłem się później przekonać), cały czas we mnie wpatrzonych, nie czułem jednak tremy. Głos mi nie drżał, pamięć na szczęście nie zawodziła.

Tak się złożyło, zwierzałem się, że patron ich uczelni – Benjamin Franklin – jest zarazem moim ulubionym bohaterem. Gejzer z pomysłami, umysł kiedy trzeba głęboki, ale niestroniący od zabawy i z poczuciem humoru. On sam także bywał zabawny. Przez całe życie uważał się przede wszystkim za drukarza i kiedy zaczynał, umiał z tego, jako urzędnik, ciągnąć zyski, które w naszych czasach uznalibyśmy za naganne, bo zamawiał u siebie ulotki, kartki do głosowania, drukował ustawy. Wtedy jednak, kiedy Filadelfia liczyła kilkanaście tysięcy mieszkańców, uchodziło to jeszcze za przejaw wolnej konkurencji. Wydawał pisma, jedno z nich nazywało się „Poor Richard”. Pisywał ekscentryczne i drastyczne felietony pod różnymi pseudonimami, także damskimi, na przykład jako „Polly Baker” nakreślił „Rady dla młodzieńca, jak dokonać wyboru kochanki”

(poruszenie wśród słuchaczy). Żadna z obecnych tu pań, powiedziałem ze smutnym uśmiechem, nie miałyby u młodzieńca szans, bo Polly Baker radzi mu skłaniać się ku kobietom starszym. (Słyszę tłumiony śmiech). Jest osiem powodów, powiada miss Polly, by tak czynić! Nie będę ich tu wyliczał, nie chcę uganiać się za powodzeniem dzięki pikantnym szczegółikom. Ale on serio uważał, że – cytuję – „rozpusta ze starą jest mniej grzeszna niż z dziewczycą”. Jak reagowały na poglądy panny Polly władze kościelne, także protestanckie, nie bardzo mi wiadomo.

O politycznej postawie waszego patrona, uprzedziłem, będę mówił niewiele – to mogą państwo znaleźć w każdym solidnym podręczniku. Wolę o jego osobowości. O umyśle. (Aprobata na jej twarzy). To on, obserwując zmiany atmosferyczne, domyślił się, że napływające ciepłe południowe powietrze tworzy niż, który przyciąga wiatr z północy. Sto pięćdziesiąt lat później któryś z uczonych meteorologów (nie będę państwa obciążał nazwiskami nie do zapamiętania) uznał, że – cytuję – „stwierdzenie to dało początek prognozowaniu pogody”.

Udało mi się dostrzec jej zaskoczenie. Aha, dowiedziałaś się czegoś, o czym nie miałaś pojęcia. Piękna pani, od tego tu jestem, za to mi płacą... Kiedy Franklin zajmował się zagadnieniami ładunku elektrycznego, o czym państwu zapewne wiadomo (odgadywałem po minach, że nie bardzo, ale to był mój system, należy zawsze przyjąć, że słuchacz coś wie, w ten sposób okazuje mu się szacunek), zmuszony był jakoś to nazwać. Wymyślił tymczasowo trochę użytecznych terminów. Wyjaśniał komuś w liście, że skoro przyjmujemy, iż B jest naelektryzowany dodatnio, to można nazwać to plusem, a skoro A ujemnie, no to niech będzie minus. W innym liście przeproszał pewnego uczonego Anglika za tę sztampe: „Terminów tych moglibyśmy używać, dopóki wasi filozofowie nie dadzą wam lepszych”. Ale lepszych nikt nie dał – używamy ich do dziś. Także inne terminy wprowadzone przy okazji przez niego znane są każdemu z nas: bateria, ładowanie, kondensacja, przewodnik dobry i zły (conductor).

Ale państwo zapewne chcieliby coś wreszcie usłyszeć o piorunochronie. Franklin przekonał mieszkańców Filadelfii (z którą, nawiasem mówiąc, jestem jakoś związany), żeby założyli piorunochrony na dwóch wysokich budynkach. Na swoim domu też wzniósł piorunochron. Nie obyło się bez groźnych protestów. Księża byli przeciw. „Piorunochron to bluźnierstwo wobec woli Boga”. O ile wiem, również w Polsce część kleru przypominała, że grom z niebios jest karą boską – w wyroki boskie nie

należy ingerować. Ale może państwa zaciekawi, że w upadającej Polsce bronił zakładania piorunochronów świątły ksiądz prymas, brat królewski, Michał Poniatowski. (Poruszenie wśród słuchaczy). Franklin, człowiek Oświecenia, cierpliwie polemizował – cytuję (zaglądam do kartki): „Na pewno grom z nieba nie jest bardziej nadprzyrodzony niż deszcz, grad czy światło słoneczne, przed którymi zabezpieczamy się za pomocą dachów i podcieni bez skrupułów”.

Nie wiem, czy państwo wiedzą (nie wiedzieli), że wasz patron wynalazł także instrument muzyczny, który składał się z siedmiu szklanych pucharów – „armonikę” – solidny, z pedałem, szkło uciskało się zwilżonym palcem. I proszę sobie wyobrazić – może dzięki zaletom jego osoby, bo kiedy przebywał w Londynie, stał się naprawdę popularny – harmonika zrobiła się modna. Maria Antonina uczyła się na niej grać, a Mozart i później Beethoven na harmonikę komponowali. W pewnym okresie grano na niej podczas ślubów. W końcu zrezygnowano, bo podobno instrument sprowadzał na słuchających melancholię.

Zawsze, oczywiście, pasjonował się sprawami publicznymi, okresami wzywał do bojkotu towarów z Anglii, ale długo jeszcze nie był zwolennikiem niepodległości, żądał tylko, żeby kolonie miały przedstawicieli w Parlamencie. Na co nieinteligentni politycy w metropolii nie potrafili się zgodzić. Podszeptował im tę ciasnotę umysłową najwidoczniej duch dziejów, który, jak dobrze wiemy, miał bardziej dalekosiężne cele. U siebie w Filadelfii był Franklin w nieustannym konflikcie z panem Thomasem Pennem, właścicielem kolonii. Sir Penn pisał całkiem przenikliwie do swojego urzędnika: ten Franklin jest zbuntowany przeciw rządowi, to ktoś w rodzaju trybuna ludu, „człowiek niebezpieczny i byłbym bardzo rad, gdyby zamieszkał w innym kraju”. I oto, proszę państwa, wasz patron, w konflikcie z gubernatorem, pisze wreszcie zdanie, które stało się później hasłem walki o niepodległość: „Ci, którzy rezygnują z podstawowych wolności po to, żeby nabyć trochę chwilowego bezpieczeństwa, nie zasługują ani na wolność, ani na bezpieczeństwo”.

Ale widzę, proszę państwa, że się zapomniałem i nagle zrobiło nam się solennie i patetycznie. Nie chciałbym na tym kończyć. (Jej uśmiech). Więc może coś łżejszego. Ten ruchliwy, niespokojny umysł wpadł na to, że najwyższy czas, by uprościć ortografię angielską. Pisać tak, jak się słyszy. (Zaciekawienie, kilkoro studentów kiwa głową – oj tak, przydałoby się).

Sami państwo wiecie: pisze się inaczej i czyta się inaczej. I kto to ma zmienić, jeśli nie on, Benjamin Franklin? Polly, córka jego gospodyni, jeszcze podłotek (Franklin chętnie korespondował z inteligentnymi dziewczynkami, dziś mógłby z tego powodu wpaść w kłopoty), otóż ta rzeczywista Polly, z którą na piśmie flirtował, była pierwszą ofiarą jego reformy. Benjamin posyła jej list napisany tą nową ortografią. Dam przykład. – Podchodzę do tablicy, biorę kredę i piszę: „Konsyder dzys alfabet end giv mi instanses of tsys Inlis uyrds”... Jak się to państwu podoba? (Ścieram te słowa pośpiesznie). Polly spróbowała tego samego, ale poddała się, zakończyła tradycyjną angielszczyzną: „Łatwo i szczerze mogę się wypowiadać tylko starym sposobem”. Miło chyba będzie państwu się dowiedzieć, że i Franklin ponosił porażki. Jak my wszyscy. I jeszcze może taka refleksja: że nie zawsze to, co prostsze, jest łatwiejsze. Dziękuję.

Klaszczą długo i z zapamię. Ona też. Dźwigają się z krzesłek (bardzo, jak mogłem zauważyć, niewygodnych) i powoli, jakby ich mięśnie bolały, wloką się do wyjścia. Ona nie rusza się. Wciąż siedzi, wpatrując się we mnie. Spytałem.

– Czy pani chciała o coś zapytać?

– Yes, sir.

– Proszę mówić po polsku.

– Thank you, sir.

Zszedłem ze swojego podium i usiadłem obok niej. Leciutki zapach perfum. Zwróciła ku mnie oczy. Zielone. Żywa, wilgotna, połyskująca zieleń. Twarz bez pudru, powieki bez cienia, wargi powleczone błyszcznikiem (o ile się na tym znam), i to wszystko. Ależ wierzy w swoją naturalną urodę! I znowu: to ona, tak, ta, której tak wypatrywałem, że przyjdzie, pojawi się, ale przecież to tylko moje odczucie, moje pragnienie, zaklinanie rzeczywistości – siedzi obok mnie, nie, nic tu nie jest przypadkowe. (Nigdy jej nie objąłem, nie znam smaku jej ust). Nina wydeła mięsiste wargi: „Więc to tak? Wystarczą prześwietlone jasne włosy wysoko upięte, zielone oczy – trochę polskiej kokieterii, polskiego bezwstydu – i już o mnie zapominasz? Odchodzę. Czy ty mnie słyszysz? Odchodzę”. Zielonooka przyglądała mi się z uśmiechem, ale jej czoło było zroszone kropelkami potu. Odezwałem się:

– Słucham.

– Nie wiem, jak to panu wyznać. Jest to dla mnie ważny moment. To pańskie przybycie tutaj. Bo... Chyba się jednak ośmielę: jest pan moim

mistrzem.

– Ja? – Moje zdziwienie było szczere.

– Tak, mistrzu. Mam pańską książkę. Tę o badaniach czytelnictwa w filadelfijskich więzieniach.

– *Bellow i Styron w więzieniu?*

– Tak, mistrzu. Sprowadziłam ją sobie, bo myślałam, przyznaję, że zawiera jakieś pikantne kryminalne sekrety. A tymczasem...

– Idzie o czytelnictwo wśród więźniów. Rozczarowała się pani?

– Przeciwnie, przekonałam się, że to pasjonujące. Chciałam to panu powiedzieć.

– Dziękuję. No to powiedziała pani.

– I jeszcze zapytać o te pikantne przewagi starszych kobiet, czego nie chciał pan ujawnić. Dlaczego?

– Bo to wulgarne.

– Nie szkodzi.

– Dlaczego panią to interesuje?

– Jeszcze parę lat i będzie to dotyczyć także mnie.

– Och, ma pani dużo czasu.

– Bardzo mistrz jest miły.

– Proszę się przyznać, że lubi pani pikantne historyjki.

Roześmiała się.

– No pewnie. Uwielbiam! A wie pan, mistrzu, wygląda pan o wiele lepiej niż na zdjęciu.

– Ach, przyjrzała się pani mojemu zdjęciu... I to „mistrzu”... Kiedy wykładałem w Meksyku – przypomniało mi się – studenci zwracali się do mnie „Maestro” i tam to mogło się wydawać naturalne. Ale w Warszawie... Czy nie lepiej pan i pani?

Wypowiedziałem „pani” i od razu pomyślałem: co za piękne słowo! Pani! Jest w tym piękno, szlachetność, czystość. I wyniosłość. Pani. Cudownie to brzmi!

– Zgoda – powiedziała. – Koniec z mistrzowaniem.

– Czy jest tu jakiś bufet? – spytałem. – W gardle mi zaschło.

– Zaprowadzę pana.

Należałoby teraz opisać ten przyuczelniany bufet. Nie zrobię tego, obejdzie się, każdy może sobie wyobrazić: barek z ekspresem do kawy, tacki, kilka stolików. Nieważne. Chciałabym coś zjeść, mówi ona. A pan? Będę pani towarzyszyć. Wzięła sobie wątróbkę z cebulką i lampkę

czerwonego wina. Bo wie pan, tłumaczy, jestem anemiczna, mam za mało czerwonych ciałek krwi. Ja, odwrotnie, od pewnego czasu unikam wątróbki, ale, spowiadam się, zapachniało mi to, co na pani talerzu – ona kiwa głową, uśmiecha się – zaraziłam pana swoim apetytem, cieszę się – biorę to samo, co ona, bo chcę odczuwać to samo, ten sam smak w ustach, chociaż dobrze wiedziałem, że jak dwoje zajada to samo, to nie znaczy, że odczuwają tak samo, no, ale zawsze jakaś wspólnota – a ona bierze na siebie obowiązki w jej pojęciu kobiece, przenosi talerze z barku do stolika, ja przynoszę kielichy z winem. Stuknęliśmy się porozumiewawczo, chciałem powiedzieć: „za naszą przyjaźń”, ale się powstrzymałem, nie chcę przyjaźni – gadanie o przyjaźni, nie, to nie może być szczerze. Spytałem, jak jej na imię. Ach, prawda, nie przedstawiła się. Matylda. Podała mi wizytówkę. MATYLDA P. (Nie ujawnię jej nazwiska). Jest adres i telefon wydawnictwa, z którym współpracuje. Dopisała numer komórki. – Gdyby pan chciał przesłać SMS – powiedziała z uśmiechem, a potem spytała:

– Ma pan tu znajomych?

Rozłożyłem ręce w geście, który oznaczał: „trochę”.

– Wczoraj odwiedziłem wdowę po moim zamordowanym przyjacielu.

Dostrzegłem zainteresowanie.

– Zabili go? Kto?

– Chciałbym się dowiedzieć. I wsadzić kogoś za kratki.

– To mi imponuje.

– Najtrudniej znaleźć zabójcę, kiedy nieznane są motywy.

– Powiem panu o czymś, co mną ostatnio wstrząsnęło. Dwaj młodzi, zupełnie normalni ludzie zamordowali spotkaną w pociągu dziewczynę, bo chcieli uczcić swoje imieniny. Czy to jest motyw?

– Nie do odgadnięcia – przyznałem.

– Zna pan tu jeszcze kogoś?

– Przyjaciółkę zamordowanego. Jutro się z nią spotykam.

– Mistrzu, to wygląda tak, jakby prowadził pan śledztwo.

– Odwiedzanie przyjaciół?

– Kogo jeszcze pan zna?

– Dziewczynę, z którą piętnaście lat temu się rozstaliśmy.

– Bo musiał pan wyjechać?

– Bo odeszła do innego.

– Hm, przepraszam. A chciałby się pan z nią spotkać?

– Z tą sprzed piętnastu lat – kto wie. Z tą dzisiejszą niekoniecznie.

– Bardzo pan cyniczny.

– Nie, trzeźwy.

– Interesuje się pan poza tym jakąś panią? O, przepraszam, nie powinnam pytać, przepraszam. Może pan pomyśleć, że lubię plotki. Przeciwnie, nie znoszę ich.

– Szkoda. Bo ja żyję z plotek.

– A ja padam ich ofiarą.

– Rozumiem. Właściwie jest jakaś pani. Wciąż mnie nachodzi, żeby szeptać mi do ucha swoje sekrety.

Znowu pełne ożywienia zainteresowanie.

– Jaka ona jest?

– Przenikliwa obserwatorka. „Podglądaczka” – tak o sobie pisała, bo zawsze lubiła zaglądać do okien parterowych domków. Czarnowłosa. Włosy krótko obcięte, chociaż marzyła o lokach.

– Widzę, że mistrz bardzo zakochany.

– Zafascynowany. Także jej talentem.

– Malarka?

– Poetka. Bystra. Dowcipna. Jako czytelniczka trochę zbyt pewna swojego gustu.

Pani Matylda zaśmiała się:

– To tak jak ja. Dlaczego jej tu z panem nie ma?

– Zmarła dziesięć lat temu.

Posmutniała.

– O, sorry. Współczuję panu.

– Miała dziewięćdziesiąt trzy lata.

Roześmiała się i pogroziła mi palcem.

– Mistrzu, pan wciąż sobie ze mnie pokpiwa.

– Nie wierzy pani w miłość poprzez granicę czasu? Pewna literatka polska kochała się w Robespierre. A Katarzyna ze Sieny twierdziła, że jej oblubieńcem jest Jezus...

– I została świętą – dokończyła pani Matylda. – To proszę teraz ujawnić, co ta Polly Baker napisała o starszych kobietach.

– Och, to bardzo wulgarne.

– Śmiało.

– Że od pasa w dół nie różnią się od młodych. Jak przykryjesz górę koszem – tak napisał Franklin: koszem – nie zauważysz różnicy.

– To rzeczywiście wulgarne. Smutne. A co mówi pańskie doświadczenie?

– Nigdy nie używałem kosza.

Ona:

– Przepraszam, że zajmuję panu czas, ale jeszcze jedno pytanie. Gustaw – to taki mój przyjaciel, aktor, ktoś z czołówki – on, Gucio, jest zdania, że jeśli jakaś para zaczyna od seksu, to się szybko wypala, za to kiedy jest długie poznawanie się – intelektualne i w ogóle, rozmowy, spacer – to ma szansę na trwałość. – Oplotła mnie zielenią i spytała: – Czy pan się z tym zgadza?

– Nie – odpowiedziałem bez wahania. – Bywa na odwrót. Bywa, że pierwsze zbliżenie wiąże parę ze sobą, budzi czułość, wdzięczność, zachwyty... Niektórzy panowie, może nadmiernie trzeźwi, narzekają, że przejście od wysokich lotów intelektualnych do czegoś tak materialnego jak seks bywa krępujące. Rozumiem jednak, że pośpiech w spełnieniu... – Urwałem. Ona czekała. Jej spojrzenie: proszę, powiedz, ufam ci... – Rozumiem – mówiłem – wzbranie się, odkładanie, często podświadome – nie ze strachu, choć i to bywa, i ten strach z upływem czasu rośnie, a nie maleje – ale nie tylko po to, by przedłużyć stan oczekiwania, pragnienia (każdemu mojemu słowu towarzyszyło kiwnięcie głową), tęsknoty. Może i potrzeby niepokoju, a nawet cierpienia.

– Cierpienia? (chyba ją to zastanowiło).

– Tak. Podobno (uśmiech: podobno? pan to zna tylko ze słyszenia? teraz ja kiwam głową)... podobno rozkosznie jest cierpieć przez ukochaną osobę.

– Wspominał pan, że bywa i odwrotnie.

Mogłem powiedzieć: „Przetestujmy – od razu, pani i ja, zobaczymy, co z tego wyniknie”. Mogłem też powołać się na pewne własne doświadczenie. Ale wolałem dać inny przykład.

– Słyszała pani o Mandelsztamie? – Kiwnęła głową. – Poznali się z Nadią w pewnej kawiarni literackiej. Kijów, rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty, rewolucja, miasto przechodzi z rąk do rąk. Grabieże, zabójstwa. Głodno, chociaż nie aż tak, jak w Piotrogradzie. Ta kawiarnia przeszła do historii, bywał w niej młody Erenburg i sporo innych wielkich nazwisk. Nazywała się CHŁAM, dosłownie to znaczy „Śmieć”, ale to tylko akronim, pierwsze litery słów: Chudoźniki, Literatory, Aktiory, Muzykanty. Nadia i Osip poznali się przy wierszach i wódce, zbliżenie – i od razu poszli do łóżka. I już nigdy się nie rozstali. Do jego śmierci. To znaczy do dnia, w którym jego po prawie dwudziestu latach aresztowano. Następne

dwadzieścia lat ona czekała na wiadomość, co z nim, na wiadomość, że jej mąż od dawna już nie żyje.

– Oni się znali? Ta pańska czarnula i Mandelsztamowie, znali się?

– Wszyscy spotkali się w Piotrogradzie. I wszystkim pomagał Gorki.

– Zdaje się, że pana te czasy szczególnie interesują.

– Studiowałem rusycystykę w Moskwie.

– No, to napatrzył się pan. A kto pana najbardziej interesuje?

– Gorki. – Po chwili dodałem: – I Lenin.

– Lenin? Nie żartuje pan? On nie ma u nas dobrej prasy. I on pana naprawdę interesuje?

– Interesuje mnie utopia. To znaczy: jej załamanie się. Jak to się stało, że ludzie stracili wiarę. Że zwyciężyło zło.

– Pan uważa, że oni wierzyli?

– A pani uważa, że nie? Nigdy?

Było już po wątróbce. Dopiła wino i powiedziała:

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Zaciekawiał mnie pan. Ten Lenin...

Będzie pan o nim pisał?

– O klęsce utopii? Kto wie...

Pomyślałem sobie, że to byłby całkiem niezły pretekst, żeby robić to, co powinienem robić, i powtórzyłem:

– Kto wie...

Dowiedziałem się, że ona nie jest studentką, oho, dawno te czasy minęły, ale lubi się dokszałcać, wpada tylko na te wykłady, które ją interesują.

– Płaci pani?

– Jak za bilet do kina.

– A interesują panią wykłady pana Sianki?

– Sianko? To ten redaktor? A dlaczego pan pyta?

– Bo ten pan mnie interesuje. Specjalista od Bliskiego Wschodu.

– Taki dobry?

– Tego nie powiedziałem.

– Więc po co mi on? – rzuciła zaczepnie.

Wróciłem do tego, co w tej chwili najbardziej mnie niepokoiło:

– Czy jeszcze kiedyś panią zobaczę?

– Ależ tak, musimy się zobaczyć, koniecznie, właśnie chciałam mistrzowi zaproponować spotkanie. Tak chciałabym mieć na książce pana dedykację.

– Więc gdzie i kiedy?

Zajrzała do grubego kalendarza, który wyjęła z torebki.

– Na weekend jadę do Zakopanego, na narty. Na Kasprowym wciąż jeszcze leży śnieg. Czy pan uprawia sporty?

– Uprawiałem.

– Sport to cudowna rzecz, prawda?

Miała szczuplutkie, prawie przezroczyste palce. Spytałem:

– A co z tym niedostatkim czerwonych ciałek krwi?

– Narty bardzo je wzmacniają, proszę mi wierzyć. Jestem świetną slalomistką. Zdaje się, że pan powątpiewa.

– To musi pani mieć mocne uda.

– Owszem. – Dotknęła znacząco swoich ud. Nie ośmieliłem się sprawdzić.

– I mięśnie bioder – podsunąłem.

Zwycięski uśmiech.

– To może w poniedziałek? Zaraz po weekendzie? Spotkajmy się w „Czytelniku”, to taka kawiarnia z barem, do której zachodzą pewni literaci. Pozna pan parę popularnych osobistości. – Zaśmiała się. – Raczej nie głodują. I nie marzną. Trafi pan?

– Znam. – Luiza. Ale nie muszę o niej mówić. Luiza. Zjedliśmy tam niejeden obiad. Ciekawe, jak czas przeorał jej rysy. Obraz odpłynął. Podsunąłem pani Matyldzie serwetkę. – Proszę mi to tutaj wszystko napisać.

Napisała:

p o n i e d z i a ł e k

C Z Y T E L N I K

12.45

Matylda

Tak napisała: „Matylda”. Bez „P”. Zbliżyła mnie do siebie. Złożyłem serwetkę i schowałem ją do kieszeni marynarki. Nigdy jej nie wyrzuciłem. Jest ze mną jeszcze dzisiaj.

3

Powinienem myśleć o Henryce, a myślę o Leninie. „Nie przynoś mi słodczy” – powiedziała. Chyba kupię jakieś kwiaty. Dawniej lubiła sobie wypić, częstowała smakowitymi nalewkami. Miałem ze sobą butelkę „Jacka Daniel’sa”, taskałem ją z Ameryki, jakoś nie przyszło mi na myśl, że wszystko się w 1989 zmieniło, w każdym większym sklepie spożywczym można dostać naszą whisky. Dlaczego Henryka uprzedzała, że się przestraszę?

Zawsze jest niebezpieczeństwo, przyszło mi na myśl, że autor, biograf, zagłębiając się w czyjeś życie, niekoniecznie świetlane, przywiąże się do postaci – za dużo o tym człowieku wie, za dobrze go rozumie, niby chce go osądzić, ale przecież jakoś zbliża się do niego – i to, jak się zdaje, przydarzyło się profesorowi Adamowi Ulamowi, którego wykładów o Leninie słuchałem u Harvarda, i to też groziło Gorkiemu, a teraz, być może, jeśli ja się tym zajmę (a niby po co?), grozi i mnie.

Gorki mówił o nim: „Ten szlachetka”? No, nie za bardzo. Ojciec, Ilja Nikołajewicz Uljanow, był co prawda dygnitarzem, inspektorem oświaty w nadwołżańskiej guberni w Symbirsku, za zasługi dla samodzielnictwa dostał Order św. Włodzimierza, z którym łączyło się dziedziczne szlachectwo, ale to stuprocentowy Kałmuk. Jego ojciec (czyli dziad Wołodii) był jeszcze na kałmuckich stepach chłopem do ziemi przypisanym, zanim się wzbogacił i wyzwolił, więc owo szlachectwo było świeżo malowane, jeszcze plamiące. Matka, Maria Aleksandrowna, z domu Blank, była przyzwoitą mieszczańką, córką zamożnego lekarza, który w końcu porzucił medycynę, by nabyć majątek ziemski, a wraz z nim szlachectwo. Uczynić z Wołodii obszarnika, wyrwać go ze środowiska rewolucyjnego, żeby nie poszedł w ślady starszego brata Aleksandra, którego powieszono w 1887 roku za zamach na swojego imiennika cara (już trzeciego o tym imieniu); matka namawiała skazanego syna, żeby błagał o łaskę, on się wzbraniał, płakał, „co ludzie na to powiedzą? – zhańbię się” i „mamo, masz jeszcze pięcioro dzieci”; w końcu uległ

podobno, ale sąd był nieubłagany. Odtąd Wołodia żył napiętnowany – jako brat powieszzonego zamachowca – zawsze podejrzany, zawsze pierwszy do usunięcia ze studiów. I gdyby nie matka!... Tak, pani Uljanowowa była niezmordowana, energiczna, jeździła do Petersburga, docierała do ministrów, nieustępliwa, wymuszała upragnione decyzje – a to żeby syna przyjęli z powrotem na studia w Kazaniu, bo jest bliski samobójstwa, a to żeby urządzić go jakoś na zesłaniu (w kancelarii, z wykorzystaniem wiedzy prawniczej) albo żeby pozwolono mu wyjechać za granicę, dla poratowania zdrowia, oczywiście.

Żeby przeobrazić syna w czcigodnego właściciela ziemskiego, nabyła dla niego odpowiedni majątek, jednak dosyć pechowo, bo dziedzic, który jej go odsprzedał, sam był pod nadzorem policji, nieprawomyślny, oddał część gruntów tołstojowcom, sprowadzał nieznane tu dotąd maszyny, taki postępowy! – nic dobrego to nie wróżyło.

Kiedy młody Uljanow wydostał się po raz drugi za granicę, tym razem na lata całe, autorytetem marksistowskim był przebywający w Genewie Gieorgij Plechanow. Włodzimierz zaczął od tego, że napisał programową broszurę *Co robić?*. (Tytuł zapożyczył z bardzo popularnej powieści Czernyszewskiego, również programowej, więc naturalnie tendencyjnej i kiepskiej, chociaż szlachetnej i czytanej z szacunkiem). Podpisał ją: „N. Lenin”. (Mało kto zauważył, że często przed tym „Leninem” było N., niektórzy przeciwnicy atakowali Nikołaja Lenina). Nikt nie wiedział, kto to jest ten „Lenin”, skąd się wziął. Młody autor denerwował się, że bułgarscy towarzysze rozgłosili, iż autorem jest Plechanow: wypisz, wymaluj – jego styl.

Zaktywizowałem świeżo nabytą komórkę i od razu nadałem do pani redaktor: „Czy pamięta Pani o poniedziałku? Pozdrawiam. Mistrz”. I od razu drganie komórki i muzyczny sygnał – znak, że jest odpowiedź: „Za chwilę zjadę z Kasprowego. Pamiętam i bardzo się cieszę. Matyllda”. Matyllda – powtórzyłem w myśli. Jednak znak bliskości. W poniedziałek, pojutrze.

No i przestraszyłem się: Henryka miała twarz wychudłą i tak siną, jakby powleczone była ciemnoniebieską farbą. Oczy zapadnięte, nieobecne, dwie ciemne studnie. Ta twarz, którą pamiętam jako okrągłą, lśniąca twarz zawsze pogodnej, zmysłowej, lubiącej sobie podjeść pani, teraz była podłużna. Domyślałem się diagnozy, ale nie zapytałem o nią. Wręczyłem

gałązki białego bzu, ona po staremu zachwyciła się i powiedziała, niemal z uśmiechem:

– Pewnie cudownie pachną. Ale ja prawie nie czuję zapachów.

Chociaż wyrzekła się słodczy i owoców („bez trudu – poinformowała mnie – już mi nie smakują”), chociaż sama już nie piła (ale na alkohol, usłyszałem, czasem miała ochotę), na stole znalazł się gorący placek ze śliwkami (wypiek własny) i karafka z wieloziołową nalewką.

– Chlapij sobie, Jeff – zachęcała. – Nic się nie zmieniłeś! – podziwiała, na pewno po to, żeby sprawić mi przyjemność. – Naprawdę nic. Jak twoja Mirchon? Nie musisz odpowiadać. Widziałeś się z Luizą? Nie, nie odpowiadaj. Rozumiem, że przyszedłeś raczej wypytywać. A skoro cię przysłała Baśka, to idzie o Wiktora, zgadza się?

– Ukręcono łeb sprawie, przyznasz, że to podejrzane.

Rozglądałem się po obszernym pokoju, w którym pośród ciężkich, ale budzących podziw mebli, prawdziwych dzieł sztuki (simmler i biedermeier), ogniskowało się życie Henryki. Miała za sobą kilka małżeństw, zostały jej po nich przyjaźnie z panami, którzy ją opuścili (nigdy ona) – profesorowie dla studentek, redaktorzy dla poetek – ona, odpłakawszy, ile należy, wreszcie wybaczała, czas i samotność robiły swoje, przyjmowała u siebie dawnych mężów z młodymi żonami, te żony jakoś niezauważenie się starzały, najpierw traciły świeżość, potem wokół oczu wykwitwały im kurze łapki, tu zmarszczki, tu fałdki, wypełniały się talie, rozrastały tyłki, zdobywcze i bezwzględne pantery babiąły, przychodziły na ploty, zwierzenia, stawały się przyjaciółkami rozwiedzionej Henryki, już prawie rówieśnice, i zdarzało się, że profesor, który od niej zdezerterował, teraz wymykał się z przykładowie urządzonego domu, żeby porozmawiać z dawną żoną, tylko ona go rozumiała, co więcej: zauważał, że o pewnych sprawach tylko z nią może rozmawiać i właściwie nie wiadomo było, po co od niej odszedł, właściwie do kogo, no cóż, pomyłka, stało się, już tego nie cofniemy.

Kolacyjki u Henryki. Dwaj byli mężowie, a z nimi te nieświeże, paplające panie (obiekty ich szalonej miłości), Wiktor z Barbarą, czasem Amerykanin (czyli ja) z nudzącą się Luizą (zły syk: „po co mnie tu przyprowadziłeś?” – zadziwiająca, że w takiej anielskiej buźce może się ukrywać tyle złości), jakieś dwie kuzynki, które pomagają przy stole, sąsiad z czwartego piętra – złota rączka, redaktorka wydawnictwa dla dzieci, w którym Henryka publikowała w dużych nakładach dydaktyczne biografie

(Nansen, Korczak, Edison, Sempołowska – to ta przyjaciółka Katii Pieszkowej, pierwszej żony Gorkiego, obie zajmowały się jeńcami po wojnie polsko-bolszewickiej – no i w ten sposób przeskakuję do swoich zainteresowań). Wszystko smakowało, bo gospodyni zależało na tym, żeby smakowało. Niektórzy uważali, że otyłość Henryki, rozlewność jej biustu spowodowana była tym, że po aresztowaniu przez gestapo wywieziono ją do Ravensbrücku, poddawano jej kobiecość eksperymentom – „króliczek”, jak ona sama to nazywała, wspominając zresztą niechętnie i nic dziwnego – ale ja, obserwując jej radość życia, sposób, w jaki popatrywała na urodziwych mężczyzn, skłonny byłem wierzyć raczej w to, że jej tusza (która pewnym panom bardzo odpowiadała) brała się z niepohamowanego apetytu.

Teraz byliśmy tylko we dwoje i Henryka zaproponowała mi fotel z czasów Księstwa Warszawskiego, którym wyróżniała tylko ulubionych gości, przysunęła stoliczek z nalewką, sama nie siadała, dreptała po pokoju, stukając laską niby kosturem.

– Mieliśmy ze sobą romans – zaczęła. – Wiktor i ja.

– Jakoś mi to umknęło.

– Bo kiedy ty się pojawiłeś, było już po romansie. Zwolniłam go z seksualnej pańszczyzny – wiesz, to by już było bez sensu, był sporo młodszy ode mnie, w twoim wieku, a ja, co tu owijać w bawełnę, przestałam być kobietą. Po co mu taki grzyb? Bez sensu – powtórzyła. Po chwili: – Zawdzięczałam mu dużo... jak to powiedzieć? Dużo dobrych emocji. Tylko to się liczyło. Udana przeszłość. I on tu miał swoje miejsce. Chatę. Tu, u mnie, między tymi meblami.

– Chcesz powiedzieć...? – Nie dokończyłam.

– Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Miał zapasowy klucz. Kiedy planował spotkanie, ja szykowałam termos z kawą, coś do przegryzienia – i ułatwiałam się.

– Podziwiam – mruknąłem.

– Nie ma co podziwiać. Życie. (Gdzieś to już słyszałem, całkiem niedawno, takie ujęcie spraw: życie). Dzięki temu wiedziałam o nim więcej niż Baśka. Wiedziałam wszystko.

– O kobietach?

– Nie, nie mam na myśli kobiet. – Stuknęła laską w podłogę. – Nie, nie o kobietach. – Usiadła w fotelu obok mnie. – Czy mówi ci coś nazwisko Papierek? Pułkownik Papierek? Z kontrwywiadu.

Pokręciłem głową.

– Czyli Baśka o nim nie słyszała – stwierdziła nie bez satysfakcji.

– Papierek... Prawdziwe nazwisko?

– Wyobraź sobie, że prawdziwe. Kiedy przyszedł do Wiktora, można rzec, wdarł się, Baśka jeszcze spała, a on, ten pułkownik, przedstawił się, pokazał legitymację, ze zdjęciem. Antoni Papierek. Dla kontaktów kazał się nazywać „Antkiem”.

„Antek” – przypomniało mi się – wiem, o kogo chodzi: to był ten facet, który przez pewien czas nachodził Wiktora. On mi kiedyś o nim wspominał. Ze śmiechem, bo był zadowolony ze sposobu, w jaki go spławił: „Zrobiłem go w konia”. Więcej ani słowa. I może lepiej: byłem obywatelem amerykańskim – dla nas obu wygoda, żebyśmy o tej sprawie za dużo nie wiedzieli. Ale Henrykę Wiktor wtajemniczał z dnia na dzień. Było to w połowie lat osiemdziesiątych, Wiktor złożył na policji (przepraszam, jeszcze ich nazywano milicją), złożył więc podanie o paszport, chciał jechać do Paryża, prywatnie, na zaproszenie kuzyna, mało mu dotąd znanego. Oni, ci ze służb specjalnych, takie zachcianki wykorzystywali, żeby naciskać na ludzi, przypomina Henryka. Były głuptasy, które dla paszportu czegoś się podejmowały. Raz taki wyjechał, a zostawała plama na całe życie. Niektórzy mogli być, oczywiście, zaszantażowani. Nie dam się zaszantażować, tak postanowił sobie Wiktor, nie są w stanie mi zaszkodzić. Bo jego romanse dla Barbary się nie liczyły – oni chyba o tym wiedzieli – trudno było się do niego dostać, życie czyste, pracowite, a poza tym ten „Antek” – czy on taki delikatny był, czy też taką przyjął metodę – Wiktorowi okazywał szacunek i pobłażliwość. Może chciał w ten sposób wkraść się w zaufanie.

Spotkali się w kawiarni „Ujazdowskiej” – „w związku z pańskim podaniem o paszport”, wyjaśnił bez ogródek pan pułkownik. Herbata na koszt firmy. – Nie, nie, za siebie sam płacę. – Ale mowy nie ma, panie Blau, Polskę Ludową na to stać – ciasteczko? nie? Szkoda, dla mnie dwa pączki. Pierwsze spotkanie to było takie obmacywanie. Po co pan jedzie? Do kuzyna, chcemy się lepiej poznać. Zamożny? Myślę, że ma się nieźle, jubiler. A co pan myśli o tym? O tamtym? Czyta ich pan? Nie za bardzo, nie mam czasu, nie wszystko mnie interesuje. O to to, dobrze pan powiedział, interesujące to grunt, jak nieinteresujące, to szkoda czasu. Pan jest inteligentny człowiek, panie Blau, ludzie darzą pana szacunkiem, niech pan nie zaprzecza, ja wiem swoje. A niech pan powie, w tym Paryżu jest takie

pismo „Kultura”, czytuje je pan? – Od czasu do czasu. – A gdzie? – pada pytanie, które pułkownik uważa za podchwytliwe. – W bibliotece naszego stowarzyszenia, my je dostajemy. – No pewnie – godzi się szybko towarzyszyć pułkownik. – A wie pan, niektórzy pańscy koledzy pisują tam pod pseudonimem; co pan na to? – To możliwe, czemu nie? Z takich spraw nikt się nie zwierza. – O to to. A niech pan powie, panie redaktorze, umiałby pan po stylu określić, kto jest autorem artykułu? – Pierwsza pułapka, zrozumiał Wiktor. Odpowiedział: – To niemożliwe. – Niemożliwe? Dlaczego? – Gdybym ja tam pisał, wcieliłbym się w czyjś styl, każdy z wybitnych pisarzy ma swoje ulubione powiedzonka, narowy, pan by myślał, że to Hemingway albo Sienkiewicz („no gdzie tam, skąd oni do nas?” – na to „Antek”), a to byłbym ja. – Ale pan tam nie pisze? – Czyżbym z panem o tym rozmawiał?

Wiktor myślał, że na tym indagacja się kończy, kiedy nagle usłyszał:

– To poproszę pana redaktora o spotkanie jutro o tej samej porze.

Całą noc nie spał. Ta pierwsza rozmowa to było tylko takie badanie: czy lojalny, czy spokojny, bo może wściekły. Bardzo chce do tego Paryża czy też sobie go odpuścić. Już wiedział, co nastąpi: zaproponują mu współpracę. Wciąż powtarzał sobie odpowiedź. Wiktor przekonywał Henrykę, że odmowa powinna być grzeczna. Im bardziej stanowcza, tym grzeczniejsza. Nie unosić się honorem, który obraża tamtych. Są zwolennicy innej postawy – traktować nagabywaczy jak folksdojczów, zdrajców – ale Wiktor należał do tych, którzy uważali, że po tamtej stronie też pracują ludzie, osobnicy na zwykłej (dla nich) posadzie, nie należy ich rozwścieczać, mogą się mścić. Wiedział, co powie, i to go uspokoiło.

– No to pojedzie pan do swojego kuzyna – zapewnił pułkownik. – Paszporcik będzie elegancki, że mucha nie siądzie. Na cztery miesiące, wystarczy? Jak trzeba, to pomożemy panu. – Na przykład jak? – zaciekawiał się Wiktor. – No, jakieś pieniądze – powiedział pułkownik w cywilu – na przykład sto dolarów. – Ujawnił sumę i czekał na wrażenie. Wiktor opowiadał, że kosztowało go sporo wysiłku, by nie wybuchnąć śmiechem. Sto dolarów – mają zdrowie! – Przydadzą się tam panu – przekonywał pułkownik. – Ależ dziękuję, rozumiem, ale nie trzeba, będę w pełni zabezpieczony przez kuzyna. (I częściowo przez paryską „Kulturę”, należały mu się jakieś honoraria). – To w takim razie – mówi „Antek” – niech pan nam pomoże. – W czym? – zapytał Wiktor. – Jest tam w Paryżu taka dziennikarka żydowska, pani Liliana G., no, wie pan, emigrantka

z sześćdziesiątego ósmego – to chcielibyśmy wiedzieć, co ta pani robi. – Tym razem jeszcze trudniej było zdusić śmiech. – Panie pułkowniku, panie pułkowniku – powtarzał prawie obrażony Wiktor. – Gdyby pan żądał, żebym dla pana spenetrował lotniska amerykańskie, to rozumiem! Ale co porabia stara Żydówka, która coś tam wystukuje dla gazety w jidysz na zdezelowanej maszynie? Pokażę panu coś. – Wiktor wyjął z bocznej kieszeni marynarki legitymację dziennikarską. To była odpowiedź, którą sobie przygotował. – Kiedy pan się u mnie pojawił, pokazał mi pan swoją legitymację; zdaje się, że nawet z pewną dumą. Ja wiem, że taka instytucja musi w państwie istnieć, pan wykonuje zadania wynikające ze swojej legitymacji – chociaż orientuje się pan chyba, że ja nie zgadzam się z zakresem waszej działalności. A oto moja legitymacja! – Wiktor otworzył ją i stuknął palcem. – I ja chcę robić tylko to, co wynika z tej legitymacji. Nic poza tym.

„Antek” udał zrozumienie. Przez chwilę jeszcze przekonywał Wiktora, jakim zagrożeniem dla Polski jest międzynarodowy syjonizm (i pani Liliana G.). – Pan nie wszystko wie, panie redaktorze. – Na co Wiktor: – A czy grozi nam desant Dajana w Gdyni? – Pułkownik niespodziewanie zaczyna się skarżyć: – No, widzi pan, jak to jest, jakie mamy trudności, a Polacy amerykańscy jak przyjeżdżają do nas, to chętnie dla CIA coś robią, mamy na to dowody. – Na co Wiktor bezczelnie: – Gdybym ja był Amerykaninem, a nie byłbym czarnoskórym islamistą, rozgorączonym Latynosem czy komunistą, to kto wie... Ponieważ wiem, że CIA broni mojego amerykańskiego interesu. Ale pan przecież się nie łudzi, że ja uważam za pożyteczne to, co wy robicie! – Zdaje się, że mu zaimponował, chwalił się potem Wiktor.

– Dlaczego to ich tak interesowało? – spytałem. – Ta Liliana G., trzeciorzędna żydowska dziennikarka. Czy to jest zadanie dla szanującego się kontrwywiadu?

– Jeff, oni nic innego nie mieli do roboty! Poważnych zadań Rosjanie im nie powierzali, nie ufali im, i słusznie, dobrze wiedzieli, że każdą informację natychmiast sprzedadzą, bo niby co ich to mogło obchodzić. Zostawili im Żydów. Bawcie się z „syjonizmem”.

– Czy były jeszcze jakieś rozmowy? – spytałem.

– Jakież nieoczekiwane wizyty. Po powrocie Wiktora z Paryża. „Antek” chciał koniecznie wiedzieć, czy Wiktorowi dobrze poszło. – A z Giedroyciem się pan widział? Pewnie mu się wydawało, kiedy o to

pytał, że jest strasznie chytry. A Wiktor na to: – A wie pan, że nie; chociaż miałem straszną ochotę; bo mnie, jako dziennikarza, tacy ludzie jak Giedroyc ciekawią; no, ale skąd ja do niego? Kiedy jednak „Antek” znowu zadzwonił z prośbą o spotkanie, Wiktor miał już dość. – Panie pułkowniku – powiedział – pan jest człowiekiem bardzo miłym i ja chętnie będę z panem rozmawiać, jak pan przejdzie na emeryturę. – Teraz nie? – Nie! – W kilka dni później u Wiktora zrobiono rewizję – to na pewno była zemsta tego „miłego” człowieka.

– Czy gdyby pułkownik Papierek którejś soboty zadzwonił do drzwi, Wiktor by mu otworzył?

– Najprawdopodobniej.

– Czyli pułkownika można wpisać na listę podejrzanych?

– Tak, oczywiście. Ale nie wierzę, że to on. To nie z jego powodu ukrecono łeb sprawie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Papierek to był funkcjonariusz na posadzie. Profesjonalista. Miał określone zadania. Zabijanie to nie mógł być jego resort. Jeff, tam musiało być coś bardziej nieczystego. Coś ciemnego.

– Ale on mógłby coś o tym wiedzieć?

– Chyba tak. Na pewno się interesował.

– Spróbuję go odnaleźć. A co z tobą? Nie byłaś w kręgu podejrzanych?

– Byłam, naturalnie, tylko dla statystyki – śledztwo od razu wykluczyło obecność kobiety. Ale przepytuwanko zrobili.

– Ciężko było?

– Irytująco. Ale i zabawnie. Oni koniecznie chcieli dowieść, że Wiktor był łajdak, gwałcił dziewczynki, chłopców i staruszki i że to mogła być zrozumiwała zemsta jakiegoś ojca czy męża. W pewnym momencie powiedziałam, i to dość ostro: „Panowie przepytujecie mnie tak, jakby to pan Blau zabił, a nie jego zabito”. Oni umilkli, bo wyglądało na to, że ich przyłapałam. Jakby zależało im na usprawiedliwianiu mordercy. Szybko odwieźli mnie do domu – i nawet przeprosili za kłopot.

Te ciemne studnie jej oczu na chwilę zabłysły i przypomniały mi dawną Henrykę. Spytała nawet tak samo, jakby odnajdywała dawną siebie:

– Smakuje ci nalewka? No to jeszcze kropelkę...

Sącyłem cierpką nalewkę i wmawiałem w siebie, że rozplływające się wewnątrz mnie ciepło zwielokrotnia mi siły. Ona nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jeff... – odezwała się cicho. Wiedziałem, że będzie teraz o czymś innym. I pomyślałem: oddychaj głęboko. – Jeff, korzystaj z życia.

Uśmiechnąłem się.

– Nie wiem jak. To znaczy... – zawahałem się. – Jakoś tam korzystam. Po swojemu.

Szepnęła:

– Ja umieram.

Milczałem, ona powtórzyła:

– Ja umieram. Wiem. Widzę to w lustrze. – Po chwili: – A tak się boję.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Powinienem jej jakoś pomóc, ale nie umiem. Wpatrzony w kieliszek z nalewką powiedziałem:

– Bóg ci przebaczy.

– Nie wierzę w Boga.

Wykrztusiłem:

– Więc czego się boisz?

Nie odpowiadała. „To die, to sleep” – powtarzałem w myśli. Z jaką tęsknotą wypowiada te słowa udręczony Hamlet. Umrzeć, zasnąć... Nie będę jej zatruwał literaturą. To die, to sleep... – zna to i beze mnie. Powiedziała cicho:

– Nicości. Wiem, to bezsensowne – czego tu się bać? Ale się boję. Nie mogę sobie tego wyobrazić: przechodzenia w nicość.

A przecież sen uczy umierać człowieka. Kto to napisał? Polski poeta renesansowy. A przed nim zapewne wielu innych. Nie mogłem jej w niczym pomóc.

– Czasami sobie myślę, a może nie czekać na to, załatwić to samej, spokojnie. Zażyć coś, zasnąć – i się nie obudzić. Wiesz, Jeff, najdziwniejsze w tym jest to, że ja już popełniałam samobójstwo. W sześćdziesiątym ósmym roku, w sierpniu, kiedy nasi dusili w Czechosłowacji socjalizm z ludzką twarzą. Nie mogłam znieść tej hańby. Bo to była też moja hańba, tkwiłam przecież w tej partii i wciąż byłam Polką. Jakby mi kto w twarz napluł. Chciałam, żeby moje odejście było protestem, moim „nie” – śmieszne, co? Wtedy śmierci się nie bałam.

– Byłaś o kilkadziesiąt lat młodsza.

Moja uwaga mogła jej się wydać cyniczna, ale ona tego tak nie odebrała.

– Coś w tym jest, młodość nie ceni tak życia. Zabrano mnie do szpitala i odratowano.

Chodasiewicz dręczył dziewczynę: „Nino, skończmy ze sobą. Po co trwać, skoro nie można pisać wierszy”. Byli w Paryżu, on się miotał – nie mogę pisać wierszy, nie mogę poza Rosją, a Rosji tu nie ma – odejźmy razem. Objęła go i trzymając w ramionach, powiedziała stanowczo: Nie! Była inna. Wyznała później (mogłem to przeczytać): „Nigdy nie byłam w stanie poświęcić życia w imię linijki tekstu”. Życie było dla niej zawsze najważniejsze, a Paryż całkiem odpowiednim miastem, chociaż zdarzało się, że nieprzyjaznym („dwie sukienki wszystkiego i bez perfum, potrafi pan sobie to wyobrazić?”), i chociaż często spoglądała z westchnieniem na witrynę wędliniarni na bulwarze Raspail. Ja przystawałem obok niej i zwierzałem się, całkiem szczerze: „Kupiłbym ci tę szynkę – wygląda pociągająco – jambon à la Bretagne”. Uśmiech w jej ciemnośliwkowych oczach. „Thank you, sir, za dobre chęci. Ale nie ma pan wehikułu czasu”. Roześmiała się – i wszystko zasnuła mgła. Jak u Wellsa. Chodasiewicz mówił zalany łzami: „Ciebie nie można zniszczyć; ciebie można tylko zabić”. On mówił o samobójstwie i nie wiedział, że ona akurat jest uradowana, bo kupiła sobie twarzową sukienkę, okazji nie, za psi grosz. Milukow zamawiał u niego artykuły do „Poslednich Nowosti” – proza, co za upadek! – pisał je po nocach, a ona, Nina, spała, przyciskając do piersi jego piżamę, żeby była ciepła, kiedy wgramoli się do łóżka. Dymitr Mereżkowski dawał upust hysterii, kiedy ich odwiedzał, wrzeszczał do swojej jadowitej Zinaidy (Gippius): „Wolność! Wolność! Wszyscy krzyczycie o wolności – ale po co mi ta wasza wolność, kiedy nie ma Rosji?”. Nina uciekała od hysterii – nieodporni, bo rozpieszczeni, tak sobie czasem myślała – do męża mówiła: „Nie masz w sobie kropli krwi rosyjskiej, ojciec Polak, matka Żydówka, ale, mój najdroższy, Rosja jest tam, gdzie ty jesteś”, buntowała się przeciw maniakalnemu rymotwórstwu, przeciw traktowaniu wierszopisarstwa jako misji. Dali drapaka – warczał Mandelsztam na tych, którzy wybrali emigrację. Drapichrusty! – miętosił korzeń tego słowa. Oni, Mandelsztamowie, zostali w Rosji – myślałem ja, siedząc u Henryki, która widziała swoją śmierć w lustrze – domyślali się, że są skazani, może on mniej, wciąż wierzył, że „poezja to władza”, ale Nadieżda na pewno, bo któregoś dnia zaczęła go namawiać: Osia, odejźmy stąd, ucieknijmy im. Uciec? Odejść? – zdumiewał się. O co ci chodzi? – O samobójstwo. Odejźmy razem. Pozbędziemy się ich. On wybuchnął: Oszalałaś chyba! A wiersze? Co się stanie z wierszami? I wtedy zrozumiała: ona ma trwać, przetrwać, na przekór wszystkiemu, wsiem

śmiercią nazło, przetrwać, żeby ocalić jego wiersze. Już wiedziała, jakie czeka ją zadanie. Dlatego musi żyć. (Muszę to zanotować. Wykonała to zadanie: żyła i doczekała się wydania jego wierszy. Ale to było grubo później. Mnie, który pochylałem się nad czystą kartką – ten fakt nie dotyczy).

– Pokażę ci coś – powiedziała Henryka. Wyjęła kwit bankowy ze szkatułki. – Przeczytaj. Popatrz, jaka suma! Nigdy w życiu nie miałam tylu pieniędzy. I po co mi to? Jak to użyć? – Schowała kwit do szkatułki.

– Zapisałam połowę Jackowi, a połowę ofiaruję Joli, na jej fundację. Nie potrzebujesz trochę grosza?

– Nie, dziękuję. Przydałby mi się adres „Antka”. Mam cholerną ochotę go odwiedzić. Ale jak do niego dotrzeć?

Henryka zdjęła z etażerki grubą książkę telefoniczną. – Sprawdzimy – mruzczała. Po chwili: – Jest! Proszę bardzo: Papierek Antoni.

– Nie ukrywa się – zauważyłem. – Figuruje pod nazwiskiem. To chyba o czymś świadczy.

– Jeff, piętnaście lat minęło! Wszystko inaczej. Pewnie jest czcigodnym człowiekiem interesu.

– Nie wszystko jest takie proste. – Przepisałem do notesu numer telefonu i adres pana Papierka.

Henryka odprowadziła mnie do drzwi. Nie zapaliła światła w przedpokoju, w którym na ścianie było lustro, staliśmy w mroku, kiedy spytała:

– Jeff, jesteś tu samotny? A może kogoś masz?

Musiałem się zwierzyć:

– Poznałem pewną uroczą panią.

– I co? – Wyczułem, że się zaciekawiła.

– Nic o niej nie wiem. Tylko tyle, że jest redaktorką i że czytała moją książkę.

– To już coś. I co dalej? – pytała podniecona.

– Mamy się spotkać.

– Zerznij ją. Nie trać czasu, Jeff. Różnijcie, chłopaki, ile się da – mówiła, jakby stało nas tu kilku, w tym mrocznym przedpokoju – różnijcie, póki macie czym. Sprowadź ją do łóżka i cała naprzód!

Słuchałem tego zadziwiony, właściwie jakoś obrażony. Ona nic nie rozumie, myślałem, straciła całą swoją mądrość. Ale nie będę się tłumaczył, bo wyjdę na głupca. Powtórzyłem tylko:

– Nie wiem nawet, kto ona jest.

– Dupa – prychnęła. – Jeff, widzę w ciemności twoje wytrzeszczone gały. Dupa! – wyraźnie rozsmakowywała się w tym słowie. – Dupa. Zapamiętaj to sobie – reszta to zawracanie głowy. Weź ją za dupę i przekonaj do siebie. Czas ucieka! Jej czas też. (Ach, Boże – co ona wygaduje? Czy to z powodu kłęski ciała popełniała samobójstwo? Chyba sobie jednak chlapnę kielicha. I nie żadnej nalewki. Wódki. Pod śledzia z cebulką. Żeby mi jechało z gęby. Dwa kieliszki. Trzy. A potem... potem niech się dzieje, co się ma dzieć). – Jak mówił największy polski poeta: „Tak to ludzie trwonią lata, że nie są jak brat dla brata”.

Nie wiedziałem, o jakiego największego poetę idzie. Ucałowałem ją w policzek, a ona zdobyła się na uśmiech:

– Dziękuję za bzy.

„Ten jej język! – wybuchnęła Nina. – Ten wasz język! Nie usłyszysz ode mnie nic podobnego, nie oczekuj! – Wydaje się wściekła. – Żopa! Podumat’ tolko!... Niet, nielzia... Prosto biezobrazje!”

Trzasnęła nieistniejącymi drzwiami i uciekła.

4

Komórka zadrgała. To był SMS od niej: „Spóźnię się o kwadrans. Przepraszam”. Skoro pisze, że o kwadrans, to na pewno rozrośnie się on do pół godziny. Odpowiadam: „OK. Czekam”. Czekam w umówionej kawiarni (w „Czytelniku”) i gapię się na bufet zastawiony kuszącymi sałatkami. Pani Jadzia, tak jak przed laty z jasną grzywką nad czołem, przywitała mnie z za baru ślicznym uśmiechem: „Dzień dobry, panie Jerzy”. Więc mnie pamiętała! Wymyśliła dla mnie wtedy tego „Jerzego” (Luiza z humorem to zaakceptowała), bo dźwiękowo przypomina „Dzefa”, a bardziej swojski. „Napije się pan herbaty?” „Czekam”. Spytała, przyjmując od kogoś zamówienie: „Na panią Matyldę?” Już wiedziała! Ach, pewnie to ona sama, pani redaktor, uprzedziła: jutro spotykam się z takim profesorem z Ameryki, bywał tu podobno przed laty, wybitna postać, mistrz (tego na pewno nie powiedziała, to ja sobie tak tworzę), niech pani o niego zadba.

„Czy prawdziwy rewolucjonista może zachwycać się kwiatami?!” – wykrzykiwał młodzieniec z postrzępioną blond brodą. Poderwał się inny (guziki u poplamionej sosem kamizelki miał krzywo zapięte, dostrzegłem to): „Tak, towarzysze, nie ma wątpliwości, rewolucjonista powinien się takiego zachwyty strzec! Zacznie hodować kwiaty i stanie się burżujem! Kapitalistą!”. Do diabła, oni o to skaczą sobie do oczu całkiem poważnie. Źle to zapowiada, myślę z niepokojem i nawet nie chce mi się tego roztrząsać. Jest początek wieku. Ognistowłosa, łysiejący, z rzadką kałmucką bródką, zawarczał: „Towarzysze! Mamy ważniejsze spchawy do chozstrzygnięcia”. Uciszyło się. Ognistowłosa był młody, ale już cieszył się autorytetem, zawołany marksista, przyznawano mu cechy przywódcze. Lenin. Pod tym nazwiskiem, jak wicie, wydał rozprawę *Co robić?* – nie miał wątpliwości, że on wie, on jeden, co robić. (O tej awanturze o kwiaty opowie później Lenin Gorkiemu. Albo i nie).

Państwo bezklasowe, oświadcza jeden po drugim, będzie humanistyczne, światłe, zerwie z barbarzyństwem państwa klasowego. Nie powinno w nim być kary śmierci. Wpisali to już do programu, kiedy ktoś z tylnych rzędów

zakrzyknął: „A co z Mikołajem Drugim!?”. No właśnie, co zrobimy z carem? Propozycję zniesienia kary śmierci poddano raz jeszcze pod głosowanie. Wszyscy byli przeciw. To wtedy, pomyślałem, przypatrując się notatce, wydano wyrok na cara. W kilkanaście lat później już tylko go wykonano.

Mieszkali w Londynie, ale Lenin jakby tego nie zauważał. Książki – tylko to się liczyło. Kiedy pracował, Nadia Krupska, jego żona (pobrali się na żądanie władz carskich – bez ślubu nie miała prawa do widzeń z uwięzionym Wołodi), pilnowała, żeby nachodzący go młodzi towarzysze nie przeszkadzali, nie wpuszczala ich poza korytarz. Jeszcze na zesłaniu oboje z Nadią przełożyli z angielskiego jakieś politologiczne nudziarstwo, ale tutaj, w Londynie, kiedy trzeba było porozmawiać, mało kto ich rozumiał. (W roku 1920 Wells stwierdził, że Lenin bardzo swobodnie mówi po angielsku). Bywali u Wiery Zasulicz, ciotki rewolucji, kiedyś strzelała do carskiego urzędnika, bardzo ją za to szanowano, ale „wolałbym z nią nie mieszkać”, wspominał po latach Lenin (już schorowany), zajmowała jakiś apartamencik do spółki z mienszewikiem Martowem i z jeszcze jednym towarzyszem, bałaganiara wręcz legendarna. Julij Martow nie dużo lepszy, wszędzie natrafiało się na popiół z jego fajki, wystrzegaliśmy się z Nadią, opowiadał Wołodia, by nie prosić o herbatę, na pewno pomieszana z tytoniem, i to nie najlepszej jakości. (Ten Martow – naprawdę Cederbaum, obok niego Akselrod, Trocki – sporo między tymi mienszewikami jest Żydów, pisał do „Brdzoły” młody gruziński dziennikarz, Koba-Dżugaszwili, późniejszy Stalin, pisał w macierzystym języku i tak sobie beztrąsko żartował, że właściwie to nam, bolszewikom, opłaciłoby się urządzić jakiś mały pogrom. Od młodości miał bardzo specyficzne poczucie humoru). Martow był jednym z nielicznych towarzyszy, z którymi młody Lenin był na ty, stale spory o redakcję „Iskry”, człowiek, z którym sprzeczać się, dyskutować, zrywać – to była rozkosz, przyznawał Lenin – w końcu jednak doszło do tego, że zwracał się do Martowa per „szanowny towarzyszu”, ale nigdy nie przestawał o nim myśleć.

– Nie uciekł pan?! – usłyszałem z daleka jej głos. Podniosłem oczy, zbliżała się roześmiana – ona się chyba z tym urodziła, z tym radosnym uśmiechem. Czy cieszy się tak na mój widok? – pomyślałem zuchwale. Pomachała mi ręką i rzuciła: – Za chwilę!

Pobiegła do stolika w głębi sali, który obsiadło kilku bywalców (sądząc po znudzonych minach), nie mieścili się na krzeselkach, ktoś nieuważny mógłby potknąć się o ich długie nogi, ona obcałowała kolejno różnych młodzieńczych weteranów, jednego nawet czule objęła, wreszcie to im pomachała ręką i przybiegła do mnie, i ze słowem „witam” także mnie cmoknęła w policzek. Zapomniałem na chwilę, że to w Polsce nic nie znaczy, zapomniałem albo chciałem zapomnieć, bo z wrażenia znieruchomiałem.

– Dlaczego pan mi się tak przygląda? – spytała, kiedy zauważyła, że trzymam nieruchomo widelec.

– Wyrażam w ten sposób radość, że panią widzę.

– Dziękuję. Ja też się cieszę.

– Proszę mi powiedzieć, ci panowie przy tamtym stoliku, z którymi pani z takim zapalem się całowała (Nie całowałam się, tylko pocałowałam, pana zresztą też)... Tak, mnie też i chociaż bez zapalu (Nieprawda! Z zapalem!), poczułem się wyróżniony... Ci panowie to kto?

– Moi przyjaciele. Chętnie pijemy razem kawę.

– Oho, to tych kaw musi pani sporo konsumować. Jak na to reaguje serce?

– Czasem za mocno bije.

– Zależy przy kim?

Przyjrzała mi się.

– Umie mistrz być złośliwy.

– Nie chciałem, przepraszam. Ten wysoki falistowłosy blondyn to kto?

– Znany grafik. Maluje też. Przystojny, prawda?

Jakby się domagała: przyznaj, że przystojny, to się nim zajmę.

– Nie znam się na męskiej urodzie – odpowiedziałem.

– To Migot. Mateusz. Tak podpisuje obrazy.

Padło słowo „fascynujący” – nie wiem, czy chodziło o malarstwo, czy o mężczyznę. Ten obok, dowiedziałem się, to pisarz, ktoś z powodzeniem, także w Stanach. Byłem w Greenwich na jego wieczorze autorskim. To ją cieszy. Prawdziwy przyjaciel. Mistrz.

– Urodzaj na mistrzów w tej Warszawie. A ten pan, na którego rzuciła się pani z pocałunkiem?

– Ach, ten... Przyjaciel. Emerytowany choreograf. Żeby nie było niedomowień: gej.

– Nie widziałem w jego twarzy wstrętu.

– Że całuje go kobieta? My się kochamy.

Domyślałem się, że wpatrzony w niego łysy chudzielec to partner. Jest podenerwowany, bo Choreograf najwyraźniej zafascynowany jest Pisarzem ze Stanów. A może malarzem Mateuszem. Rozśmieszyło ją to. Jeszcze parę informacji i nagle nieoczekiwane pytanie:

– Lubi pan jeść? – Zajadała szpinak z frytkami. Według receptury: chips to everything. – Bo ja bardzo.

Młodość, pomyślałem. Zmysłowa radość życia. Odpowiedziałem ostrożnie:

– Nie jestem niejadkiem. Ale w moim wieku trzeba uważać.

Ona nie musiała. Była cudownie zgrabna. Znowu bluzka ze zmarszczeniami ukrywająca piersi. Czy ona w ogóle ma jakieś cycki? Czuję, że to nie ma znaczenia – jestem zakochany w tej pani w każdej jej postaci – z piersiami czy bez. Zaskoczony byłem tą myślą: „zakochany”, Boże, co się ze mną dzieje.

– Czy wie pani – spytałem – co Fellini powiedział o kobietach, które lubią jeść?

– Domyślam się – odpowiedziała. Podniosła na mnie oczy. – A pańskie doświadczenie co mówi?

– Coś zbliżonego.

– Zdaje się, że ma pan spore doświadczenie.

– Mam swoje lata, więc coś się mogło nagromadzić.

– Udaje pan skromnisia. A naprawdę...

– Nie udaję. Moje doświadczenie podpowiada mi jedno: że nie należy ufać doświadczeniu. Nie w tych sprawach.

Oplotła mnie zielonym spojrzeniem i powiedziała:

– Cieszę się, że znalazł pan dla mnie trochę czasu.

Postanowiłem, że będę powściągliwy.

– Zawsze do usług – mruknąłem przez nos, tak jak w Indianapolis. – W Moskwie powiadano: rad starat'sja.

Wyjęła z torebki moją książkę.

– Proszę, niech pan mi coś tu wpisze. Coś miłego.

Obracałem książkę w rękę, zerknąłem na fotografię na tylnej stronie obwoluty – nie byłem zachwycony. Przypomniałem sobie, że powiedziała: „lepiej pan wygląda niż na zdjęciu” – i pomyślałem: jednak to do niej dotarło, nie jestem kimś obcym... Może to nie koniec, może się jeszcze zobaczymy.

- Co pani napisać? – spytałem. – Może pani podyktuje?
- No wie pan...
- „Matyldzie P...”. Chyba nie powinno tu być „pani”? – Kiwnęła głową. Powiniennem napisać „zauroczony” – ale nie, nie mogę, zepsuję wszystko, wystraszy się i więcej nie zechce się spotkać. – „...w nadziei, że jeszcze nieraz ją zobaczę”. Można tak?
- Bardzo to pochlebne. Jeśli to nie jest kurtuazja. Nawet jeśli jest. Ja też liczę na to, że jeszcze pana zobaczę. – I nagle: – Dużo o panu wiem.
- Chyba się pani zdaje.
- Słowo. – Ze śmiechem. – Wyszukałam pana w internecie. Wiem, że jest pan raz rozwiedziony. Że ma pan dorosłego syna. I żonę Uzbeczkę. Widzi pan, nic się nie ukryje.
- Wielki Brat czuwa – zauważyłem, niezadowolony.
- Żona Uzbeczka – to bardzo oryginalne. Jak pan na to wpadł?
- Podczas stypendium naukowego w Moskwie.
- Zakochał się pan?
- Byłem już wolny. To przyśpieszyło sprawę. Możliwe, że potrzebowałem pocieszycielki. Mirchon wspaniale w to weszła. Są takie sytuacje w życiu mężczyzny...
- W życiu kobiety też.
- Nigdy nie byłem kobietą, ale wierzę pani.
- Pocieszycielki chętnie się zlatują. Jak ptactwo na żer. – Mówiła jak kobieta, która czegoś doświadczyła. – Czy to ciekawe być mężem Uzbeczki? Jaka ona jest?
- Kobieta. – To było zamiast odpowiedzi. – Amerykanka.
- Już?
- Tak, już. Ona bardzo chce być Amerykanką.
- Nie musiałem wszystkiego wyjaśniać. Usłyszałem: „Rozumiem”. Dwoje inteligentnych ludzi, pomyślałem, pochlebiając nam obojgu. Coś jeszcze ją zaciekało:
- Ale chyba jest w niej jakieś przywiązanie do muzułmańskiej tradycji?
- Na razie to wygląda tak, że jeśli coś jest, to na zasadzie sprzeciwu. Ma obsesję na punkcie swojej wolności.
- Chyba pan nie chce jej niewolić?
- Nie, oczywiście. Ale wolałbym, żeby... Kilka tygodni temu doprowadziła mnie do wybuchu.
- O, potrafi pan! I co pan zrobił?

– Wyszedłem do kuchni i zacząłem tłuć talerze.
– Mistrzu! Pan!... I co ona na to? Też tłuć?
– Tłuć samotnie, a potem pozbierałem odłamki i wyniosłem do śmieci.

– Ale przecież brakło talerzy! Nie zapytała, gdzie się podziały?

– Ona nigdy nie interesowała się tym, co się dzieje w kuchni. Nie zauważyła braku talerzy. Po co tłuć, jeśli to jest bez efektu?

Pani Matylda, prawie się krztusząc ze śmiechu, pożałowała mnie.

– I wszystko na nic.

– Na nic.

Ona, spoglądając na mnie z ukosa:

– Opowie mi pan o swoim pierwszym małżeństwie?

– Nie. – Uznałem, że zaprzeczenie jest zbyt opryskliwe, postanowiłem je złagodzić. – A dlaczego pani pyta?

Spochmurniała. I to dosłownie: jej różowa cera wyraźnie poszarzała.

– Bo ja też mam problemy w małżeństwie. Chyba się rozwiedziemy. Właściwie to prawie uzgodnione – opowiadała, przygryzając wargę, którą strasznie mi się chciało całować. – Zostaniemy przyjaciółmi, tak sobie przynajmniej obiecujemy. Zresztą, nie wiem, może to się jeszcze naprawi. Jestem w rozterce. Mamy dziesięcioletnią córkę, Anulkę, bardzo ją kochamy, dla mnie to kumpel, proszę mi wierzyć, partnerka, doprawdy.

– No to troszkę o sobie opowiem, należy się pani. To ona, Gladys, zdecydowała o rozwodzie. Nie widziała przyszłości w pożyciu z profesorem literaturoznawcą – i to niemodnym. Ani strukturalista, ani postmodernista, ani relatywista, ani... Mam wyliczać?

Uśmiech.

– Wystarczy. Za mało pan zarabiał?

– Zdarzało mi się i to słyszeć. Ale myślę, że zdecydowała różnica zainteresowań. Pasjonowało ją co innego niż mnie.

– Co?

– Życie.

Znowu nie było potrzeby komentarza. Jednak spytała:

– A pana ono nie pasjonuje?

– Pasjonuje. Ale inaczej. Musiałem jej się wydać nudny.

– Pan, nudny? Pan jest szalenie interesujący. (Miła i dobrze wychowana). Studenci byli bardzo zadowoleni. Nie potrafił pan dla niej stać się zabawny?

Na chwilę wszedłem w siebie: jaki właściwie jestem? Czy pani redaktor też się wydam nudny? Kiedy to się objawi?

– Może potrafiłbym, nie wiem, ale widać nie bardzo mi się chciało. To chyba zależy od kobiety. – Widziałem, że ją to zastanowiło. Kojarzyła z własnym życiem? Uznała to za wyzwanie? Mówiłem: – Myślę, że miłość – kobieta – może ujawnić w mężczyźnie rezerwy, o które on sam siebie nie podejrzewał.

Ona:

– Wcale nie jest pan nudny! Świetnie mi się z panem rozmawia. Proszę mi wybaczyć, ale myślę, że ta pani...

– Mniejsza – przerwałem jej. – Nie znęcajmy się nad nią. Prowadzi takie życie, do jakiego dążyła. Z tym że dzisiaj jest prawie o trzydzieści lat starsza, tej możliwości nie brała pod uwagę. To teraz pani kolej.

– Na co?

– Dlaczego dwoje przyzwoitych, dobrze sytuowanych ludzi chce się rozwieść.

– Bo nie mogą się znieść... Będąc razem, oczywiście.

– Bo ona lubi spać przy otwartym oknie, a on przy zamkniętym? – zaryzykowałem.

– Coś w tym rodzaju – na to ona.

– Bo on lubi kiszzone ogórki, a ona małosolne?

– Albo odwrotnie. – Teraz kontynuowała ona. – Bo ona lubi jasne kolory, a on ciemne. Bo ona czyta literaturę piękną, a on, inżynier, uważa jej czytanie za lenistwo i uznaje tylko literaturę fachową.

– A różnica w opcjach politycznych? – spytałem.

– Bez znaczenia.

– Tak, ma pani rację. Zawsze można dojść do ugody... Chwilowej. A seks? – spytałem.

Powiedziała stanowczo:

– Nie będziemy tego rozpatrywać.

A przyjaciele od kawy? Czy to też bez znaczenia? Ale o to nie zapytałem.

– No tośmy sobie powiedzieli dużo – zaśmiała się. – Poznał pan język uzbecki? – spytała nagle.

– Men azmás uzbekczá gapyramán.

– Co to znaczy?

– Że mówię trochę po uzbecku.

– A umie pan powiedzieć po uzbecku: „Ja ciebie Kocham”?

– Umiałbym.

– Ciekawe, jak to brzmi. Nigdy nie słyszałam słowa po uzbecku.

Powiem jej. Nie byłem pewny, czy ją Kocham, ale byłem pewny, że jestem zakochany.

– Za chwilę – powiedziałem. – Muszę sobie przypomnieć – udawałem. – Mam! „Men sen jachszy kuraman”.

– „Men sen...” – powtórzyła za mną.

– Dosłownie to znaczy: „Ja ciebie dobrze widzę”.

– „Dobrze widzę”? Zamiast naszego „Kocham”? Ładne.

– Macie w polszczyźnie coś pokrewnego, ale przez odwrotność. „Ja ciebie nienawidzę” to przecież znaczy „źle cię widzę”.

– Podziwiam wiedzę, panie profesorze.

– Uczciwie studiowałem. To powiem coś jeszcze po uzbecku. Pani Matyldo, „uchlajmyz blan”. Wie pani, co to znaczy?

– Wiem, jakieś świństwo.

– Tylko propozycja.

Uśmiechnęła się.

– Wiedziała, że świństwo. – Powtórzyła: – Uchlajmyz blan. Podoba mi się. Dźwiękowo. – Znowu się zaśmiała. – Jak propozycja, żeby się uchlać. – Przeskoczyła na inny temat: – Myśli pan o tym swoim Leninie?

– Sporadycznie. Mam tu i inne sprawy.

Myślę też o pani, chciało mi się powiedzieć, ale się powstrzymałem, nie muszę się ze wszystkiego spowiadać.

– Dowiedzieć się, kto zabił przyjaciela? – odgadywała.

– Choćby. Nie wiem dlaczego – zwiergam się – ale te sprawy mi się jakoś łączą.

– Lenin z zamordowanym przyjacielem?

– Och, nie dosłownie. Wciąż wracam do tego okresu. Wciąż tak: dlaczego nam się to nie udało?

– Nam?

– No tak, nam. Bo widzi pani, gdyby się udało... Wiem, co pani myśli. Że tylko w Indianapolis może się znaleźć ktoś taki naiwny. My, Polacy, wiemy swoje. Nas nikt na piękne idee nie nabierze. Ale czy nie sądzi pani, że czasem lepiej zachować naiwność?

– To niech pan o tym pisze.

– Po co?

– Bo czuję, że ma pan coś w zanadrzu. Dzieło pańskiego życia.
Zacząłem się śmiać.

– Dzieło życia! Och, pani Matylde... No dobrze, coś tam nagryzmolić można. (Dobry pretekst, żeby spotykać się z nią). Potrzebny będzie pot i znój. Ale kogo to interesuje?

– Jak to kogo? Mnie!

– Ale kto to wyda?

– Wydawnictwo, z którym współpracuję. „Rakieta”. Namówię ich. Niech pan pisze! To będzie hit!

– Akurat.

– Mateusz zrobi okładkę.

– Przystojny.

– Znowu pan jest złośliwy. Więc jak? Weźmie się pan do roboty?

– Musimy to omówić – podsunąłem chytrze.

– Jutro? Pojutrze? O jedenastej w „Ambasadorze”. Uchlajmyz blan. Szkoda, że nie mogę się uchlać, prowadzę samochód. Stawi się pan?

– Proszę mi to zapisać.

Wzięła serwetkę i zapisała: „Ambasador. (Data) 11.00. Matylde”. Rzuciła mi jeszcze, że musi lecieć, Anulka czeka w szkole, żeby ją zawiozła do domu.

– Więc pojutrze! – wykrzyknęła i pocałowała mnie w policzek. Niech mnie diabli, jeśli to nie był soczysty, wysmakowany całus.

Musiałem mieć głupią minę, głupią ze szczęścia, kiedy złożyłem we czworo zapisaną przez nią serwetkę i schowałem do kieszeni. To już druga.

5

Jestem z nimi i ona, Matylda, wcale mi w tym nie przeszkadza, przeciwnie, niemal nakazuje – „proszę się skupić” – ależ, pani Matyldo, to żaden wysiłek, kiedy ma się notatki, wciąż je sporządzam, te notatki to mój prywatny „wehikuł czasu”. Obsiedli długi stół w redakcji „Wsiemirnej” („Światowa Literatura”), pośrodku króluje samowar, herbata będzie cienka, ale prawdziwa, wciskam się między nich, obok mnie Nina, mam szczęście do uroczych młodych kobiet, ona szepcze mi coś do ucha, pośpiesznie, póki nie pojawi się On, gospodarz, naczelny założonego przez siebie wydawnictwa, do którego zaprosił świetnych znawców, erudytów, jest sam Aleksander Błok, jest Gumilow, Czukowski, Wiktor Szkłowski, Chodasiewicz. Nina (która na razie jest tu intruzem, tak samo jak ja) szepcze: Bo pan nie wie, przybyszu stamtąd, kim dla nas jest Maksym Gorki („M. Gorki”, przypominam sobie z właściwą mi pedanterią, jest przecież taki list z 1912 roku, właściwie rewelacja, bo A.M. Pieszkow złości się w nim na tego „Maksyma”, skąd oni go wzięli, zawsze był tylko „M. Gorki” – ale nic nie pomogło, tak już zostało, „Maksym” i już – opinia publiczna okazała się silniejsza niż wola autora). Pan myśli, że korzemy się przed nim, bo światowa sława? Bo Stanisławski dopominał się od niego sztuk? Wie pan, co raz się zdarzyło w Neapolu? Gorki spóźnił się do opery z Andriejewą, Marią Fiodorową, wtedy był już z nią, ta piękna pani u szczytu kariery aktorskiej rzuciła dla niego teatr i rodzinę, niedawno byli razem w Ameryce, to był chyba rok tysiąc dziewięćset piąty, tam pisał *Matkę*, żeby dochody przekazać partii (do której nie należał), wybuchł skandal, prasa zaczęła ujadać, wyproszono ich z hotelu, bo nie mieli ślubu, więc teraz, w Neapolu, wchodzą cichcem do łoży, trwa uwertura. I wie pan, co się dzieje? Nagle w sali zapalono światła, muzyka się urwała, dyrygent zawołał: – Witamy, signora e signor Gorki! Publiczność poderwała się z miejsc: Evviva Gorki! Niech żyje rewolucja rosyjska! Precz z carem! Dyrygent podniósł batutę i orkiestra zagrała... *Marsylianke*. Włosi przerwali uwerturę, żeby powitać pisarza z Rosji! Pan sobie wyobraża? Ale

nie o to idzie. Ani nawet o to, że w tysiąc dziewięćset drugim roku, jako młody jeszcze pisarz, został wybrany do Akademii; i że wtedy interweniował sam car Mikołaj Drugi, raczył wyrazić się: „To więcej niż oryginalne” i rozkazał ministrowi oświaty: „Polecam panu ogłosić, że z mojego rozkazu wybór Gorkiego uchyla się”; Aleksy Maksymowicz nie został akademikiem, ale – na znak protestu – podali się do dymisji Korolenko i Czechow. Takie tuzy! Ale nie o to chodzi. Ani nawet o pomoc, którą on dla nas organizuje. „Gdyby nie Gorki, umarlibyśmy z głodu” – powie po latach, w Londynie, Anna Achmatowa, i to pomimo że jej przyjaciółka Nadia, wdowa po Osipie Mandelsztamie, nie mogła mu nigdy wybaczyć skreślonej pary spodni. Powiem panu, o co idzie w naszym stosunku do Gorkiego. O Tołstoja i Czechowa!

Słuchaliśmy człowieka, który z nimi rozmawiał, który u nich bywał. Dla nas – coś fantastycznego! Młody autor, którego ci mocarze traktowali jak kolegę. Czytali go, sprzeczały się z nim, krytykowali, ale i chwalili. A on przypatrywał im się pilnie, reporterskim okiem, przenikał ich, notował, utrwał. Słuchamy jego opowieści, słyszymy w nich Lwa Tołstoja (co prawda mówiącego z akcentem z Niżnego Nowogrodu, nadwołżańskim, Aleksy Maksymowicz był „ókałużczy”, to znaczy nieakcentowane „o” nie zmieniało się w „a”, i kiedy czytał aktorom *Na dnie* – wielki Kaczałow uważał, że czytał nadzwyczajnie – każda postać mówiła jego głosem, jego akcentem i każda wymachiwała przed nosem pięścią). Boże, jak mu zazdrościłam! Spacerować z Tołstojem, siedzieć obok niego na ławeczce (jest zdjęcie z Jałty). A on, młody autor, choć już sławny, potrafił zachować trzeźwość, nie stracił głowy. „Jego zainteresowanie mną – zwierzył nam się, to znaczy odczytał to ze swoich ówczesnych notatek – jest zainteresowaniem etnograficznym. Jestem w jego oczach osobą z mało mu znanego plemienia. Wot i wsio”. Ale kiedyś go poprosił, Tołstoj jego, młodzieniaszka: „Niech pan coś opowie, Aleksy Maksymowiczu, coś ze swojego dzieciństwa, pan tak pięknie opowiada”. Czy wie pan, co Tołstoj powiedział Aloszy o jego pisarstwie? On bez ogródek nam to przekazał. Pewnie same pochlebstwa, pomyślałem, bo nie miałem jeszcze notatek. Na tym urywam. Powiedzmy, że pokazał się Gorki. Przeprosił za spóźnienie (nigdy się nie spóźniał). Nina szepnęła:

– Opowiem panu kiedy indziej.

Zadzwońnię do pana Antoniego Papierka, niegdyś pułkownika kontrwywiadu. Numer znałem już na pamięć, bo próbowałem nieraz i nikt

nie odbierał. Tym razem ktoś się ulitował i podniósł słuchawkę, usłyszałem wysoki, zdarty głos, nie byłem pewny, czy mężczyzna.

– Czy można mówić z panem Papierkiem? – spytałem.

– Którym? – odpowiedziała ta osoba. – Tu mamy dużo Papierków. – Krótki śmiech. – Całe biuro.

– Z panem Antonim. Pułkownikiem.

– To ja. (Więc on! Nie konspiruje się). A z kim mam przyjemność?

– Byłem przyjacielem pana Wiktora Blaua. Nie wiem, czy panu moje nazwisko coś powie.

– Ten Amerykanin, tak? Pan Thompson?

– O, pan pamięta... – Więcej w moich słowach było pochlebstwa niż zdziwienia.

– W pewnych sprawach mam wciąż niezłą pamięć. A o co chodzi?

– Czy można się spotkać? – spytałem.

– Pogadać, tak?

– Pogadać.

– O denacie?

– O nim.

– Za ile? – padło pytanie.

– Co za ile? – Teraz naprawdę się zdziwiłem.

– Za rozmowę. Ja za darmo nie gadam. Pan dla gazety?

– Nie, ze względów osobistych. Jako przyjaciel.

– Przyjaciel. No to... Zaraz. – Trwało tam chyba obliczanie. – Dostanie pan rabat. Sto dolców, może być?

Niespodzianka, trudno. Sto dolarów, przeliczyłem w myśli – nie, to nie za dużo.

– All right – odezwałem się.

– Nareszcie mówi pan, jak należy. Od gazeciarzy więcej bym zdarł. Chcą mieć materiał – niech płacą, zgadza się?

– To racjonalne.

– No to okej. Niech pan łapie mnie w niedzielę na działce. Ale po nabożeństwie. Coś nie tak?

– Nie, dlaczego? Wszystko w porządku. – Nie przyznałem się, że trochę mnie to zaskoczyło. – Po nabożeństwie. Stawię się, gdzie trzeba.

Podał mi adres i wytłumaczył, jak trafić, i zastrzegł się:

– Żadnych fotografii i żadnego nagrywania. Zrozumieliśmy się? No to okej.

Opowiem jej o Gorkim i o Tołstoj, obiecywałem sobie, szykując się do następnego spotkania z nią. Krawat czy bez krawata? Krawat przy rozpiętej koszuli. Niebieska. Wygłupiasz się, Jeff, wygłupiasz się, „mistrzu”, nie masz żadnych szans, krawat przy rozpiętej koszuli, ta sama marynarka, elegancka niedbałość. Zobacysz ją, Jeff, ukaże się w progu kawiarni, dostrzeże cię i obdarzy tym promiennym uśmiechem, w którym się zakochałeś. Ostrożnie z Gorkim, bo ją zanudzisz. Oni tam, na Krymie, w Jałcie, widywali się prawie codziennie – Tołstoj, Czechow i ten młody, zadziorny Gorki – już sławny, już bożyszczę nawet, zwłaszcza młodzieży. Czechow „donosił” mu na Tołstoja: „Jest dla pana nierówny, bo jest zazdrosny. Nie o sławę, skądże znowu – Czechow śmiał się cichutko. – O Sulera. (Sulerzycki był to ich wspólny przyjaciel, Tołstoja i Gorkiego, a mieszkać wolał właśnie u Aloszy). Że on lubi pana więcej niż jego. To mu nie wyjdzie na dobre, Sulerowi, Gorki to zły człowiek – tak do mnie mówił, Aleksy Maksymowiczu, ale on wcale tak nie myśli. Stary jest kapryśny”.

Alosza o tym wie. Pilnie notuje sarkania Tołstoja. Nie oszczędza w tych notatkach siebie. To zaszczytne, myśli, że Tołstoj ze mną się droczy, że ma mi coś za złe, zaszczytne, że ja go w ogóle obchodzę, w dobrym i złym. „Gdyby był rybą – zanotował młody pisarz – pływałby wyłącznie w oceanie, nie zapuszczając się do mórz wewnętrznych...” Krytykował Gorkiego: „Słowami posługuje się pan nieumiejętnie. Wszyscy chłopci mówią u pana bardzo mądrze. A w życiu mówią głupio, nieskładnie... Chłop nie chce ujawniać swojego rozumu, woli uchodzić za prostaczka”. „I wszędzie widać u pana ten koguci impet – sarkał stary pisarz, a Gorki po latach z lubością, dumą nawet to powtarzał: krytykował, więc czytał, zastanawiał się – wszystko pan atakuje. Poza tym chciałby pan zamalować wszystkie dziury i pęknięcia własną farbą”. To prawda, myślał Gorki, i wcale nie przyjmuję tego jako zarzut. I o to gniewał się na niego twórca, który wkrótce zostanie wyklęty przez synod jako heretyk, twórca, co wielbiąc naukę Chrystusa, odrzuca jego boskość, odrzuca dogmaty o Trójcy Świętej i zmartwychwstaniu i głosi, że cerkiew szerzy pogaństwo. To wielki pan, myślał Alosza, przypatrując mu się, wielki pan, który o swoim hrabiostwie nigdy nie zapominał – („chłopska broda, grube, niezwykle jednak ręce – zanotował młody pisarz – prosta odzież i cały ten demokratyzm oszukiwały wielu...”) – i on mnie poucza, co to jest chłop! (Chociaż nikt tak wspaniałych opowiadań „chłopskich” nie napisał – no, chyba że Czechow, oczywiście Czechow, *W kotlinie*, *Chłopi*, *Baby* i inne

cudowności). Trzeba uszanować w nim odwagę Buntownika – tak, od wielkiej litery należy o nim pisać – pamiętam, wspominał Gorki, a oni, przy tym dużym stole w redakcji „Wsiemirnej” siedzieli zasłuchani, pamiętam, była Wielkanoc, noc Zmartwychwstania, Fiodor zbliżył się do Lwa Tołstoja – Fiodor Szalapin, jak się domyślacie – zbliżył się do Tołstoja, „Chrystus zmartwychwstał, Lwie Nikołajewiczu”, pisarz pozwolił się wyczuwać, a potem mówi surowo: „Chrystus nie zmartwychwstał, Fiodorze Iwanowiczu”. On nie pobleżał, nie szedł na ustępstwa ze względów towarzyskich. (Niełatwo by mi z nim było, bo ja, właśnie z tych względów, bywam ustępliwy). Jezusem się zachwycił, ale nie wydaje mi się, by go kochał. I jakby się o niego bał: pojawi się Jezus na rosyjskiej wsi, to dziewczuchy go wyśmieją.

Ach, nieraz błądził ze swoimi poglądami po zarośniętych chwastami ścieżkach, na przykład o Dostojewskim (którego Gorki zwalczał, „to nasz zły geniusz!” – pisał po upadku rewolucji 1905 roku), otóż o tym Dostojewskim, antysemicie i polakożercy, Tołstoj mówił z lekceważeniem: „Miał we krwi coś żydowskiego. Był zapatrzonej w siebie, podejrzliwy, trudny i nieszczęśliwy. Dziwne, że jest tak czytany, nie rozumiem dlaczego! Przecież to ciężkie i bezużyteczne...”. Ale krytykował też Szekspira i Goethego. Bo na tych wyżynach rozgrywała się rywalizacja. Kiedyś, w Jasnej Polanie, stary pisarz przeszedł obok komnaty, w której, przy dużej lampie, odbywało się głośne czytanie. Stał w drzwiach i słuchał. W pewnej chwili odezwał się: „Co to jest? To znakomite”. *Wojna i pokój* – usłyszał. Pokiwał głową. „Bez fałszywej skromności – powiedział – to jak *Iliada*”. I nikt nie uważał, że przesadził. Chwalił przed Gorkim język Leskowa. „To dziwne – mówił – że pan go lubi, pan jest jakiś nierosyjski, myśli pan ma nierosyjskie. – I zaraz prawie przeprosił. – Nie przykro panu, że tak mówię?” Nie, pomyślał Gorki, to nawet pochlebne. Bo jeśli „rosyjskie myśli” to „bogoiskatelstwo”, „uproszczenie”, kult cierpienia, zbawienie poprzez samotne tyranie na roli, życie sobie samemu butów i w ogóle rękodzielnictwo, to on ma rację, jestem nierosyjski, nie mam „rosyjskich myśli”, buntuję się przeciw nim. Był zwolennikiem pozytywizmu, ten nasz Gorki, fanatykiem oświaty i kultury, europejskiej kultury, nienawidził gadania o cierpiętnictwie, o misji, którą świat słowiański (to znaczy prawosławie) winien jest Europie. No dobrze, niech sobie stary pisarz gada, on sam przecież swoim zwolennikom, wyznawcom właściwie, nie ufa, najważniejsze, że czyta utwory, które M. Gorki sygnuje,

umawia się z nim, ciągnie go do siebie, opowiada o żonie, kobietach. Zapytuje: „Dużo miał pan kobiet?”. Aleksy Maksymowicz się zmieszał, niechętnie się z takich spraw zwierza. A stary pisarz: „Ja byłem straszliwym jebaką”. I dalej na ten temat. O dziewczynach wiejskich. Lubią, żeby je dotykać, mają wrażliwe ciała. Teraz, myśli Gorki, kiedy nie jest już taki jurny, głosi wstrzemięźliwość płciową, napisał *Sonatę Kreutzerowską*, coś bez sensu.

Krytykował Szekspira – „niedopracowane”, „niemożliwe”, „nieludzkie” – za to chwalił kogo? Gleba Uspienskiego. Ten nie szybował w tak wysokiej sferze (nie rywal) i wobec niego pozwalał sobie na pobłażanie. Co prawda nie zawsze, raz chwalił, raz ganił. „Ja mu to wytknąłem – opowiadał Gorkiemu Czechow – i wie pan, co on na to? No tak, krytykuję, bo pisał źle. Jakiż on ma język? Więcej znaków pisarskich niż słów. Talent to miłość, powiedział mi wtedy stary czarodziej. Kto kocha, mówił, ten staje się utalentowany”. Gorki spojrzął na swoich współpracowników przy stole i spytał, mrużąc chytrze jedno oko: „Co państwo na to? «Berberini» – zwrócił się do młodziutkiej poetki – co pani na to?” „Panu powtórzył to Czechow?”. „Czechow”. Gorki zdusił niedopałek i sięgnął po kolejnego papierosa. „Ja mu powiedziałem: – Antoni Pawłowiczu, to można odwrócić. Popatrz na zakochanych – wszyscy utalentowani!”

Gorki zauważył, że Czukowski pilnie notuje. Zbliżył się do niego i gniewnie powiedział: – Notuje pan? Po co? Jeśli będzie trzeba, sam to jakoś napiszę. – Czukowski poczerwieniał, coś bąknął: – Przepraszam, myślałem... Epizod zamknięty.

– „Talent to miłość” – zacytowałem Tołstoja, kiedy siedząc z panią Matyldą w kawiarni, popijaliśmy stocka, głównie dlatego, że występuje w pewnej powieści, nad którą ona niedawno płakała. Płakała dlatego, że poruszyła w niej przeżycia, już odległe, ale które za sprawą tej książki nagle wróciły. – Czy to do pani trafia? – spytałem.

– Na temat talentu się nie wypowiadam. Ja się mogę przed talentami tylko korzyć.

– Sainte-Beuve mówił o miłości inaczej. „Miłość to łyzy – tak powiedział. – Płaczesz, a więc kochasz”.

– Kto tak powiedział? – przepytowała.

– Sainte-Beuve. Słyszała pani o nim?

Pokręciła głową.

– Nie.

Pokolenie, które nie zna literatury francuskiej, pomyślałem. I to przez nas, Amerykanów.

– Mogę pani pożyczyć romans, w którym on jest wspomniany. *The Tracker of Affections* Sydneya Simmonsa.

– „Tropiciel uczuć” – przetłumaczyła. – Może ja to przełożę?

– Autor na pewno będzie zachwycony. Widziała pani kiedyś męskie łyży?

– Z powodu miłości? – Uniosła wzrok do góry. – Nie przypominam sobie.

– Ale to nie znaczy, że nie kochał – pocieszyłem ją.

Roześmiała się.

– Ależ ja nie mam wątpliwości!

Jestem zazdrosny, pomyślałem. Zazdrosny o jej przeszłość. O wszystkich tych panów, z którymi była szczęśliwa. I o tych, z którymi jest szczęśliwa. Przychodzi zawsze roześmiana, radosna – myślę o tym bynajmniej nieucieszony, myślę z niepokojem, bydlę ze mnie – to jej zmysły są zadowolone, roztańczone, upojone kankanem... Jeff, co się z tobą dzieje? Stuknij się w głowę! Ona tu siedzi obok ciebie i jej radosne odbieranie świata promieniuje i na ciebie, raz po raz dotyka palcami twojej dłoni, jakby to było zupełnie naturalne, pije cappuccino („wspaniałe” – rozkoszuje się i mówi to kelnerce – „nektar, proszę pani”) i nagle zapragnęła herbaty, twojej herbaty, „można?” – pyta i nie czekając na przyzwolenie, pije herbatę z twojej filiżanki, jest w tym bliskość, intymność, zaufanie. Wzruszam się (całkiem niepotrzebnie).

Miała na sobie dzisiaj nie spodnie, ale suknię, jasny beż, w wielkie kolorowe kwiaty – kupiła materiał w Hiszpanii, jak się dowiedziałem – kobieta w sukni, pani, ze wszystkim, co zawiera to słowo. Na różowości dekoltu złota nitka naszyjnika, a pośrodku rozetka ze złotych nitek poplątanych w jakąś abstrakcyjną kompozycję. Różowość nad obłością piersi obsypana piegami. Miała piersi! Prawy cycuszek zerknął sprężystą krągłością spomiędzy wycięcia dekoltu. Pokazałem na wisiorek palcem (tak jak to przyjęte u nas w Indianapolis, chociaż nie zdajemy sobie z tego nawyku sprawy) i powiedziałem:

– Bardzo to piękne.

Przyjęła to z wyraźnym zadowoleniem.

– Podoba się panu?

– Bardzo. – Zrobiłem owalny ruch dłonią, żeby zrozumiała, że idzie o ten fragment ciała delikatnie obsypany piegami. – I to dookoła też. Bardzo.

– Dziękuję.

Wydało mi się, że leciutko się zarumieniła. Wyjęła z aktówki zadrukowane kartki.

– Proszę sobie to przeczytać – powiedziała.

– Co to jest?

– Umowa.

– Dla mnie? – zdziwiłem się.

– Z wydawnictwem, dla którego pracuję. Widzi pan? Postarałam się dla pana!

Miałem wyrazić wdzięczność, ale powiedziałem tylko:

– Ale ja nie jestem jeszcze gotów...

– Będzie pan. – Mówiła z uśmiechem. – Weźmie się pan do roboty i mamy hit. Niech pan to przejrzy.

Przeglądałam umowę, a ona dopija moją herbatę. Mam napisać książkę pod roboczym tytułem „Dzieło”, do dnia takiego i takiego. Wydawnictwo RAKIETA (dynamiczna nazwa, myślę sobie) „w dalszym ciągu zwane licencjobiorcą”... no i dalej wszystko, co ja mam zrobić. Trochę mnie to rozbawiło: według tej umowy ja, przyszły autor, mam być całkowicie ubezwłasnowolniony.

– Ma pan zastrzeżenia? – domyśliła się pani Matylda.

– Z panią jestem gotów podpisać każdą umowę.

Zmartwiła się.

– Nie podoba się panu?

– Najważniejsze, żeby była książka.

Skreśliłem paragraf o zaliczce, a potem podpisałem obie umowy i zachowałem jedną dla siebie.

– Trzeba to opić – powiedziałem.

Nie mogła więcej pić: na chodniku przed kawiarnią czekał jej czerwony peugeot 206, którym miała pomknąć po Anulkę. Ale pan może pić, zachęcała. Obiecała zamoczyć usta. Chyba mi poszło trochę do głowy, bo ośmieliłem się:

– To gdzie będziemy pisać?

– Jak to „będziemy”? – zdziwiła się.

– Przecież to ma być po polsku, czyż nie? Ja będę myślał po swojemu, ale ktoś to musi sformułować po polsku. Chyba że miałaby pani dla mnie jakąś przystojną koleżankę.

Pogroziła mi palcem.

– O nie, mowy nie ma! Będzie mi bardzo miło w tym uczestniczyć. Propozycja zaszczytna.

– Spróbujmy coś omówić. Kto jest narratorem „Dzieła”?

– Pan. Nie wyobrażam sobie innego.

Ja sobie wyobrażałem – czemu nie? Jakiś Rosjanin. Może Polak? Nie, nie znam aż tak Rosjan. Ani Polaków. Więc będę ja, Jeff.

– Narrator w kimś się kocha – mówię. – Ale w kim?

Roześmiała się:

– W redaktorce!

Westchnąłem:

– To niebezpieczne.

– Dla kogo?

– Dla niej. Co na to ludzie powiedzą? Utożsamia ją z panią.

– Niech sobie utożsamiają. Ale nie za bardzo. Można zmylić tropy. Niech pan coś wymyśli.

(Nic nie wymyślę. Ty będziesz najlepsza. I chcę, żebyś to była ty).

– Chyba to nie jest zbyt dobrze – powiedziałem, prawie ze smutkiem – kiedy pani redaktorka jest uroczą kobietą.

Nie podziękowała wprost. Zrobiła to inaczej:

– To bardzo dobrze, jeśli autor jest miłym mężczyzną.

– Kiedy zaczynamy? – spytałem.

Zajrzała do swojego grubego kalendarza.

– Zawiadomię pana. Jutro lecę do Włoch.

– Narty w Alpach?

– Nie, Wenecja. Służbowo – dodała, jakby takie wyjaśnienie było potrzebne.

Nie jedzie sama, pomyślałem i poczułem znajome ssanie w żołądku. Nie pokazałem po sobie nic. Bo u nas, w Indianapolis... Chyba po angielsku, mocno przez nos, odezwałem się:

– Niech pani wstąpi do Sorrento.

Zaciekawiło ją to.

– Z powodu pieśni *Wróc do Sorrento*?

– Z powodu Gorkiego. Mieszkał tam sporo lat, nad samym morzem.

Biała willa nad urwiskiem.

– Pan wszystko o nim wie.

– Nie można o człowieku wiedzieć wszystkiego. Wstąpi pani?

– To dość daleko. Nie zdążę.

– Często pani wyjeżdża za granicę?

– Dość często. Interesy, mistrzu. W tym roku byłam już w Berlinie. Czasem odwiedzam Cardiff. Służbowo.

Ma tam kogoś. Ssanie w żołądku. Ktoś. Czy to ten sam, który będzie w Wenecji? Spytałem:

– Co można robić w Cardiffie?

– Załatwiać interesy. Oglądać rugby.

– Nie nudzi to pani?

– Zawsze, kiedy tam jestem, oglądam rugby.

Zmarszczyłem się. Ona to zauważyła.

– Nie lubi pan rugby?

– Mam pęknięte żebro od amerykańskiego futbolu. To bardzo brutalny sport.

Przypatrywała się owocującej mirabelce w ogródku kawiarnianym, mówiąc:

– Bardzo męski. Jest w nim coś podniecającego. – Po chwili: – Erotycznie.

Trzydziestu osiłków pędzi na siebie i zwała się na trawnik. Kłębowski ciał. Słysząc trzask kości. Podniecający erotycznie. Jak walka byków. Mruknąłem:

– Mnie to nie podnieca.

Kiedy wstała od stolika, powiedziała z uśmiechem, tym razem przebiegłym:

– Szkoda, że pan nie jest Polakiem. – Zdziwiłem się, ona wyjaśniła: – Bo powiedziałby mi pan jakiś komplement. Polacy ich nie żałują.

– A nie przyszło pani na myśl, że takie komplementy niewiele znaczą?

– Wiem. Ale przyjemnie usłyszeć.

Staliśmy obok siebie. Mój wzrok ogarnął ją, wędrował po jej postaci (te piegi nad obłością łobuzersko zerkających piersi), poczułem przypływ pożądania, pierwszy raz to przy niej poczułem, śledziła moje spojrzenie, biegła za nim zielenią swoich oczu, już się domyślała, już wiedziała, czekała i wydawało się, że w napięciu – i chyba jakaś podniecona – czekała na słowa.

– To powiem pani coś.

– Słucham.

– Jest pani pięknie wyrzeźbiona.

Powtórzyła za mną:

– Pięknie wyrzeźbiona... Zapiszę to, można?
– To pani własność. I jeszcze coś – powiedziałem.
– Proszę.
– Dzięki pani mam o kim myśleć.
– To chyba dobrze?
– Bardzo dobrze. Przedtem życie było takie jałowe. Czytanie, wykłady, publikowanie... Czytanie, publikowanie, wykłady...
Roześmiała się.
– I to ma być jałowe życie!
– Ale od czasu tej wątróbki z cebulką nabrało smakowitości.
– Dziękuję, sir. Ja o panu też myślę. Czasem – dodała pośpiesznie.
Cmoknęła mnie w policzek i szybko odeszła – nie miała czasu do stracenia. Chyba jeszcze nie dotarła do domu, kiedy wysłałem SMS: „Jestem pod wrażeniem. Suknia piękna. Objawienie kobiecości”. Natychmiastowa odpowiedź: „Suknia – tak. A zawartość?”. Udało mi się odpowiedzieć: „Oszałamiająca”. Myślałem, że na tym się skończy, ale w pół godziny później zawibrowała SMS-em komórka: „Dziękuję za wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju towarzystwo. Całuję. Matylda”. Czy domyślała się, jak bardzo mnie to jej pisanie wzruszy? Jeff, zwariowałeś. Ona się świetnie bawi. Jutro Wenecja, plac Świętego Marka. Służbowo. Coś serio. Zapomni o tobie.

6

Nie zapomniała jednak. W dwa dni później zawibrowała komórka – na ekranie pojawiła się kopertka: masz wiadomość – jest SMS. „Całusy dla Pana z Lido. Pływam, leżę w gorącym piasku. Nade mną czysty błękit”. I podpis MATTI. Uwodzi mnie tą „Matti”, pomyślałem – uwodzi całkiem niepotrzebnie, jestem już uwiedziony. „Matti” – skądś to znam. Ach tak, Matti Jaervinen, rekordzista świata w rzucie oszczepem (76,66 m?), Finowie wybudowali wieżę olimpijską o takiej wysokości, żeby uczcić ten rzut. Matti, zgoda, niezłe skojarzenie. Nie jestem biegły w esemesowaniu, wciąż się myliłem, zanim ułożyła mi się odpowiedź: „Cieszę się za Panią. U nas tu szaro. Dziękuję za całusy. Nieśmiało i ja całuję”. Jak podpisać? „Jeff”? W Indianapolis to by oznaczało przejście na ty. Wcale nie podpisałem. Ten „czysty błękit” nad nią trochę mnie speszył, poetyzuje, pomyślałem, to nie w moim stylu – ale może w jej? Całusy, Matti – myślałem i po chwili przeważyło wzruszenie, i to do tego stopnia, że poczułem podniecenie, jakby stała obok, pięknie wyrzeźbiona, i dotykała mnie biodrem. Słowo, pomyślałem (nie pierwszy raz), słowo – najsilniejszy afrodyzjak. Leżałem obok niej w gorącym piasku i pieściłem ustami to miejsce u nasady jej piersi, które tak mi się upamiętniło, scałowywałem jej piegi.

Nie przeszkadzała mi świadomość, że naprawdę w tym gorącym piasku leży obok niej ktoś inny. Przypomniałem sobie to rugby, które miało być tak podniecające. A to zależy od tego, pomyślałem, kto siedzi na trybunie obok. Jeśli jest to jej mężczyzna – myślałem, ja, czytelnik Montaigne’a, Russella i kilku innych sceptyków – to wszystko może jej się kojarzyć erotycznie. Nawet bajka o Jasiu i Małgosi. Powiem jej to, obiecałem sobie. Powiem. Ciekawe, czy przyzna mi rację.

Jeśli jest jej tam dobrze – słońce, plaża, pływanie, caffè freddo, później jakieś muzeum, wieczorem koncert – to nie mam żadnych szans, wróci rozkochana w tamtym panu. Opowiadała o radości, jaką przeżywała na turnusie narciarskim w Alpach. Wiem: to towarzyszący jej mężczyzna (nie

wykluczam, że mąż) zaświecił słońce nad lodowcem i usypał srebrem śnieg. Z mężczyzną można konkurować – ze słońcem, z zapierającym dech zjazdem ze stoków Alp, z błękitem i gondolą – muszę przegrać. Radość, której kobieta przy tym doznaje, ten stan bliski szczęśliwości, przypisuje mężczyźnie, u którego boku to przeżywa. Wiem coś o tym, bo właśnie w ten sposób odeszła ode mnie Luiza, z górą piętnaście lat temu, byłem bardzo zakochany i raczej z wzajemnością, a jednak przewidziałem to, kiedy wybierała się do Hiszpanii na zaproszenie kuzyna swojego ojca, mówiłem: „Boję się tej twojej wycieczki, tej Alhambry, Kordoby, Grenady”, ona na to: „Dzefiątko, bez obaw”, powiedziała nawet, żegnając się ze mną na lotnisku: „Jesteś teraz taki piękny” – „piękny”, ja! to mogła powiedzieć tylko kobieta zaślepiona miłością. „Wiem, że jesteś pełen obaw – powiedziała – możesz być spokojny, to jest poważny związek, to co się dzieje między nami, nie jakiś przelotny kaprys”. I dodała: „Jesteś mi najbliższy. – Z uśmiechem: – Ta jakaś magia!” Boże, myślę, przypominając sobie jej słowa, co te kobiety potrafią nagadać! Wyrzucałem sobie wtedy swoje lęki, to, że powiedziałem „wrócisz odmieniona” – wróciła odmieniona, przez telefon oznajmiła, że postanowiła poświęcić się rodzinie, było wspaniałe powitanie, „dość tych szaleństw” i „nie mogę być podła”, wkrótce poleciała na Kretę, „z przyjaciółką”, tak mówiła, ale na małej Krecie pełno Polaków, nie dało się ukryć, była znowu z tym facetem z Hiszpanii, w jednym pokoju, i w końcu przyznała się, nawet mnie pochwaliła, z takim specjalnym śmieszkiem: „Jesteś dobrym psychologiem”. Zaraz potem: „Rozumiem twoje rozżalenie. Miałeś coś i straciłeś”. (Bo ona była magistrem psychologii i miała skłonność do zaszufiadkowania motywów, zgodnie z podręcznikową wiedzą). „Jeff – uspokajała mnie – czas wszystko łagodzi. (A jeśli czas stanie w miejscu? – pamiętam, że tak pomyślałem – stanie w miejscu i ani drgnie, co wtedy?) Popatrz – przekonywała mnie – jest ciepło, drzewa pęcznieją”. „Wiem – ja na to – będą kwiatki”. Po chwili: „Skrzywdziłam cię, zgoda. Ale czy nie przyszło ci na myśl, że skrzywdziłam także siebie?”. Zrobiłem zdziwione oczy. „Pozbawiłam się wsparcia”. Ja: „Zrobiłaś to, co ci jest wygodne”. Ona, ze złością: „Nie umawialiśmy się, że to będzie na zawsze!”. Na to już nie miałem odpowiedzi.

Jest inna, pomyślałem o Matyldzie, mimo podobieństwa pewnych układów, materialnych i rodzinnych, zamożności, raczej beztroski, aspiracji – tam Kreta, tu Lido – inna, bo niezwiązana ze mną. Nic nie może mi się

stać. Nie może mnie porzucić, bo nie jestem jej, nie może mnie zdradzić, bo nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań. Zazdrość, niedosyt uczuć, ból – to wszystko jest, bo jest we mnie. Ale nie ma krzywdy, nie ma degradacji, może być tylko bliżej i cieplej. Tak siebie przekonywałem.

Nagle SMS: „JESTEM WE FLORENCJI. Przyglądam się Dawidowi i Perseuszowi Celliniego. Chyba tu zostanę. (Droczy się ze mną). Odwiedzi mnie Pan? Matyllda”. „Jeśli mnie Pani zaprosi”, odpowiadam, chyba wystarczająco chłodno, bo nie wyrażam żalu.

Otwieram papierową teczkę z napisem „Dzieło”. Tu gromadzę notatki do tego, co mamy robić razem. – Czy będziesz o nim pisać? – pytała Aleksego Maria Fiodorowna. To pytanie mogło paść po tym, jak Lenin odwiedził Gorkiego na Capri. Maria Andriejewa wstąpiła do partii w 1904. Kochała Aleksego i uwielbiała Lenina. Lenin poprosił ją, żeby towarzyszyła Gorkiemu w wyprawie do Ameryki i czuwała nad nim. Można rzec, że kochając Gorkiego, wykonywała zarazem partyjne zadanie. Gorki do partii nie wstąpił. „Jestem okołopartyjny” – mawiał. Maria Fiodorowna mogła sobie być fanatyczna, roznamiętniona – podobnie zresztą jak Katia Pieszkowa, jego rozwiedziona żona – taka to kobieca właściwość, myślał Aleksy Maksymowicz, przyglądając jej się, ale on wiedział swoje: pisarz musi być niezależny. Wolny od presji organizacyjnej. Tak mówił. Ale, być może, kazało mu się wystrzegać partyjności coś jeszcze, z czego się Marii nie zwierzał. Po powrocie z Ameryki, w 1907 roku, na zjeździe londyńskim obserwował zażarte dyskusje frakcyjne – bolszewików z mienszewikami (których było teraz więcej, ale postanowiono trzymać się przyjętych wcześniej nazw). Ostrość i zapiekłość tych sporów – w sprawach często trzeciorzędnych – odtrącały go. Próbował przekonać Lenina, żeby się tak nie upierał, żeby atakował oględniej. Bez skutku.

W Londynie często chodzili razem do restauracji – Uljanowowie, Aleksy i Maria. Włodzimierz, zdaniem Aleksego, jadł niewiele, z roztargnieniem, popijał ciemne piwo. Dla Gorkiego prawdziwym wytchnieniem były spotkania z angielskimi pisarzami, odnosili się do niego z ciekawością i szacunkiem, najbliższy stał się Herbert George Wells, na wiele spraw, szczególnie tych dotyczących edukacji, zapatrywali się podobnie.

Leninowi *Matka* niezbyt się podobała. Gorki przyznawał mu rację, to agitka, czasem żałował, że ją napisał, psuła obraz tego Gorkiego, jakiego chciał przedstawić światu. Proletariuszom się przyda, bronił samego faktu

ukazania się powieści Lenin. Ale on osobiście wolał czytać coś bardziej wyrafinowanego.

„Rozstrzelać” – to magiczne słowo, w które bolszewicy później uwierzyli jako panaceum na wszystkie bolączki rewolucji – padło po raz pierwszy w Londynie właśnie, w 1907 roku, kiedy ktoś zapytał Lenina, jaki będzie los burżuazji, kiedy już zwyciężymy. Zapyta się wtedy, odpowiedział, kto jest „za”, a kto „przeciw”. Ci „za” będą pracować, tych „przeciw” się rozstrzela. Jest świadectwo, że jego Nadia się wzburzyła. Takie postawienie sprawy jest bodźcem do hipokryzji i dusi tych, co mają własne zdanie.

Po Londynie – Aleksy i Maria wracają na Capri. Gorkiego irytuje zachowanie kolegów literatów, szybko przystosowują się do porewolucyjnych stosunków, do nowej mody, wyciągają wnioski z porażki. Tylko Bunin, zauważa w jakimś liście, jest wierny sobie. Pisząc do Ładyżnikowa, przyjaciela, który zarządza jego czasopismem („Znanije”), wykrzykuje w postscriptum: „Ach, nie lubię ja pisarzy!” (Ale później, kiedy Lenin, wściekły na odstępstwo intelektualistów, napisze do niego: „kanalie! kanalie!”, Gorki odpowie wzburzony. Więc ja, Pieszkow, też jestem kanalią? Proszę przyjechać do mnie na Capri, podyskutujemy. Lenin, skruszony, tłumaczył, że aż tak źle o inteligencji nie myśli). Gorki pisze do Ładyżnikowa: „Czekam na papierosy”. Bo pali tylko rosyjskie.

Papierosy, widać, nadeszły, bo Maria i Aleksy opuszczają w listopadzie 1907 roku poszarzałe, deszczowe Capri i zwiedzają Włochy. Nastroje nie najgorsze, Gorkiego czczą, tłumaczą, pieniędzy mu nie brak. Nie może tylko wrócić do Rosji, nie otrzymuje zgody na powrót, ten pobyt we Włoszech to coś w rodzaju pozłacanej banicji. Z Florencji donosi Piatnickiemu, który z nim współpracuje: Ech, gdyby były pieniądze, kupiłby sobie pewien srebrny nóż, żądają sto franków – a jaki to nóż! „Zarżnąć ukochaną nie byłoby szkoda taką przyjemną sztuką, słowo daję”.

Nie wiadomo, czy Maria zgadzała się z nim, kiedy przyglądali się arcydziełom, czy się sprzeczała, wiadomo tylko, że w Rzymie nie spodobała mu się *Pieta* (napisał to w liście łacińskimi literami) Michała Anioła. „Bez wrażenia. – To wszystko do tegoż Piatnickiego. – Nawet wydała mi się brzydka – och!” Krytykuje rzeźbę bez litości, lewą nogę Chrystusa, rękę matki pod jego pachą, „on sam dziwne mały, ona – matka – zimna – i młoda”. Ale miesiąc później, w tym samym Rzymie, ogarnia go zwątpienie w swoje znawstwo: „Człowiek czuje się tu straszliwym ciemniakiem”. I zaraz list do Anatola Łunaczarskiego, młodzieńca

ogromnej wiedzy, krytyka literackiego, który niepotrzebnie upiera się, by pisać sztuki: „Nawiasem – proszę się nie obrażać za to pytanie – ale, prawdopodobnie, nie ma pan pieniędzy lub jest ich za mało? U nas też się nie przelewa, ale wkrótce się wzbogacimy – jest nadzieja – i moglibyśmy panu przesłać dwie, trzy setki. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, jakoś mi niezręcznie o tym mówić, nie umiem”.

Przebywa jeszcze wciąż w Rzymie i stąd redaguje „Znanije”. W pracy redakcyjnej ufa Wieriesajewowi (to lekarz i utalentowany pisarz, Polak, prawdziwe nazwisko Wincenty Smidowicz), zapowiada, że przyśle do miesięcznika opowiadania Daniłowskiego i Żeromskiego (co pewnie Wieriesajewowi sprawi przyjemność). Przekazał mu je polski socjaldemokratyczny publicysta Brzozowski. „A czy nie zaproponować coś tegoż Brzozowskiego – to bardzo utalentowany człowiek, z dużą wiedzą, mógłby dać artykuł o nowej polskiej literaturze, którą tak źle znamy”.

Są już z Marią z powrotem na Capri, kiedy w kwietniu 1908 roku dostaje „Russką Mysl”. Ręce opadają! – wykrzykuje do Piatnickiego. „To ma być rosyjska literatura? Jaka ohyda, jaka nędza myślowa, bezczelność ciemniactwa i cynizm!”

Odpowiada w tym samym czasie niejakiemu D. Ajzmanowi: „Ja – o ile to zależy ode mnie, nie będę w tomikach «Znanija» drukować rzeczy pesymistycznych”. (No proszę! Jest czas pesymizmu po klęskach – i wojny, i rewolucji – a Gorki uważa, że należy się z tego stanu wydobyć, nie pogłębiać załamania). Nie ma prawa, pisze, gardzić „aktywnością życiową”. Wścieka go, w pewnym zbiorczym tomiku, że „wszyscy autorzy gwałcą kobietę”. To wstrętne. Kiedyś kobieta – i to było słuszne – zajmowała wysoką pozycję, teraz ludzie z chorą wyobraźnią pchają ją w błoto i na wszelki sposób opluwają. Do Piatnickiego: „Ostatnio znajduję się w stanie chronicznej wściekłości i niepohamowanego rozdrażnienia”.

To właśnie wtedy, gdy gościł u Gorkiego na Capri, Włodzimierz Iljicz, teraz już porządnie wyłysiały, mógł stać się tematem literackim. Maria to widziała, bardzo jej się chciało, żeby Alosza pisał o jej bożyszczu. – Mam o kim pisać – odburknął. Ale przyglądał się pilnie swojemu gościowi, jak przygląda się zawodowiec: teraz stawał się interesujący, teraz, przegrany, bez wiary w przyszłość, bez pieniędzy, z nudną Nadią u boku. I może tęskniąc skrycie do Inessy Armand, intendentki szkoły w Longjumeau, która w 1910 roku opuściła męża i pięcioro dzieci, żeby znaleźć się przy Leninie (niektórzy uważają, że nie dla niego, ale dla partii, dla

bolszewików) – nie zawsze się ze sobą zgadzali – Włodzimierz w sprawach obyczajowych był ostrożny, można rzec staroświecki, sprzeciwiał się „wolnej miłości”. Ale Inessa do Longjumeau już nie powróciła. Lenin, wciąż sprzecząc się ze swoim gospodarzem, napisał do niej coś takiego: ach, ten Gorki, co za talent! A jaki dziecinny w sprawach politycznych! Gorki był gotów mu to przyznać: „Jestem literatem (napisał to wiele lat później). Mój zawód zobowiązuje mnie do podpatrywania drobiazgów, ten obowiązek stał się przyzwyczajeniem, czasem wręcz uciążliwym”. Co innego Lenin, pisał, to polityk, praktyk. Ja czuję wstręt do polityki, nie lubię filozofii politycznej. Ale Wells, Herbert George, który odwiedził praktyka Lenina na Kremlu w 1920 roku (możliwe, że zajmę się tym później), sarkał przy stole u Gorkiego: „To marzyciel, fantasta – o wiele większy niż ja”.

Ciekawe – zastanawiał się Włodzimierz Iljicz – czy zrobiłbym karierę jako prawnik. Zapowiadałem się dobrze, patron w Petersburgu, pan Volkenstein, chyba mnie ceniał. (Zrobił karierę, mógł po latach podsumować, jako ten, kto prawo zgwałcił). Albo mógł zostać arcymistrzem szachów, zwierzał się w zamyśleniu. Czy wiesz, Aleksy Maksymowiczu, że grałem z Czygorynem jak równy? Z Bogdanowem, teraz już oddalającym się od bolszewików, jednak przegrywał, co go tym bardziej złościło – czasem brak mu było, jak się okazało, odporności nerwowej. Pasjonowało go rozwiązywanie zadań szachowych i układanie nowych. (Szkoda, że się temu nie poświęcił, pomyślała Nina, kiedy Gorki o tym wspominał przy wieczornej herbacie w mieszkaniu na Prospekcie Kronwerskim, na pewno byłoby jej lżej).

Inna jego pasja, ze studenckich jeszcze czasów: łacina. Na Capri imponował nią Maksymowi, nieznośnemu, wesołemu chłopcu, z zamiłowaniem do błazenady, którego Gorki uwielbiał. Maksym rysował, malował, a znajomych parodiował jak urodzony komik. Odgrywa wuja Wołodię: dłonie wsuwa w wycięcia kamizelki, graseje, wygłaszając jakieś zaimprovizowane mowy niby-polityczne. Maria Fiodorowna go upomina, ale Maksym się nią nie przejmuje, nie jest jego matką, to tylko signora Andriejewa, nikt więcej. (Później, w latach trzydziestych, Maksym będzie parodiował Stalina, jego gruziński akcent i wymowę: „Żicie stało się lepsie, towarzysie”, i kaczy chód. „Ma platfusa”, tłumaczył nieostrożny Maksym. Musiał zginąć. I zginąć musiał jego ojciec, wielki pisarz Maksym Gorki. W 1936 roku został otruty – dzisiaj nie ma już wątpliwości. Przysłano mu

w prezencie bombonierkę z czekoladkami. Powinien był pamiętać, co mówili starożytni: że prezentów od Danajów należy się wystrzegać. Zbliżały się procesy ludzi, z którymi Aleksy Maksymowicz się przyjaźnił i których szanował. Ten schorowany pismak na pewno by protestował. Zamknijmy mu usta – na zawsze).

Wuj Wołodia wspominał swoją matkę. Może ona byłaby dla Aleksego Maksymowicza tematem? Nowa „Matka”, całkiem inna, przerażona swoimi synami – jednego powiesili, drugiego zesłali – inna, ale walcząca jak lwica. Kiedy syn jest zagrożony więzieniem, pisze osobiście do ministra. Ten syn, Włodzimierz, jest bez ojca i tak wrażliwy psychicznie. „Jest rzeczą nieuchronną, że taka sytuacja pchnie go do myśli o samobójstwie”. Maria Aleksandrowna zapakowała torbę podróżną, wybrała się do dalekiej stolicy nad Newą, by przedstawić władzom swoją suplikę. I proszę sobie wyobrazić, Aleksy Maksymowiczu, udało jej się, wydarła carskiej biurokracji współczucie. Pozwolono Wołodii kontynuować studia. Tak, to jest matka!...

Matka Trockiego, madame Bronsztejn, matka Żydówka – inne środowisko, ale, rzecz prosta, tak samo zakochana w synu. Była na jego procesie wraz z Dawidem, swoim mężem. Dumna z syna: to redaktor, znany literat! Rozmawiała z obrońcami, żeby usłyszeć, jak chwala syna. Młody rewolucjonista przemawia w sądzie – matka słucha zachwycona, płacze ze wzruszenia i dumy. Nie tylko jest pewna uniewinnienia – po takiej mowie! – ale nawet przypuszcza, że go odznaczą! Mój Lowa, taki zdolny!... Inaczej ojciec: blady i milczący. Może i dumny, ale zarazem przybity. Wyrok: bezterminowe zesłanie. Skazaniec tym razem nie będzie na powitanie schłostany, kilka lat temu tę dodatkową, poniżającą karę zniesiono.

I jeszcze matka Stalina. Syn ze swojej siedziby na Kremlu pisał do niej czasem po gruzińsku, z rzadka posyłał pieniądze, niewielkie sumy, bo pojęcia nie miał, ile co kosztuje. Kiedyś odwiedził ją w Tyflisie. Ona pyta: – Soso, kim ty właściwie jesteś? – Pamiętasz cara? – pyta syn. – A, cara, pamiętam. – To ja jestem kimś takim. (Podobno matka powiedziała: – Lepiej byłoby, gdybyś został popem).

Zgarnąłem notatki i pomyślałem: nie wiem, dla kogo je robię – dla przyszłej książki, której chyba nie napiszę, czy dla niej? Posłałem jej SMS. Dopadnie ją na piasku, na gondoli, na placu Świętego Marka czy może w tanim pokoiku hotelowym we Florencji? „ZIELONOOKA! –

napisałem. – Kiedy Panią zobaczę?” Nie podpisałem. Odpowiedź nie nadeszła. Zrozumiałem: przeszkadzam. Więcej nie będę, przysięgam.

Nie byłem w najlepszej formie, kiedy miałem się spotkać ze studentami od „Franklina”. Tym razem nikt się nie spóźnił, jedno miejsce w pierwszym rzędzie było niezajęte, zupełnie jakby się umówili, że bym jakoś to odczuł – nie ma jej, jest służbowo nad Canale Grande, a ja o Machiavellim, patriocie florenckim, więc całkiem niedaleko niej. Nie było pani Matyldy, ale za to w ostatnim rzędzie rozsiadł się zwalisty pan Rektor, mniejsza o wygląd, no, siwowłosa, tyle że była to siwowłosa czupryna imponująca, rozwichrzona, prawie Einstein, a obok chudziutki, schludnie ostrzyżony pan w okularach, chyba profesor, może inspektor z ministerstwa.

Powiedziałem, że mówię o Machiavellim z obowiązku – politolog, którym czasem bywam, nie może go pominąć. Wspomniałem półgębkiem (podoba mi się to polskie słowo, podobno rzadko dziś używane) o swojej książce, *Three Big M*, i podkreśliłem, że mój profesor, Izajasz Berlin, miał o nim cykl wykładów. Nie przybyło, proszę państwa, nowych dokumentów, nie przybywa relacji z ówczesnych wydarzeń – ale zawsze mogą być nowe myśli, nowa wnikliwość, za którą jestem wdzięczny profesorowi Berlinowi, i namawiałbym do tej wdzięczności także państwa. Spór o Machiavellego i spór z nim samym trwa już setki lat. Czy był łajdakiem, jak chcą bigoci, czy też obnażał nasze łajdactwo, twierdząc, że władca, licząc na wdzięczność i dobroć poddanych, szykuje sobie zgubę? On – cytuję – „po prostu odkrył, że nasza moralność nie ma zastosowania w dziedzinie polityki”. To samo dotyczy ideologii chrześcijańskiej. Albo ktoś zbawia duszę – relacjonuje Berlin – albo rządzi państwem. Obu tych rzeczy osiągnąć naraz się nie udaje. Mnie, zwierzam im się, zastanowiło to, że w jakimś liście Florentyńczyk napisał, że „kocha ojczyznię bardziej niż własną duszę”. Co to znaczy, proszę państwa? Znaczy tyle, że kocha bardziej niż własną duszę coś, co stworzyli ludzie i niekoniecznie przodkowie, zbudowali miasto i nazwali je państwem.

Nie, nie dam się wciągnąć w relację z tego, co im powiedziałem. Gdyby ona tego słuchała, to co innego, byłby to fragment opowieści o niej i o mnie. Myślałem sobie: jakoś to odbębnię, tymczasem przyglądam się tym młodym ludziom, ich napiętym twarzom, są zasłuchani, niektórzy coś notują, większość nagrywa, czuję, że przyjmują moje słowa jako bolesną aktualność. Nie spodziewali się tego, nie po to tu przyszli i prawdę mówiąc, ja sam się nie spodziewałem. Stalin niewątpliwie wczytywał się w *Księcia*,

są tego wyraźne ślady w jego wypowiedziach – zresztą, zdaje się, że ktoś o tym wspominał. A Nina Berberowa, moja urocza Nina, kiedy spotkała w Paryżu szarmanckiego Kiereńskiego, usuniętego przez Październik premiera Rządu Tymczasowego, wybuchnęła pretensją: „Dlaczego pan zapomniał o Machiavellim? Dlaczego pan go nie brał co wieczór do poduszki?!”. Ale zakończyłem optymistycznie. Montaigne, powiedziałem, kiedy w swoim zamku pod Bordeaux doradzał Henrykowi z Nawarry, przyszłemu Henrykowi Czwartemu, polemizował, bez wymienienia nazwiska, ze wskazówkami Makiawela. Nie, książę, rządy – twierdził – nie może być oparte na oszustwie; na jarmark nie przychodzi się tylko raz jeden – drugi raz oszukać nie można. I ja, proszę państwa, jestem zdania, że Montaigne patrzył dalej niż Machiavelli.

Była chwila ciszy, kiedy powiedziałem: „dziękuję za uwagę” – i wybuch oklasków. Szkoda, myślę, że jej tu nie ma. (I tak już będzie stale: ilekroć mógłbym się czymś pochwalić, zaimponować, to tak się składa, że jej nie ma, ucieka na narty albo służbowo, rugby, corrida, żagle z Anulką). Nie byłem pewny, czy moi słuchacze wiedzieli coś o Montaigne’u, niektórzy myśleli zapewne, że to taka odmiana nazwiska Monteskiusza. Rektor i ów domniemany Inspektor (jedyni, którzy jak zauważyłem, słuchali bez emocjonalnego uczestnictwa, może nawet ze znużeniem) podeszli, żeby mi podziękować. Grzywiasty pan Rektor, mimo wszystko zadowolony, mówił: „Podejrzewam, że połowy z tego, co pan im przekazał, oni nie zrozumieli, ale to nieważne, dał im pan mocny impuls, dostali coś za swoje pieniądze, bo oni, panie profesorze, płacą niezłe pieniądze, są żądni wiedzy, pan im ją dał. No i trochę dobrej angielszczyzny, która im się przyda”. Przedstawił mi chudzielca, którego wziąłem za wizytatora z ministerstwa:

– Redaktor Sianko, Anatol.

Ukloniłem się i podałem mu rękę. Nice to meet you. A co miałem powiedzieć? Ty sk...synu, you bloody son of bitch – to właśnie ciebie chciałem tu spotkać?

– Będzie pan o tym pisał? – spytałem.

– Nie, ja tu wykładam.

Wykładasz, zaripostowałem w myśli, pewnie takie same świństwa jak piszesz. Przeszliśmy do bufetu, barmanka przyniosła nam do stolika trzy kawy. Płacę za siebie, zastrzegłem od razu. Rektor: Ależ mowy nie ma, panie profesorze, kawy firmowe.

Redaktor Sianko poinformował, w której gazecie pisze. Ja:

– Ach tak, żałuję, że jakoś to do mnie nie docierało. (Kłamałem z dużą swobodą). Cieszę się, że pana poznałem.

– Moja specjalność to problemy Bliskiego Wschodu. (U nas to się nazywa Middle East).

– O! – na to ja zdumiony, jak pierwsza niewinna. – Tam się teraz dużo ciekawych rzeczy dzieje, nieprawdaż?

– O tyle, o ile – na to ostrożnie on. – Bardzo chciałem pana osobiście poznać – mówi ten sukinsyn. – Wydaje mi się, że jesteśmy sobie bliscy.

– Naprawdę? (Really?)

Rektor, wychłaptawszy swoją kawę, podniósł się od stolika:

– Zostawiam panów, żebyście mogli się sobą rozkoszować w cztery oczy. Anatol, nie zamęczaj naszego gościa. Straszliwy gaduła – zakończył Rektor i klepnął pana Siankę w plecy.

Sianko przyglądał mi się spod grubych szkielec.

– Więc to pan we własnej osobie. Widziałem gdzieś pana zdjęcie. W „New York Timesie” chyba. Zapamiętałem, że wypowiedź była bardzo krytyczna wobec Busha. Protestował pan przeciw ingerencji w Iraku. Tak jak ja.

Pomyślałem sobie, że mogę się z nim trochę podroczyć.

– Pan protestował tu, a ja tam.

– Tu wcale nie było łatwiej. Nasz rząd zaangażował się w Iraku.

– A pańska gazeta? Poparła rząd?

– Różnie bywało. Ale cieszę się, że pan...

– Panie redaktorze – nagle zrobiłem się zasadniczy. – Kiedy dwóch mówi to samo, to jeszcze nie znaczy to samo.

Redaktor wydał z siebie charkot, który mogłem przyjąć za śmiech.

– Naturalnie, naturalnie – mówił. – Każdy politolog powinien o tym pamiętać.

– Ciekawie nam się zrobiło na Bliskim Wschodzie – powiedziałem. – Mam na myśli, że coś się dzieje pozytywnego – między Palestyńczykami a Izraelem. Może będzie pokój.

– Och, nieprędko.

Na to liczysz, you bloody son of bitch, na to, że jeszcze parę cholernych lat będzie terror. Jeśli nastanie pokój, to z czego ty, sępie, będziesz żył?

Zapytałem:

– Bywa pan tam?

– Gdzie? Tam? – odpowiedział pytaniem. – Kiedyś bywałem, teraz z tym gorzej, nasza gazeta zbiedniała. Musiałbym wybrać się na koszt własny. – Zaśmiał się. – Albo z pielgrzymką, to najtaniej.

– Są tanie biura podróży. – Udałem, że mu doradzam. – Najlepiej poza sezonem. Można zamówić przez internet. Myślę, że od czasu do czasu przydałaby się panu wizja lokalna.

– Ma pan rację. Ale co robić...

– Czy mówi coś panu nazwisko Blau? – spytałem raczej zniechęca.

– Blau? Jaki Blau?

Miał zwyczaj przepytawać. Jak ktoś, kto chce zyskać czas do namysłu.

– Wiktor Blau – uzupełniłem.

– Ten poseł? Ten, którego zabito? Nie pamiętałem, że miał na imię Wiktor. A właściwie dlaczego pan mnie o niego pyta?

– Wszystkich pytam. To był mój przyjaciel. Znał go pan?

– Przelotnie. Kłanialiśmy się sobie – i to wszystko.

– Był w komisji spraw zagranicznych.

– Zajmował się sprawami Bliskiego Wschodu? – spytał pan Sianko, wyraźnie udając zainteresowanie.

– Całkiem możliwe.

– To rzeczywiście szkoda, żeśmy się bliżej nie poznali. Mógł mi pomóc.

– Śledztwo w sprawie morderstwa umorzono – przypomniałem. (On mówił „zabito”, ja: „zamordowano” – różnica, która coś wyraża). – Nie było mnie już wtedy w Polsce. Cholernie chciałbym wiedzieć, co się właściwie stało.

– Po co? Teraz to już wszystko jedno, za późno. Co pan tu wskóra? Policja nie dała rady, a pan się czegoś dowie?

– Panie redaktorze, gdyby to panu zamordowano przyjaciela...

– No tak, rozumiem.

– Interesował się pan tym śledztwem?

– Nie za bardzo.

– Zapamiętał pan coś?

– Ja? Czy zapamiętałem? Jakies plotki. Podobno nieboszczyk był zajadły dziwkarz. Mówiono, że to mogła być zemsta zdradzonego męża.

– Morderców było dwóch – przypomniałem. – Obaj się mścili?

– Wziął sobie pomocnika.

– Za pieniądze? – Byłem ciekaw, co powie.

– Czemu nie? Teraz można. Killerzy do wynajęcia. Przyjeżdżają z za wschodniej granicy.

– Mam wątpliwości – powiedziałem. – Nie docenia pan fachowości polskiej policji. Gdyby to była konsekwencja romansu, policja dotarłaby do zabójcy. Nawet bez trudu.

– Tak pan myśli?

– Tak. Dzięki tej kobiecie. Wystarczyłyby jego notes z telefonami. Może i ona sama chciałaby pomóc, ta kobieta, zamordowano jej przecież kochanka.

Redaktor zdobył się na uśmiech.

– Powinien pan być policjantem.

– W jakimś sensie – jestem nim. Każdy badacz literatury musi mieć zdolności śledcze. Dobrze, że sobie porozmawialiśmy, w rozmowie z inteligentnym człowiekiem – schlebiałem mu bezczelnie – pewne rzeczy się krystalizują. Powiem, jak mawiał porucznik Columbo: „Bardzo mi pan pomógł”.

– To się cieszę. Chociaż żałuję, że tak mało mogłem się przydać.

Wymiana grzeczności, jak wymiana lekkich ciosów przed silnym uderzeniem. Teraz! – pomyślałem.

– Pan się nazywa Sianko, dobrze zapamiętałem?

– Miło mi, że pan zapamiętał.

– Bardzo słowiańskie nazwisko. Można rzec: wiejskie.

On się zaśmiał:

– W tamtych czasach mogłem szczyścić się właściwym pochodzeniem.

– Poznałem w Bronksie pewnego Siankę. Mówił jeszcze po polsku, ale wolał jidysz.

Widziałem, że twarz pana redaktora robi się purpurowa.

– Nie mam takiej rodziny – wydusił z siebie.

– Niech pan żałuje. To bardzo bogaty facet, był jubilerem, już po osiemdziesiątce, niech się pan do niego przyzna, to może coś zapisze.

Wszystko to było konfabulacją. Nie znałem żadnego pana Sianki w Nowym Jorku, ale bardzo mi się chciało tego drania przyprzeć do muru.

– Dziwne – mówiłem jakby z wysiłkiem – że pan... z tym pochodzeniem...

– Nie ma w tym nic dziwnego! – wykrzyknął. – Moich poglądów pochodzenie nie określa! Jestem Polakiem, proszę nie zapominać!

I w tamtej sprawie jestem przeciw agresorowi, za wolnym, demokratycznym ludem palestyńskim.

Znam takie typy, pomyślałem. Żydzi, którzy tak chcą uciec od swojego żydostwa, że są bardziej zajadłymi antysemitami od nie-Żydów. Począwszy od samego Marksa. Niebezpieczni, bo uderzają boleśnie.

– Niech się pan nie denerwuje – powiedziałem. – Dobrze pana rozumiem. Wie pan, kto to była Nadieżda Mandelsztam? Kijowianka z domu Chazin. Kiedy bolszewicy przechwycili władzę, jej dwaj bracia wstąpili do białej gwardii. Tak bardzo chcieli udowodnić, że są dobrymi Rosjanami, że wstąpili do armii, której hasłem było: „Bij Żydów – ratuj Rosję!”.

– To nie jest to samo – warknął redaktor.

– Naturalnie, że nie to samo. Jeden z nich poległ za „swobodnuju Rossiju”, a pan, chwała Bogu, żyje i możemy sobie porozmawiać.

Redaktor Sianko powoli się uspokajał. Domyślił się, że nie powinien być agresywny. Najwyraźniej bał się mnie. Bał się mojej wiedzy o jubilerze z Bronksu. Jego łagodni, demokratyczni Palestyńczycy tego pokrewieństwa mu nie wybaczą. Przez trzydzieści lat ukrywał to przed nimi – dlaczego? Wolą Izraelczyka, na pewno.

– No to sobie porozmawialiśmy – powiedział i próbował się uśmiechnąć.

– Zapraszam na następny wykład – powiedziałem i odwzajemniłem uśmiech. – Będę mówił o Monteskiuszu. Jeśli to pana interesuje...

Jeszcze zapytałem, czy pozdrowić od niego jubilera z Bronksu, on na to, że lepiej nie, woli nie afiszować się takimi koligacjami – „no bo wie pan” – kiwnąłem głową: wiedziałem.

Niedziela. Dzisiaj mam spotkanie z pułkownikiem Papierkiem. Po mszy, powtarzałem sobie. Rozmowa za sto dolarów. Włożyłem niedbale do bluzy trzy stówy – i wróciłem do korespondencji Gorkiego. Przygotowałem notes, otworzyłem dwudziesty dziewiąty tom dzieł zebranych, kiedy zawibrowała komórka melodią, która przypominała mi jakiś przebój Freda Astaire’a z czasów szkolnych. Chyba pokocham swoją komórkę, przeciw której jeszcze niedawno tak się buntowałem. Odczytuję: WYŁĄDOWAŁAM. MATYLDA. Ja: „Chwała Bogu! Bardzo mi Pani brakowało”. Ona: „Zobaczymy się w poniedziałek. Stock i kawa”. Ja (powściągliwie): OK. Myślę sobie: cokolwiek się stanie, cokolwiek będzie, stało się już najważniejsze: Jest Radość. Coś nowego w moim życiu. Powiem jej to, obiecuję sobie, powiem, że jest radością. Gęba na kłódkę, przestrzegam siebie, nic nie mów, popsujesz sprawę, niech się tego sama domyśli, niech o ciebie powalczy. Zanurz się w Gorkim – macie pisać razem „Dzieło” – to będzie najlepsze przygotowanie do spotkania z nią.

Z Capri, ze swojego złoczonego wygnania, Gorki instruuje Piatnickiego. „Znanije”, ich pismo, powinno się trzymać swoich zasad, to jest nie tylko potrzeba, ale i szansa. A te zasady to: demokratyzm i pozytywizm. Co w końcu zwycięży – upodlenie życia czy to, co uszlachetnia człowieka? „Nie marzenia, nie wzdychania, lecz – doświadczenia, nagromadzenie doświadczenia, jego dobrze ułożona organizacja”. Prosi o książki. „Wiem, że się Panu tymi prośbami przejadłem”. Ale: „Tyle chciałoby się wiedzieć, tyle trzeba wiedzieć! Niech Pan zrozumie! Przecież książki to jedyny mój luksus – pisze autor, któremu wszyscy zazdroszczą – życie wcale nie jest słodkie”.

To był maj 1908, a na przełomie lipca i sierpnia coś, co mnie zdumiewa. Do M. Gorkiego, pisarza o światowej sławie, zwraca się S. Wengierow w imieniu komitetu organizującego jubileusz Lwa Tołstoja (osiemdziesiąte urodziny) z prośbą o udział w obchodach. I Aleksy Maksymowicz odmawia! (Potem, w Piotrogradzie, kiedy z dystansem wobec siebie

czarował opowieściami o Tołstoj, pewnie sobie tę swoją „zasadniczość” wyrzucał). Geniusz, tak – tłumaczył Wengierowowi – ale „nie lubię go. To człowiek nieszczerzy, bez miary zakochany w sobie, niczego prócz siebie nie widzi i nie zna”. Przy stole z samowarem i cienką herbatą wszyscy zdumieni, bliscy oburzenia. Ale on się broni: przecież wam o tym opowiadam, nie ukrywam tego. Co pana napadło, Aleksy Maksymowiczu? – To Nina, ona jest najśmielsza. – Stary Lew niczego prócz siebie nie znał? A jego *Polikuszka*? A *Ile człowiekowi ziemi potrzeba*? A *Śmierć Iwana Iljicza*? Zapomniał pan? – Tak, zapomniałem, chwila zaćmienia umysłu. Napisałem nawet: „Jego pokora jest obłudna (owszem, to możliwe – Jeff), a już zupełnie wstrętne jest to pragnienie, aby cierpieć”.

Jakież to było krótkowzroczne! (Gorki przyznaje im rację). I politycznie błędne. Tak, bez wątpienia. Stary Lew, wyklęty przez Cerkiew prawosławną, znienawidzony przez skretyniały dwór carski, miał prawo spodziewać się wsparcia z lewej strony – Gorki się zaciął: nie! „Kogut” – określił kiedyś młodego Aleksego stary Tołstoj i Gorki teraz, w głodnym Piotrogradzie (tak przypuszczam), przyznaje mu rację. To, że autor *Na dnie* nie chciał wziąć udziału w jego jubileuszu, pewnie do Jasnej Polany jakoś dotarło i stary pisarz przejął się, może i łzy zakręciły się w oczach.

Minęły, proszę państwa, dwa lata, Tołstoj ucieka z Jasnej Polany, dopada go zapalenie płuc, umiera. Jest listopad 1910. Gorki pisze z Capri do A. Amfitieatrowa: „Bezwstydnie i bez zahamowania ryczę”. I dalej: „Tak, to nie był święty, ale człowiek, co nawet dla nas, którzyśmy się z nim nie zgadzali, był droższy niż Bóg, bardziej umiłowany i miłszy od wszystkich świętych. Przedziwna дума nasza, dzwon prawdy rozbrzmiewający na świat cały – zamilkł”.

Banita rezydujący na Capri pisze w 1911 roku do swojego przyjaciela, wielkiego Fiodora Szalapina, list z wymówkami: jak mogłeś? Bo kiedy wystawiano w Teatrze Maryjskim *Borysa Godunowa* i w loży pojawił się car, cały zespół, wraz z Szalapinem, osunął się na kolana. „Gdybyś mógł pojąć, jaka to gorycz, jaka hańba wyobrazić sobie Ciebie, geniusza, na kolanach przed łajdakiem najohydniejszym ze wszystkich łajdaków w Europie”. „Kiedy wszyscy uklękli – tłumaczył się pokornie Szalapin – straciłem głowę”. Czy nie byłoby dobrze, gdyby przyjechał do Aloszy na Capri? Alosza odradza. Jest tu sporo naszych, z którymi on, Gorki, jest w konflikcie, chętnie urządzą jakiś skandal, żeby dopiec i jemu. W kilka lat później napisze do Szalapina: „Pamiętaj, kim ty dla Rosji jesteś, i nie

stawiaj siebie na jednej desce z padalcami. (...) W muzyce rosyjskiej jesteś na szczycie, tak jak w sztuce słowa – Tołstoj”.

Pewien korespondent, który sonduje Gorkiego różnymi pytaniami, zadaje i takie: co pan radzi czytać? „Herodota, Tukidydesa – odpowiada Gorki – Liwiusza, Tacyta i tak dalej – do Mommsena, Gibbona – oni Pana nauczą, że trzeba czytać razem z nimi i doprowadzą Pana do samego siebie”.

Kogoś innego pisarz poucza: „Jakoś, jakimś, jakiś, jakby – to słowa puste”. Albo wiesz, jak i jaki, albo „nie jakaj, zamilcz”.

Do gazety „Kijewskaja Mysl” (listopad, 1911) podano informację, jakoby Szalapin zbierał podpisy pod petycją, by Gorkiemu pozwolono wrócić do Rosji. „Pozwólcie mi oznajmić za pośrednictwem waszej gazety, że taka pogłoska krzywdzi mnie, ponieważ ani F. Szalapinowi, ani komukolwiek innemu nie udzieliłem pełnomocnictwa do starań o udzielenie mi pozwolenia na powrót do ojczyzny. M. Gorki”.

Premier reformator Piotr Stołypin pracuje nad programem rządowym na najbliższe dwadzieścia lat. (Według jego syna, Arkadiusza, przewidziana jest w nim najpierw autonomia dla Polski, a na rok 1920, czyli już za dziewięć lat – pełna niepodległość. Ale nie ma na to żadnych dowodów na papierze). 14 czerwca 1911 roku premier jest na galowym przedstawieniu w operze kijowskiej. Stoi oparty o rampę, rozmawiając z hrabią Józefem Potockim. „Popatrz, księżę – mówi Potocki – na tę damę w łoży. Czyż nie przepiękna?” Była to hrabina Rzewuska. Premier skierowuje na nią lornetkę, w tej chwili podchodzi do niego zabójca z pistoletem ukrytym pod połą fraka. „Jednym z ostatnich obrazów widzianych w życiu był dla mojego ojca – pisze w pamiętniku syn – uroczy wizerunek pięknej pani”. Prawdziwie romantyczna śmierć (tak pociesza się syn), niemal jak ze Stendhala.

Jest rok 1912, Gorki apeluje do delegatów konferencji partyjnej w Pradze: propaganda ideowa, propaganda socjalizmu „została całkowicie zapomniana przez naszych teoretyków w ich frakcyjnym mordobiciu. Proszę przerwać niniejsze azjatyckie zajęcia...”.

Mylił się, wściekał, coś było w nim wciąż jeszcze z owego atakującego koguta, ale zawsze wiedział, o co mu idzie. (Mylił się najczęściej, bo tu o pomyłkę najłatwiej, w sprawach artystycznych). „Alboż to tylko «pod wpływem deprawującej lektury» – pisał do jednego z korespondentów – budzi się bestia w Rosjaninie? Kto najsilniej rozbudza pierwiastek zoologiczny, a tłumi społeczny? Komisariat policji, więzienie, szubienica,

czarnosecinną prasą”. (Można to powtórzyć teraz, w czas grabieży i morderstw, myślą zgromadzeni przy samowarze współpracownicy w głodnym i zamarznętym Piotrogradzie).

Aleksy Maksymowicz najwidoczniej tęskni za nowym gorącym uczuciem. Za nową namiętnością, bez której trudno mu działać i pisać. Chce kobiety, która (tak jak Nadia przy Osipie) szukałaby w nim miłości i wsparcia. (Nina sądzi, że był rozczarowany, kiedy kobieta nie wymagała jego opieki). Maria Andriejewa nie nadaje się do tej roli. To ona, przebojowa, fanatyczna bolszewiczka, zwykła narzucać swoją wolę. I oto na Capri przyjeżdża Aleksander Tichonow, skrupulatny zarządca czasopism Gorkiego, a z nim uroczą żonę Warwara. Waria jest żoną Tichonowa od trzech lat, dla niego rozwiodła się z poprzednim mężem. Gorki się zakochuje, ona w nim też. Tichonow zachowuje spokój, współpracy to nie zamąca – dlaczego, jak to się dzieje, nie wiem; czy aż tak daleko sięga kult pisarza, że mąż godzi się na związek żony? Za to Maria Fiodorowna nie może znieść swojej porażki, opuszcza Capri. W Rosji najpierw ją na krótko aresztują, a potem, na wolności, będzie miała młodego sekretarza i przyjaciela, adwokata Piotra Kriuczkowa. Z Aloszą jednak nieprędko się rozstanie. Ten związek zawsze w jakiś sposób będzie trwać. Teraz rządy na Capri obejmuje Waria, wkrótce urodzi Ninoczkę Tichonowównę, o której plotkara Nina napisze, że skóra zdarta z Gorkiego.

I oto kwiecień 1914 roku: Gorki jest w Rosji! Tylko kilka miesięcy dzieli Europę od wielkiej wojny. Chcą jej rządzący (na swoją zgubę), powszechna jest wiara, że nie dopuszczą do rzezi socjaldemokracy, ludzkiej pracy, proletariatu. Lenin w Zurychu jest tego pewny. Solidarność klasowa zwycięży zakusy imperializmu. Gorki chyba mniej o tym myśli. Nareszcie w Rosji, u siebie. Zachwyca go i dziwi – zwierza się Amfitieatrowowi – że wszyscy dookoła mówią po rosyjsku. „Byle co mówią, nudno mówią, ale – po rosyjsku”. Demokracja – informuje – powitała go „czule i wzruszająco, sama Moskwa przysłała siedemdziesiąt pozdrowień” – bo i piekarze, i sprzedawczynie pieczywa (wiedzą, że Alosza to kolega po fachu, wypiekał prele i rogałe), hydraulicy i nawet „chłopi-wieśniacy z nowogrodzkiego powiatu”.

– Pan jest prawdziwym Amerykaninem? – spytała dziewczynka z kasztanowatymi warkoczykami.

Wiedziałem już, że ma na imię Zosieńka, chodzi do czwartej klasy i trudno ją odpędzić od telewizora, kiedy nadają jakąś telenowelę, a nadają

głównie to. Dziadek, z okrągłym brzuszkiem i trzema podbródkami, na próżno starał się ją uspokoić: – Zosieńko, nie męcz pana. Wleję ci pasem.

– Aha – na to ona. – Niech dziadek spróbuje. Nie wolno bić dzieci.

W telewizji jedna pani mówiła...

– Że co? – zainteresowałem się.

– Że nie wolno. Bo może być sprawa w sądzie.

– Podasz dziadka do sądu?

Warkoczyki zakołysały się.

– E tam. Dziadek tylko tak straszy. Lubi pan Harry’ego Pottera?

– Uwielbiam.

– Kłamie pan!

– Zośka! – zapisał dziadek.

– Bo ten pan nawet nie czytał.

– No pewnie, że nie czytałem. Powiedziałem tak, żeby ci się przypodobać.

– Mówiłam? A gdzie pan biega rano?

– Nie biegam.

– Nie uprawia pan joggingu?

– Nie. Nie popieram tego.

– Lubi pan hamburgery?

– Wolę bułkę z masłem.

– Z keczupem?

– Przecież to obrzydlistwo.

– Woli pan whisky na lodzie czy z wodą?

– Chcesz mnie poczęstować?

– Nie, dziadek nie ma tu whisky.

– Nie szkodzi, ja wolę stocka – powiedziałem i od razu zobaczyłem przy stoliku ją, koło mnie, nie w gorącym piasku.

– Przyniósł pan ze sobą swojego kolta?

– Nie mam kolta.

– A co pan ma?

– Nagan. – Postanowiłem się podroczyć.

– I mówi pan po rosyjsku?

– Trochę. Bardzo umiejętnie przepytujesz – pochwaliłem ją.

– Prawda? – ucieszyła się dziewczynka. – Pan wcale nie jest Amerykaninem! – wykrzyknęła, wskazując na mnie palcem. – Już wiem,

kim pan jest! Pan jest rosyjskim szpiegiem, który udaje Amerykanina. Zgadłam?

– Jesteś blisko. Jestem amerykańskim szpiegiem, który udaje Rosjanina.

– Zwróciłem się do mojego gospodarza. – Zdolne dziecko.

Zaczęło kropić. Weszliśmy pod duży plażowy parasol, stał tam stolik i kilka fotelików ze sztucznego tworzywa.

– Zosieńka wejdzie do budki i robi nam herbatę – zadysponował dziadek. – Ona umie. Dieńgi są?

Dałem panu Papierkowi trzy banknoty, schował je bez słowa do pstrokatej bluzy, którą miał na sobie. Trochę pogadaliśmy o pogodzie, trochę o tym, jak tu dojechałem. Weszła Zosieńka, przyniosła nam tackę z herbatą, rączyny jej się trochę zachwiały, kiedy stawiała ją na stoliku i parę kropel się wylało, a ona się spociła. Pułkownik podsunął mi cukiernicę. Dziękuję, nie używam. A on owszem, lubi herbatę mocno słodzoną. No to dobrze, nie masz cukrzycy. Ale może być coś z sercem.

– Przygląda się pan moim podbródkom? – spytał pan pułkownik. Głos miał wysoki, zdarty, bliski pisku. – Obżarstwo – wyjaśnił. – Jedyne grzech główny, na który sobie pozwalam.

– Łatwo o rozgrzeszenie – zauważyłem.

– Jakbyś pan wiedział. W sierpniu pójdę z pielgrzymką do Częstochowy. Od kilku lat nie opuszczam żadnej pielgrzymki.

– Trzeba mieć charakter – pochwaliłem.

– Może by się pan wybrał ze mną, co? Pogadalibyśmy.

– Za ile? – spytałem, nie ukrywając złości.

– Za bezdurno.

– To kuszące. Ale jestem protestantem.

– Nie chcę pana nawracać – zastrzegł się pułkownik.

– Ale pana ktoś nawrócił, czy pan tak sam z siebie?

– No, jakoś tak... niby sam, ale i nie sam... Jak mnie ze służby wykopali – rozejrzałem się, patrzę, nic nie wiem, nikogo nie obchodzę. Przeczytało się to i tamto, pogadało z księdzem, kolegą szkolnym, to on namówił mnie na pielgrzymkę – chodź, co ci szkodzi – a tam wszyscy na kolana, to i ja też, w tłumie, no i wiesz pan co, panie Jeff, trzeba w życiu coś mieć. Z kimś być. Na coś patrzeć. Ojciec Święty dobrze mówił: prawda czy nie, ale ty wierzysz i przestajesz się bać.

– Przedtem pan tam pewnie bywał służbowo, dobrze się domyślam?

– Kulą w płot, panie Jeff, to nie była moja działka. Jeśli ma pan ochotę sobie golnąć i ma pan ze sobą piersiówę, to proszę bardzo, bo ja nic nie mam.

– Z zasady?

– Dobrze pan powiedział. Kiedyś ostro się piło, nie powiem. A teraz, prawdę mówiąc, nie tylko z zasady. Serduszko. – Pokazywał, w którym miejscu pod koszulą, równie pstrokatą jak bluza, ukrywa się serce. – Pamiętam, przyszedłem raz do pana Blau (nie odmieniał tego nazwiska), przyniosłem pół litra śliwownicy, eksportowa, panie Jeff, plum-vodka, a on: wypiję jednego, żeby pan nie myślał, że się pana boję, a mnie się tak żal zrobiło tej śliwownicy, że wychlałem ją do dna – panie, ale się urznąłem! bo to mocne jak sto diabłów – ale niech pan nie myśli, że się uchlałem całkiem bezmyślnie – o, nie – masz się upić tak, żeby pacjent widział, że jesteś pijany, ale zarazem, brachu, pracujesz, wiesz, o co w tym chodzi, on ma ci zaufać, ty mu „panie Józiu” albo nawet „Witku kochany”, ja dla ciebie wszystko, Antek jestem, kapujesz? Mów mi, Antosiu nie bądź świnią, pomóż przyjacielowi, tylko mi szepnij, to zostanie między nami, pod chajrem, i ja może premię dostanę, dzięki przyjacielowi – więc i ja z tym Blau tak samo: „Witusiu, jak mnie tu widzisz”, a on na to: „Ależ widzę, widzę pana pułkownika, widzę na wskroś” – a mnie niosło po tej śliwownicy, co piętnaście minut latałem za stodołę, pijany, ale film mi się nie urwał, jak pan widzi. Nie dał się nabrać na tego Witusia, był cholernie czujny, szanowałem go za to.

– Rozmawiałem z panią Blau. Nie wspominała mi o panu. Nic nie wie o waszych kontaktach.

– To gdzie się pan o mnie dowiedział?

– Od pewnej przyjaciółki.

– Aha, wiem, to ta pani, którą przepytawaliśmy. Popatrz pan, jaki honorowy był człowiek, ten Blau: wzięliśmy od niego słowo, że nie powie żonie, i proszę, nie powiedział. Nawet w łóżku jej do ucha nie szepnął.

– Może uważał, że ona przyjaźni się z niewłaściwymi ludźmi?

– Nie, panie Jeff, on taki był: honorowy.

– Miło mi, że pan tak myśli o moim przyjacielu.

– Wie pan, co wtedy było, przy tej śliwownicy? Ja nalegam, naciskam, Witusiu to, Witusiu tamto, a on naraz ściąga z szafy taki futerał, wyjmuje flet i do mnie: panie pułkowniku, zagraj pan na tym. Witusiu, nie umiem. Ależ, panie pułkowniku, to bardzo proste: tu pan dmucha, tu są dziureczki,

które zasłania pan palcami – no, proszę, proszę. Miałem takie wrażenie, jak to w życiu bywa – że kiedyś to przeżywałem, że już w takiej sytuacji byłem, mam się czymś wykazać i ani w ząb. Myślę: chyba się zalałem. Proszę go: Nie umiem, panie Witusiu (wróciłem do tego pana), nie dam rady. A on na to: Na takim prostym instrumencie nie umie pan zagrać, a chce pan zagrać na mnie? Myśli pan, powiada, że jestem mniej skomplikowany niż ten flet?

– To z *Hamleta* – powiedziałem.

– Co? To?

– Tak, ten numer z fletem. Wziął to z *Hamleta*, bo mu pasowało do pana.

– Z *Hamleta*, popatrz pan. Pisali, że grają go teraz na golasa.

– Nie poszedł pan pułkownik obejrzeć?

– Nie lubię gołych chłopów. Na gołą babę... Zośka, marsz do budki! – Dziewczynka uciekła. – Mam kończyć o tej babie?

– Niekoniecznie. Wiadomo bez słów. Ta śliwowica – spytałem – pan ją kupił?

– Tak, oczywiście.

– Na rachunek?

– Żadnych rachunków. Wypisałem kwit: „Szpak” – taki mu dałem kryptonim: „Szpak” – „Szpak” tyle i tyle.

– Zapisał pan dokładnie tyle, ile kosztowała butelka?

– Już nie pamiętam. Mogłem dopisać zagrychę, ale chyba nie dopisałem.

– A mógłby pan przypisać mu jakieś kwoty, na przykład sto dolarów?

– Pewnie, że mógłbym. Ale nie przypisałem.

– Ale teczkę swoją miał?

– No pewnie, że miał. Musiał mieć. Podpisał przecież protokół z przesłuchania.

– Aha, było przesłuchanie.

– Dwaj koledzy i ja. Potem oni wyszli, a ja zostałem i robiłem protokół. I niech pan mi wierzy, mister Jeff, tak to pisałem, żeby jemu nie zaszkodzić. To znaczy z naszego punktu widzenia, a nie za dwieście lat, jak się tę teczkę otworzy. Pomiąłem to, co on palnął przeciw nam. On to zauważył, na pewno, bo kiwnął głową. Na końcu jest klauzula, że protokół jest zgodny z prawdą. Był niezupełnie zgodny, ale na jego korzyść.

– Podziękował panu?

– Panie Jeff, po co jakieś podziękowania. Przeczytał, coś zamruczał, chyba że „w porządku” – i podpisał.

Powiedziałem:

– Sprawdzaliśmy w internecie: jego teczki nie ma.

– Ktoś ją zniszczył, to jasne.

– Żeby jego chronić?

– Niby dlaczego jego? On przecież się nie poddał.

– Pana chronić?

– A mnie po co? Ja byłem człowiek na posadzie. Donosiciele chronić.

Więc chce pan znaleźć mordercę. Po co to panu?

– Pan wie: przyjaciel. Rozumiem, że to beznadziejne, ale nie mogę tego tak zostawić. Morderca może tu być gdzieś w pobliżu i śmieje się z nas.

– O to to! Dobrze pan mówisz.

– Najtrudniej znaleźć mordercę, kiedy nie ma motywów.

– Zośka! – zawołał pułkownik „Antek”. – Jeszcze po herbacie! – Czuł, że musi się wytłumaczyć. – Suszy mnie. Nie, nie piję. Ale śledzie lubię, i to z pieprzem. Śledź bez wódki – to cierpienie, prawda? Ale tylko cierpiąc... – Urwał. – Kto panu powiedział, że bez motywów? Motywy były.

Jestem blisko. Zaraz powie. Prawie mnie zatkało z wrażenia.

– Jakie? – spytałem.

– Za dużo wiedział.

Weszła wnuczka z tacką. Znowu ceremonia herbaty. A pan, panie Jeff? Nie słodzę. Aha, prawda. Spytałem:

– O czym? O czym za dużo wiedział?

Głośne siorbnięcie i potem, chytrze mrużąc oczy:

– A tego to ja już nie wiem. Gdybym wiedział...

Wydało mi się, że pułkownik zazgrzytał zębami.

– Kto się tej jego wiedzy bał? Służby?

– Ludzie.

– To nie był mord państwowy?

– Państwo nie zabija łomem. I niby dlaczego państwo miało się go bać?

Ludzie!

– Jakaś mafia?

– Można to i tak nazwać. Ale to za dużo powiedziane. Kiedyś na to się mówiło – szajka.

– Tak mi się wydaje, panie pułkowniku, że chciałby pan, żeby mi się udało odkryć mordercę.

– Szczęść Boże.

– To się cieszę. Ale dlaczego? Dlatego, że pan go polubił?

– Dlatego, że oni, ta szajka, wleźli nam w szkodę. Pan Blau coś wiedział i myśmy się spodziewali, że on nas dokądś zaprowadzi. Do tej szajki właśnie. Nie wiadomo jak rozgałęzionej.

– To dlaczego prokurator umorzył śledztwo?

– Aleś pan naiwny. W służbach zawsze były różne konkurujące ze sobą grupy.

– Szajki.

– Niech będzie, że szajki. I on komuś przeszkadzał. No i załatwili go. Takie jest moje osobiste zdanie. Dawno już nie jestem w służbie, ale wciąż mnie to, cholera, dotyka.

– Na prokuratora były naciski?

– A jak pan myśli?

– Ma pan rację: nie potrzeba kropek nad „i”.

Odprowadził mnie do furki.

– No to raz jeszcze „szczęść Boże”, panie Jeff. Niech pan uważa na siebie. Dobrze radzę.

– Dziękuję.

– Niech pan nie prowadzi pewnych rozmów przez telefon. Ani przez komórkę.

– Zastosuję się – obiecałem.

– A jak będzie panu potrzebna moja pomoc – chociaż, co ja tu mogę pomóc – to wie pan, gdzie i kiedy mnie znaleźć: w niedzielę, po mszy.

Zosia za mną zawołała:

– Do swidanija, towariszcz!

– Do swidanija, diwoczka! – odpowiedziałem.

W jej oczach byłem rosyjskim szpiegiem. I nawet bardzo jej się to podobało.

8

W Kijowie, w roku 1919, była na jego wieczorze autorskim – i dech w niej zaparło, kiedy nagle, jak wspominała, „z ust mu wyleciał Bóg”. Dech w niej zaparło, kiedy usłyszała: „Panie Boże, odezwałem się przez pomyłkę, nie wiedząc wcale, że tak powiem. Boże imię, jak ptak ogromny, wyleciało z piersi mojej”. Już wiedziała, że Osip będzie miał ciężkie życie. I ona, Nadia, z nim.

Kijów przechodził z rąk do rąk. Petlura, bolszewicy, Niemcy z hetmanem Skoropadskim, znowu czerwoni, Polacy z Petlurą, czerwoni – zresztą niekoniecznie w tej kolejności. Do mieszkania Kozincewów, rodziców Luby, z którą zwiąże się na zawsze Ilja Erenburg, wtedy jeszcze przede wszystkim poeta, wpada dryblas w mundurze oficerskim, wrzeszczy: „Pana Jezusa ukrzyżowaliście! Rosję sprzedaliście!”. I już chce się mścić na doktorze Kozincewie za żydowskie zbrodnie, kiedy dostrzega leżącą na stole papierośnicę. Zniża głos: „Srebrna?”. Srebrna. No i chwala Bogu. Chwyta papierośnicę i wybiega. Uratowani.

Luba zapadła na tyfus i leżała w gorączce. Ilja stale przy niej. „Kiedy wreszcie gorączka spadła – opowiada Ilja – Luba była przekonana, że umarła i każą jej żyć, nie wiadomo po co, po śmierci”. Ilja krzątał się, zdobywał dla niej żywność, gotował. „Łykałem ślinę, ona zaś mówiła: Po co mam jeść? Przecież ja umarłam”.

Wszystkie drogi prowadziły do Piotrogradu, myślę, przeglądając notatki. Wybieram te, które będę dzisiaj pani Matyldzie podsuwać. Czy ona na serio myśli o tym, żeby mi sekretarzować? „Będzie hit”. Temu wydawnictwu, z którym pani redaktor współpracuje, „Rakiecie”, hit by się przydał.

Tak, trzeba nam do Piotrogradu, uciec z rozdzieranego przez watahy Kijowa pod skrzydła Gorkiego, ale najpierw może na Kaukaz lub na Krym, to schronienie bliższe i bardziej naturalne, pod ciepłym niebem, pośród palm i owoców. W Teodozji, na Krymie, kolejne rzezie. Najpierw mordują biali pod dowództwem generała Antona Denikina, w grudniu będą się za te rzezie mścić czerwoni. (Kartka o Denikinie. Dzieciństwo spędził w Polsce,

matka służąca, Polka, ale on sam wyrósł na zacieklego rosyjskiego nacjonalistę. Piłsudski w 1919 roku posłał do niego tajnego emisariusza, Leona Wasilewskiego, ojca małej Wandeczki, żeby go zapytał, jak widzi przyszłość Polski, czy może obiecać niepodległość. Denikin odpowiedział, że o tym zadecyduje Duma w zwycięskim Imperium. „Na pewno możecie liczyć na autonomię”. Wasilewski pożegnał się i wrócił do Warszawy. Już wiadomo, że Polacy muszą się wstrzymać z popieraniem białogwardystów. W wiele lat później Denikin, na emigracji w Paryżu, oskarżył Piłsudskiego, że pokumał się z Leninem – nie wspomniał tylko, że nie zadeklarował dla Polski niepodległości. A bolszewicy to zrobili. Z Zachodu przysyłano Denikinowi sygnały: musi pan rzucić hasło, dwa słowa: Republika i Federacja! Denikin wierzył tylko w rozstrzygnięcia na polu bitwy. „Nie poprzez deklaracje i formułki zmienia się bieg Historii”. Nie rozumiał swoich czasów. Hasła: „Ziemi, chleba, pokoju!” zmieniły właśnie „bieg historii”).

W Piotrogradzie Aleksander Błok, najwybitniejszy poeta, ożeniony z córką wielkiego Mendelejewa, ten urodziwy Błok, który wyznał w osobistych zapiskach, że po pewnych wahaniach oddał w wyborach głos na listę numer „3” (eserzy i mienszewicy), nie może bolszewikom wybaczyć jednego: rewolucji w ortografii. „Las bez twardego znaku na końcu nie jest już dla mnie lasem”. Mandelsztamowie przeciw nowej ortografii się nie buntują. Przy stoliku w sanatorium na Krymie zaprzyjaźniony poeta Czulkow widzi, jak Nadia Mandelsztam wypisuje na kopercie adres zgodnie z nową ortografią. – To zdrada! – wykrzykuje Czulkow. Robi jej awanturę i przenosi się do innego stolika. (Za kilka lat, kiedy Gorki założy w Berlinie czasopismo „Biesieda”, ofiarują mu z Moskwy dotację pod warunkiem, że zastosuje nową ortografię). W Teodozji Erenburg był świadkiem, jak Osip przemówił do bogatych liberałów. „Na Sądzie Ostatecznym – mówił – zapytają was, czyście rozumieli poetę Mandelsztama. Odpowiedzcie: nie, nie rozumieliśmy. I wtedy zapytają: a czy dawaliście mu jeść? Jeśli odpowiedzcie: tak, dawaliśmy, wiele będzie wam wybaczone”.

A jednak żyliśmy wtedy nadzieją, wspomina na starość pani Mandelsztam, o imieniu Nadzieja. W Osipie, świadczy, nie było całkowitej negacji. Wciąż się bał, że „może my spoza drzew nie widzimy lasu”. (Martow, przywódca mienszewików, chwilami tak samo: a może to oni, bolszewicy, mają rację; może lepiej widzą? Takie typowo inteligenckie

rozterki). Byli młodzi, Osip i Nadia – choć on o czternaście lat starszy – cieszyli się sobą w łóżku. Ona nawet zamartwiała się z tego powodu: – Osia, czy to nie jest poniżające, szczęście dzięki rozkoszy fizycznej? – Ależ to wspaniale, Nadienko, nic lepszego nie może się trafić. Nie chciała zawrzeć ślubu, taka była postępową – powinniśmy czuć się wolni – towarzyszka Kołontaj ma rację: „miłość to radość dwóch naskórków”, tak się wtedy mówiło. Ona zapamiętuje się w rozkoszy, a Erenburg słyszy podczas swojego wieczoru autorskiego: „Miłość płciowa to przeżytek burżuazyjny – dlaczego nie mówi się o tym wprost?” Osip był babiarz, kochliwy, cóż, poeta – Nadia uważała, że nie wypada okazywać zazdrości, to mieszczańskie, przeżytek, a my artyści... Osip był bardziej zacofany, w gruncie rzeczy chciał mieć dom, lubił porządek, zwłaszcza na stole, to ja byłam z cyganerii, wspomina stara kobieta (a ja, Jeff z Indianapolis, czytam to z płonącymi uszami) i dopiero, jak opowiada, kiedy zrobiła mu awanturę, kiedy rozbiła mu talerz na głowie, wrzeszcząc: „Albo ona, albo ja!”, zachwycony Osip zawołał: „Nareszcie jesteś kobietą!”. Ale ślub w końcu wzięli w Piotrogradzie, musieli się poddać, takie były wymogi kwaterunku. (Nigdy nie wziął ślubu towarzysz Mikojan, Anastas, zakochany w ormiańskiej dziewczynie, Aszchen. Ona też mówiła: masz rację, kochamy się, ślub niepotrzebny. Jej mama, Ormianka, była załamana, omal swojej Aszchen nie wyklęła. Mieli potem pięcioro dzieci i Bóg wie, jakim cudem, nikt w tej rodzinie nie padł ofiarą w okresie stalinowskim. Wszyscy nosili nazwisko ojca – mimo braku ślubu. Bo jak się jest członkiem politbiura, to wszystko da się załatwić, wystarczy telefon. Beria przychodził czasem do Mikojanów na obiady. Dzielna Aszchen zamykała się wtedy u siebie, udawała migrenę. Mówiła Anastasowi: „Jak możesz z tym potworem współpracować?”. „Zamilcz – na to mąż, oglądając się. – Gdyby nie on, dawno bylibyśmy wykończeni”. Kiedyś młody Mikojan, Sergo, próbował przeniknąć tajemnicę szczęścia ojca: przeżył wszystkich, działał od Iljicza (Lenina) do Iljicza (Breżniewa). „Myślę – powiedział staremu ojcu, już emerytowi – że to dlatego, bo wiadomo było, że nigdy nie dążyłeś do władzy, zajmowałeś się sprawami handlu, nikomu nie zagrażałeś”. Anastas kiwał głową: tak, tak... tak było. Ale kiedyś warknął: „Wszyscy byliśmy łajdakami”. I kto wie, myślę sobie, czy nie to stwierdzenie, właśnie ono ratuje mu twarz).

Stara pani Mandelsztam wspomina, że poeci akmeiści, Chodasiewicz i Gieorgij Iwanow, jako dobrzy przyjaciele Osipa, uważali, że powinien się

z nią rozstać. „To nie jest kobieta dla ciebie”, przekonywali go. I pewnie by tak zrobił, gdyby ona była typem kobiety silnej. Ale nie, była bezradna – silnych kobiet Osip nie lubił. „Szłam za nim jak piesek”. Kiedyś powiedziała mu: – Wolisz mnie od innych, bo jestem twoim tworem. On się rozgniewał. (I słusznie). Marzyła o jedwabnych pończochach. I pomyśleć, zwierzała się na starość, że mogliśmy mieć normalne życie, z awanturami, zdradami, złamanym sercem – ile bym za to dała! (Była silna, niezwykła w swojej miłości, ale o tym nie wiedziała).

Kiedyś, wiele lat później, zapytała Annę Achmatową: „Jak myślisz, czy gdybym się zestarzała przy Osii, on by mnie rzucił?” „Na pewno by cię rzucił” – zawyrokowała bez wahania poetka przyjaciółka. Nikołaj Gumilow, czołowy akmeista, był jeszcze przed rewolucją przez dziesięć lat mężem pięknej Achmatowej. (Naprawdę nazywała się Gorenko; był kiedyś jakiś zjazd poetycki, na który przyjechała młoda wierszopisarka nazwiskiem Achmatowa; dwie Achmatowe spotkały się i rozmawiały ze sobą: „Widzisz – mówiła Anna do Nadii – to ona jest prawdziwą Achmatową, nie ja”). Kiedy się rozstali z Gumilowem, z niego wylazł straszny uwodziciel. „Ach, bo on mnie wciąż kocha – mówiła Anna Andriejewna – tylko mnie i dlatego zmienia kobiety”. Ona go nigdy nie kochała – uważa Nadieżda i chyba ma powody, by tak sądzić. Dwie stare kobiety wspominają mężów, kochanków, zdrajców i tych kilkoro, co odważali się czasem pomagać. Jedna z nich jest wdową po zamordowanym poecie, nieświadomą jeszcze swojego talentu prozatorskiego, druga – sławną na cały świat poetką. (Kiedyś, w Leningradzie, urządzono Achmatowej owację, wszyscy wstali, ona przyjmowała te oklaski przerażona, przeczuwała, co się stanie. Stalin się dowiedział i wybuchnął: „Kto pozwolił?”. Na stojąco – wsie wstajut, burnyje ałodismienty, standing ovation! – tak jak dla niego, Stalina. Anna jest przekonana, że to wtedy zapadła decyzja, żeby zaatakować miesięcznik „Zwiezda” za jej dekadencją, szkodliwą poezję i za opowiadania Zoszczenki). Więc tak sobie gawędzą i poetka Achmatowa roztacza wizję Raju dla poetów. Tak to będzie wyglądało: siedzą duchy poetów przy długim stole i recytują najlepsze wiersze. I kończy, zwracając się do Nadii: „Żony poetów nie będą tam miały żadnych przywilejów”.

Wdowa po Piotrze Stołypinie, zamordowanym w roku 1911 premierze, kieruje się z rodziną w stronę Niemirowa, tu znajdują schronienie pod rządami białych. Postanowiono, że Arkaszka Stołypin, praprawnuk

Suworowa, szesnastolatek, którego buty się rozlatują, będzie do szkoły chodził boso – tak jak dzieci wiejskie. Chłopiec jest zachwycony.

Jego wuj, książę Włodzimierz Szczerbatow, schronił się niedaleko nich w chacie leśnika. Ma ze sobą kuferek, którego nigdy nie spuszcza z oka. Leśnik domyśla się, co tam może być: książęce klejnoty. W nocy morduje księcia siekierą i rzuca się na kuferek. Grzebie w papierach, ale żadnych klejnotów nie ma. Są listy, tylko listy – od ukochanej żony księcia.

Latem 1920 roku, na Krymie, biali Kozacy dońscy aresztują Osipa Mandelsztama. Żyd, więc już przez to samo wróg, a do tego mógł mieć opinię komunisty. Maksymilian Wołoszyn, poeta i człowiek miejscowy (dom w Koktebelu), interweniuje, i to skutecznie, u szefa kontrwywiadu. Oskarżenie pana Mandelsztama „o bolszewizm – pisze – o partyjną robotę to absurd. Jest on c z ł o w i e k i e m l e k k o m y ś l n y m, n i e n a d a j ą c y m s i ę d o ż a d n e j r o b o t y i nie grzeszącym żadnym przekonaniem politycznym”.

Stan psychiczny Osii jest rzeczywiście nie najlepszy. Rozdrażniony lub bliski depresji, powody są raczej oczywiste, niemniej oboje decydują, że powinien się poradzić psychiatry. Nadia poprosiła psychiatrę, by dyskretnie podzielił się z nią diagnozą. „Pacjent żyje w świecie rojeń – powiedział psychiatra. (W porządku, z tym się można zgodzić). – Uroił sobie, że jest poetą. I to wybitnym poetą. Stan ciężki”. „Kiedy to prawda” – na to Nadieżda. Lekarz przypatrzył jej się uważnie. „Wie pani, takie urojenia bywają często zaraźliwe”.

Kilka lat później Maksymilian Wołoszyn, wspominając swoje interwencje, tłumaczy: „Czerwonych za rządów białych i białych za rządów czerwonych broniłem, rozumie się, nie ze względu na neutralność ani *nawet filantropię*, ale dlatego, że nie sposób tolerować idiotyzmu wzajemnej masowej eksterminacji rosyjskich obywateli”. I dalej: „Nie jestem *neutralny* (*neutralność* zrównywano z kontrrewolucyjnością – J.T.), ale znacznie gorzej: uważam burżuazję i proletariat, białych i czerwonych, za antynomiczne przejawy jednej i tej samej istoty. Wojnę domową – za zgodną współpracę w jednej i tej samej sprawie”.

Izaak Babel, kawalerzysta w czerwonej Konnej Armii Budionnego (i korespondent wojenny), notuje:

(Wobec Żydów) „Ta sama nienawiść, ci sami Kozacy (po obu stronach – J.T.), ta sama srogość, a, prawda, wojska przecież różne, ale to brednie. (...)

Nie ma dla nich ratunku (...) Polacy też nie dali im spokoju. Dziewczęta i kobiety ledwie powłóczą nogami”.

Rozstrzeliwują „chłopaka o przyjemnej twarzy”, mówi, że był „kimś w rodzaju chorążego”. „Polaczek w kalesonach pada w drgawkach na ziemię. Życ się odechciewa, mordercy, niesłychana podłość, przestępstwo”.

„Błagamy, by nie zabijali jeńców. Apanasenko umywa ręce. Szeko bąknął: dlaczego nie...”

„J a k ą ż t o w o l n o ś ć p r z y n o s i m y, okropieństwo”.

„Zarżnij go...”. „Zarżnąć” – ulubione słowa Apanasenki. Bo to oszczędność na nabojach.

I tekst z tamtej strony, białej. Borys Sawinkow, przywódca eserów, w powieści *Koń wrony*. Narrator: „Człowiek żyje i oddycha zabójstwem, brnie przez krwawą mgłę, a wśród krwawej mgły umiera. Drapieżny zwierz, mówi, zabija, gdy dręczy go głód, człowiek zaś ze zmęczenia, z lenistwa i z nudów”.

Tamci zabijali w imię „Sprawiedliwości społecznej”, ci – w imię „Swobody”.

Narrator, przyglądając się lekarzowi, któremu zabrano aptekę, myśli: „Czym ja się różnię od komisarza? Wierzymy w co innego, ale z naszych postępów tego nie widać”.

– Świetnie pan wygląda! – zawołała, przyglądając mi się. Byliśmy już po wymianie powitalnych cmoknięć (tak to się przyjęło). – Świeżo. Nic pan nie tęskni!

Taka była konkluzja. No i niech...

– Naturalnie, że nie tęskniłem. Wiem, że to niewskazane.

Zamówiliśmy po stocku, dla niej jeszcze cappuccino. Przyjrzała mi się sponad brzegu uniesionego do ust kieliszka (poranna zieleń jej oczu – szkoda, że nie mam ze sobą aparatu).

– Ale troszeczkę jednak pan tęsknił? – spytała (pewna swego).

– Troszeczkę to może tak – przyznałem. – Pani za to była bardzo zajęta.

– Ale teraz mogę się cieszyć, że pana widzę. Myślał pan o naszej książce?

– Nieustannie.

– I o tej pani Ninie, w której jest pan zakochany?

– Z natury rzeczy jest to miłość raczej umiarkowana.

Była w ciemnoniebieskiej spódniczce mini. Nie potrafiłem się z tym pogodzić. Jakoś mi to do niej nie pasowało. Rozumiem, że chciała się

pochwalić opalenizną ud. Delikatną, pastelową, te uda do niej pasowały (do mojego wyobrażenia o niej), ale spódnica mini, opinająca ciasno jej pośladki, ich agresywną wypukłość, nie, nie, to nie ona, nie ta pani, pięknie (to znaczy harmonijnie) wyrzeźbiona, z tą wyniosłością i klasą, jaką pobrzmiwa słowo „pani”, nie, to jakaś – siusiumajtka (czy nie tak się mówi po polsku?) – siusiumajtka, ona! – spokoj, ani słowa o tym.

No i rzeczywiście lepiej nic nie mówić, bo oto jej twarz się rozjaśniła – Chryste, jaka piękna! Jaka ujmująca! – i ta diablica o tym wie. Trzymaj się, Jefferson T., jesteś WASP-em z Indianapolis, nie żadnym rozchwianym Słowianinem. Ona zapytuje:

- Jak tam śledztwo? Wie pan już, kto zabił przyjaciela?
- Jeszcze nie. Ale wiem, dlaczego został zabity.
- Dlaczego?
- Bo za dużo wiedział.

Pytanie, które zadała, narzucało się samo:

- O czym?
- Gdybym wiedział o czym, szybko bym chyba doszedł kto.
- Nie może pan wydedukować?
- Nie jestem Sherlockiem Holmesem. – Dodałem po chwili: – Obawiam się, że stanąłem przed murem. Chyba że coś się nieoczekiwanie otworzy, jakaś furtka.

– Czyli teraz będzie pan miał więcej czasu dla mnie.

Mógłby ktoś powiedzieć, że ona beze mnie się nudzi. Całe życie na mnie czekała. Nie zapomnij o jej grubym kalendarzu, człowieku. Za kilka dni usłyszysz: jutro odlatuję – Londyn (albo Cardiff) – służbowo. Potem dostanę SMS. Albo nie. Spytałem:

- Czy odczuwa pani, że wróciła odmieniona?

Zdziwiło ją to pytanie. Nie wie, że męczyło mnie skojarzenie z podróżą Luizy.

- W jakim sensie? – spytała.
- Jakieś nowe... – szukam słowa. – Nowe przywiązanie?

Uśmiech.

- Myślałam, że coś w wyglądzie...

Znowu uśmiech. Dyplomaci powinni się uczyć: zamiast „nie potwierdzam, nie zaprzeczam” – uśmiech. Najlepszy z możliwych uników.

Jej dekolt – ze złotymi nitkami rozetki pośrodku. Obłość brzegu prawej piersi wychyla się ku mnie w wycięciu bluzki. Nasada piersi usiana

piegami. Straszna mam ochotę przyssać się do nich wargami. Czuję podniecenie – no, nareszcie – cieszy mnie to. Ona chyba wyczuła mój niepokój (ona potem powie z zabójczą trzeźwością: no tak, hormony, testosteron), bo przywraca mnie do przytomności:

– Kiedy zaczniemy?

Zupełnie tak, jak gdybym ja się lenił, a ona na próżno czekała.

– Gromadzę notatki – odpowiedziałem.

– Czy nadal to pana fascynuje?

– Coraz bardziej.

– I narrator będzie się kochał w redaktorze?

– Uważa pani, że tak może być?

– To byłoby fajne.

– A redaktorka? – spytałem.

– Co redaktorka?

– Co ona na to? Nie odpowie miłością?

– Po co? Kochać ma się on.

– To może być kicz. Nie jestem powieściopisarzem.

– Ale ja wierzę w pana. Pióro w ręku pan ma!

– Dziękuję. Strasznie się tego boję. A jak redaktorka ma na imię?

– A nie może być Matyllda?

– „Matyllda” w cudzysłowie?

– No właśnie.

– Więc prawdziwa Matyllda będzie pisać o „Matyldzie” w cudzysłowie.

Na tym gruncie czułem się pewniejszy.

– Uzgodniliśmy – mówię – w porządku. To teraz o Narratorze. Musi być młodszy ode mnie. Żeby miał szansę z nią.

– Ale nie za dużo – zastrzegła się. – Dojrzały mężczyzna. Mistrz.

– A jak ma na imię? Billy? Bob? Może Stanley – od Stanisława?

Ona:

– A nie może być „Jeff”?

– „Jeff” w cudzysłowie. „Jeff” w cudzysłowie kocha się w „Matyldzie” w cudzysłowie. Zabawne. I ten Gorki, co obserwuje Lenina, może chce o nim pisać. A „Jeff” obserwuje Gorkiego obserwującego Lenina. A kto obserwuje „Jeffa”?

– Pan. – Po chwili: – I ja.

– Czyli prawdziwa Matyllda?

– Prawdziwa.

– To dla mnie krępujące. Jeszcze po stocku?

Nie, ona nie może, przecież prowadzi swojego czerwonego peugeota. Ale pan może, proszę bardzo, jeśli to panu dobrze zrobi. Łyknąłem trochę dodatkowego stocka i poczułem, że muszę jej o tym powiedzieć. Taki przymus.

– Pani Matyldo, chciałem coś o tym rugby.

– Proszę.

– Mówiła pani, że to podniecające. No to powiem pani, co o tym myślę. Mogę?

– Proszę.

– Myślę, że takie odczucie zależy od tego, kto siedzi obok. Od mężczyzny, który znajduje się przy kobiecie.

Przez chwilę milczała, a potem, nie patrząc na mnie (zawsze, kiedy ma powiedzieć coś bardziej intymnego, odwraca twarz bokiem, tak że widzę ją z profilu, i to jakoś pociemniała), kiwnęła głową.

– No tak...

Dlaczego przyznała się do tego? Chciała mnie pochwalić, wyznać – tak, odgadłeś, byłam z kochankiem, miało to stanowić coś w rodzaju komplementu: jesteś bardzo inteligentny. Ale od tej świadomości wcale nie zrobiło mi się lżej. Poczułem ciężar swoich lat. Dosłownie ciężar – jakbym je nosił na barkach. Stary mistrz, któremu wszystko można wyznać. Wyrozumiąły, bo wyrozumiłośc przystoi mistrzowi. Nie jestem dla ciebie mężczyzną. Niedomyślność kobiet, kiedy nie kochają albo kochają kiepsko. Ranią bez refleksji... Ona o mnie nie walczy. Gdyby walczyła (choćby z obrazem innej kobiety)... Tak to czułem, kiedy usłyszałem:

– Ale to stara historia.

Chyba machnęła lekceważąco ręką. Rugby już nieważne. Milczałem, a ona przypatrywała mi się, jakby chciała zapamiętać moje rysy. Albo coś we mnie odgadnąć. Wychyliłem resztę stocka, a ona piła moją herbatę. Nagle podniosła na mnie oczy, widziałem w nich zaciekawienie, prześliczne iskrzenie się białych, drżących płatków w soczystej trawie, już wiedziałem, o czym chciałyby się dowiedzieć, wypileś po raz drugi, powinienes być śmielszy, in vino veritas, ale zapytać o to tak wprost, nie, nie mogła. Więc jej to ułatwiłem.

– Zdaje się, że panią coś we mnie intryguje. Czy tak?

– Yhm.

– Czy jestem zakochany?

Kiwnęła głową.

– Jestem. – Rozłożyłem ręce w geście bezradności. – Nie da się ukryć. Zauroczony do szpiku kości.

Mimo tej mini opinającej nachalnie pośladki. Ale nie powiedziałem jej tego.

– Nie będę uciążliwy – obiecałem.

– Wiem.

Musiała pędzić. Umówiliśmy się na dalsze rozmowy. Ale jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem do niej.

– Pani Matylko, przepraszam, chyba za dużo powiedziałem. Strasznie żałuję. Wystraszyłem panią.

Osiągnęłaś swoje, myślę, zaliczyłaś, możesz wpisać do notesu – i teraz będą tylko kłopoty.

– Nie wystraszył mnie pan – usłyszałem jej głos, zaskakująco niski. Spokój i rzeczowość redaktorki-businesswoman. – Wszystko jest w porządku.

– Nie będę uciążliwy – zapewniłem raz jeszcze.

– Wiem – odpowiedziała tak samo. – Całuję.

Czyli nic się nie zmieniło.

Zmieniło się to, że na następne spotkanie przyszła w krótkiej sukience (ale nie mini), także ciemnoniebieskiej, trochę ponad kolana, delikatnie opalona, roześmiana. Przyglądałem jej się z nieukrywanym zachwytem i prawie wykrzyknąłem:

– Zapomniałem, jaka pani jest śliczna!

– Podoba się panu ta sukienka?

– Tak, bardzo.

No to dwa razy cmok (w oba moje policzki). Potem cappuccino – mniam-mniam... Najlepsze w Warszawie. Mówi to kelnerce (już ją zdobyła), ale ja wiem, że – pośrednio – to komplement dla mnie. Informuję ją, że wynająłem pokój w pensjonacie w Konstancinie.

– To tam będziemy pracować?

– Jeśli się pani zgodzi.

Ona uważa, że to interesujące. Daję jej kartkę, na której narysowałem, jak do mnie trafić samochodem. Ona studiuje ją przez chwilę i chwali:

– Bezbłędne, trafię bez trudu.

Teraz jej powiem.

– Pięknie pani wygląda w tej sukience. Jest w sam raz dla pani.

- Komplementarz z pana.
- Niezupełnie, bo ta spódniczka mini... Chyba ją pani zabrała córeczce.
- Nie podoba się panu? – Raczej się zaciekawiła, niż zmartwiła.
- Nie dla pani. Ta, owszem, też jest sexy, jest pani w niej bardzo ponętna.
- Dziękuję.
- Ale inaczej. Jest pani sobą.
- A w tamtej?
- Powiedzieć?
- Bardzo proszę.

Przechyliłem się przez stół i powiedziałem do ucha:

– Dupa.

Ona, z rozbawieniem:

- Dupa? (Wcale nie tak cicho).
- Tak, dupa.

Zaśmiała się i powtórzyła, jakby smakując słowo:

– Dupa. No proszę.

Rozbawiona, słowo daję. „Nareszcie zauważyłeś, że mam dupę” – może to chciała powiedzieć. Spytała:

– Ma pan chusteczkę?

Miałem. Odwróciła się ode mnie i oczyściła głośno nos. Jak trąby jerychońskie, pomyślałem. Mury obcości padają. Bliska kobieta, coraz bliższa. Usprawiedliwiła się:

– Mam katar. Alergia.

Po chwili:

- Jeszcze mnie pan kocha czy już panu przeszło?
- Moja miłość się pogłębia. Co pani na to?
- Jestem dumna. (Ton bardzo serio).

Ośmieliłem się odezwać:

– Chyba nie wyobrażała sobie pani, że moje uczucie obywa się bez pożądania?

Ona, profilem, nie patrząc na mnie:

– Bardzo bym się dziwiła.

No to śmiało do przodu.

– Chce pani wiedzieć, kiedy po raz pierwszy poczułem przy pani taki gorący prąd? Bo jeśli pani nie chce...

– Chcę wiedzieć.

Tak, chciała wiedzieć wszystko, co dotyczyło jej. Ważne dla kobiety. Już dawno spostrzegłem, że nie jest pruderyjna, teraz się to potwierdziło.

– To wtedy, kiedy po raz pierwszy ukazał się pani dekolt, z tą rozetką – pamięta pani – i pani prawy cycuszek ku mnie zerknął.

Powtórzyła – zdaje się, że lekko zarumieniona:

– Cycuszek... zerknął... Zerknął – powtórzyła znowu. – Była wtedy suknia w kwiaty?

– Tak.

– Wie pan co, mistrzu? Jest pan taki sobie ścichapek.

Nie rozumiałem.

– What it means: „ścichapek”?

Nie umiała wytłumaczyć.

– To dobre czy złe? – pytam.

– Zależy od kontekstu.

Teraz już zupełnie nie rozumiałem. Ona:

– Trudno, musi mi pan uwierzyć na słowo.

– All right – wierzę na słowo. Ścichapek – ja. Very strange.

Nie wiem, czy będę umiał wyrazić sens tego po angielsku. Zdobyłem się na odwagę i powiedziałem, że ścichapekactwo to jest, moim zdaniem, cecha WASP-ów. Teraz z kolei ona nie wiedziała, co to znaczy: WASP. Wyjaśniłem: White Anglo-Saxon Protestant. Na pożegnanie wymiana cmoknięć – miała gorący policzek.

– To ten stock – usprawiedliwiała się.

Chłonałem zapach jej perfum.

– Czy pani pachnie? Coś tak delikatnego...

Wymieniła nazwę paryskich perfum, którą z niej chytrze wyciągnąłem (nie powtórzę jej tutaj, żeby mnie nie oskarżono o kryptoreklamę; no, chyba że firma zapłaci).

Odprowadziłem ją do samochodu. Szedłem o krok za nią, tańczącą w tej prześlicznej jedwabnej, ciemnoniebieskiej sukience. Kiedy otwierała drzwi, wyczuła, a może domyśliła się mojego spojrzenia, odwróciła głowę i powiedziała z triumfującym uśmiechem:

– Dupa.

I zasiadła za kierownicą.

9

Czekam na nią. Wypatruję jej przez okno. Przed sobą mam trzy grubopienne brzozy. Dookoła kwietne rabaty, krzewy georginii. Zakwita jaśmin. Mam dla niej prezent, to będzie niespodzianka. Na biurku, oparta o lampkę, fotografia zamysłonego szatyna przed trzydziestką: to mój syn, Clark. Zastanawiam się, czy nie schować. Nie, nie będę prowadził podwójnego życia: jednego dla niej, na pokaz, drugiego – prawdziwego. (A może potrójnego).

Telefon, którego nie oczekiwałem: dzwonił Jacek Blau, syn Wiktora, dostał mój numer od matki. Zgorszony, że nie nawiązałem z nim kontaktu. – Pokażę ci coś – mówi – coś, co należało do taty. Na pewno mnie to zainteresuje. Umawiamy się. Jej wciąż nie ma.

Siadam w fotelu i zamykam oczy. Cisza, nasłuchuję, słyszę zawodzący, cieniutki śpiew skrzypiec. Potem leciutkie stąpanie. Jej twarz rozjaśniona śmiechem nade mną. Siada mi na kolanach, ciepła i leciutka, obejmuje mnie szczupłymi nagimi ramionami i obsypuje pocałunkami, między jednym a drugim pocałunkiem śmiejąc się jak rozdzwoniony kryształ. Oddycham głęboko szczęściem – i otwieram oczy. Drzemałem minutę, nie więcej, ale ona zdążyła pojawić się w moim śnie, zdążyła otoczyć mnie szczęściem i leciutko umknąć. Chciałem powiedzieć: dziękuję ci, dziewczyno, że pofatygowałaś się do mojego snu, uraczyłaś mnie swoim uśmiechem i rozkosznymi muśnięciami ust. Pojaw się jeszcze kiedyś.

Nagle zagrała komórka i pojawiła się kopertka z wiadomością: „Właśnie zderzyłam się z autobusem. Matti”. O Boże, czyżbym przyniósł jej pecha? Dzwonię, nie odbiera telefonu. Nagrywam się: „Na litość boską, co z tobą? Czym mogę pomóc? Odezwij się, błagam!”. Nastawiam wodę na herbatę, sprowadzone z baru szparagi w maśle wsuwam do piecyka. Odezwij się! Wyłączam piecyk. Wsuwam paczuszkę z prezentem do szuflady biurka. Telefon! Ona! „Zaraz mnie pan zobaczy”.

Wybiegam z pensjonatu. Na dziedziniec zajeżdża czerwony peugeot. Wysiada z niego roześmiana – więc mówię (tak samo jak ostatnio): –

Zapomniałem, jaka pani piękna.

Całujemy się, ja pytam:

– Nic pani nie jest?

– Nic.

– A samochód?

– W porządku.

Lubi straszyć.

– Bardzo się niepokoiłem – powiedziałem, prowadząc ją do pensjonatu. Pani recepcjonistka odpowiedziała na jej „dzień dobry” kordialnym „witamy”.

Była w obcisłych jasnobezowych spodniach w kwiaty (poznałem chyba już te kwiaty), na pewno z tego samego hiszpańskiego materiału, co tamta suknia, „objawienie kobiecości”. Przez ramię miała przerzuconą torbę, pod pachą płaskie pudło, w którym domyśliłem się laptopa. Stała na rogu mojego cienistego pokoju i rozejrzała się po nim.

– Skromnie pan tu ma – uwaga raczej krytyczna. – Ale chyba zacisznie.

– Za oknem brzozy. Proszę spojrzeć.

– Widzę. Piękne. – Położyła laptopa na biurku. – Trafiłam bez kłopotów. Świetnie pan to wyrysował – chwaliła. Pokazała mi moją kartkę i wsunęła ją do torebki. – Schowam na pamiątkę. – Potem: – Będziemy pracować. – Spojrzenie na fotografię. – To syn?

– Syn.

– Jest przy matce?

– Już samodzielny.

– Przystojny – mówiła, biorąc fotografię do ręki. Potem spojrzała na mnie. – Cały w ojca – rzuciła lekko, jakby mimochodem, odstawiając przy tym fotografię na miejsce.

– Czy mam to przyjąć jako komplement? – spytałem.

– Tak, oczywiście.

– Zje pani szparagi?

– Z rozkoszą.

Krzątałem się teraz, jak przystało na gospodarza. Ona spytała:

– A za tamtymi drzwiami co?

– Łazienka. Ma pani tam jakieś sprawy?

Z ręką na kłameczce uśmiechnęła się do mnie:

– Pan dobrze zna kobiety.

Potem usłyszałem szum spuszczonej wody – otworzyły się drzwi, zawołała: „Który ręcznik mogę wziąć?” – „Ten, który się pani bardziej podoba!” – jeszcze chwila i ukazała się. Moja Radość, pomyślałem i miałem straszną ochotę jej to powiedzieć: „Jest pani moją Radością”, ale się powstrzymałem. Hamuj swoją wylewność, Jeff, nie zapominaj, że jesteś WASP-em z Indianapolis i takim masz pozostać w jej oczach – być może to jedyna twoja szansa.

– Mam dla pani prezent – powiedziałem.

I wyjąłem z szuflady pięknie opakowane pudełko. Natychmiast wzięła się do rozpakowywania. – Serce mi bije – przyznała się. Kiedy ujrzała flakon swoich ulubionych perfum, powiedziała cicho:

– Postarał się pan. Dziękuję.

Było cmoknięcie. Usta, chcę twoich ust. Nie śpiesz się, wszystko będzie, i usta, i prawa pierś obsypana piegami, wszystko.

Jedliśmy potem bardzo smakowite szparagi i sączyliśmy stocka, nie za dużo, bo mieliśmy pracować, a do tego pani Matylda ma ten zgrabny samochodzik. Podniosła kieliszek.

– Zdrówko – powiedziała, bo tak mawiała bohaterka powieści, nad którą się ostatnio popłakała.

– Udanych wakacji – na to ja. – Odgadłem?

Kiwnęła głową.

– Już wkrótce. Wezmę ze sobą ten flakonik, będzie mi pana przypominał.

– Dokąd tym razem? Jakież rugby?

– O nie. W odwrotnym kierunku. Jedziemy z Anulką i mężem w okolice Perpignan.

– Z mężem? Zawieszenie broni czy pokój?

– Nie będzie rozvodu. – Ze śmiechem. – Przynajmniej na razie. Odnaleźliśmy się. Pana to zapewne martwi.

– Nie, wcale. – Mówiłem prawdę. – Bardzo chcę, żeby pani miała spokojne, szczęśliwe życie.

– Nie jest pan zazdrosny?

– O męża? Nie.

Ona przyjrzała mi się uważnie, jakby chciała zielonością przeniknąć we mnie.

– Przyjemnie jest obcować z dojrzałym mężczyzną – powiedziała. Westchnęła przy tym, jakby sobie przypominała kogoś, kto nie był aż tak dojrzały.

Mnie ogarnęła melancholia, której nie ukrywałem.

– Nie jest łatwo być dojrzałym. – Chciałem się trochę pomądrzyć, na przykład powiedzieć: „Skoro jest miłość, to jest i zazdrość”, ale znowu pomyślałem sobie, że trzeba się strzec słów. Spytałem: – A co by pani powiedziała, gdybym nawiązał teraz z kimś romans?

Spochmurniała.

– Wydawało mi się, że jest pan zaangażowany.

– Jestem. Ale bez satysfakcji. Mam zgodę na romans?

– Byłabym zazdrosna.

– Dziękuję. Mnie to musi wystarczyć.

– Weźmy się do roboty.

Zaniosła talerze do zlewozmywaka, poprosiłem ją, żeby nie zajmowała się nimi, lubię zmywać, lubię, jak spływa brud i wyłania się czysta porcelana, dobrze mi się przy tym myśli.

Otworzyła laptop, siorbnęła trochę herbaty.

– Przydałby się jakiś tytuł – zauważyła. – Może po prostu tak: „Dzieło”.

– Nie, nie wiem, czy to będzie dzieło. Ale będzie księga. – Podzieliłem się pomysłem: – „Księga gniewu”.

– Bo rewolucja?

– Czas gniewu.

– I miłości – na to ona. – Księga miłości i gniewu.

– „Księga gniewu i miłości”. Przede wszystkim „gniewu”. I mimo „gniewu” – także „miłości”.

– Dobrze, niech będzie tak, jak mistrz każe. Do roboty!

„Robotnicy nie mają ojczyzny” – pouczał rewolucjonistów Karol Marks. Nadeszła wojna i wszystko się zawaliło. W europejskich stolicach na ulice wyległy tłumy i dawały wyraz patriotycznemu uniesieniu. W parlamencie niemieckim socjaldemokraci głosowali za wojną. Lenin w Zurychu był pewny, że „Vorwärts” z relacją z Reichstagu to numer sfalszowany przez niemiecki sztab generalny. Róża Luksemburg jest bliska samobójstwa. „Czas wariatów” – mówi sceptyczny szef wiedeńskiej policji do Trockiego, obywatela wrogiego mocarstwa, konwojując go na dworzec, ażeby jak najprędzej znalazł się bezpiecznie za granicą. Tomasz Mann, zbliżający się do czterdziestki słynny autor *Buddenbrooków*, który głosił o sobie, że jest „człowiekiem apolitycznym”, nawet on uległ szowinistycznej epidemii (w przeciwieństwie do swojego starszego brata Henryka) i przekonuje, że „zwycięstwo Niemiec będzie zwycięstwem ducha nad przewagą liczebną”.

Dziewięćdziesięciu trzech niemieckich profesorów, wśród nich wielki Roentgen, odkrywca promieni „X” (co nie znaczy, że widział głębiej niż inni), podpisuje się pod oświadczeniem głoszącym, że armia cesarska ma do wypełnienia misję cywilizacyjną i kulturotwórczą w Europie. Wkrótce zapłoną biblioteki w Louvain – i zweryfikują tę misję. (Był pewien młody profesor, ale już wielki, który – jako jedyny – odmówił podpisu – nazywał się Albert Einstein).

Przybrany syn Gorkiego, Zinowij Pieszkow (młodszy brat czołowego bolszewika, Jakowa Swierdłowa), znajdował się akurat we Włoszech. Aleksy Maksymowicz usynowił piętnastoletniego chłopca w 1899 roku. (Ma manię adoptowania dzieci, narzeka Maria Fiodorowna; gdyby nie ona, nie byłoby temu końca, przy Gorkim stale przebywa adoptowana córeczka jego przyjaciela z Niżnego Nowogrodu, Marusia Heinze, którą zwał „Molekułą”). Zina – tak młodzieńca nazywał Gorki – przedziera się z Włoch do Francji i wstępuje do Legii Cudzoziemskiej. Po ataku, który prowadził, amputują mu rękę. Ale to nie przeszkadza mu wyróżniać się na polach bitew i w sztabie. Dosłuży się stopnia generała. W roku 1940 będzie przy de Gaulle’u w Anglii. De Gaulle powierza mu trudne misje dyplomatyczne na Dalekim Wschodzie. Także po latach, po swoim powrocie do władzy w roku 1958, przywoła do siebie sędziwego już jednorękiego generała – przywódca francuski najwidoczniej ufał mu do końca.

Żona Trockiego, towarzyszką Siedowa, zostawiła świadectwo, że Paryż nie zrobił na rewolucjonistów wrażenia: „Podobny do Odessy, ale Odessa ładniejsza”. (Odessa to miasto jego młodości, jego mała ojczyzna). Podobnie jak Lenin, pochłonięty działalnością polityczną, Lew Dawidowicz nie miał ciekawości dla miast i dla ludu, pośród którego przebywał. (Ale, jako zmarnowany krytyk literacki, świetnie zapowiadający się eseista, miał ogromną ciekawość dla powieści francuskiej. Szkoda, że nie poszedł w tym kierunku. I że Lenin nie został szachistą). W maju 1915 roku są w Sèvres. Piękna wiosna, wspominał Trocki, ale można było zauważyć, że „liczba kobiet w czerni wzrastała”. Był tu i Martow, przywódca mienszewików, „jeden z najzdolniejszych ludzi, jakich spotkałem w życiu”. Trocki wytyka Martowowi, że „w jego gospodarce duchowej brak równowagi, co ujawniało się w sposób tragiczny, kiedy następowały wielkie wydarzenia”. Sam Trocki nie musiał się w tym niemiłym Paryżu długo męczyć. Inspektor policji, pan Bidet-Fauxpas (co za nazwisko!), domaga się usunięcia

niebezpiecznego rewolucjonisty z Francji. Pochodzi co prawda z sojuszniczego kraju, ale będzie działał przeciw sojuszowi! Minister Edward Herriot (też zajmujący się literaturą) podpisuje nakaz deportacji. (Dzieje toczą się teraz w sposób przyśpieszony. Już za kilka lat obaj ci Francuzi zetkną się znowu z Trockim, ale jako z potężnym czerwonym komisarzem).

Gorki nie ma wątpliwości: ta wojna to idiotyczna rzeź. Światli ludzie powinni się jej przeciwstawić. Wzbudzają go emocje patriotyczne, którym dają wyraz niektórzy pełni uniesienia pisarze. Z Leonidem Andrejewem, przyjacielem, który założył pismo „Otieczestwo”, Aleksy Maksymowicz zrywa stosunki. On będzie robił swoje: wciąż wierzy, że szlachetne słowo, literatura piękna, oświata – wyzwolą ludzkość od zła. To jest jego utopia, bardzo różna od tej, której hołduje Lenin. Lenin, polityk, teraz obawia się, że ta wojna skończy się zbyt szybko, zanim zmęczenie i rozpacz doprowadzą do rewolucji proletariackiej. Gorki chce rządów ludzi światłych, wrażliwych na zło, krzywdę i biedę. Nazywa siebie socjaldemokratą. Nie myśli w kategoriach bolszewickich. „Moja rozbieżność z komunistami – napisze – dotyczyła oceny roli inteligencji w rewolucji rosyjskiej, przygotowanej właśnie przez tę inteligencję...” Rzeź trwa, ale trzeba ratować kulturę. Zakłada czasopismo „Letopis”, bierze udział w redagowaniu tomów wydawnictwa „Parus” (tzn. Żagiel), w tym okresie zachwyca się talentem pewnego zuchwałego młodzieńca, który nazywa się Włodzimierz Majakowski. Majakowski chwali się w swoich zapiskach, że kiedy czytał Gorkiemu fragmenty *Obłoku w spodniach*, „rozczulony Gorki opłakał mi całą kamizelkę. (...) Wbiłem się w dumę”. (Gorki – podobnie jak Lew Tołstoj – reagował łzami na piękno i wzruszenie. Świadkowie wspominają, że zdarzało się, iż kiedy czytał na głos własne opowiadanie, głos mu się łamał i zalewał się łzami). Podczas wojny Majakowski, jako „politycznie podejrzany”, nie zasługiwał na to, by służyć w oddziałach frontowych, został odkomenderowany do kompanii samochodowej, gdzie jego dowódcą był Wiktor Szkłowski, poeta i krytyk literacki; ten dla odmiany nie zasługiwał na to, by być mięsem armatnim, bo był synem Żyda-przechrzty. Do Piotrogradu ci samochodziarze chętnie wyskakują, bo nie przestały działać piwnice poetyckie, ich wysyp zaczął się jeszcze przed wojną, wraz z początkami futuryzmu, w kawiarni „Bezpański Pies” występują akmeiści, Gumilow

i jego uwodzicielska żona Anna Achmatowa (w czarnej spódnicy), Mandelsztam i Gieorgij Iwanow.

Wspomagać inteligencję. Gorki nie zapomina, że człowiek pióra musi nie tylko tworzyć, ale i czasem coś zjeść. Ledwie wojna się zaczęła, a on zapytuje Podjaczewa: „Czy przysłać panu trochę pieniędzy?”. Co prawda powodzi mu się materialnie nieszczególnie, „jak wszystkim”, „nie ma gdzie pracować, no i jaka teraz robota, kiedy każdy dzień zaczyna się od myśli, ilu ludzi wybito”. Listy do siebie każe na razie przysyłać na adres Aleksandra Tichonowa (męża Warwary), Kronwerska 20.

Z Mustamiaki pisze wzburzony (czerwiec, 1915) do zesłańca Małyszewa: „Nie może pan sobie wyobrazić, co się teraz wyprawia z żydowską ludnością Polski! Już wysłano około pół miliona, po piętnaście – dwadzieścia tysięcy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Chore dzieci ładowano do wagonów jak mrożone bydło, jak prosięta. Tysiące ludzi brnęło ugorami po śniegu, kobiety brzemiennie rodziły w drodze, przeziębiali się, umierali starcy, staruchy. Okropność!”. Dodaje: „Wstyd żyć, wstyd spotykać się z Żydami na ulicy”.

W kilka tygodni później pisze do poety Walerego Briusowa. Prosi go o udział w zamierzonej księdze *Żydzi na Rusi*, powstaje ona z inicjatywy „Rosyjskiego Towarzystwa Nauki o Życiu Żydów”. A honorarium – pisze – „Pan sam sobie wyznaczy”. (Nieźle! Taką miał zasadę: nic za darmo! Trzeba płacić! Twórcy żyją z pióra, a nie z dobroczynności). Podpisane: A. Pieszkow. I wreszcie adres, który będzie aktualny przez kilka lat: Prospekt Kronwerski 23. Dwie kondygnacje, dziewięć pokoi, przytulisko dla wielu bliskich mu osób, czasem i dalszych.

O udział w tej księdze prosi („stanowczo”) dramaturga Konstantego Treniewa. „Jest to wielkie i dobre przedsięwzięcie (...) Pańskie zastrzeżenie, że nie zna Pan życia Żydów, nie jest istotne; wszak myślał Pan o tym przeklętym i hańbiącym nas wszystkich zagadnieniu, przecież bolał Pan nad tą sprawą”.

Dochodzi do niego radosna wieść, że George Bernard Shaw nie dał się ponieść „chaosowi namiętności rozbudzonych przez tę szaleńczą wojnę, która wytlucze miliony aktywnych. Jeśli Pan pozwoli – pisze dalej – żebym wypowiedział się otwarcie, to powiem, że nie spodziewałem się, aby Pan, jeden z najśmielszych ludzi w Europie, został oślepiiony i ogłuszony wrażeniem światowej katastrofy. Sceptycyzm Anglosasa (Shaw był Irlandczykiem – J.T.) – kto wie, czy to nie jest najlepsze, do czego doszedł

myślący świat, a dla Pana, Shaw, to co najlepsze, jest w najwyższym stopniu właściwe, jak o tym świadczy wszystko to, co Pan zasiał na tym świecie”. Kończy list, prosząc, „aby Pan, drogi Shaw, pomógł nam, Rosjanom, orzeźwić mózgi naszych rodaków – zrobić tę robotę, która Panu tak wspaniale wychodzi”.

Przykład wielkich postaci wydaje się Gorkiemu najbardziej wychowawczy. Jak pozytywista schyłku dziewiętnastego wieku, jak Czechow, Gorki wierzy w dobroczynną magię wiedzy. Zamierza wydać wielki cykl opowieści biograficznych i chce zaangażować najsłynniejszych pisarzy. Zwraca się do Wellsa, żeby napisał *Życie Edisona*. (Wells nie zawsze podziela jego złudzenia, dostrzega możliwość wynaturzeń i patologii w ambicjach uczonych, ostrzeżeniem dla Gorkiego mogłaby być choćby przerażająca *Wyspa doktora Moreau*, ale pisarz rosyjski woli nie przyjmować tego do wiadomości). Drogi Romain Rolland, autorze *Jana Krzysztofa*, czy nie napisałby Pan biografii Beethovena dla dzieci? Fridtjof Nansen obiecał napisać o Kolumbie, on sam, Gorki, da Garibaldię, a hebrajski poeta z Odessy, Chaim Bialik – Mojżesza.

Wielcy pisarze uprzejmie Gorkiemu odpowiadali, ale żaden z nich do pracy jakoś nie przystąpił. Aleksy Maksymowicz wciąż snuje nowe plany, wciąż ma nowe pomysły. Car już zgodził się abdykować, w domu Berberowów wydaje się ostatnie przyjęcie, żegnają nim symbolicznie starą Ruś, będzie (przypominam) szampan i lody od Iwanowa. Niezmordowany Gorki zawiadamia Briusowa, że owo Towarzystwo dla nauczania o życiu żydowskim, „którego zadaniem jest, jak Pan wie, walka z antysemityzmem”, chce wydać szereg książek o „biblijnych opowieściach (także miłosnych) i legendach”.

Wiktora Szkłowskiego, poetę, dowódcę samochodu pancernego, obudziła wczesnym rankiem w Piotrogradzie zadyszana kobieta. „Panie podoficerze, proszę pana, niech pan mnie rozwiedzie z moim mężem!” Szkłowski tłumaczy, że przecież nie może, jest unteroficerem, ma pięcioosobową załogę i żadnych takich uprawnień. „Jak to pan nie może? Jest rewolucja! Wolność! A ja od dawna staram się o rozwód!” I co koledzy na to? – zapytuje poeta w mundurze swoich chłopaków. „Dać jej rozwód!” – uchwalają. Wydali kobiecie zaświadczenie, że „została rozwiedziona w imieniu Rewolucji”. A pieczętka? Skąd wziąć pieczętkę, której koniecznie domaga się kobieta? Znaleźli ją w laboratorium chemicznym, przyłożyli do zaświadczenia i pani odeszła – nareszcie wolna!

Wolność – nie da się zaprzeczyć. Dwa miliony żołnierzy opuszczają szeregi, przedzierają się z frontu do domu. Ale sześć milionów innych wciąż przebywa na froncie i z gniewem myśli o tych tam z tyłu, którzy wieszczą klęskę, a może nawet by jej chcieli.

Na okrętach wojennych, bazujących w Helsingforsie, władzę przejmują marynarze. Na bocianich gniazdach pancerników zapłonęły czerwone lampy. Na „Dianie”, gdzie służył matros Paweł Malkow, późniejszy komendant Kremla, bolszewików było tylko trzech. Wystarczyło. Rozbroili swoich oficerów i zamknęli ich w mesie.

Jest kraina wolności, ale i czas porachunków. W Helsingforsie znienawidzony admirał Niepienin rusza po lodzie do miasta. Na brzegu drogę zagradza mu tłum marynarzy. Admirał strofuje ich krzykiem. Rozlegają się strzały, admirał pada na lód. Nie trzeba sądu – sędziami jesteśmy my.

Trocki był wtedy w Nowym Jorku. Przywitał go tu Bucharin „z właściwym sobie... dziecinnym uniesieniem”, ironizuje Trocki. W pamiętnikach pisze, że „Bucharin stał się wprost medium, przez które działał ktoś inny”. (To zdanie, myślę, przyglądając się mojej notatce, powinno być w latach trzydziestych Bucharina uratować. Ale nie uratowało. Oskarżono go o „prawicowe odchylenie”).

W Ameryce jest też Aleksandra Kołłontaj. Wygadana, zna pięć języków obcych. Ewoluuje gwałtownie na lewo. „Jej teoretyczne poglądy były zawsze mętne” – notuje Trocki. Wszystko jest teraz dla niej za mało rewolucyjne. To ona informuje przebywającego w Zurychu Lenina o nastrojach w Ameryce. (Według Lwa Dawidowicza, „świadomie fałszywie”).

Internowano go, obywatela państwa sojuszniczego, w obozie – wraz z jeńcami niemieckimi. Trocki, jak to on, przemawia – przeciw wojnie. Oficerowie niemieccy poskarżyli się brytyjskiemu komendantowi, że ten Rosjanin „uprawia u nas antypatriotyczną agitację”. Czy Trocki dostał za to podziękowanie, jakieś wyróżnienie? Komendant wziął stronę hohenzollernowskiego patriotyzmu („Szowiniści wszystkich krajów, łączcie się!”) i zabronił internowanemu publicznych wykładów.

Trocki był znakomitym mówcą, wiedział o tym i upajał się słowem. (Zdarzało się, że kiedy przemawiał do robotników w Piotrogradzie, rozentuzjasmowani słuchacze wynosili go na rękach z sali). Kiedy mówi o przeciwnikach politycznych czy rywalach, zawsze ocenia ich jako

mówców, rewolucja przedstawia mu się początkowo jak igrzyska olimpijskie oratorów. Ceretelli był zawsze dobrym mówcą. Kiereński? „Najlepsze jego mowy były intensywnym przelewaniem wody”. Socjalista Vanderwelde „nigdy nie wzniósł się ponad błyskotliwą przeciętność”. O Stalinie w ogóle nie warto wspominać: mówca fatalny.

Trocki z żoną i synami wraca do Rosji przez Szwecję – tutaj zobaczyli po raz pierwszy kartki na chleb.

Lenin, który przyznawał, o czym już wiemy, że „Rosja jest najbardziej wolnym krajem świata”, wkrótce zmieni stosunek do tego wydarzenia, jakim była rewolucja lutowa, potrzebna jest teraz druga rewolucja, proletariacka. „Prawda” popiera jednak demokratyczny Rząd Tymczasowy, Gorki tym bardziej, despotyzm carski upadł, jest nadzieja na nowe, wolne państwo, po raz pierwszy w historii Rosji. Gorki wysłał rządowemu komitetowi wykonawczemu entuzjastyczne gratulacje. Lenin...

– Nie nadążam – odezwała się Matylda. Poskarżyła się: – Jestem zmęczona.

Posadziłem ją w fotelu, podałem kawę, znalazła się nawet śmietanka.

Ukląknę obok fotela.

– Dlaczego pan ukląknął?

– Tak mi wygodniej.

– Proszę wstać. – Wstałem. – Może pan sobie przysunąć krzesło.

Siadłem na krześle. Kolanem dotykałem jej kolana.

– Trochę dalej – instruowała.

Odsunąłem trochę krzesło. W jej oczach pojawił się uśmiech. Bawi się mną, pomyślałem. Już wiem: bawi ją moja miłość.

– Chciałem panią przeprosić – odezwałem się.

– Za co?

– Śniła mi się pani. Przepraszam, że się ośmieliłem...

– Ach tak... – I od razu zawyrokowała: – Świntuch.

– Ależ nie, wcale nie tak. Zdrzemnąłem się, w tym fotelu, to trwało pół minuty. Ale pani była bardzo szybka, zdążyła się pani pojawić. Można rzec, w ostatniej chwili.

– I co?

– Całowała mnie pani, bardzo delikatnie, całowała i uśmiechała się.

– Było panu miło?

– Byłem szczęśliwy.

– To nie ma za co przeproszać.

- Dziękuję, że wkroczyła pani w mój sen.
- Zapiszę to sobie.
- Zapisuje pani? – Trochę się zaniepokoiłem.
- Czasem. Jak pana śledztwo? – Zmieniła nagle przedmiot rozmowy.
- Utknąłem.
- Kiepski z pana Sherlock Holmes.
- Wiele rzeczy mi się w życiu nie udaje. – Mówiłem to poważnie.
- Och, nie, niech pan tak nie mówi.
- Kocham się bez wzajemności.
- To przecież bardzo piękne.

Chciałem zapytać: „Czy ma pani takie doświadczenie? czy przyniosło ono pani szczęście?”, ale dałem spokój, nie, na pewno nie kochała się bez wzajemności. Rozstanie z ukochanym – („to stara historia”) – tak, to mogło się zdarzyć, każdemu się zdarza. Powiedziałem tylko:

- Chyba się pani myli.

Kawa zapewne podziałała, bo ona była znowu bardzo ożywiona.

– Myślałam o naszym dziele. Jeśli to ma być hit, musi mówić więcej o współczesności. Ludzi interesuje najbardziej to, co dzieje się teraz. Wydarzenia.

- Na przykład?
- Tsunami.
- Śmierć papieża?
- Oczywiście.

– Pani Matyldo, wydarzeń nie dopędzimy. Wciąż są nowe. Nowe zaważenia się wież, nowe trzęsienia ziemi z dziesiątkami tysięcy ofiar. To jest ciągła licytacja. Zostawmy aktualności gazetom. Mnie zawsze interesował człowiek w historii, la condition humaine.

- Co to znaczy?

No tak, nie zna francuskiego.

– Dola człowiecza. Użył tego pojęcia Montaigne. Jest też pod takim tytułem powieść Malraux...

- Mistrzu, więc o co panu chodzi? Nad czym my się pocimy?

Nie mogłem jej się przyznać, że jeszcze dwa tygodnie temu nie miałem zamiaru o tym pisać. Zacząłem improwizować:

– Chcę wiedzieć, dlaczego zwycięża Zło. Nawet kiedy zamiary są światłe, ludzie ideowi. Czy to jest wina naszej przyrodzonej ułomności, zła tkwiącego w człowieku...

– Grzechu pierworodnego – podpowiada ona.
– Coś w tym rodzaju – zgodziłem się. – Popękanego fundamentu, na jakim buduje się gmach ludzkości.
– Teraz już pan wie?
– Ależ skąd. Prześledzimy te sprawy razem, pani i ja. I może dojdziemy do jakiejś odpowiedzi.
– I będzie książka?
– Może. Zadedykuję ją pani. „Zielonookiej Matyldzie” – można tak?
– Będę bardzo dumna. – Dotknęła miejsca pod lewą piersią. – Serce mi załopotowało.

Wstałem, odsunąłem krzesło, przyklęknąłem obok fotela, tym razem nie protestowała.

– Pani Matyldo, zdarzyło się coś, za co znowu muszę panią przeprosić. Kiedy dowiedziałem się o pani zderzeniu z autobusem...

– Co się stało?

– Nagrałem swoje zaniepokojenie – i wyszło mi na ty. To „ty” buchnęło z piersi jak „Boże imię” Mandelsztamowi.

– No i kiedy to się wreszcie stanie? – mówiła bliska irytacji. – Kiedy pozwoli mi pan do siebie tak mówić? (Boże mój, ona odwraca sprawę! To ona tego zbliżenia wypatruje). Spotykamy się. Pijemy. Książkę z panem piszę! Co jeszcze mam zrobić?

Pochyliłem się nad nią i szepnąłem, wdychając zapach delikatnych perfum:

– Powiedzieć mi ty. Powiedzieć: „Słuchaj, Jeff”.

Zaczerpnęła tchu.

– Więc mówię: Słuchaj, Jeff.

– Matti. Matti ukochana – szeptałem. – Obcałujemy to, prawda?

Nadstawiła policzek do pocałunku. Potem drugi. Zaśmiała się:

– Jeff, mamy to!

– Usta – poprosiłem.

Potrząsnęła głową.

– Usta – powtórzyłem. – Całowanie policzków mieliśmy i przedtem. Uczcijmy nową epokę!

– Nie, Jeff, nie będziemy się całować. Nie, nie. Nie możemy. Ja mam męża, ty masz żonę.

– Moja żona – powiedziałem – od lat jest już moją przyjaciółką.

– Ale nie moją – zareplikowała i muszę przyznać, że ta riposta mi się spodobała. – Masz serwetkę?

Podąłem jej serwetkę.

– Niech to stanie się tradycją – powiedziała i napisała mi na serwetce datę i godzinę następnego spotkania. (Tej serwetki chyba nie zachowałem).

Odprowadziłem Matyldę do samochodu. Przez chwilę staliśmy obok otwartych drzwi.

– Dziękuję za perfumy – powiedziała. – Jesteś niezawodny.

– Usta... – Musiałem wygłądać żałośnie, błagając ją o to.

– Nie, Jeff, musi wystarczyć to, co jest. Nie może być inaczej. Przecież jest dobrze – prawda, że jest dobrze? I chcesz się spotykać. Chcesz?

– Tak.

Cmoknęliśmy się na do widzenia. Ona (chyba, żeby potwierdzić to ty):

– Uważaj na siebie!

– Zapnij pas – przypomniałem jeszcze. Machnięcie ręką – i nie ma jej.

Wracałem do swojego pokoju z poczuciem klęski. Miłość bez wzajemności. „To piękne”. Co za bzdury! Czułem się nieszczęśliwy. To wtedy po raz pierwszy zapiekły mnie oczy. Wypić? Nie, zbuntowałem się, potrafię nie wypić. Zgarnąłem swoje notatki. Na czym to urwaliśmy? Że Lenin... Lenin co? Właśnie teraz, pod koniec marca 1917, przeczytał w „Neue Zürcher Zeitung”, że M. Gorki – jak donoszą ze Szwecji – posłał entuzjastyczne gratulacje rewolucyjnemu rządowi. Wzywa rząd do budowy nowego państwa. Ale wzywa też do samodzielności i zawarcia pokoju. „Nie za wszelką cenę” – dodaje jednak. Pokój, który pozwoli Rosji trwać z honorem. Jeśli to się uda, Rosja przysłuży się całej ludzkości.

Przeczytałem to, pisze Lenin w artykule wysłanym z Zurychu, z prawdziwą przykrością. Bo przesłanie Gorkiego przesiąknięte jest filisterskimi przesadami. „Autor niniejszego – pisze o sobie Lenin – miał sposobność spotykać się z Gorkim na Capri (nie dodaje: «goszcząc u niego»), przestrzegać pisarza i robić mu wyrzuty z powodu jego politycznych błędów”. A co na to pisarz? „Odpierał wyrzuty z czarującym uśmiechem, nie do podrobienia: «Wiem, jestem kiepskim marksistą. A poza tym my, artyści, jesteśmy trochę nieodpowiedzialni». Nie jest łatwo z czymś takim dyskutować”. I Włodzimierz Iljicz konkluduje: „Po co Gorki w ogóle wtrąca się do polityki?”.

Gorki wie, po co. Wie, czego się boi. Korzysta z wolności, żeby założyć niezależną gazetę o tytule, który wyraża jego nadzieje: „Nowaja Żyzń”

(Nowe Życie). Wachlarz współpracowników szeroki. Będą w nim także futuryści: Majakowski i Brik.

Lenin wie, że musi znaleźć się w Rosji, wziąć udział w wydarzeniach, pokierować nimi. Chwali się czasem jego skromność, ale on jest tylko tak skromny, jak może nim być pewny siebie wódz. Nie ma wątpliwości, że on wie, co teraz musi nastąpić. To jest wojna imperialistyczna, wojna szaleńcza, o kawałki terytoriów – i trzeba jej położyć kres, a ludy wyzwolić i zadeklarować ich niepodległość. Zrozumienie dla dążeń narodowych zмага się w jego myślach z przywiązaniem do idei międzynarodowej proletariackiej rewolucji. Tak, deklaruje, chcemy ich niepodległości, „nawet jeśli to doprowadzi do dominacji klas feudalnych i zacofanych”. (Przejsiowo, pociesza się stale czujny w nim dialektyk. To etap początkowy, potem będą następne, zgodne z przewidywaniami Marksa). Młody krytyk literacki, Lew Trocki, już w 1905 roku głosił, że Rosja nie musi powtarzać wszystkich etapów państw kapitalistycznych. Narodowość staje się teraz ważniejsza od przynależności klasowej. „Robotnikiem dzisiaj się jest, a jutro już nie – zauważa bystra i dowcipna smarkuła, Nina Berberowa – wystarczy się wzbogacić, ukraść, zrabować, wygrać szczęśliwy los; Rosjaninem nie przestaje się być”.

„Koba”-Dżugaszwili (od 1913 roku „Stalin”) i jego druh Kamieniew (którego ćwierć wieku później każe rozstrzelać) śpieszą z zesłania do Piotrogradu, Stalin aż spod koła podbiegunowego w Turu-Chańskim Kraju, więc ci dwaj prowadzą w „Prawdzie” politykę pojednawczą wobec mienszewików, także wobec Rządu Tymczasowego. Lenin, tkwiąc w Zurychu, nie może wczuć się w nastroje Rosjan. Jak iść przeciw fali patriotyzmu? Zakończyć wojnę – tak, trzeba, ale idzie o to, by był to pokój, a nie zniewolenie – tak myśli teraz bolszewik Kamieniew (ożeniony z siostrą Trockiego). Niech Lenin wraca i znajdzie się wreszcie w świecie realiów.

Ale jak wrócić? Rząd Tymczasowy jest wielkoduszny, a może tylko naiwny, zgadza się, by zachodni alianci pozwolili „wrócić uchodźcom niezależnie od ich poglądów politycznych”. Ściągają do kraju swoich nieprzyjaciół! (To dlatego na emigracji Nina napadnie na Kiereńskiego, że nie czytał do poduszki Makiawela). Lenin wie, że Francuzi są bardziej przebiegli politycznie niż rosyjscy demokraci, potrafią być bezwzględni, mogą go zaaresztować. Więc może wrócić przez Niemcy, kraj wrogi? Trzeba jednak, by władze w Rosji taką trasę zaaprobowały. Włodzimierz

Iljicz zwraca się do sovietu w Piotrogradzie i do ministra Czcheidze o zgodę. Jest ministerialna zgoda! Mimo że nie mieli wątpliwości, do czego Lenin dąży. Czego się nie robi w imię wolności!...

Wagon, którym jedzie Lenin z Zurychu przez Niemcy do Szwecji – a z nim Nadia, Inessa i Zinowjew, którego obfite czarne kędziory wzbudzają podziw ludzi Północy – będzie miał przywilej „eksterytorialności” i stąd – twierdzi Adam Ulam (który wykladał nam to u Harvarda) – legenda o „zaplombowanym wagonie”. Przez Szwecję docierają do Finlandii. Lenin depekuje: „Będziemy w poniedziałek o 11 wieczór. Zawiadomcie «Prawdę»”.

Powitanie miał uroczyste. Jak oczekiwany dygnitarz. Nagły przewrót w jego życiu. Jeszcze kilka tygodni temu – ubogi uchodźca, mieszkali z Nadią u szewca, a tutaj powitanie, jakby pojawił się wódz – bo pojawił się wódz – i wkrótce pałac Instytutu Smolnego, Carskie Sioło, komnaty Kremla. Komendant, witając go na dworcu, wyraził nadzieję, że obywatel Lenin znajdzie się w rządzie. Minister Czcheidze w imieniu rządu wita oficjalnie człowieka, który ten rząd przepędzi. Lenin zabiera głos. Grasejąc, zapowiada światową rewolucję. Tam, w Niemczech, na apel towarzysza Liebknechta niemieccy żołnierze zwrócą broń przeciw swoim eksploatorom. (Liebknecht siedzi w więzieniu).

Na razie Uljanowowie zamieszkali u jego siostry, Anny Jelizarowej. Lenin codziennie przemawia. Żołnierzom, słuchającym go przed pałacikiem Krzezińskiej, nie spodobał się atak na kontynuowanie wojny. W tłumie zawrzało. „Złaź z balkonu! Zaraz ci pokazemy!” W prasie opublikowano list marynarzy potępiający uroczyste powitanie Lenina, radzą mu, żeby wrócił do kraju, z którego przybył. (Czyli do Niemiec). Bronią go ci „reakcyjniści” z Dumy: krocą wytrwale do samobójstwa.

Ogłoszone w „Prawdzie” jego „tezy kwietniowe” oburzają i zdumiewają towarzyszy. Kolegium gazety odzęgało się od nich. Bogdanow: „To szalenie w delirium”. Nawet Nadieżda Krupska jest przerażona: „Boję się, że wygląda na to, że Lenin zwariował”.

Gorki uznał, że Lenin w tych tezach poświęca rewolucyjną inteligencję – „znikomą ilościowo, heroiczną jakościowo” – na rzecz ciemnego chłopstwa. „Naukowa, techniczna – w ogóle wysoko kwalifikowana inteligencja była najbardziej drogocenną siłą, którą wzbogaciła się Rosja...” Innej siły Aleksy Maksymowicz nie widzi. „Rosyjska inteligencja była i jeszcze długo będzie koniem pociągowym historii Rosji”. Wraca do

tego, że wiedza, czytelnictwo – to rozwiązanie problemów społecznych. To jest jego własna, gorkowska utopia.

10

Spodziewałem się kobiety rosłej, imponującej ciałem, okrągłolicej blondynki z krótko obciętymi włosami, takiej jak jego matka Barbara, a zobaczyłem całkowite jej przeciwieństwo: kruchą, śniadolicą dziewczynę, czarne włosy miała uplecione w długie, opadające na ramiona, cienkie sznury w stylu afro i ciemne, błyszczące oczy.

– To Szoszana – przedstawił ją Jacek. – Po polsku byłaby Róża. Przywiozłem ją sobie z Izraela. Jest pochodzenia pustynnego. Tajmanitka. – Nie rozumiałem. – Z Jemenu – wyjaśnił.

On sam, Jacek, był wysoki, wciąż szczupły, teraz było widać, że urodą przypomina ojca, mojego przyjaciela Wiktora Blaua, tyle że wąską czaszkę miał mocno wyłysiałą, podczas gdy Wiktor nie, Wiktor, jak sobie przypominam, wciąż jeszcze brunet, z lekkim srebrem na skroniach, czesał swoje uporządkowane włosy, przysięgłbyś, że przylizane brylantyną, z wyraźną krechą przedziałka, w stylu przedwojennych anglosaskich amantów.

Poprosili mnie do stołu.

– Co dla mnie masz? – spytałem.

– To później. Chcemy cię przyjąć kolacją i lepiej nie psuć sobie apetytu.

Oboje, Jacek i jego Szoszana, podawali do stołu, nazywali te potrawy (które nie były mi nieznanymi, w Bronksie, gdzie miałem rzekomo poznać rabina Siankę czy może jubilera, próbowałem ich), więc to jest siekana wątróbka z cebulką, to gęsi pipek, a to prawdziwy gorący czulent. Wszystko koszerne, zapewniał Jacek. Ale wódka nie, śmiała się Szoszana, wódka szwedzka, Absolut. Pomyślałem sobie, że Matylda by się tym rozkoszowała, pomyślałem, że muszę ją czymś takim poczęstować – „czy pan lubi jeść? usłyszałem jej głos, i ze śmiechem: bo ja bardzo” – dam ci to, pomyślałem, przez żołądek do serca, chociaż na pewno bywają krótsze drogi, ale kiedy się jest starszym panem i do tego ona jest z kimś szczęśliwa... – Gdzie to można dostać? – spytałem. Restauracja jerozolimka ze śpiewającymi kelnerami, dwóch czarnoskórych, goje

oczywiście (zadziwiło mnie to słowo w ustach Jacka), ale jedzenie koszerne. – Czy tobie na tym zależy? – spytałem. Tak, jemu zależy. To coś ważnego w jego życiu, przełom, poszukiwanie korzeni, prawda, że odległych, ale to cenne korzenie, uświęcone przez męczeństwo, krew, która je oblała, nie zrozumiesz tego, Jeff, mama też nie rozumie, Aryjka (użył tego słowa) – ojciec by tym bardziej nie rozumiał, wtrąciłem uwagę – tak, wiem, nawet by nie zaaprobował, kompleks pół-Żyda, który chciał zapomnieć o swoim pochodzeniu, Polak patriota (Jacek uśmiechnął się ironicznie), wiesz, taki co z dubeltówką poluje w polskich lasach na szaraka, ze mną to co innego, dla mnie to akt – namyślał się, zanim to sformułował – akt solidarności ze wszystkimi zamordowanymi, którym nie mogłem pomóc.

– A ty? – zwróciłem się do Szoszany.

Miała trudności z odpowiedzią.

– I am okej – powiedziała. – Beseder – powtórzyła to samo po hebrajsku.

– Szoszana tego nie potrzebuje – wyjaśnił Jacek – ona jest Izraelką, należy do zagrożonych i otoczonych nienawiścią w sposób naturalny. Za to dla mnie moja nowa codzienność jest wyzwaniem.

– Jacku, przecież ciebie wtedy na świecie nie było.

– To nie ma znaczenia. Każdy człowiek odpowiada za podłość świata.

Jedzenie było przepyszne. Może to ten Absolut, ale rozumiałem to, o czym mówił Jacek. Czułem się, nie wiadomo czemu, jakbym doznał wsparcia.

– Pomagasz mi – powiedziałem. – Nadajesz sens temu, o czym mam zamiar pisać.

– O czym?

– O rozstrzelanych nadziejach.

Więcej ani słowa. On wyczuł, że nie należy wypytywać. To ja jego spytałem:

– Czy ty wierzysz? Pytam o twój judaizm.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział szorstko. Usłyszałem te słowa po raz drugi. Więc co ma znaczenie? Jacek tłumaczył: – Wiara to rzecz bardzo trudna i trochę z innej sfery. Dla mnie ważne jest zachowanie. Tryb życia.

Po kolacji zanieśliśmy talerze do kuchni, Szoszana podała herbatę z konfiturą i szepnąwszy „slicha” (czyli po hebrajsku „przepraszam”) zostawiła nas w spokoju, przy okrągłym stoliku. Jacek nalał nam po odrobinie brandy „777”, oczywiście stamtąd, włączył telewizor,

natrafiliśmy na wypięte gołe pośladki reklamujące samochód – i zaraz wyłączył.

– Pokażę ci coś – powiedział to, od czego powinien był zacząć.

Była to mocno wypchana kartonowa teczka.

– Wiktor – tak czasem Jacek mówił o ojcu – Wiktor zbierał pewne wycinki, interesował go szczególnie temat bliskowschodni, w komisji spraw zagranicznych zajmował się właśnie tym. Do szafu doprowadzał go jakiś korespondent partyjnej gazety, Ben-Kain, masz tu jego artykułiki, pisał wściekle antyizraelskie notatki i reportaże z Tel Awiwu, „ten renegat” – wiesz, on mówił o nim, zgrzytając zębami, opluwa własny naród, własne zagrożone państwo, przecież on tam mieszka! Dlaczego to robi?

– Frustrat. Nienawidzi swojego państwa, bo się nim nie zajęło, jak należy. Znam takich.

– W Ameryce?

– W Ameryce też. Ale Ameryka to mocarstwo, może sobie pozwolić na donosy jakiegoś... powiedziałaś „Ben-Kain”? To chyba niemożliwe.

Jacek uśmiechnął się:

– To ja go tak nazwałem. Bo przecież Kain zabił swojego brata. Naprawdę podpisuje się „Ben-Jakow”.

– Może być i inny motyw – powiedziałem. – Pieniądze.

– To pisemko kiepsko płaci.

– Ale znalazłby się ktoś, kto płaciłby lepiej.

– Kto?

– Arabowie.

Jacek przez chwilę milczał.

– To ciężkie oskarżenie – powiedział wreszcie.

– Ja nie twierdzę, że pan Ben-Jakow jest opłacany przez Arabów. Ale że w pewnym okresie w różnych krajach uprawiano propagandę, zwaną antysyjonistyczną, za petrodolary – to pewne.

Przeglądałem wycinek po wycinku. Kilka z nich, upstrzonych wykrzyknikami, czasem nawet dwoma, i dużymi znakami zapytania, obramowanych było zielonym markerem.

– Chciał je sobie zapamiętać – stwierdziłem.

– Niewątpliwie.

To były artykuły podpisane przez redaktora Siankę, Anatola.

– Znam tego faceta – powiedziałem.

Na marginesie jednego artykułu zielonym markerem był wypisany numer telefonu.

– To jego telefon? – spytałem.

– Jego.

– Jesteś pewny?

– Sprawdziłem.

– Mogę dostać tę teczkę?

– To dla ciebie.

– Nie wiesz, czy Wiktor do niego dzwonił?

– Dzwonił. Na pewno. Słyszałem, jak mu nawymyślał.

– Jacku, ten facet mi powiedział, że nie znał posła Blaua. Nigdy z nim nie rozmawiał.

– Czyli kłamał.

– Kłamał.

– Dlaczego?

– Posłuchaj, Jacku. To jeszcze nie znaczy, że on go zabił. Nawet na pewno nie. Wejść, uderzyć łomem – nie, to nie on.

– Ale warto się dowiedzieć, dlaczego kłamał.

– Warto. Może po prostu z powodu nieczystego sumienia. – Spytałem ni stąd, ni zowąd: – Planujecie z Szoszaną dziecko?

Ona dosłyszała, roześmiała się:

– Wciąż próbujemy – mówiła po angielsku. – To całkiem miłe zajęcie. (A nice job).

Jacek się odezwał:

– Jeśli się nie uda, zaadoptujemy jakieś osieroczone dziecko tajskie.

– Może arabskie?

– Można by. Ale oni się nie zgodzą, żeby dziecko było wychowane w jakiejś innej wierze.

– Rozumiem.

– Ale będziemy nadal próbować! – upierała się ze śmiechem ta Róża Jemenu.

– Co słyhać u Marcina? – spytałem.

– Nie wiem. Nie kontaktuję się z nim.

– Nie sądzisz, że powinienem się z nim spotkać?

– Ja nie utrzymuję z panem Nahajem stosunków.

– Dlaczego mama pozwoliła mu na powrót?

– Poczula się straszliwie osamotniona. Potrzebowała wsparcia.

– Byłeś przecież ty.

– Potrzebowała wsparcia mężczyzny.

Powiedziawszy to, Jacek spochmurniał.

– A dlaczego z nim potem zerwała? – spytałem.

– Czy musimy o nim mówić?

– Odpowiedz.

– Bo przekonała się raz jeszcze, że pan Nahaj to głąb. Że łóżko jej nie wystarczy. Śmierć taty... wiesz, ona przez to bardzo dojrzała. A ten gówniarz znowu oblał rok z historii. Zdaje się, że po raz trzeci.

– I co?

– Nie wiem. Chyba przeniósł się na jakiś inny wydział, pewnie pedagogiczny, tacy faceci marzą o tym, żeby nam wychowywać dzieci.

– Ma firmę turystyczną – poinformowałem Jacka. – Jakieś Polish Travels Office czy coś w tym guście.

Podniosłem się.

– Jacku, zapisz na karteczce telefon tej restauracji. Mam uroczą sekretarkę, która lubi zjeść coś dobrego (musiałem o niej mówić, rozpierało mnie, chyba każdy zna to uczucie, mam na myśli wszystkich zakochanych; kiedy się o niej mówi, ona pojawia się i zasiada między nami).

Jacek podał mi wizytówkę z nazwą restauracji. Ucałowaliśmy się z Szoszaną („udanych prób!”), a potem uścisnęliśmy się z Jackiem, który na pożegnanie życzył:

– Smacznego!

Powtarzam: Aleksy Maksymowicz ma nareszcie swoją gazetę! „Nowaja Żyzń” – sama nazwa jest wyzwaniem. On ma gazetę, więc i my, duchy prawdziwie wolne w Piotrogradzie – mamy gdzie się wypowiadać. Gorki nie tylko redaguje, ale i pisze, zamieszcza wymowne obrazki – obyczajowe, psychologiczne, regularnie zabiera głos w felietonach politycznych, które zatytułował z chwytną autoironią *Myśli nie na czasie*. Tak, te myśli są rzeczywiście „nie na czasie”, w obronie humanizmu, godności ludzkiej, rozsądku, a zarazem bardzo „na czasie”, potrzebne jak nigdy. Nie ma wątpliwości, że państwo Berberowowie i ich zadziorna córeczka Nina żywią się tą właśnie gazetą.

Nie wiadomo, czy „Nowaja Żyzń” dociera do Kijowa, do Osipa Mandelsztama i Nadii Chazin, którzy jeszcze nie wiedzą, co im przeznaczone, do Erenburga i do Odessy, która jest wylęgarnią talentów literackich. Zapewne ktoś gazetę czasem przywiezie, proszę, czytajcie, co niegdysiejszy „Zwiastun Burzy”, teraz obrońca zasobów kulturalnych, wypisuje. 15 maja (według kalendarza europejskiego) 1917 roku – na wiadomość, że „batalionowy komitet Pułku Izmajłowskiego wyprawia do okopów 43 artystów”: „Nie znają się oni na wojsku, nie umieją strzelać, a po kilku dniach mają już wyruszyć na front (...) Wysyłanie na front utalentowanych artystów jest takim samym marnotrawstwem i głupotą, jak podkuwanie złotem konia pociągowego. Zaś wysyłanie ich bez przeszkolenia wojskowego to wyrok śmierci na niewinnych ludzi”. To przecież za taki stosunek do człowieka – przypomina Gorki – „przeklinamy carską władzę i za to właśnie ją obaliliśmy”.

Wie, jaka będzie replika. „Demagodzy, lokaje t ł u s z c z y z pewnością krzykną: – A równość?” W jego własnym „Nowym Życiu” publikują natchnieni poeci, którzy głoszą, że należy spalić muzea – teraz sztuką jest plakat, agitka i gazeta. Ale kiedy to głoszą futuryści, Majakowski i Osip Brik, mąż uroczej Lili Kaganówny, w której się Majakowski kocha, Aleksy Maksymowicz tylko się uśmiecha. Bo wie, że takie słowne barbarzyństwo

to tylko program poetycki, metafora spinająca uczucia. Co innego, gdy uchwała to „sowiet”, i to żołnierski. Gorki odpowiada ostro: „Muszę stwierdzić, że dla mnie pisarz Lew Tołstoj czy muzyk Siergiej Rachmaninow – jak i każdy inny utalentowany człowiek – nie są równi komitetowi batalionowemu izmajłowców”. Dalej: „Jeśli Tołstoj sam zapragnie wbić człowiekowi kulę w łeb czy też bagnet w brzuch, wówczas diabeł zachichocze, a idioci uradują się wraz z diabłem... (...) Ludzie, dla których talent jest najcenniejszym darem natury (...) zapłaczą krwawymi łzami”.

W lipcu – zamieszki uliczne, szalona próba przechwycenia władzy przez bolszewików. Dwadzieścia tysięcy marynarzy z Kronsztadu stoi z karabinami pod balkonem, z którego przemawiają przywódcy, Łunaczarski i Swierdłow. Oni żądają Lenina. Więc Lenin przemawia. W tłumie byli i ochotnicy grabieży, rozbijano witryny. Rząd strzela, „powstańcy” się rozbiegają. Na szczęście – na szczęście dla bolszewików i Lenina – próba nieudana. To była porażka – pisze Adam Ulam, mój profesor – „do pewnego stopnia opatrnościowa; gdyby udało im się przejąć władzę, nie zachowaliby jej. Chwila jeszcze nie nadeszła”.

Myśli nie na czasie reagują na to, co się stało, nie tylko oburzeniem, ale i pogardą. „Oto najeżona szczecina karabinów i kulomiotów, n i c z y m w ś c i e k ł a ś w i n i a, pędzi ciężarówka nabita przedstawicielami «armii rewolucyjnej» różnej maści, pośród której stoi rozczochrana młodzian, wrzeszcząc histerycznie: – Rewolucja społeczna, towarzysze!”

Wszystko to ktoś zorganizował „pośpiesznie i bezmyślnie”. Siła, która wypchnęła na ulicę ludzi uzbrojonych po zęby, ma na imię „głupota”. (Ciekawe, jak się czuł Włodzimierz Iljicz, przeczytawszy te słowa. Trocki poświadcza przejściowy upadek w nim ducha walki. „Teraz nas wystrzelają jak kaczkę” – miał powiedzieć. Przewidywał, że przyjdą żołnierze frontowi i zmasakrują robotników. „Wszystko skończone” – był tego pewny. Zgolił brodę, Zinowjew ostrzygł swoją bujną grzywę. W ukryciu odwiedzali go Stalin i Allikujew). Gorki używa sobie na tchórzliwych, jego zdaniem, uczestnikach zająć, „którzy porzucili na jezdni karabiny i sztandary”. Przyglądał się temu – widział, jak „w panice uciekają”.

„Więc to jest ów wolny rosyjski lud?” – zapytuje. „Ten lud – odpowiada sobie autor – wcale nie musi się natrudzić, by osiągnąć świadomość swej ludzkiej godności, ten lud musi zostać przetopiony na wolnym ogniu kultury i oczyszczony z poddaństwa, które w nim wyhodowano”.

Ktoś może zapytać: – „Znowu kultura? A tak – odpowiada z uporem Gorki – nie znam nic innego, co mogłoby uratować nasz kraj od zguby”. Ostrzega: Jeśli tak się nie stanie, to „z mojego punktu widzenia rewolucja okaże się bezpłodna – ona nie ma sensu, a my – naród – jesteśmy niezdolni do życia”.

Obawia się rozpętania „wolności” na sposób anarchiczny, rozumianej jako prawo do zbrodni. „Nienawistni i wstrętni są mi ludzie podburzający mroczne instynkty mas...” Powtarza swoje: Za najważniejszych podżegaczy uważa nie „leninowców”, nie Niemców (bo i takie były głosy), „nie prowokatorów ani ciemnych kontrrewolucjonistów, ale wroga znacznie złośliwszego i silniejszego – c i ę ż k ą r o s y j s k ą g ł u p o t ę”.

Rząd Tymczasowy przywraca zniesioną początkowo karę śmierci, ale Kiereński obiecał jej nie stosować. Lenin się ukrywa. Według niektórych mają go oskarżyć o przyjęcie pieniędzy od Niemców. Martow bronił łagodnego postępowania z Leninem i bolszewikami. Lenin bez bródki, w peruce, chciałby uchodzić za robotnika, kiedy ukrywa się w robotniczej rodzinie, której największym bogactwem jest siedmioro dzieci. Ale nie narzeka, dzieci najwidoczniej mu nie przeszkadzają, znowu pisze. Mózg zawsze czynny. Łącznikiem ze światem zewnętrznym jest Feliks Dzierżyński, chyba Lenin nie pozwala sobie czytać jego polskich poematów, kiepskich, twierdzi wyrafinowany esteta Trocki, którego Feliks Edmundowicz zdręczał swoją twórczością na zesłaniu.

Lenin kreśli wizję porewolucyjnego państwa. Manifest anarchizmu, według jednych, utopia na granicy obłędu, według drugich. To broszura *Państwo i rewolucja*, o której wspomina się ze czcią, ale nikt jej nie cytuje. (Sam Lenin, już jako szef porewolucyjnego państwa, wolał o niej zapomnieć). „Jak długo istnieje Państwo, nie istnieje wolność; skoro jest wolność, nie ma Państwa”. (Trzeba będzie wkrótce wybrać: ma być Państwo – musi się zdławić wolność). Państwo socjalistyczne będzie, oczywiście, zupełnie inne, rewolucjonista pochylony nad papierami pędzi za swoją utopią. „W dwadzieścia cztery godziny po zrzućeniu kapitalizmu” – kto przejmie fabrykę? Zwykli robotnicy, oni będą kontrolować wytwórczość, a zwykli żołnierze będą dowodzić armią. Płace będą zrównane – dyrektor czy oficer, każdy będzie pracownikiem zjednoczonego narodowego syndykatu.

Towarzysze z komitetu centralnego nie podniecają się tą wizją. Nie sądzą, by zamach rewolucyjny (albo kontrrewolucyjny, jak nazywają zakusy bolszewików przywódcy rewolucji lutowej) mógł się udać lub

w ogóle był potrzebny. To dosyć zaskakujące, że popiera go tylko Trocki, jeszcze niedawno mienszewik i krytyk. Dwaj dotąd najwierniejsi, Kamieniew (szwagier Trockiego) i Zinowjew (który mu towarzyszył ze Szwajcarii do Finlandii), są zdecydowanie przeciw. Ułatwia sprawę to, że Trocki, porywający mówca, zostaje przewodniczącym Rady Piotrogradu. Hasło: CAŁA WŁADZA W RĘCE RAD! nabiera nowego zabarwienia.

Rząd Tymczasowy wysyła delegację na naradę sojuszniczą do Paryża. Postulaty rosyjskie brzmią nowocześnie i demokratycznie: pokój ma być sprawiedliwy, bez aneksji terytorialnych i kontrybucji. Nie mówią jednak nic o niepodległości dla Polski i Finlandii. Podczas gdy wrogie Niemcy (które potrzebują polskiego mięsa armatniego) dają do zrozumienia, że państwowość polska będzie. Wprawdzie krnąbrny komendant Piłsudski zostaje osadzony w twierdzy w Magdeburgu, ale w Warszawie rządzi arystokratyczna Rada Regencyjna, czci się Trzeci Maja i wszelkie możliwe święta narodowe.

W sierpniu Lenin, w czapce maszynisty kolejowego, przemyka się do Finlandii. Zamieszkuje u przyjaciół Stalina, Allikujewów. (Jest tam szesnastoletnia Nadia, którą Koba pamięta jeszcze z Kaukazu, kiedy miała trzy lata, wyrosła na czarnowłosą piękność). Potem Włodzimierz Iljicz znalazł schronienie najlepsze ze wszystkich możliwych (zauważyła profesor Ulam): sympatyk bolszewizmu, u którego zamieszkał, jest komendantem policji. W Piotrogradzie zbiera się konferencja socjaldemokratów. Lenin przesyła ze swojego ukrycia do towarzyszy list naglący do działania i „zaaresztowania tych łajdaków” (to znaczy rządu); jeśli tego nie zrobicie, to „będziecie tylko bandą zdrajców i głupców”. Komitet centralny zdecydował jednogłośnie, że list ten należy spalić i uznać za niebyły – zupełnie jak gdybym ja tam między nimi był i dyktował, jak mają się zachować. (Potem mi się to już nie udawało). W kilka dni później zniecierpliwiony Lenin przenosi się do Wyborga, będzie bliżej Piotrogradu.

W stolicy wśród żołnierzy narastają nastroje probolszewickie. Zjazd delegatów Floty Bałtyckiej w Helsingforsie żąda „natychmiastowego usunięcia z Rządu Tymczasowego socjalisty w cudzysłowie i bez cudzysłowu – politycznego awanturnika Kiereńskiego, który swym bezwstydnym politycznym szantażem na korzyść burżuazji...” i tak dalej, taki jest język bezwzględnych zmagających. (Po języku ich poznać je). Bolszewicki „Raboczij Put” ostrzega przed kajzerem, który „chce pchnąć swoje wojska do Piotrogradu”. Ale jest na to rada. „Wezwijmy na pomoc

niemieckich robotników, marynarzy, żołnierzy, którzy nie mniej niż my pragną pokoju. Precz z tą wojną!”

12 października w mieszkaniu Himmera-Suchanowa, mienszewika, któremu żona właśnie wyznała, że jest bolszewiczką, ma się zebrać kilkanaścioro jej przyjaciół. On pracował na drugim końcu miasta, u Gorkiego, w „Nowej Żyzni”. „Nie wracaj na noc do domu – poradziła mu, wyprawiając go do pracy – prześpij się w redakcji”. On posłuchał, zawsze jej ufał. Tych dwunastu przyjaciół – jak dwunastu apostołów – to był właśnie komitet centralny i oni podjęli decyzję, że powstanie będzie. „Za” było dziesięciu, dwóch – Zinowjew i Kamieniew – stanowczo przeciw. Szkoda, że mąż tej towarzyszkii nie był zazdrosny. Może gdyby został w domu, utrudniłby im decyzję. Ale on jej nie podejrzewał. Niemniej, stwierdzam, była to z jej strony zdrada – chociaż nie fizyczna.

Zinowjew i Kamieniew uważali, że Lenin prowadzi partię do katastrofy. Pobiegli do Gorkiego, by poinformować „Nową Żyzń”, jaką decyzję podjęto i że oni dwaj głosowali przeciw. W tym samym numerze (z 18 X), w którym ukazało się ich oświadczenie, Gorki zwalcza ideę zamachu, artykuł jest zatytułowany *Nie wolno milczeć*. „Coraz uporczywiej krążą słuchy, że 20 października oczekiwane jest wystąpienie bolszewików”. Co będzie? „Na ulicę wypełźnie zdezorganizowany, mętnie pojmujący, czego chce, tłum, a w jego cieniu – a w a n t u r n i c y, z ł o d z i e j e, z a w o d o w i m o r d e r c y z a c z n ą t w o r z y ć h i s t o r i ę r e w o l u c j i r o s y j s k i e j”. „KC bolszewików ma obowiązek zdementować te słuchy...” Komitet nie powinien się stać „bezwolną zabawką nastrojów zdziczałej tłuszczy czy n a r z ę d z i e m w r ę k a c h n a j b e z c z e l n i e j s z y c h a w a n t u r n i k ó w, o s z a l a ł y c h f a n a t y k ó w”.

To zdrada – tak potraktował Lenin oświadczenie Kamieniewa i Zinowjewa. Tych dwóch należy usunąć z partii. Skoro są przeciw, to „niech sobie ci panowie założą własną partię, bolszewicy ich nie potrzebują”. Nie posłuchano Lenina. Ten Kamieniew, mówił Trocki o swoim szwagrze, to flegmatyk, w sam raz na przewodniczącego piotrogrodzkiego Sowietu.

Sztab bolszewików rezyduje w Instytucie dla cnotliwych, szlachetnie urodzonych panien, w Smolnym. W pokojach gęsto od dymu tytoniowego, na drzwiach tabliczki z napisem: „Wychowawczynie klasy IV”, „Pokój nauczycielski”. Na korytarzach tłoczno od kręcących się ludzi

z karabinami, straż trzymają marynarze. Podłogi zabłocone, bo ulice toną w błocie, gęstym i śliskim. „Od Zatoki Fińskiej – donosi czytelnikom amerykański reporter – dmie silny, wilgotny wiatr”. Poeta Majakowski też o tym wietrze: „Dmucha, jak zwykle, wiatrami październik, jak dmuchał za kapitalizmu”.

W mieście światła wygaszone, jest obawa przed nalotami sterowców. Elektryczne oświetlenie – dla tych, którzy je mają – czynne od szóstej do dwunastej. Na Kronwerskim Prospekcie 23, w obszernym mieszkaniu Gorkiego, wieczorami życie skupia się w jadalni, wokół dużej lampy naftowej. Teatry są czynne. Tańczy Karsawina. Śpiewa Szalapin. Teatr „Nowoje Zierkało” wystawia Schnitzlera ze wspaniałą, kosztowną scenografią. Na prośzone herbatki damy przychodzą z własną cukierniczką i kromką chleba do przegryzania.

Bolszewicy usypiają czujność. Czego się boicie? Lenina przecież nie ma, na czele jest Trocki, pomaga mu Łunaczarski, dwaj ludzie pióra, esteci, marksiści, a marksizm, według bolszewika Riazanowa, ufa rozwojowi dialektycznemu, wyklucza gwałtowny przewrót. 24 października (według kalendarza prawosławnego), a więc w przeddzień zamachu na Pałac Zimowy, na posiedzeniu komitetu centralnego Sowietu miejskiego Trocki zapewnia, że słuchy o zbliżającym się powstaniu nie mają podstaw. Nie wspomina tylko o tym, że w nocy komitet zaagitowany przez rozgorączkowanego robotnika, do którego przyłączyło się kilku żołnierzy, uległ i zdecydował, że zamach będzie. Przeciw są, jak przedtem, Zinowjew i Kamieniew, i jeszcze dialektyk Riazanow. „Głos ma towarzysz Mauzer” – określił to lapidarnie poeta Majakowski. Tego samego dnia, kiedy Trocki zapewnia, że skąd, towarzysze, obywatele, o żadnym powstaniu nie ma mowy, „Raboczij Put’” zamieszcza pierwszą część *Listu do towarzyszy Lenina*, w którym dowodzi, że powstanie jest konieczne. „Albo rezygnacja z hasła «cała władza w ręce rad», albo powstanie. Innej możliwości nie ma...” Albo-albo. Wkrótce powtórzy to „albo-albo” Józef Stalin. (Często zaklinał się: „Jestem tylko uczniem Lenina”).

25 października 1917 roku. Ósma rano. Włodzimierz Lenin już w Smolnym, w pokoju na drugim piętrze. Stoi oparty rękami o krzesło. Tak go zapamiętał komendant grupy marynarzy Paweł Malkow. Będą radzić. Uderzyć – tak, to zdecydowane – ale kiedy? Dzisiaj! Uchwałę podjęto o drugiej po południu. Uderzono o dziewiątej wieczór.

Stało się. Nie ma Rządu Tymczasowego. W stolicy władzę mają bolszewicy. Muszą utworzyć rząd. „Wszyscy mieli szarozielone twarze, ze śladami bezsenności” – tak zapamiętała to Siedowa, żona Trockiego – oczy zaczerwienione i (co za horror!) brudne kołnierzyki”. Lenin też jeszcze nie zdążył zmienić kołnierzyka! Trocki wspomina: „Wiecie – odzywa się niepewnie (Lenin) – takie nagłe przejście od prześladowań i konspiracji do władzy. – Szuka wyrażenia. – Es schwindelt” – znajduje je po niemiecku: W głowie się kręci.

Jak nazwać wykonawców nowej władzy? Chyba nie mogą to być ministerstwa? Przecież rządzić ma lud! Komisariaty, proponuje Trocki. Komisariaty ludowe. Narodnyje. Lenin namyśla się: no cóż, niech i tak będzie, przynajmniej na razie, potem może wymyślimy coś lepszego. Rada Komisarzy Ludowych: Sow-nar-kom. (W Moskwie słyszałem porzekadło: „Błat wysze Sownarkoma” – czyli: kumoterstwo załatwi ci więcej niż rada ministrów). Przewodniczącym (premierem) niech zostanie towarzysz Trocki. – Nie, nie ja! – protestuje Lew Dawidowicz. – Tylko towarzysz Lenin (poda się prawdziwe nazwisko: Władimir Uljanow). – Więc będziecie komisarzem spraw wewnętrznych. Trocki znowu oponuje: jest Żydem, to nie on powinien przewodzić walce z kontrą. „Rewolucja jest wielka – argumentuje – ale i głupców pozostało dosyć”. Lenin warczy: „A czy mamy dostosować się do głupców?”. Jeszcze nie wie, że z głupcami też trzeba się liczyć. A prasa? Prasę przejmie Bucharin. Swierdłow proponuje: dajmy Trockiemu sprawy zagraniczne. Lenin nie ukrywa sarkazmu: „Co my teraz będziemy mieć za sprawy zagraniczne?”.

Anatol Łunaczarski, niedawno jeszcze „heretyk i łajdak”, obejmie oczywiście oświatę i kulturę. Wkrótce dowie się, że czerwonogwardziści przypuścili w Moskwie szturm artyleryjski na Kreml. Wybuchą płaczem – i podaje się do dymisji. Nadeszło doniesienie, że szkody są niewielkie, i Łunaczarski dymisję wycofuje.

Zaczyna się polowanie na ludzi, którzy mogliby objąć jakieś kierownicze stanowiska. Mężyński na próżno szuka kogoś na dyrektora Banku Państwa. W Sownarkomie robi się nerwowo. Komisarze wyklócają się, skaczą sobie do oczu, wciąż ktoś grozi dymisją. Może wciągnąć polityków innych partii? Może dobry by był Martow? Lenin – od wczoraj trzeźwy realista (nie przypominajcie mu o *Państwie i rewolucji*, to była fantazja literacka – nie znosi teraz gadaniny o równości), wciąż przypomina: Potrzebni są

specjaliści! Fachowcy! Ale nikt przytomny nie chce brać udziału w awanturze, która za tydzień, dwa się skończy.

A więc zrobili to! Gorki jest przerażony. Ku czemu Rosja idzie? On ostrzegał, pisał – może należało krzyknąć? Nie odgadnę, co się teraz dzieje w mieszkaniu przy Kronwerskim Prospekcie, ale to pewne, że Maria Fiodorowna już wie, że mowy nie ma, aby jej Alosza miał ochotę pisać książkę o Leninie. W niespełna dwa tygodnie po przewrocie jego *Myśli nie na czasie* potępiają to, co się stało, i to w takich słowach, że zerwanie wygląda na ostateczne. „Lenin, Trocki i ich kompani już zatruli się zgniłym jadem władzy, o czym świadczy ich haniebny stosunek do wolności słowa i jednostki i do całej sumy tych spraw, o których triumf walczyła demokracja.

Ślepi fanatycy i pozbawieni sumienia awanturnicy pędzą na złamanie karku, rzekomo ku «rewolucji społecznej» – w rzeczywistości droga ta wiedzie ku anarchii, do zguby proletariatu i rewolucji”.

Wygląda na to, że Gorki podziela opinię socjalistów z Rządu Tymczasowego, że zamach bolszewicki jest w istocie kontrrewolucyjny, jest zamachem na zdobytą wolność i demokrację. „Na drodze tej Lenin i jego współtowarzysze uważają za dopuszczalne popełnienie wszelkich zbrodni...” Ma nadzieję, że wkrótce proletariatu „otworzą się oczy na całkowitą niewypełnialność obietnic Lenina, na całą głębię jego szaleństwa i jego (...) anarchizm”.

W zwycięstwo proletariatu Lenin nie wierzy, „ale możliwe, że ma nadzieję na cud”.

„...trzeba zrozumieć, że Lenin nie jest wszechmocnym czarnoksiężnikiem, ale jedynie sztukmistrzem o zimnej krwi, nie znającym litości ni dla czci, ni dla życia proletariatu”.

Jedynym ratunkiem może być uwolnienie ministrów i wszystkich aresztowanych i „przywrócenie w całej pełni wolności słowa”. Właśnie tego na powitanie rewolucji październikowej zażądał pisarz M. Gorki.

Zgarniam swoje notatki, przejrzymy je razem, ona wrzuci je do swojego laptopa. Ale czy ją to naprawdę interesuje? Czuję, że te notatki nie tylko nie zbliżają jej do mnie, ale w jakiś sposób oddalają. Staję się daleki, obcy, pasjonuję się sprawami, które wydają jej się dziwaczne. Nazywa mnie „Mistrzem”, ale skądinąd wiem, że nie doczytała mojej książki do końca;

tylko tę część o Bellowie; Styrona nie zna, więc dała sobie spokój. Wierzy mi na słowo, że to ciekawe. Kiedyś opowiadałem jej o Luizie. Bardzo podobna do ciebie – och, nie fizycznie, chociaż i takie podobieństwo można by znaleźć – ale wiek (ówczesny, dzisiaj jest o piętnaście lat starsza), samochód, elegancja, pieniądze, aktywność menedżerska. Sauna, literatura latynoska, jazda konna, dziecko zmuszane do tenisa (jak dawniej do picia tranu). – Czy była zielonooka? – spytała Matyllda. – Nie, oczy niebieskie. – To się cieszę. Jest jeszcze jedna różnica, zaznaczyłem: była upozowana. Na intelektualistkę cierpiętnicę. Estetkę, która nie potrafi zadać bólu. „Nawet mrówce” – powiedziała kiedyś. I kiedy zadała mi ból, przypomniałem jej to. „Nie jestem mrówką” – powiedziałem. Matyllda się roześmiała. Ty jesteś inna. Otwarta i nieupozowana – chwaliłem ją i widziałem, że jej to sprawia przyjemność. Nie mówię o szczerości, dziewczyno, człowiek nie ma obowiązku zawsze być szczery. Chociaż ja czasem jestem zanadto szczery. (Jej uśmiech). Jesteś bezpruderyjna. Przyznała: tak, na pewno. Ale mnie, kiedy starałem się ją jakoś określić, zaczęły ogarniać wątpliwości. Bezpruderyjna – tak, chyba się zgadza. Kiedyś zwierzyła się: „Miałam erotyczny sen”. „Jaki?” „Nie powiem. – I zaraz powiedziała: – O lizaniu”. Zapamiętać. Spytała: „A ta pani – Luiza – jak wam ze sobą było?”. „Było jej dobrze. – Uznałem, że to wystarczy. – W łóżku przejawiała inicjatywę”. Czasem, ale tego nie powiedziałem Matyldzie, ubierała swoje pragnienia w wyszukane słowa. Byliśmy gotowi do wyjścia, staliśmy we framudze drzwi, kiedy Luiza przytuliła się do mnie, jej palce zaczęły mnie pieścić, a oddech stał się szybszy. Robisz to dla mnie czy dla siebie? – myślałem, przyglądając się jej łowiącym oddech ustom. Szepnęła, już uspokojona i w jakiś sposób szczęśliwa: „Nie wiedziałam, że moje palce będą to robić”. Kto wie, myślałem, przyglądając się uśmiechniętej Matyldzie, czy ty też w jakiś przewrotny sposób nie jesteś upozowana. Gromadziłem przeciw niej takie myśli, bo mojemu kochaniu stale towarzyszył żal, gorycz odrzucanego.

Na stole cały ten „catering” z restauracji polecanej mi przez Jacka: siekana wątróbka z cebulką, gęsi pipek faszerowany, gefilte fisz – pouczam Matyldę – będzie jeszcze czulent. Pijemy czystą wódkę, to absolutna konieczność, mówię. Duszkiem, Matti! Przyjemnie patrzeć, jak ona je, jak potrafi docenić rozkosze podniebienia. Całuję ją w policzek, jest gorący. Pytam:

– Wypijemy jeszcze raz?

- Wypijemy.
- Duszkiem?
- Duszkiem. I na tym koniec. – Przypomina: – Samochód. – No to haustem. Chuchnięcie w otwartą dłoń: – Świetnie się z tobą pije. (Pomyślałem: od picia masz lepszych ode mnie). – Ona śmieje się: – Uchlajmy się... jak to było?
- Uchlajmyz blan.
- Uchlajmyz blan – powtarza ona. – Mówiłeś, że to oznacza propozycję. Jaką?
- To znaczy: „śpijmy razem”.
- Samiec!
- Dziękuję za komplement.
- Świntuch!
- To mi przypomina anegdotę. Para idzie do lasu. Ona pyta: – O czym myślisz? On: – O tym, co ty. – Fe, świntuch!
- Znów powód do śmiechu. Potem pytanie:
- Innym kobietom mówiłeś to samo?
- Naturalnie.
- Tymi samymi słowami?
- Nie mam innych słów do dyspozycji. Chyba że po uzbecku.
- To powiedz.
- Men sen jachszy kuramán.
- Umilkła. Podeszła do biurka, wzięła nowe zdjęcie, które mi przedwczoraj z jakichś powodów zrobiono – widzę, że spodobało jej się, jestem na nim zamyślony i w miarę dostojny – spytała:
- Jeff, dasz mi to zdjęcie?
- Po co ci?
- Chcę mieć. Z dedykacją. Napisz coś.
- Co napisać?
- To, co czujesz.
- Naprawdę? Wiesz przecież, co czuję.
- Napisz.
- „Najukochańszej Matyldzie” – można tak?
- A jestem najukochańsza?
- Przecież wiesz.
- To napisz.
- A co na to pan domu? – spytałem.

– Schowam.

Napisałem: „Najukochańszej Matyldzie – Jeff”. Bez daty. Po diabła jej moje zdjęcie? Przecież mnie nie kocha. Przecież ma innego. Bawi się, byłem już tego pewny. Podniecająca zabawa w wędrówkę po Krainie Czułości, krainie pozornych uczuć, jak „pocieszne wykwintnisie” w zamku Rambouillet, w połowie siedemnastego wieku, według wielotomowego serialu pani de Scudery. Krok naprzód, krok w bok. Miałam erotyczny sen. Lizanie. Zapamiętać. A ta Luiza – czy ona cię zadowalała? Co lubiła? Spytałem:

– Wiesz, czego chcę?

– Wiem: dotknąć mojej dupy. (Trochę za dużo wypiliśmy).

Mówię:

– Tego – i przyłgnałem wzrokiem do piegowiska nad piersiami. Pochyliłem się, ona nie drgnęła, przywarłem ustami do tego miejsca, było przez chwilę moje. Odepchnęła mnie:

– Dosyć.

– Podnieciłem się – wyznałem.

– Wiem.

– Piegusko...

– Jak powiedziałaś?

– Powiedziałem: Piegusko.

– Nikt mnie jeszcze tak nie nazwał. – Ze śmiechem: – Przyjmuję.

– Piegusko, daj usta.

– Nie. – Powtórzyła: – Nie. Mowy nie ma.

Jednak zabawa. Drażniące igranie ze zmysłami. Podnieciłeś się? Świetnie, jesteś mężczyzną, dostrzegłam kątem oka, brawo.

– Bez sensu – powiedziałem.

– Co jest bez sensu?

– Moja miłość. Jest bez sensu.

– Jeśli tak uważasz... – wyglądała na zagniewaną. – Jeśli tak uważasz – powtórzyła – że bez sensu, to nie będziemy się spotykać.

Doszliśmy do kresu. Teraz mur. Nic więcej nie otrzymam. To jest bez sensu, prawda, ale nie widywać jej to coś jeszcze gorszego – jakbym znalazł się nad ciemną przepaścią. Powiedziałem coś, czym się już chyba kiedyś posłużyłem:

– Nie wszystko musi mieć sens, prawda?

Kiwnęła głową.

- W miłości – mówiłem – najważniejsza jest sama miłość.
- To dobrze, że tak myślisz.

Nie do końca tak myślałem. Ale bałem się o nasze spotkania. Miłość bez wzajemności, myślałem, miłość, kiedy ukochana, po spożyciu z tobą różnych cudowności, pędzi do swojego mężczyzny, jemu nie skąpi ust, jego ust szuka, rozbiera się (nie myśl o tym, nie myśl!), mówi: miałam sen – wiesz jaki? – no właśnie – zrobisz to? Nie wiem jeszcze, kto to jest ten pan, i dlatego może jeszcze go toleruję, dlatego mniej boli, pan spoza Krainy Czułości, krainy SMS-ów, wirtualnych pocałunków, pan z krainy realności. Nie, ona go nie kocha! – przychodzi mi nagle na myśl. Gdyby go kochała, nie zależałoby jej na moim uczuciu, nie grałaby w tę drażniącą zabawę ze mną. To jest jej partner, etatowy kochanek, tak sobie ułożyła życie.

Posegregowaliśmy notatki na te, które wymagają wspólnego opracowania, i te, które ona wpisze po polsku do swojego laptopa.

– Nie ma nic o panie Ninie? – spytała, wyraźnie kpiąc. – Miłość się ulotniła?

– Kiedyś opowiem ci o niej więcej – obiecałem – o mojej rozmowie z nią.

– Fantazjujesz?

– Nie, tak było. Rozmawiałem z nią.

– Zalewasz.

– Widziałem się z nią kilkanaście lat temu, w Filadelfii, miała już prawie dziewięćdziesiąt lat, ale umysł żywy, inteligencję ostrą.

– O czym rozmawialiście?

– O miłości. Ale kiedy myślę o niej, pojawia mi się młoda, tam, w Petersburgu, w mieszkaniu Gorkiego...

– I co?

– Spogląda na mnie mądrze twoimi oczyma... Zielonymi.

Przed jej wakacjami już się nie zobaczymy. Mnie już tu nie będzie, w tym pensjonacie, bez niej to nie ma sensu. Jak to, a brzozy? Brzozy też są dla ciebie. Wykorzystam ten czas, nie martw się, będę zabijał tęsknotę robotą, mam też trochę spraw do załatwienia.

– Sherlock Holmes? – spytała.

– Między innymi. Są nowe tropy.

– Jeff, a dlaczego z takim uporem notujesz, że mam czerwonego peugeota, przecież ja mam zupełnie inny samochód?

– Nie ty masz peugeota, „Matylda”, ta w cudzysłowie.

– Ale mój jest droższy i bardziej wykwintny.

– „Jeffowi” jest wszystko jedno. Dla niego liczy się kolor. Kiedy widzi z daleka, między drzewami, czerwień samochodu, serce w nim podskakuje: to ona, odgadła moją tęsknotę, wsiadła do samochodu i oto jest, niespodzianka!

– To nie ja – powiedziała stanowczo. – Na to nie licz.

– Nie liczę. Wiem, ty masz gruby kalendarz, wszystkie spotkania przewidziane. Ja mówię o tamtym „Jeffie”, fikcyjnym.

– Niech ci będzie, że mówisz o tamtym.

– Prawdziwy Jeff postara się tęsknić umiarkowanie.

Ona, z uśmiechem:

– Jeśli ci się uda. (Ależ pewna siebie!) Jeff, ja też tęsknię. – I szybko dodała: – Czasem...

Nie znoszę tego jej „czasem”. Ona znowu coś dodała:

– Jak do przyjaciela.

Nie znoszę tego jej „przyjaciela”. Spytałem:

– Więc jesteś przyjaciółką?

– Tak, oczywiście.

– Jesteś tego pewna?

– Absolutnie.

– Ja nie jestem pewny twojej przyjaźni. Gdybyś ją dla mnie czuła, powiedziałaabyś: Jeff, mam fajną koleżankę – Małgosia, nie, Marta, niech będzie Marta – poznam was, będzie ci z nią dobrze. Tak by postąpiła przyjaciółka.

– Nie, nie zrobię tego.

– Czyli to nie jest przyjaźń?

– Nie tego typu.

– Czyli jednak coś innego? – nalegałem.

– Tak, chyba coś innego.

– Matti, popatrz na tę amforę.

– Piękna.

– Gospodyni prosiła, żebym był z nią ostrożny. Saska porcelana. Z Miśni. Osiemnasty wiek.

– Musi być bardzo droga.

– Zapewne. Otóż chcę cię uprzedzić: jeszcze raz powiesz coś o przyjaźni, a rąbnę tą amforą o podłogę i rozbiję w drobny mak!

Roześmiała się.

– Wspaniale. Najlepszy sposób dyskusowania!
– Sprawdzony od pokoleń. To teraz powiedz: jeśli to nie przyjaźń, to co do mnie czujesz?

– Jeff, proszę cię, nie bądź pedantem.

– To powiedz: no, coś czuję, diabli wiedzą co.

Znowu się uśmiechnęła:

– No właśnie: diabli wiedzą co.

W samochodzie pokrywała błyszczącym wargi. Robiła to z filuternym uśmiechem. Perfidna, zerknęła na mnie, na moje głodne oczy.

– Wiesz dobrze, czego teraz chcę – powiedziałem.

– O tym nie ma mowy. To już ustalone, prawda? To by nas zbyt daleko zaprowadziło.

Nie wiem, dlaczego przypomniała mi się Erna — to znaczy wiem, na złość jej — więc ta Erna, mało mi znana pani, która w uliczce ocienionej drzewami, był wieczór, a myśmy wychodzili z przyjęcia u kolegi, ona zostawiła męża i tych przyjaciół, z którymi była, podbiegła do mnie i pocałowała mnie w usta. Nagle do niej zatęskniłem. Jak teraz wygląda?

– Zapnij pas – powiedziałem.

– Jeff, nie będziesz sam – przekonywała mnie. – Będziesz ze swoją „Matyldą”. Twoją dupą. Będę pisać! – zakrzyknęła i pojechała.

Zostałem sam. Bez „Matyldy”. Bo „Matylda” jest Matyldą i nie potrafię jej od niej odłączyć. Mogę jej zmienić markę samochodu, ale nie umiem zmienić koloru jej oczu, usunąć piegów znad tęskniących ku moim dłoniom piersi i pozbawić się tej tęsknoty, uczucia frustracji, tego niedosytu, który ssie w żołądku, zawsze po spotkaniu z nią. Niedosyt po takim obżarstwie, co za ironia! „Kochankowie gastronomiczni” – przyszło mi na myśl. Muszę jej to kiedyś przekazać, na pewno się spodoba.

12

„Berberini” – wspomina stara kobieta – tak mnie nazywał. Żartobliwie i czule. Nie byłam brzydka, o nie („pani i teraz”..., ale ona nie pozwala mi kończyć), nie, nie, zostawmy to, mam osiemdziesiąt pięć lat (odjęła sobie dwa lata, przeliczam szybko w pamięci), a on, Gorki, wrażliwy był na urodę młodych kobiet. Zresztą i te różne starsze, które kręciły się wokół niego – ciekawe, żadna go nie opuszczała, żadna nie mówiła: skreślam cię, ty niegodny – nie, wszystkie się go trzymały – prawda, to był Gorki, słynny na cały świat – więc o czym chciałam powiedzieć? – że każda była piękna. Boże, ale ze mnie była smarkula, pyskata, zarozumiała (mówiła ta stara, mądra kobieta) – hm, właściwie niewiele się zmieniłam, nadal jestem pyskata i bardzo zarozumiała (śmieje się), ale koryguje to doświadczenie życiowe, strzeże przed kompromitacją. Głowa, dzięki Bogu, pracuje.

To było w Filadelfii, dobrych kilkanaście lat temu, pani Nina Berberowa zgodziła się mnie przyjąć. Więc pan jest rusycystą? – mówiła przez telefon, kiedy jej się przedstawiłem – alez proszę bardzo, ja tęsknię do rozmowy o rosyjskiej literaturze, z kimś znajuschczym, będziemy mówić po rosyjsku, dobrze? – Och, pani Nino, ja mówię z amerykańska, ja chcę porozmawiać o pani. Roześmiała się. – Całkiem niezły temat. Można rzec, mój ulubiony.

Siedzę w fotelu, przy małym okrągłym stoliku, u niej w salonie, który jest zarazem jej gabinetem – tak, na pewno, bo stoi tu duże biurko, za nim fotel, obrotowy jak przy pianinie, można unieść się w górę, na ścianach kilka obrazów, zapewne przywiezionych z Paryża, są portrety: Chodasiewicz i Bięłyj, „to malowała Wala Chodasiewiczówna”, objaśnia pani Nina, mały Chagall, nietypowy, prezent dla niej, Kandinsky, Soutine – wymienia gospodyni, a ta rzeźba to Leonid Pasternak, ojciec Borysa (uważa za stosowne poinformować), też prezent. Wie pan, kto to był Bięłyj? (słyszałem – wtrącam – autor powieści *Petersburg*, ale nie czytałem), polecam – nie wiem, czy to jeszcze da się czytać – bywał u nas w Paryżu, histeryzował, awanturował się, kochał się w kimś, już nie pamiętam w kim,

trudny człowiek, ale zaprzyjaźniliśmy się, zresztą chyba żaden z nich nie był łatwy. Whisky „Jack Daniel’s” na kostkach lodu.

Miał niebieskie oczy. I urok mądrego, niepodobnego do innych człowieka. Może pan sobie to przeczytać w mojej książce: *Podkreślenia moje*. Wrażliwy, miał za sobą trudne i wspaniałe życie. Aleksy Maksymowicz, zapytałam go kiedyś, co pana pchnęło do pisania? Przeżycia, odpowiedział. Byłem nimi naładowany do przesytu, jak kociół parą. Gdybym nie dał temu ujścia, tobym pękł.

– Ja to gdzieś czytałem – ośmieliłem się powiedzieć. – To był jego stały wybieg.

– Ale ja – ja to słyszałam z jego ust! I opowieści o Tolstoju i Czechowie. To trochę co innego niż przeczytać w autobiografii. Był taki aktor Czerkasow, znakomitość, grał u Eisensteina Iwana Groźnego. Opowiadał, jak kiedyś do szkoły aktorskiej, w której się uczył, przyszedł z wykładem Łunaczarski. No i wciąż powoływał się na Lenina: „Lenin powiedział... Lenin twierdził...”. Wtedy wstał jakiś mędek, który znał pięćdziesiąt tomów pism Lenina na pamięć i mówi: „Przepraszam, Lenin nigdy nic podobnego nie powiedział”. A na to Łunaczarski: „Wam nie powiedział – mnie powiedział”.

Mieszkali z Gorkim pod jednym dachem, ona i Władek Chodasiewicz, przez trzy lata. To wystarczy, żeby poznać człowieka. Podpatrzeć, jak gra w brydża (fatalnie! często zapominał, co jest atutem, a kiedy mu to przypominano, na ogół pokpiwając, złościł się); jak zniecierpliwiony bębnił palcami po stole albo coś nucił pod nosem, jak puszczał mimo uszu komplementy, za to wsłuchiwał się w głosy krytyczne (jeśli dotyczyły sztuki pisarskiej, a nie przekonań).

– Nie był moim pisarzem – mówiła pani Nina. – Wydaje mi się, że nie miał pojęcia, że w twórczości jest zagadka i nie da się jej tajemnic wyjaśnić racjonalnie. (Ależ, proszę pani – miałem ochotę przerwać – wiedział o tym, wiedział jak najbardziej, proszę go czytać uważnie). Nienawidzę Dostojewskiego, powiedział mi to pierwszego wieczoru naszej znajomości i powtarzał mi to wielokrotnie. A ja odwrotnie: Dostojewski, Gogol – to byli pisarze mojej młodości. – Zaczęła mi wyliczać nazwiska wielkich pisarzy, którzy zaprzęтали jej umysł. Najpierw zmarli giganci z Szekspirem i Goethem na czele, a ze współczesnych Błok, Proust, Kafka, no i Joyce. Później doszli do tego Amerykanie. Dla niej to była współczesność. Gorki był już wtedy ukształtowany, wiedział, czego chce, nie miał zamiaru

sprostać tym nowym; jeśli objawiał ciekawość do nowości, to dotyczyła rosyjskiej literatury, pasjonował się nią nawet.

Pamiętam, że jej się przeciwstawiłem.

– W *Życiu Klime Samgina* – powiedziałem – jest dużo proustyzmu.

Spojrzała na mnie ironicznie – przypomniała mi się pewna moja ciotka, która wszystko wiedziała lepiej.

– Tak pan sądzi? Może, nie wiem. – Dała jednak spokój: nie warto wyklócać się o drobiazgi, były bardziej istotne sprawy do poruszenia. – Rewolucja... – zaczęła. Łyknęła tabletkę, którą podała jej młoda asystentka, zapiała wodą evian, zapewne przez sentyment dla miejscowości. – Rewolucja stała się pułapką dla mojego pokolenia; dla uczestników, ale i dla przeciwników, i dla tych, którzy chcieli stać z boku, jak ja, jakaś fatalność, nikt nie mógł się wymigać. Jak muchy na lepie. Mną nigdy nie owładnęła pokusa przerobienia świata. Pewnie dlatego, że dość lubię swoją naturę. Lubię – czy powinnam powiedzieć „lubiłam”? – swoją kobiecość. Moim ideałem było dostosowanie się – do niego, mojego mężczyzny – to była zawsze jedna z moich kobiecych radości. Pan tego pewno słucha ze sceptycyzmem? A może nawet zgorszony? (Teraz, kiedy to odtwarzam, myślę: co o tym powie Matylda? Ale kto wie, może właśnie ona przyjmie to ze zrozumieniem. „Nie jestem feministką – powiedziała mi kiedyś – chyba że w sensie prawnym. Lubię mężczyzn”). Powiedziałam sobie: „Nie mogę się z nim równać. Będę szła krok za nim”. I to mi dawało szczęście. Powiedziałam sobie: w życiu trzeba coś wybrać. Gwiazdę przewodnią. Moim wyborem był on – Władysław, syn Felicjana, Chodasiewicz. Gorki go lubił. – Czułem, że dała się owiać napływowi sentymentu, dostrzegłem to w jej oczach patrzących przed siebie w dał, w przeszłość. – Napisał do kogoś: „Chodasiewicz tworzy zdumiewające wiersze”. – Po chwili, ze smutkiem: – Zdumiewające – ale Rosja ich nie znała.

– A jednak go pani opuściła.

– Chce mi pan wytoczyć proces? Rozliczyć? Wypaliło się, wyczerpało – wot i wsio. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę: lepiej to jakoś rozwiązać niż doprowadzić do wybuchu. Byliśmy ze sobą prawie dziesięć lat, to niemało w takich warunkach. I nadal odczuwaliśmy do siebie przywiązanie. (Skądś to znam). A wie pan, jak odczułam swoją wolność? Jako niewiarygodne szczęście! A potem pojawił się inny mężczyzna, ideał, taki, jakiego powinna mieć kobieta jak ja. Wszystko w domu naprawi – i jeszcze do tego zagra Schumanna.

– Tylko Schumanna? – spytałem, śmiejąc się.

Ona też się śmiała.

– Bo wie pan, jako panienka przyjrzałam się trochę pewnym młodzieńcom. Różni dewianci i opilcy wykrzykiwali, że dobro jest nudniejsze od zła. I że „rozpusta – to niezbędna cecha życia literata”. Szybko zrozumiałam, że to nie dla mnie. Ja z miejsca uznałam, że ci tak zwani „normalni” są ciekawsi. „Nienormalnym” się wydaje, że to oni są wolni. Pomyłka, panie Thompson! Wcale nie są wolni. Są w niewoli swojej pozy. Roli, jaką dla siebie wybrali.

Za to panią lubię, pomyślałem wtedy i myślę tak i teraz, chociaż niezupełnie wolny, bo tęsknota jest rodzajem zniewolenia.

– Niech pan posłucha starej kobiety, Jeff. Teraz mogę o tym mówić bez zahamowań. O ciele... (Matylda chętnie by tego posłuchała. A może nie. Może nie chce wybiegać myślą do czasu, kiedy jej ciało nie będzie prężyć się do miłości). Ciało miało dla mnie zawsze ogromne znaczenie. Wiem, że nawet kiedy pisałam, siedziałam przy biurku, kobiecość była moją ozdobą. Uległość wobec mężczyzny. Podporządkowanie się mu – dawało mi szczęście. Zawsze oczekiwałam mężczyzny, jego pomocy, jego rady, jego ciała. Tak, ciała, jeśli pana to nie gorszy, ono mnie zachwycało. – Pokazała mi karteczkę. – Wpisałam to do swojej książki. Przeczytam panu: „Lubiłam i lubię ciało mężczyzny, gładkość i siłę ramion i kolan, zapach skóry, jego oddech i wszystkie szmery w jego wnętrzu”.

Mam tę kartkę w swoim archiwum, włączę ją do księgi (jeśli Matylda ją zaakceptuje). Pamiętam, że zapytałem:

– Nino Nikołajewno, a czy mimo tego podporządkowywania się nie bywała pani dla swojego mężczyzny ziółkiem? Nie zdarzało się, że przeprowadzała pani bezwzględnie swoją wolę? I że w głębi ducha myślała pani nieraz: ja wiem lepiej! Zrobimy to i to. „Dla jego dobra”. – Widziałem, że się uśmiechnęła. – I że to wszystko, co pani powiedziała, to taka teoria, zarys seksualnego spełnienia, podczas gdy naprawdę...

– No pewnie, że bywałam ziółkiem! Jeszcze jak! – Śmiała się. – „Dla jego dobra!” Naturalnie. To część mojej kobiecości. „Dla jego dobra” – powtórzyła. Pogroziła mi palcem. – Niełatwo mi z panem. Jeszcze whisky?

Asystentka przyniosła kostki lodu. Lubię ich chrzest w grubej szklance.

– Dobrze się z panem rozmawia. Dzięki panu czuję, że jestem jeszcze w znośnej formie. Przeraza mnie pewna moja rówieśnica: mózg jej osłabł, wszystko jej się myli – dni tygodnia, nazwiska, wydarzenia, lekarstwa. Ale

jedno jej zostało: pamięć, że była mądrzejsza od innych. Zawsze miała rację, wszystko wiedziała lepiej – teraz tym samym tonem, z tą samą pewnością siebie serwuje swoje brednie. I muszę to znosić. Opowiem panu jeszcze, jak Chodasiewicz miał iść do wojska. To było latem tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Władysław był w Moskwie, ja już w Petersburgu, nie znaliśmy się jeszcze. Rozwiązano wtedy wojskową komisję lekarską, której udowodniono branie łapówek, kilku lekarzy rozstrzelano, a wszystkich poborowych, wśród nich Chodasiewicza, zakwalifikowano do wojska. Gorki przebywał akurat w Moskwie i kiedy usłyszał od Chodasiewicza, co się stało, od razu powiedział: „Siadaj pan i pisz do Lenina, ja zabiorę list”. Wziął list i zawiózł na Kreml. Lenin nakazał komisji raz jeszcze zbadać mojego nieboraka, zwolniono go wreszcie. I wtedy Gorki mu doradził: „Przyjedź pan do Petersburga, u nas można jeszcze pisać”. W listopadzie Władek się przeprowadził. – Znowu ze śmiechem. – Dzięki Gorkiemu złapałam męża. To on nas wyswatał. – Po chwili: – On... i Lenin.

Kiedyśmy się z panią Niną zegnali, spytała mnie po rosyjsku: „Mogu was pocałowát’?” Objęła mnie, pocałowała w policzek i szepnęła:

– Co za zapach...

– To dobry after shave.

– Nie – na to ona. – To zapach mężczyzny.

Poruszyła nozdrzami. I taka została w mojej pamięci.

Zazdroszczę pani Berberowej: zwierzyła się, ulżyła sobie. Także pamiętniki, które wciąż studiuję, zdradzają mi jej skryte myśli, nawet te, których zdradzać nie chce. Tytuł pamiętników bardzo literacki, *Podkreślenia moje*, bo ona od lat dziewczęcych wszystko przemieniała w literaturę. Ktoś mi powiedział, że w Arles widział plac Niny Berberowej.

Ja nie mam komu opowiadać o swojej tęsknocie. Barbarze? Henryce? Wiem, co powie. Jackowi? Ach, nie o to chodzi, że o twojej miłości nawet bliski ci człowiek będzie słuchał z udanym zaangażowaniem, może nawet z ciekawością dla samego wydarzenia, ale bez wzruszenia. Cudze uczucie dziwi i po trosze bawi. Okazja do żarcików. Przyjaciół powie (być może słusznie): „Stary, zapomnij o niej”. Machnięcie ręką. Twoje łyzy go zgorszą. „Jeff, mon vieux, weź się w garść”. Kobiety, podrażnione uczuciem do innej, bąkną: „Ona nie jest ciebie warta”. Przy stoliku każde przyznanie się do miłości brzmi komicznie, wywołuje ironiczne uwagi. To tylko fikcja ma tę siłę, żeby spowodować przejście się czyjąś miłością. Bo ona przestaje

być cudza, następuje cud identyfikacji. Płaczymy, bo to my kochamy i my doznajemy wzajemności. Szkoda, myślałem, że nie jestem artystą, że nie zamieniam mojej miłości w sztukę, że nie potrafię wywołać łez. Oczy miałem mokre. Nikt tego nie widział, na szczęście.

Znowu była ze mną. Leżeliśmy w ubraniach, ona na mnie, w niebieskich, szorstkich dżinsach, rozkoszny, ciepły ciężar, odczuwam na sobie jej krągłości, nic więcej się nie dzieje, ona uśmiecha się zielonością swoich oczu: „Dobrze ci tak?”. Czuję przepływ szczęścia, dobrze, to ta bliskość, której chciałem. Obudziłem się, jej uśmiech wciąż pieścił mi twarz, był ranek, a ja pomyślałem: Jakże kobieta potrafi uszczęśliwić! Po chwili, z westchnieniem: Materiał dla snu – nie dla rzeczywistości. I zaraz potem: Wszystko bez sensu. Przyczepiłem się do niej ze swoimi uczuciami. Owszem, ona to toleruje, moje uczucie sprawia jej nawet satysfakcję, ale sama pozostaje obojętna. Ma kogo darzyć uczuciem. Jeff, zapamiętaj sobie to hasło, wypisz je na ścianie: BEZ SENSU. Jedyne sensowne hasło.

Piłem herbatę z mlekiem, kiedy zawibrowała komórka: „Całusy znad przełęczy w Pirenejach. Spoglądam w otchłań. Nade mną szybują ludzie ptaki. Matyllda”.

Gdzież mnie do takiej poetyczności! Nie mogę nawet zwierzyć jej się z tęsknot, bo przecież ona nie jest sama, jej pan może powiedzieć: co też ten szalenciec ci wypisuje? Daj popatrzeć! A jednak nadaje: „Dziękuję za kolejne wirtualne całusy. (Ona zrozumie, w czym rzecz). Ostrożnie nad przepaścią. Thompson”. Nazajutrz następne sprawozdanie: „Perpignan zaliczone. Jutro wypad do Barcelony. Całuję. Matyllda”. Ja: „Barcelona podbita – Warszawa czeka. Czas wracać. Szykujemy komitet powitalny. Jeff”. Na to już milczenie, które stanowi wskazówkę: hamuj się, to krępujące.

Stara kobieta mówi:

– Mieliśmy szczęście, ta jego interwencja u Lenina to było coś, co jeszcze półtora roku wcześniej wydawało się niemożliwe, narastała wtedy pewność, że zerwanie między tymi dwoma jest nieuchronne, a do zbliżenia już nigdy nie dojdzie.

„Ja wiem – pisał Aleksy Maksymowicz w szkicu opisującym noc po rewolucji – o b ł ą k a n y m d o g m a t y k o m o b o j ę t n a j e s t p r z y s z ł o ś ć n a r o d u, patrzą nań jak na surowiec do doświadczeń socjalnych”. Ta myśl, że dogmatycy w istocie eksperymentują z żywą materią, będzie do Gorkiego wciąż wracać, „podpalają chrust” (takiego

porównania użyje), żeby przyglądać się, jak płonie. Pisze teraz gorączkowo, prawie dzień w dzień. 23 listopada 1917 roku, w artykule UWADZE ROBOTNIKÓW (to do nich się zwraca, do tej rzekomo zwycięskiej klasy):

„Włodzimierz Lenin wprowadza w Rosji ustrój socjalistyczny na modłę Nieczajewa (patrz hasło w encyklopedii – J.T.) – całą parą przez błoto”. Lenin i Trocki, i ci, którzy im towarzyszą, „dążą do zguby w trzęsawisku rzeczywistości”, „...i oto z zimną krwią bezczeszczą oni rewolucję, bezczeszczą klasę robotniczą, zapędzając ją do urządzania krwawych rzezi”.

„Mając się za Napoleona od socjalizmu (więc on, Aleksy, dostrzegł w tym skromnym Leninie pewnego swojej wodzowskiej siły opętańca?), leninowcy miotają się wściekle, doprowadzając dzieło zniszczenia Rosji do końca – lud rosyjski zapłaca za to rzekami krwi”.

I teraz portret wodza:

„Sam Lenin jest bez wątplenia człowiekiem wyjątkowej siły; dwadzieścia pięć lat stał w pierwszych szeregach bojowników o triumf socjalizmu (...); to człowiek utalentowany, obdarzony wszelkimi przymiotami «wodza», także niezbędnym do tej roli brakiem zasad moralnych oraz czysto wielkopańskim, pozbawionym litości stosunkiem do mas ludowych”.

Zaskakujący rys, na który wskazuje Gorki: wielkopańskość, pogarda dla mas. Inaczej niż on, Alosza Pieszkow, który z tych mas wyrósł – rozumie je, czasem nienawidzi, ale to one właśnie go obchodzą, to im chce narzucić kulturę. „Lenin – pisze – to «wódz» (stale w cudzysłowie!) – i rosyjski szlachcic (...), dlatego przypisuje sobie prawo dokonywania z ludem rosyjskim okrutnego doświadczenia, z góry skazanego na niepowodzenie”.

Ten eksperyment – wieszczy, a my wiemy, że się nie pomylił – będzie kosztował tysiące istnień. Ale „nieuchronną tragedią nie przejmują się Lenin – niewolnik dogmatu, ani jego pomagierzy – jego niewolnicy”. Pisarz Gorki oskarża: „Życie w całej jego złożoności jest Leninowi nieznane, on nie zna mas ludowych, nie żył wśród nich – to z książek dowiedział się, czym można je spiąć, by stanęły dęba, czym najłatwiej podniecić ich instynkty”.

„Pracuje jak chemik w laboratorium, z tą różnicą, że (...) pracuje na żywym materiale, prowadzi do zguby rewolucję”. I teraz – zgodnie

z tytułem – zwraca się do robotników: „Świadomi robotnicy kroczący za Leninem muszą zrozumieć, że n a r o s y j s k i e j k l a s i e r o b o t n i c z e j p r z e p r o w a d z a n y j e s t e k s p e r y m e n t, który wyniszczy jej najlepsze siły i na długo powstrzyma normalny rozwój rewolucji rosyjskiej”.

Lenin nie reaguje. Są w jego otoczeniu tacy, którzy chcieliby się z Gorkim porachować, ale Włodzimierz Iljicz nie pozwala. Gorki jest zbyt cenny, niech się wykrzyczy, ten inteligencik, „romantyk” – bardzo często Lenin będzie tak określał pisarza, słowo lekceważące jak machnięcie ręką – romantyk, nie wie, co to konieczność rewolucyjna. Lenin uważa, że z hasła CHLEBA! ZIEMI! POKOJU! najważniejszy jest teraz Pokój, bez pokoju rządy bolszewickie się nie utrzymają. Pokój, koniec rzezi – to jest akurat to, co romantyk Gorki poprze.

Za to „Prawda” atakuje pisarza bez pardonu: już wiadomo, że „zjął maskę” i zdradził swój lud. Potem oskarżą go, że zaprzedał się bankierom i kapitalistom. Gorki przypomina w *Mysłach nie na czasie*, że już w 1911 roku pisał, że „należy obnażać to, co wstrętne, i jeśli nasz chłop jest bestią, trzeba o tym powiedzieć”. A kiedy robotnik wykrzykuje: – Jestem proletariuszem! – „tym samym obrażającym tonem człowieka kasty, jakim szlachcic powiada: – Jestem szlachcicem! – to należy tego robotnika wyszydzić bez litości”.

„Straszenie pogromami i terrorem ludzi, którzy nie chcą uczestniczyć we wściekłych płasach obywatela Trockiego na ruinach Rosji – to hańba dla demokracji, to zbrodnia”. „Gorki przemówił językiem wrogów klasy robotniczej” – odpowiada „Prawda”. I tłumaczy (jednak!), że cóż, trudno, „każda rewolucja nieuchronnie zawiera (...) wiele zjawisk negatywnych”. Gorki na to, że nie może uznać za „nieuchronny” faktu „rozgrabienia własności narodowej w Pałacu Zimowym” i w wielu innych. „Zjawisk negatywnych” jest mnóstwo, a „gdzież – zapytuje – są te pozytywne?” Czy są nimi „dekrety” (cudzysłów jego!) Lenina i Trockiego? To „twórczość papierowa” i wątpliwe, by proletariat brał w niej świadomy udział. „W czyichkolwiek rękach znalazłaby się władza – zastrzegam sobie prawo odnosić się do niej krytycznie”. I dodaje: „...ze szczególną podejrzliwością i nieufnością odnoszę się do Rosjanina u władzy – d a w n y n i e w o l n i k s t a j e s i ę n a j b a r d z i e j r o z z u c h w a l o n y m d e s p o t ą, gdy tylko uzyska władzę nad swym bliźnim”.

Jest już połowa grudnia, kiedy Gorki, jakby ostatkiem sił, broni posłów demokratów, których rewolucjoniści chcą wyrzucić ze Zgromadzenia Narodowego. Cóż za dziecinny idealizm! – mógł pomyśleć zniecierpliwiony Lenin, czytając: „Mieć przeciw sobie mądrego i wytrwałego wroga jest w najwyższym stopniu korzystne – dobry wróg dokształca swojego przeciwnika, czyni go mądrzejszym i silniejszym”. (Rozstrzelanie, decydują zwycięzcy, „kształci” skuteczniej). A Gorki jeszcze dodaje: „Polityka to przecież nie wszystko – trzeba zachować także odrobinę sumienia i ludzkich uczuć”. Doprawdy nie wiem, co na to Lenin. Sumienie? Ludzkie uczucia? Może ten Aleksy Maksymowicz w czymś i ma rację. Ale to racja nie na teraz. Zostawcie go w spokoju.

Lenin mylił się, kiedy ironicznie odnosił się do jakichś „naszych spraw zagranicznych”. Są, są sprawy zagraniczne i zajmą się nimi Trocki i pochodzący z Tarnowa Karol Radek (Sobelson). Trzeba zawrzeć pokój z cesarzem niemieckim – to konieczność! – ratować zagrożony Piotrogród. O państwie, na którego czele stał, myślał teraz już nie jako bolszewicki doktryner, ale jak mąż stanu. Przeciw sobie miał swoich towarzyszy, z lewa i z prawa. Zinowjew, Kamieniew i Rykow miękną, trzeba, powiadają, utworzyć rząd koalicyjny, dopuścić opozycję – bez niej rewolucja nie przetrwa. Za to dla towarzyszki Kołłontaj wszystko jest za mało rewolucyjne, zauważa Trocki, którego ona od dawna irytuje. Ona i Inessa Armand, przyjaciółka Lenina, są przeciw pokojowi z jakimikolwiek imperialistami. Głoszą „świętą wojnę”. (Ale czemu same nie chwyciły za karabin i nie pomaszerowały na front?) Towarzyszka Kołłontaj gorąco broni idei międzynarodowej armii rewolucyjnej. „Niech nasza republika sowiecka zginie i niech inni powstaną, by przejąć jej dzieło!”

Lenin obstawał przy swojej wizji. Nie bał się partyjnej katastrofy – może przysłużyła mu się (myślę i to odnotowuję) pewna ograniczoność wyobraźni. Nie prześladowały go zwidy kłęski – uważał, że wie, co trzeba zrobić, i parł do tego wbrew głosom krytyki. Mój profesor, mistrz Adam Ulam, domyślał się, że opozycję partyjną drażniło to jego ciągłe nawoływanie do realizmu politycznego i to, że ten rewolucjonista, anarchista niemal, przejawiał teraz cechy męża stanu.

Rewolucjonista miewa swoje satysfakcje. Do gabinetu komisarza Lwa Trockiego wprowadza się aresztowanego pana Bidet-Fauxpas, oficera wywiadu, który spowodował podczas wojny wydalenie go z Francji. „Trudno wymagać więcej od Nemezis” – przyznaje w pamiętnikach

wykształcony wódz. „To pan?” – pyta Trocki, bo trudno było tego oficera poznać w wynędzniałym więźniu. „Mais oui, monsieur, c’est moi”. Widzi pan, mówi filozoficznie aresztant, tak oto toczą się wydarzenia. Piękna formuła, trąci Voltaire’em. Pan Bidet-Fauxpas obiecuje komisarzowi, że po powrocie do Paryża nie będzie się już tym zajmował. Trocki, który dzięki francuszczyźnie odzyskuje trochę dawnego blasku, zauważa sceptycznie: „Zawsze wraca się do swoich pierwszych miłości”. Dygnitarzowi najbardziej policyjnego państwa świata przypomina się, co powiedział mu na pożegnanie, kiedy wydalano go z Francji, eskortujący go dyrektor policji, poufnym tonem, niby wiatyk na drogę: „Monsieur, rządy przychodzą i odchodzą – policja pozostaje”.

Negocjatorów bolszewickich czeka spotkanie w Brześciu z generałem Hoffmannem, trudne pertraktacje w sprawie pokoju. Oni pławią się w słowach. Żeby wywrzeć większy nacisk na Niemców, przydałaby się alternatywa: obietnica pomocy ze strony dotychczasowego sojusznika, Francji. Rozmawiać z Francją? To zdrada klasy robotniczej, międzynarodowej rewolucji i tak dalej... Lenin przeprowadza decyzję partii o rozmowach i przekazuje o tym notatkę Trockiemu: „Upoważnić tow. Trockiego do przyjęcia pomocy zbójów imperialistycznych francuskich przeciw zbójom niemieckim”. W delegacji sowieckiej w Brześciu powinien koniecznie znaleźć się robotnik, chłop i lewy socjalrewolucjonista. Z robotnikiem i eserem pół biedy, jakoś sobie poradzono, ale co z chłopem? Zapomniano o nim! Zaczęto szukać kogoś o odpowiednim wyglądzie na dworcu. W końcu znaleźli kogoś, kto dał się namówić. Mamy chłopca – jest pełna delegacja.

Z generałem Hoffmannem towarzysze używają języka propagandy – języka utopii – który Niemca zdumiewa, ale i doprowadza do wściekłości. Szef delegacji sowieckiej chciałby udać się do Wiednia, żeby rozmawiać z robotnikami austriackimi o pokoju. Tarnowianin Karol Radek przemawia „w imieniu żołnierzy polskich w armii niemieckiej”. Upomina się o „prawo polskiego proletariatu do samostanowienia”. Gdyby w Polsce nie było okupacji niemieckiej, „Polacy cieszyliby się już tą samą wolnością, co inne ludy Rosji”.

Lenin złości się na Trockiego, na jego hasło, które rzucił jako groźbę w Brześciu: „Ani pokój, ani wojna” – to ostatnia linia obrony wiary w rewolucję. Jak to, teraz pogrożki, kiedy zarządziliśmy demobilizację? To mógł wymyślić tylko eseista! (Musiał przegrać, myślę, odnotowując to).

Na szczęście pisarz M. Gorki nie zabiera głosu w sprawach pertraktacji. Chce oczywiście pokoju, ale naprawdę pasjonuje go sprawa pokoju między ludźmi. Ci w Smolnym nie mają do tego głowy, a może i chęci. Później, później. (Niektórzy pewnie myślą: nie szkodzi, od tego jest rewolucja, tłum ma prawo zachłysnąć się wolnością). Gorki alarmuje! Doszło już do dziesięciu tysięcy samosądów. Żołnierzom, którzy topią w Mojce zalanego krwią złodzieja, towarzyszy tłum dzieciaków, „podskakując na jednej nodze, wołają: – Utopili! Utopili! To nasze dzieci – biada pisarz – przyszli budowniczo wież życia”. „Niska będzie w ich oczach cena życia ludzkiego” – wieszczy pisarz i wraca do wciąż tkwiącej w nim sprawy człowieka: „Bo przecież człowiek (...) jest najpiękniejszym, najcenniejszym tworem natury”. („Jak twierdzi człowiek” – uzupełniał taki pogląd Oscar Wilde).

Zaprzestano wydawania książek! Chłopi grabieżcy „pałają biblioteki, fortepiany rąbią toporami, obrazy drą na strzepy”. „Tłumy grabią składy win, upijają się (...), kaleczą sobie ręce odłamkami szkła i jak świnie walają się we krwi i nieczystościach”. Strzela się do nich „jak do wściekłych wilków (i tu uwaga, ostrzeżenie!), stopniowo przywykając do spokojnego zabijania bliźnich”. Zło zrodzi zło, kłamstwo zrodzi kłamstwo, choćby pismo nazywało się „Prawda”. O pijackich pogromach piszą jako o „prowokacji burżujów”. „To oczywiste kłamstwo! – oburza się pisarz – frazes, który może jedynie nasilić rozlew krwi”.

Myśli nie na czasie. Oni swoje – i on swoje. Nie jest przeciw maksymalizmowi ideowemu, proszę go źle nie rozumieć. „Lecz maksymalizm anarcho-komunistów i fantastów ze Smolnego jest zgubny dla Rosji”. Wzywa „politycznie wykształcony proletariatus (...), aby głęboko przemyślał swój stosunek do rządu komisarzy ludowych”. Deklaruje (raz jeszcze): „Komisarze ludowi rujnują i gubią klasę robotniczą Rosji”.

Wie, że będzie zwalczany. Zinowjew, władający Piotrogiem, chciałby zamknąć mu pismo. Zamknąć usta Gorkiemu? Później, później. Mamy groźniejszych wrogów, bardziej niebezpieczne fronty. Wódz jest zaniepokojony postawą swojej delegacji w Brześciu. „Byłoby nie do wybaczenia, gdybyście się zawahali”. Generał Hoffmann jest zniecierpliwiony: „Możecie podpisać pokój lub prowadzić wojnę – co wolicie”. „Socjalistyczna ojczyzna w niebezpieczeństwie!” Nowe hasło i nowe pojęcie. Lenin stawia swojemu KC ultimatum: albo zgodzicie się na żądania Niemców, albo ja ustępuję z rządu. Ideolog Bucharin jest przeciw

traktatowi. Gruzin Dżugaszwili-Stalin popiera Lenina. Piotrogród jest zagrożony – przekonuje – jeśli padnie, będzie po rewolucji. Głosujemy. Siedmiu za traktatem, czterech przeciw, czterech wstrzymujących się. 3 marca 1918 roku podpisano traktat. Poniżający, owszem, ale rewolucja – na razie – uratowana.

Zjazd partii (która przybrała nazwę komunistycznej) jest w większości przeciw zawartemu pokojowi. Nie idzie, uchowaj Boże, o mocarstwowe interesy Rosji – od tej strony atakują traktat stronnictwa antybolszewickie – „Kommunist” oskarża Lenina o zdradę międzynarodowego proletariatu. Powinni zmienić nazwę na „Szlachcic Polski”, replikował Lenin – „dla szlachcica wojna to rzecz honoru, a pokój to skandal”.

Nie zrywał kontaktów z dyplomacją burżuazyjną. Francuzów łądził respektowaniem carskiego zadłużenia. Obawiał się, że alianci mogą zawrzeć pokój z Niemcami, żeby wspólnie zdławić reżym rewolucyjny. (Na szczęście dla bolszewików nie byli aż tak „klasowi”). Irytował bolszewików prezydent Wilson z tymi jego czternastoma punktami określającymi cele wojny. Zjazd Sowietów zareagował na proklamację Wilsona własną proklamacją: *Do klas eksploatowanych!* Zalecono w niej, by Amerykanie „zrzucili jarzmo kapitalizmu”. Zinowjew był dumny: „Spoliczkowaliśmy Wilsona!”. Niedojrzałość polityczną – proszę mi wierzyć, w końcu to ja, profesor Thompson, studiowałem Machiavellego, Franklina, Monteskiusza – niedojrzałość w rozumieniu świata demaskuje język. A ich język był okropny. I takim pozostał.

Gorki. Pisarz o niezwyklej wrażliwości na język, buntował się przeciw tej paplaninie, nadętej, pretensjonalnej, chwilami głupawej – nie do zniesienia. Ale i usprawiedliwiającej każde zło. „Zabić łatwiej, niż przekonać” – pisał gniewnie. Dobrze, on się buntował – mierzilo go, bo musiał w tym żyć – ale dlaczego ja się tym przejmuję? Wciskam się między nich, siadam przy stole, gdzie radzą nad „Światową Literaturą” – Błok, Czukowski, Gumilow – nie byle kto, czuję się zaszczycony, podsłuchuję, czasem komuś coś szepnę: powiedz to i to. Chyba to dobrze? Oni zmagają się z głodem, mrozem, terrorem, miotają się w niepewności. Nawet Martow, odsunięty od wszystkiego, czasem myśli, jak na uczciwego inteligenta przystało: „A może ja się mylę? Może to Włodzimierz ma rację?”. „Słuchaj, Nadieńka – powtarza wciąż poeta Mandelsztam – a może my z za drzew nie widzimy lasu?” I będzie w takiej rozterce, dopóki nagle nie wstrząśnie nim myśl, że to on, chory członek tego organizmu

społecznego, jest zdrowy, on, ten który nie może zrozumieć tego, co się dzieje – to niezrozumienie jest właśnie oznaką zdrowia. Podczas gdy ja w tej ich niepewności znajduję azyl dla siebie. Dobrze, że ich mam. Znowu do nich ucieknę.

Czy ona w ogóle wie, co to jest tęsknota? Używamy tego samego słowa – „tęsknota” – ale dla każdego znaczy ono coś innego. „Jej czas płynął inaczej” – podaję tę myśl w cudzysłowie, bo ściągnięta z pewnej współczesnej polskiej powieści, którą podczytuję, żeby ćwiczyć się w języku. Na przykład – z tym jej samochodem. Że każdy, który zamajaczył czerwienią między letniskowymi domami, przez chwilę był jej samochodem – przyjechała! – wbrew oczywistości, wbrew temu, że ona jest w okolicach Perpignanu i zazdrości szybującym na lotniach. Czy ona kiedykolwiek tak tęskniła? „Wystrzegaj się pięknych kobiet – powtarzała odchodząca ze świata Henryka. – Nie umieją kochać”. Kto wie, może myślała o sobie – takiej, jaką była w młodości. To słowo „kochać” zawierało w jej ustach chyba więcej treści: tęsknić, myśleć, być gotową do jakichś małych poświęceń. Nie trzeba dużych, jestem już tego pewny, wystarczą małe, o te małe najtrudniej, przypomina mi moje doświadczenie. Miotam się między przypływami pożądania a tęsknotą w przeróżnym stopniu – aż do niechęci. Posyłam SMS: „Bardzo Ciebie tu brak. Nie mam kogo dręczyć”. Dodaję: „Jestem nadal w Konstancinie. Przedemną brzozy”. Coś dla niej. Kilka dni bez odpowiedzi. Potem, nieoczekiwanie, już z Warszawy: „Świetne miejsce do nadawania. Odwiedzę Cię”. Zajrzała do swojego grubego kalendarza, przebiegła okiem zapiski, określiła dzień i godzinę.

Kupuję kwiaty, piękne orchidee, bardziej odporne na czas. – To dla mnie? Przepiękne. – Dostaję całusa, zupełnie jakbym był jednym z tych jej przyjaciół z kawiarni. Jest w niebieskich, ciasno opinających ją dzinsach, w tych samych, w których mi się śniła, bluzeczka czarna w białe kropki, złota rozetka w dekolcie, rozbawione piegi, zezująca ku mnie prawa pierś. – Siusiu! – wykrzykuje i pędzi do łazienki.

To „siusiu”, wiem, to też jakoś należy do gry, ona wie, że w jej ustach to słowo oddziaływa na wyobraźnię, ciepły strumyczek szemrze, spływając spomiędzy jej ud, zmoczona szparka – i jaka bliskość, widzisz, niczego nie

ukrywam, ust ci nie daję, ale tyle o mnie wiesz. Mein Liebchen – mogłaby powiedzieć – Mein Liebchen, was willst du noch mehr? (Ona zna niemiecki). Już nie pyta, który ręcznik jest jej, dobrze wie. Wychodzi z łazienki – zwycięski, łobuzerski uśmiech, znowu cmoknięcie – tamten cmok za kwiaty, ten na przywitanie – zjemy coś? co dla mnie masz?

– Szparagi i szpinak.

Poruszona tak, że prawie spochmurniała.

– Pamiętasz – szepnęła. Bo czasem ta moja pamięć ją peszy. Ona wie: nie potrafi mi odpowiedzieć czymś podobnym.

Przyglądała mi się pilnie, jakby chciała dostrzec coś szczególnego.

– Powiedz – odezwała się. – No powiedz. Chcę wiedzieć.

– Tak – odpowiadam. – Tak, trwa.

– Po uzbecku!

– Men sen jachszy kuramán.

Ona:

– Uchlajmyz blan!

I wybucha śmiechem.

Kiedy ja krzątam się w kuchni, ona wykrzykuje, już siedząc przy stole:

– Głodna jestem! Nie jadłam śniadania!

– Dlaczego? – pytam, wnosząc talerze.

– Odchudzam się.

– Ty? Po co?

Tłumaczy:

– Mam taką sukienkę – beżową, gołe plecy – chcę się w niej pokazać na imprezie, wiesz, pojutrze – muszę do niej schudnąć. Czego się śmiesz?

– Chyba cię polubię – powiedziałem.

– Mam nadzieję – odparła i zabrała się do pałaszowania. – Nie dawaj mi deseru – przypomniała.

– Komu się chcesz spodobać? – spytałem.

– Przede wszystkim sobie. Pracowałeś?

– Chyba tak.

– A inne sprawy?

– Śniłaś mi się.

– Nie o to pytam, ale o zbrodniarza.

– Śniłaś mi się – powtórzyłem. – Leżałaś na mnie w niebieskich džinsach i džinsowej bluzie.

– Mam taką.

- Całowałaś mnie.
- No, no.
- Byłem szczęśliwy. Piegusko... wniosłaś w moje życie radość, smutną radość.
- Dlaczego smutną?
- Wiesz dlaczego. Zastanawiałem się, czy tam, daleko ode mnie, nie przychodziło ci do głowy, że mógłbym się od ciebie odzwyczaić? Zająć się kimś innym?
- Zdarzało się.
- I co?
- Pomyślałam sobie, że w takim razie to nie była miłość.
- Jeśli uważasz, że miłość miałyby polegać na tym, że on wzdycha i niczego nie żąda, zadowala się wspólną gastronomią, to masz rację: takiej miłości nie było.
- Nie miała zbyt wesołej miny, kiedy przypominała:
- Jeff, przecież wiesz, że między nami nie może być inaczej, niż jest.
- I nie możemy się całować?
- Nie możemy.
- Ciekawe – powiedziałem z taką miną, jakbym sobie usiłował coś przypomnieć – że do ust garną się często kobiety, które wcale nie kochają. – Jej wyczekujące spojrzenie. Więc mówię: – Na przykład pani Erna.
- Erna? Jaka znowu Erna?
- Imię wskazuje na to, że chyba Śłużaczka, prawda? Urocza pani. Lubiałem się przyglądać, jak usiłuje dogonić swojego uciekającego chłopaczka. Zachwycająco się poruszała. (To była prawda. Taką ją zapamiętałem).
- Jeff, nie opowiadaj mi o uroczych kobietach, bo robię się zazdrosna.
- Wytrzymaj to. Pani Erna była reporterką radiową. Przeprowadziła ze mną rozmowę, chyba nieźle nam poszło. (Na razie mówię prawdę). No i zdarzyło się, że kiedy spotkałem ją na kolacyjce u wspólnych znajomych, to na ulicy, już po pożegnaniu, nagle zostawiła męża, podbiegła do mnie i pocałowała mnie w usta. (Wciąż jeszcze mówię prawdę).
- Coś do ciebie czuła.
- Chyba tak, bo właśnie do mnie zadzwoniła. (To już było kłamstwo).
- Oho! – Okrzyk pełen zamierzonej ironii.
- Pani Thompson, mówiła, świetnie, że pan przyjechał, bardzo chciałabym się z panem spotkać. Powiedziała: często o panu myślałam,

mam kasetę z tym wywiadem, wsłuchuję się w pana głos; i przed snem zdarza mi się, że jestem w pańskich ramionach. I tak zasypiam.

– Onanistka. – To było jak warknięcie. – A ty, co na to?

– Wziąłem numer telefonu – kłamałem jak najęty – i obiecałem zadzwonić.

– Żeby cię znowu pocałowała?

– Matti, piętnaście lat minęło i to mogą być nie te same usta.

Matyldy to nie przekonało. Powiedziała:

– Jeśli się z nią spotkasz, to nie spotkasz się ze mną.

– Ale, Matti, czy ja nie powinienem kogoś mieć?

– To twoja sprawa. Nie chcę o tym słyszeć.

– Ale przecież ty kogoś masz.

– Spotykam się z tobą, tak?

I to ma mi wystarczyć. Zdeprawowałem ją.

– To ja ci powiem – mówię – dlaczego nie chcesz się ze mną całować.

– Ciekawa jestem.

– Boisz się, że się rozsmakujesz i już nie będzie ucieczki.

Uśmiech w zieleni.

– Coś jest na rzeczy.

Ale chyba powiedziała tak, żeby nie być nieuprzejmą.

– Bo ty jego nie kochasz – mówiłem.

– O kim mowa?

– O przyjacielu od kawy. Kochasz mnie.

Uśmiechnęła się. A ja:

– Dobrze wiesz, że całe życie czekałaś na mnie.

Wybuchnęła śmiechem. Świetny dowcip, zapewne. (Chociaż czasem byłem o tym przekonany). Już nie musiała nic mówić. Pochyliłem głowę.

– Piegusko – powiedziałem cicho. – A ja marzyłem, żebyś wreszcie zrobiła coś spontanicznie. Żebyś straciła zimną krew i panowanie nad sobą. I coś mi wyznała. Doczekałem się tego – mówiłem – właśnie przed chwilą to zrobiłaś.

– Och, Jeff, przecież nie mówiłeś tego serio.

– Powiem ci coś. Coś dziwnego. Kiedy patrzę na ciebie, kiedy chłonę twoje piękno, twój urok, czuję, że to piękno we mnie wchodzi, nie myślę o tym, jaki jestem – zresztą, co człowiek naprawdę o sobie wie – czuję się od środka piękny, bo mam w sobie, tu, wewnątrz, ciebie.

Jej twarz pokryła się rumieńcem. Nareszcie.

– Jeff, to śliczne, co powiedziałaś.

– Kiedy się zobaczymy?

– Nieprędko. – Powiedziała, prawie ze smutkiem: – Muszę lecieć do Rzymu.

– Tak nagle?

– Tak się złożyło.

– Służbowo?

Domyślała się, co w moich ustach znaczy, że ona leci „służbowo”.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie służbowo. Do kuzynki. Wezwała mnie – „błagam cię, przyjedź” – zachorowała, prosi, żebym się nią zajęła.

Kłamiesz. On tam będzie, ten z Wenecji. A może ten z nart. Albo ten z Cardiffu, chociaż to stara historia. Czy to jest trzech różnych, czy stale ten sam, latający Holender?

– Kwiaty się zmarnują – powiedziałem.

Spojrzała w ich kierunku.

– Mama się nimi zajmie. Lubi cię.

– Dlaczego? Nie zna mnie. – Dodałem: – Może dlatego...

– Zna cię z moich opowieści. Uważa cię za mędrca.

– A powiedziałaś, że ten mędrzec zgłupiał dla jej córki?

Zaśmiała się.

– No nie.

– Trzeba było. – Zakląłem. Potem: – Znowu zostaję sam.

– Masz się czym zająć.

– Niby mam.

– Matylda i tak dalej – podpowiadała. – I ten morderca – przypomniała. – Jeff, będę pisać.

Zbliżyłem usta do wycięcia dekoltu. Całowałem piegi nad obłością jej piersi. Dotknąłem ich dłonią i dostałem po łapach. Spojrzała w dół i roześmiała się:

– Uspokój go!

– Zadzwoń do Erny.

– Dzwon sobie.

– Coś taka szczodra?

– Bo do niej ci nie stoi!

Powiedziałem, kiedy wsiadała do samochodu:

– Matti, Matti, tobie to dobrze, te pieguski stale są z tobą, możesz na nie spojrzeć, możesz dotknąć, popieścić. A dla bliźniego nic. Czysty egoizm.

– Jeff, jesteś niemożliwy. Ale lubię cię.

– Matyldo, jestem niespokojny. Rzym przestał być bezpiecznym miastem.

– Będziemy w kontakcie.

– Zawsze tak obiecujesz, a potem zapominasz. Jeśli chcesz zwiedzać Rzym, to najlepiej Forum Romanum. W ruinach na Palatynie można spokojnie posiedzieć w cieniu i poczytać gazetę.

– Nie przychodzi się na Palatyn, żeby poczytać gazetę.

– Ja tak zrobiłem. Żeby wypiąć się na starożytność. Przebywaj tam jak najwięcej.

– Ale dlaczego?

– Bo terrorystów Forum nie interesuje. Za mało ludzi do masakry. Pocałowała mnie na pożegnanie w policzek.

– Matti – powiedziałem. – Poczułem się jak emerytowany choreograf. Pogroziła mi palcem i spytała:

– Nie goliłeś się dziś?

– Goliłem.

– Już masz zarost. – Dotknęła mojego policzka palcami. – Szorstki. Podobno kiedy mężczyzna jest zakochany, broda szybciej mu rośnie.

Puenta należała do niej.

Pierwszy SMS – nazajutrz rano: „Kwiaty piękne. Mama zachwycona. A ja wspominam twoje wspaniałe towarzystwo”. O tym, jak wypadła sukienka z gołymi plecami, już nie nadawała. W kilka dni później – z Rzymu: „Jestem w drodze na Lateran. Całuję”. Znowu kilka dni i meldunek: „Nad morzem, na rowerze wodnym. Pisz!”. Ostia Lido, odgaduję. Nie rozpytuję o niego, nie mam prawa o nic pytać, nie mam w ogóle żadnych praw. Mam prawo tęsknić i adorować. Chce mi się kłąć. Nadaję: „Jak Twoja chora kuzynka znosi rower wodny?”. Czuje się chyba dotknięta, bo odpowiedź przychodzi dopiero po dwóch dniach: „Jak tam Erna, twoja dupa?”. Muszę się ochłodzić. Nie mogę być opętany kobietą, która do mnie nie tęskni. Przypomniały mi się *Dzienniki poufne* Benjamina Constanta. (Ona nie zna tego autora). Zakochany w pani Récamier. Miota się, leje łzy, czasem tak dobrze jej z nim, „pańskie wspaniałe towarzystwo”, nazajutrz już nie pamięta (krótka pamięć niekochających kobiet), odtrąca go. Zanotowałem na marginesie: „A ona po prostu miała innego”. Kiedyś Matyldzie to zacytowałem: „A ona po prostu miała innego”. I wtedy, pamiętam, przez jej twarz przebiegł taki błysk, zmarszczka uśmiechu: Aha,

więc ty się domyślasz. Ona też tęskni, ma do kogo. Tylko tym kimś nie jestem ja. Ukryć ból. Nadaję: „Czy wszystko u ciebie w porządku?”. „W porządku. Nie martw się o mnie. Rób swoje. Całuję. Matti”.

Robię swoje. Nie jestem specjalnie zadowolony ze swojego trzeciego, pożegnalnego odczytu w Wyższej Szkole Czegós Tam – tego o Monteskiuszu. Odbębniam go byle jak. Może dlatego, że dowiedziałem się, że redaktor Sianko już ma urlop. Czy jednak to nie jest z jego strony unik? Dopadnę go, obiecałem sobie mściwie, tak, nowa cecha w mojej ewangelicznej osobowości. Około trzydziestu słuchaczy w różnym wieku, z notesami, magnetofonami, będą nagrywać ten mój bełkot, dwie młode ładne kobiety, czarnowłosa i blondynka, obie wpatrują się we mnie uśmiechnięte – czy któraś nich nie mogłaby zastąpić Matyldy – zapomnieć o tej nałogowej turystce przy tej z lewej strony. Będzie się złościć, to też jest jakieś uczucie.

Na początku uprzedziłem żartobliwie – ale potem okazało się, że niektórzy odebrali to poważnie – żeby nie mylili pana Montesquieu z panem de Montaigne’em, bo zdarza się, że niektórzy myślą, że to ten sam człowiek, tylko raz pisze się tak, a raz tak. Monteskiusza przedstawia się czasem jako doktrynera, niemal fundamentalistę, ale to jest wypaczenie jego osobowości. On nam nie dyktował – on radził, wierzył, że *d u c h p r a w* jest ważniejszy od zapisu praw. Przynajmniej, powiedziałem, tak ja to widzę. Konstytucja może być światła, ale sytuacja obywatela zależy od tego, kto wprowadza ją w życie, Lincoln czy Stalin. Montesquieu uważał, że nie można przenosić ustroju z jednego kraju do drugiego bez oglądania się na tradycje i obyczaje. „Kiedy Montezuma tak uparcie twierdził, że religia Hiszpanów była dobra dla ich kraju, a religia meksykańska dla jego kraju, nie mówił niedorzeczności”. Katarzyna, dzięki takim stwierdzeniom, mogła utrzymywać, że Rosja potrzebuje rządów autokratycznych. Powołując się na francuskiego filozofa, nadal uchodziła za filozofa na tronie. Szkoda, że mój prezydent, pan Bush junior, nie miał okazji zamyślić się nad rozważaniami Monteskiusza. Mój profesor, Izajasz Berlin, tak relacjonuje poglądy tego prawodawcy (zaglądam do kartki): „Ignorancja, gnuśność, nastawienie na własną tylko korzyść – oto potężni nieprzyjaciele postępu. Jeszcze szkodliwsi są bigoci i szaleńcy...”. Kiedy jednak Montesquieu twierdzi, że (zaglądam do kartki): sprawiedliwość jest to „właściwość równie przynależna ludziom jak istnienie”, że „sprawiedliwość jest wieczna i nie zależy od ludzkich układów”, to ja, Jefferson

S. Thompson, nie mogę się z nim zgodzić: to jednak światopogląd idealistyczny, Berlin określił to jako „metafizyczną definicję prawa”. Panie i panowie, sprawiedliwość w stosunkach między narodami jest trudno osiągalna, jest wyzwaniem prawie nie do urzeczywistnienia – co dla jednych jest sprawiedliwe, to dla innych jest niesprawiedliwe – dążyć należy nie do „sprawiedliwego” rozstrzygnięcia, ale do porozumienia, do kompromisu. Do ustępstw. Do pokoju. Do zwycięstwa życia nad śmiercią. Mimo wszystko dostałem brawa. Panie i panowie, jeszcze raz powołałam się na mojego profesora Izajasza Berlina. Otóż przypomina on, cytuję, że: „Liberałowie głosili, że despotyzm nie przestaje nim być, kiedy społeczeństwo samo go sobie narzuca i kiedy czyni to z entuzjazmem” – czego, dodam od siebie, byliśmy świadkami w minionym stuleciu. „Dobrowolni niewolnicy nie przestają być niewolnikami”. Punkt widzenia, przypomina profesor Berlin, „zazwyczaj niepopularny, dlatego że stawia wolność ponad szczęśliwość, ponad pokój i cnotę”. Panie i panowie, macie się nad czym zastanawiać. Jednak brawa.

Młode słuchaczki sprawdziły swoje magnetofony – i z uśmiechem, porozumiewawczym, skierowanym do mnie: „Okej, nagrało się”. Kilkoro, w tym jeden łysy, zażywny, czterdziestoletni, miało jeszcze do mnie pytania. Wiem, zapłacili za uczestnictwo, i to podobno słono, ale odpowiadałem z roztargnieniem, spieszno mi było do sekretariatu. Nie dlatego, że dzisiaj kończyła się nasza współpraca. Miałem nadzieję, że dostanę numer telefonu pana redaktora Sianki; tak jak się tego spodziewałem, ten zanotowany przez Wiktora był już nieaktualny, a ten aktualny z kolei zastrzeżony. Nie zastrzegł sobie jednak numeru w sekretariacie – dostałem go.

O czym będziemy rozmawiać? Nie wiedziałem. Chciałem usłyszeć głos człowieka, który kłamał. Na razie tyle. Zadzwoiłem ze swojej warszawskiej kwatery, ja w fotelu, nogi uniesione wysoko, słuchawka przy uchu.

Rozpoznał mnie od razu. Myślę, że głównie za sprawą amerykańskości mojej wymowy, która jest nie do ukrycia. (Mówiliśmy volapükiem anglo-polskim, przekładam to wszystko na w miarę regularną polszczyznę).

– Och, profesor Thompson. How nice! Czemu zawdzięczam?

– Chciałem wyrazić żal, panie redaktorze, że nie było pana dzisiaj na mojej prelekcji.

– Ja też żałuję. O czym była mowa?

– O sprawiedliwości między narodami. O wolności. O różnorodności. Pretekstem był *Duch praw* Monteskiusza.

– O la, la! Pan jest za sprawiedliwością, mam nadzieję?

– Nie.

– Nie? Być przeciw sprawiedliwości – to wymaga odwagi.

– Jestem za porozumieniem. Za pokojem. Trzeba zawsze z czegoś ustąpić. Ci, którzy domagają się sprawiedliwości, chcą wiecznej wojny.

– Rozumiem, do czego pan pije.

– Tak, to pański temat. Przypadek zrzucił, że przeglądałem, panie redaktorze, pańskie artykuły. Dostałem je w prezencie od rodziny Wiktora Blaua.

– On je zbierał? To mi pochlebia.

Udawał spokój. A może naprawdę był spokojny.

– On czytał je bardzo uważnie. Opatrywał wykrzyknikami i znakami zapytania.

To pana redaktora chyba speszyło.

– Każdy ma prawo... – burknął.

– Naturalnie, każdy, szczególnie poseł, członek komisji spraw zagranicznych. – Uznałem, że czas przystąpić do ataku. – On nawet do pana telefonował.

– Nie przypominam sobie.

– Powiem panu nawet, w jakiej sprawie. Pan napisał, że w szpitalach izraelskich truje się arabskie dzieci.

– Jeśli coś takiego napisałem... – Niepewność w głosie. – Coś takiego poszło? – udał zdziwienie.

– W pańskim piśmie. Pod pana nazwiskiem.

– To musiała być wiadomość agencyjna.

– Przecież pan wiedział, że to kłamstwo. O to mojemu przyjacielowi chodziło. Pytał, dlaczego pan takie bzdury zamieszcza.

– Pan sobie zmyśla. Nie było takiej rozmowy!

– Owszem, była. Jacek Blau, syn posła, był podczas niej obecny. Proszę mi powiedzieć – pytam przez ciekawość – dlaczego pan twierdził, że nigdy się z Blauem nie kontaktował?

– Tak mi się wydawało. Ale o co panu chodzi? Dlaczego pan wypytuje? Jakim prawem? Prowadzi pan jakieś śledztwo?

– To był mój przyjaciel, panie redaktorze. Tylko to mnie uprawnia. Przepraszam, jeśli poczuł się pan dotknięty.

– To muszę panu przypomnieć, że taka była polityka naszego rządu. Wykonywałem polecenie organu partyjnego.

– Czy ta polityka od tego czasu nic się nie zmieniła? Pan wybaczy, przyjechałem po piętnastu latach i nie we wszystkim się orientuję.

– Myślę, że się zmieniła.

Ale ty nie, pomyślałem i powiedziałem, niby drugi porucznik Columbo:

– Dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

Wracam do książki. Jest rok 1918, pierwszy dzień stycznia. Aleksy Maksymowicz zaniepokojony (stale w nim są te „myśli nie na czasie”). W niespełna dwa miesiące po rewolucji zauważa dziwne i zatrważające zjawisko: „w fabrykach i zakładach przemysłowych (zaczęła się) zajądła walka zwykłych robotników z robotnikami wykwalifikowanymi, zwykli robotnicy zaczynają głosić, że ślusarze, odlewnicy, tokarze itp. – to w istocie «burżuje»”.

Najbardziej jednak przeraża go, że „rewolucja nie niesie w sobie oznak odrodzenia duchowego człowieka, nie czyni ludzi szlachetniejszymi...”. Że wrzeszczy się na posterunkach i tupie na ludzi, jak wrzeszczało się i tupało dawniej. Konkluzja: „N i e m a p o d l e j s z e j t r u c i z n y n i ż w ł a d z a n a d l u d ź m i”. Przestrzega: „M u s i m y o t y m p a m i ę t a ć, a b y w ł a d z a n i e z a t r u ł a n a s, p r z e m i e n i a j ą c w l u d o ż e r c ó w j e s z c z e w s t r ę t n i e j s z y c h o d t y c h, z k t ó r y m i c a ł e ż y c i e w a l c z y l i ś m y”.

Atak na jego pismo „Nową Żyzń” podejmuje... „Wydział Armatni Fabryki Putiłowa”. Zorganizowany gniew „klasy robotniczej”. Wymieniają wrogich autorów z nazwiska, także Gorkiego do nich zaliczają. Odpowiedź pisarza nie jest tym razem sarkastyczną „myślą nie na czasie” – nosi tytuł, w którym zawiera się ocena: *Płody demagogii*. „Ludzie, których nazwiska wymieniono w liście, nie po to walczyli z samodzierżawiem oszustów i niegodziwców, by zastąpiło je samodzierżawie politycznych dzikusów”. Nie wycofuje się z niczego! „Tak, będziemy kontynuować polemikę z rządem, który gubi klasę robotniczą; uważamy to za swój obowiązek...”

W dwa tygodnie później – nowe *Płody demagogii*. Bo tym razem atakuje jego pismo nie „klasa robotnicza”, ale „grupa urzędników”. Gorki dla nich to, oczywiście, burżuj, kapitalista, który mieszka we własnej willi. „Raz na zawsze oświadczam – odpowiada Aleksy Maksymowicz – (...) nie miałem

i nie mam własnej willi. (...) A zresztą, gdybym miał, nie czułbym się grzesznikiem”.

I znowu *myśli nie na czasie*. „Panowie komisarze ludowi – atakuje Gorki – absolutnie nie pojmują, że głoszone przez nich hasło «rewolucji społecznej» lud, wycieńczony duchowo i fizycznie, przekłada na język w kilku krótkich słowach: – Bij, rabuj, burz...”.

Stale to samo, stale „Ceterum censeo”, ale nie, że „Kartagina musi zostać zniszczona”, ale że trzeba ją ocalić, ocalić, ile się da. Komisarze, przypuszcza, nie pojmują, do czego „szalony obraz ich działań” pcha lud. Ale to ich nie usprawiedliwia. „Skoro wleźli do «rządu», powinni wiedzieć, kim, w jakich okolicznościach rządzą”.

Luty 1918. Zinowjew pieni się na Aleksego Maksymowicza – Lenin macha ręką, jest sprawa życia i śmierci – zawrzeć traktat pokojowy z Niemcami i zmusić opętanych wizją światowej rewolucji towarzyszy, by decyzję o traktacie zaakceptowali. W miesiąc później – na początku marca, kiedy generał Hoffmann mówi do delegacji sowieckiej w Brześciu: „Podpisujecie czy wolicie wojować?” – ukazują się *Myśli nie na czasie* bardzo zasadnicze – polemizują nie tylko z terażniejszością, ale i z przeszłością, z panslawizmem i mesjanizmem rosyjskim. To trzeźwa ocena pisarza europejskiego, czującego po rosyjsku (jak sam o sobie mówił). On, człowiek z ludu, nie ma złudzeń. Idea „rosyjskiej wyjątkowości” jest szkodliwa, przywiodła do „sentymentalnego półobstwieńcia ludu, który wyrósł w niewoli, pijaństwie i ciemnych zabobonach cerkwi i któremu marzenia inteligencji są obce”. Eksperyment rewolucji społecznej – to „zajęcie nader radujące maniaków tej pięknej idei i bardzo wygodne dla łobuzów”. Najgoręcej przyjęte hasło rewolucji to było: „Grab zagrabione!”. Sprzedaje się i grabi cerkwie, wojskowe muzea, zapasy intendentury – sporo tego wylicza. „W Teodozji (na Krymie, tuż pod bokiem Maksymiliana Wołoszyna z Koktebelu – J.T.) żołnierze handlują nawet ludźmi – przywieźli z Kaukazu Turczynki, Ormianki, Kurdyjki i sprzedają je po dwadzieścia pięć rubli za sztukę”. „Możemy być dumni – ironizuje – niczego podobnego nie było nawet podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej”.

I oto ten „ciemny, organicznie skłonny do anarchizmu lud jest obecnie przywoływany, by stał się duchowym przewodnikiem świata, Mesjaszem Europy”.

Wybijcie to sobie z głowy! On, Gorki, zna Zachód – „to świat surowy i nieufny, pozbawiony sentymentalizmu. W świecie tym człowieka ocenia się nader prosto: czy lubisz, czy umiesz pracować? Jeśli tak – jesteś człowiekiem potrzebnym światu”. A jeśli nie? To „jesteś w warsztacie świata człowiekiem zbędnym”. Ot i wszystko.

Przerażenie, bo nie tylko zdumienie, budzi odezwa Specjalnego Zgromadzenia Czerwonej Floty Republikańskiej. Oświadczają, że wystąpią z bronią w rękę „i za każdego z naszych zabitych towarzyszy będziemy odpowiadać śmiercią setek i tysiący bogaczy, co mieszkając w jasnych i zbytkownych pałacach...” i tak dalej. Gorki, protestując przeciw tej odezwie, wykazuje odwagę nie tylko cywilną – także i fizyczną. Dla niego ta „groźna odezwa marynarzy” to „dziki ryk rozzuchwalonych, strachliwych bestii”. Zwraca się wprost do nich: „Nie ma wątpliwości, wolno wam b e z k a r n i e wyłuc tyłu «burżujów», ilu wam się podoba”. W ten właśnie sposób „przetrawił i triumfuje duch krwawego despotyzmu tej samej monarchii, której formy zewnętrzne obróciliście w proch”.

W kilka dni później – znowu *Myśli nie na czasie* – i w nich stwierdzenia jakby ostateczne, na pewno bolesne: „Moim obowiązkiem jest przyznać z g o r y c z ą: w r o g o w i e m a j ą r a c j ę, b o l s z e w i z m j e s t n a r o d o w y m n i e s z c z ę ś c i e m...”. Ci, którzy chcą tu stworzyć socjalistyczne państwo – i to z kogo? – „z ciemnego i odrętwiałego ludu wiejskiego”, to „fantaści i książkowi teoretycy”. A przecież to są dobrze mu znani ludzie, ci „książkowi teoretycy”, niemal przyjaciele: Łunaczarski, Bucharin i wreszcie sam Lenin. (Z Trockim znajomość była luźniejsza).

Atakują go z lewa, ale i atakują z prawa. Dymitr Fiłosofow pisze, że on, Gorki, „stara się zmusić uczonych, pisarzy i artystów do służby sowdepom”. Gorki prostuje: zawsze uważał tylko, że „nieskrępowany rozwój nauki poprzedzać winien jej nieskrępowane upowszechnienie”. Toteż jest w istocie konieczne (wbrew temu, co mu imputuje pan Fiłosofow), aby Akademia Nauk „zachowała pełną niezawisłość twórczą”. Ale to nie wszystko. Bo pan Fiłosofow utrzymuje, że Gorki „byłby gotów sprzedać wolność i kulturę za miskę soczewicy uniwersytetu ludowego” i że „nakłania inteligencję rosyjską do zdrady”.

„Proszę, do czego doszło! – wykrzykuje Gorki. – Apel do pracy na rzecz państwa i społeczeństwa – to wezwanie do zdrady. Co to jest: zaślepienie nienawiścią czy też zidiocenie filistra?” Czy Fiłosofow nie zauważył, że on,

Gorki, od dawna „wzywa inteligencję do pracy bez względu na okoliczności?” Powołuje się na „szaleństwo męcznych”, nie tylko „Garibaldiego, lecz i szaleństwo Giordana Bruna czy innych męczenników myśli”. Bowiem „Nauka – to najpotężniejsze, najbardziej przejmujące ze wszystkich szaleństw ludzkości, to najwyższy wzlot jej szaleństwa!”

Polemika dotyczy sprawy zasadniczej – politycznie. „Na ciele męczzonej Rosji nabrzmiewa ropiejący wrzód”. Ten „wrzód” – to zaciętrzewienie. Filosofów uważa, że wszelka praca „dla mas” jest zdradą demokracji, współpracą z bolszewikami. To sedno konfliktu. Gorki zawsze był i wciąż jest po stronie pracy organicznej. W każdym warunkach.

Wydaje mu się jednak, że jego uporczywa publicystyka przynosi owoce. I nie tylko to: że prawa życia sprzyjają dobrym przemianom. W artykule z 6 czerwca 1918 roku najpierw kreśli bezlitosny psychologiczny portret współczesnego Rewolucjonisty (w którym można się domyślać Lenina), powtarzając zresztą pewne oceny: „Lud jest dla niego materiałem, tym wygodniejszym, że mniej uduchowionym...”. (Przypomina się tu spostrzeżenie na temat „wielkopańskości” Lenina). „To chłodny fanatyk, asceta, który kastruje twórczą siłę rewolucyjnej idei” ... To nie jego nazwą „twórcą nowej historii – nie on będzie jej wzorcowym bohaterem”.

Ale okrucieństwo – taką nadzieję żywi Aleksy Maksymowicz – nuży i może wytworzyć odrazę, „a w tej odrazie jego zguba”. „Wydaje się, że właśnie zaczynamy w sobie wytwarzać fizjologiczną odrazę do wszystkiego, co krwawe, okrutne, plugawe – trzeba, by ta odraza rosła, aby stała się idiosynkrazją większości”. (Bardzo to ładne – myślę – byłoby krzepiące, gdyby nie to, że złudne).

Dosyć tego! Zinowjew triumfuje: na Kremlu Lenin podejmuje wreszcie decyzję – zakazać wydawania „Nowej Żyzni”.

To zerwanie. Chyba całkowite.

Lenin się nie odzywa, chociaż w mieszkaniu na Kronwerskim założono telefon, „wuj Feliks” się postarał, bo nalegał na to Maksym, jego ulubieniec. Gorki ma zamknięte usta. Co na to Maria Fiodorowna? Ach, nic szczególnego – nie dyskutuje, nie wytyka Aloszy: „a nie mówiłam?” – ona robi swoje – jest wierna partii, wierna Leninowi – oddał jej w zarząd teatry pietrogradzkie – no, myślę sobie, ta im da popalić... Choćby dlatego, że w dwóch kondygnacjach mieszkania przy Kronwerskim to nie ona jest gospodynią, musi się z tym pogodzić: wprawdzie i ona tu mieszka, a wkrótce obok niej jej młody sekretarz Piotr Kriuczok, ale to Tichonowa, Warwara Wasiliewna, rządzi domem, a przy niej kręci się mała Ninoczka, podobna, nie wiedzieć czemu, do gospodarza. Mój cień snuje się po amfiladach mieszkania, wspinam się na piętro, w dużym pokoju (cztery okna wychodzące na ulicę – informuje Nina „Berberini”) jakiś srebrnowłosey, wychudły pan leży na łóżku, kładzie palec na ustach: tss, ani słowa, nie widziałeś mnie, pamiętaj. To księżę Gawriił Romanow, prawnuk wielkiego księcia Konstantego, ożeniony z tancerką Anastazją Nestierowską, i to ona, rzuciwszy się do nóg Urickiemu, pomogła swemu księżęcemu małżonkowi wydostać się z więzienia i teraz trzyma ich u siebie Gorki, a Maria Andriejewa, ta zajadła bolszewiczka Andriejewa, nie tylko to aprobejuje, ale stara się, by księżę i jej dawna przyjaciółka mogli opuścić Rosję. To gra o życie jednego z ostatnich Romanowów, gra świadoma, niebezpieczna. Carska rodzina już rozstrzelana, w Jekaterynburgu, na Uralu. Na progu każdego domostwa, w którym przebywał car, wisiała podkowa – nie przyniosła mu oczekiwanego szczęścia; inaczej caryca, ona czarno widziała swoją przyszłość, wpatrywała się, mówiono, w portret Marii Antoniny, „to będzie mój los”, wierzyła, że od tego losu chroni ją człowiek Boży, Grisza Rasputin, ale Rasputina zabili i los się dopełnił.

Nic dziwnego, że księżę Gawriił nie wychodził z domu, jednak na główne posiłki schodził do jadalni, siadał przy stole razem z innymi,

z domownikami, gośćmi, bywają wśród nich – jak wspominała jego żona – „spekulanci, bolszewiccy prominenci”, bywał komisarz Łunaczarski i wielki Szalapin. (Wszystko zakończy się szczęśliwie. Zinowjew nie mógł się oprzeć naleganiom Marii Andriejewej, może zgrzytał zębami, ale to on sam wykonał telefon, by „ze względu na stan zdrowia” księcia Romanowa wydano mu zezwolenie na wyjazd. Osiedli w Paryżu, gdzie ona szyła suknie. Książę Romanow przeżył dzięki żonie tancerce, na której zaślubiny Mikołaj Drugi nie chciał udzielić mu zezwolenia. I dzięki pisarzowi Gorkiemu i aktorce Andriejewej).

Nadaję SMS: „Pani, gdzie jesteś? Czemu nie w Warszawie?” Bez odpowiedzi. Znów do Piotrogradu. Co się tam działo? Zerwanie. Jest 30 sierpnia – i zamach na szefa Czeka, Urickiego. Zabity. (Dopiero co się zgodził, by przenieść księcia Gawriiła do szpitala). Nazajutrz – 31 sierpnia – Lenin wygłasza dwa przemówienia. To drugie do robotników w fabryce Michelsona. Kiedy wychodzi i zbliża się do swojego samochodu, zagradza mu drogę jakaś kobieta, oddaje trzy strzały, dwa trafiają. Ktoś pędzi za nią, inni przenoszą rannego do samochodu. „Do szpitala!” – pada komenda. Nie, nie do szpitala – sprzeciwia się szofer – do domu! Bo nie wiadomo, kto w szpitalu się nim zajmie, może taki, co zechce wykończyć bolszewika.

Strzelała Fanny Kapłan, stuknięta fanatyczka, nie ma wątpliwości. Za cara zajmowała się terrorem, zesłano ją na katorgę, cierpiała na bóle głowy, okresowo traciła wzrok, rewolucja lutowa dała jej wolność.

– Kim jesteś?

– Anarchistka.

– Kto ci dał rewolwer?

Odmówiła odpowiedzi.

– Wymień współników.

Nie miała współników.

– Dlaczego strzelałaś?

– Bo on zdradził rewolucję.

Rozstrzelać ją bez sądu, tak będzie najprościej, uznali towarzysze.

Zamach wstrząsnął jednak Gorkim. On i jego była żona wysyłają telegram do Lenina: „Martwimy się straszliwie, zaniepokojeni, serdecznie życzymy szybkiego wyzdrowienia. Dzielności ducha! M. Gorki, M. Andriejewa”.

W dziesięć dni później pierwszy owoc tego nowego otwarcia (bo nie ma wątpliwości, że ta depesza to było nowe otwarcie): „Izwiestia” donoszą, że

Gorki podpisał umowę z Łunaczarskim na założenie wydawnictwa „Światowa Literatura”. Czerwonoarmiści wydają triumfalną proklamację: „Gorki znowu z nami!”. On sam szykuje się do wielkiej pracy. Będą wydawać arcydzieła światowej literatury, tanio, w dużych nakładach, w świetnych przekładach – marzy się Gorkiemu – Dante, Goethe, Stendhal, Flaubert, no i oczywiście Anglicy i Amerykanie, podniesie się świadomość społeczeństwa, jego moralność, to będzie istotne osiągnięcie rewolucji. Do redakcji ściąga olśniewające nazwiska, erudytów, znawców, dwa razy w tygodniu – we wtorki i w piątki – zasiadają wokół długiego stołu na Prospekcie Newskim – Błok, Zamiatin, Czukowski, później Szklowski, no i Gumilow, który odpowiada za literaturę francuską. Właśnie rozwiódł się z Anną Achmatową, to komiczne – miał powiedzieć – małżeństwo poety z poetką, do takiego wniosku doszedł po dziesięciu latach pożycia. Powiadają, że podczas dyskusji nad zamierzeniami wydawniczymi Aleksy Maksymowicz zadziwiał wiedzą, jego erudycja nawet niektórych drażniła, znał wszystkie nazwiska, chociaż, mówią złośliwi, wymawiał je czasem w sposób niezrozumiały, po niżnienowogrodzku. Jego z kolei denerwowało, że ci wspaniali specjaliści nie pasjonują się tą szansą tak jak on, widzą w tej redakcji przede wszystkim posadkę, kartę żywnościową i trochę rubli. Powtarzał: „Panowie, oni robią swoje, a my swoje. Nie odpowiadamy za ich szaleństwa. Ale odpowiadamy za siebie”.

Nie mogę dłużej udawać: ten długi stół w redakcji mnie nie ratuje, wyraźnie nie ma tam dla mnie miejsca, znowu jestem w Alejach Ujazdowskich, wlokę się do parku Łazienkowskiego – samotność mi dopieka, samotność nie fizyczna, ale jej milczenie, znak obojętności. No tak, kim dla niej jestem? Nie potrafię jednak prowadzić gry, dosyć mam udawania, wysyłam jej SMS (ciekawe, kto go tam, prócz niej, odczytuje): „Matyldo, bardzo źle bez ciebie. Tęsknię tak boleśnie, że...” – chciałem napisać „że aż przestaję cię kochać”, ale postanowiłem nie kończyć tej myśli i nadałem: „dopowiem podczas spotkania”.

– Pan Thompson? – usłyszałem.

Drogę mi zaszedł okrągły człowieczek, oczy za ciemnymi okularami, kędzierzawe włosy przetykane siwizną, nos kartofelkowaty, krótka broda bez wąsów, ale co najbardziej rzucało się w oczy, to obfite bokobrody, coś między Pickwickiem a Stendhalem. Brzuszek wypychał mu kamizelkę. Zerknąłem na ekran swojej komórki, nie było nic, żadnego znaku, spytałem niegrzecznie:

- Czego pan chce?
- Ale to pan?
- A pan kto taki, że o to pyta?
- Powiedzmy: Luciano. Moja ksywa. Na razie musi to panu wystarczyć.
- O co panu chodzi? – Wciąż szorstki.
- Szuka pan mordercy posła Blaua?
- Dlaczego pan pyta?
- Widziałem pana z panią Blau.
- Śledził mnie pan?
- Przypadek. Mieszkałem tam kiedyś, w kamienicy obok, widywałem pana, panie Thompson, jak pan zachodził... Lubię popatrywać na te drzwi.
- Dlaczego pan to lubi?
- A tego to jeszcze panu nie mogę powiedzieć. Piętnaście lat minęło, a pan znowu... Nic się pan nie zmienił, panie Thompson. Więc jak moje piękne oczy pana ujrzały, pomyślałem od razu: szuka mordercy, prowadzi śledztwo. Nie tak?
- Niezupełnie. Jestem osobą prywatną.
- Ale chciałby pan wiedzieć, kto zabił?
- Czemu nie?
- Panie Thompson, Luciano wie, kto to zrobił.
- Więc kto?
- Piwo i coś do przegryzienia.
- Niełatwo było znaleźć coś odpowiadającego temu panu: mogą nas śledzić, sugerował, zawędrowaliśmy aż na Nowogrodzką, w pobliże gmachu hotelu.
- Może być omlet z pieczarkami? – spytał.
- Proszę bardzo.
- Zamówiłem dla niego omlet z pieczarkami, dla siebie szklaneczkę whisky z lodem. Pickwick o pseudonimie Luciano wyjął z szerokiej kieszeni wiatrówki kupony totolotka.
- Nie przeszkodzi panu, że będę wypełniał?
- Pańska sprawa.
- Mam system.
- Niezawodny?
- Sprawdźmy. Chce pan wejść do spółki?
- Nie, nigdy w życiu nic nie wygrałem.

– Liczy pan tylko na siebie? – pytał ten pan, cały czas wypełniając kupony.

– Na siebie też nie liczę.

– Więc na co?

– Na błąd przeciwnika.

Luciano podsunął mi kupon i długopis.

– Niech pan wypełni dla mnie kilka kratek. Czuję, że pan przyniesie mi szczęście.

Wypełniłem kilka kratek, a on kończył jeść i pić.

– Może pan już mówić? – spytałem, widząc, że obciera schludnie usta i strząsa okruchy z bródki. Teraz zauważyłem, że krawat, granatowy w szare pasy, ma starannie zawiązany. – Czekam. Kto zabił?

– Zachowa pan to dla siebie?

– Tego nie obiecuję – powiedziałem.

– Pobiegnie pan na policję?

– Kto zabił? – spytałem raz jeszcze.

Przechylił się przez stół i szepnął:

– Ja.

Pochwalę się, że mnie to wyznanie tak bardzo nie zaskoczyło. On podniósł na mnie szare oczy, które dopiero teraz wydały mi się podejrzone, i spytał:

– No co, zatkało? Warte było tego omleta?

Zanim odpowiedziałem, pochylił się znowu nad kuponami, stawiając byle jak cyferki w kratkach.

– Nie widzę w tym żadnego systemu – zauważyłem.

– Na tym polega mój system. Jak wygram pół miliona, wezmę sobie najlepszego adwokata i on mnie uwolni od kary.

Ruchem ręki, jak przy bekhendzie, odsunąłem na bok arkusiki z kuponami.

– Co pan robi?! – wykrzyknął.

– Mamy porozmawiać.

Ucieszył się.

– Aha, chwyciło.

– Zabił go pan, to już wiem. Ale dlaczego?

Rozłożył ręce.

– Kobieta. Une femme. Une beauté. Zazdrość, rozumie pan? Zazdrość i nienawiść. Nie mogłem wytrzymać.

– Więc kobieta?

– Jego żona. Pani Barbara. Przypatrywałem jej się z daleka, mieszkałem w starej kamienicy, moje okna wychodziły wprost na ich drzwi. Co za ciało! Te biodra, piersi. Nigdy takiej nie miałem. – Westchnął. – I nigdy nie będę mieć. Chyba że wygram milion.

– Więc z nienawiści?

– Tak, z nienawiści i wściekłości. Bo tam do niej przychodził kochanek, wysoki, szczupły, przylizane czarne włosy, chyba młodszy od niej. I on to ciało miał! Pan go chyba poznał?

– Byłem zaprzyjaźniony z tym domem.

– Marcin, Marcin... Nahaj, chyba tak?

– Chyba się zgadza. A jego pan też nienawidził?

– No pewnie.

– To czemu jego pan nie zabił?

Pickwick poskrobał się w kędzierzawą głowę.

– Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... To niby tak: kochanek, wiadomo, dziś jest, jutro go nie ma, zwolni się miejsce. Z mężem całkiem inna sprawa. Boże mój, to naprawdę całkiem coś innego – wyduszał z siebie. – Panie Thompson, pan jest zimny Anglosas, pan nie może wiedzieć, co to jest miłość. Co to znaczy – pragnąć kobiety.

– Panie Luciano, coś mi się tu nie zgadza. Morderców było dwóch. Kto był tym pana współnikiem? Czemu pan o nim nie wspomina?

Pickwick schował kupony totolotka do kieszeni. Wybuchnął śmiechem.

– Jeden, jeden, panie Thompson! Tylko ja.

– Ale badania śladów...

– Oszukałem ich! To samo, co pan, mówili na policji.

– Zgłosił się pan na policję?

– Nie od razu. Kiedy nabrałem pewności, że to ja.

Powiedziałem sobie, że nic mnie nie zaskoczy, mimo to zdziwiłem się:

– Nie miał pan pewności?

– No, nie miałem. Bo widzi pan, to było tak: zabiłem i zapomniałem. Wykreśliłem z pamięci. Dopiero po kilku miesiącach... otworzyła mi się klapka: przecież to ty zrobiłeś. Udusiłeś go.

– A łom?

– Po co jakiś łom? Udusiłem tymi rękami.

– I co na to policja?

– Wyrzucili mnie za drzwi.

– Bo nie mówił pan nic o łomie!

– To ktoś z nich mógł rąbnąć nieboszczyka łomem. Dla zatarcia śladów.

– Morderców było dwóch – przypominałem.

– To ja, ja wszedłem tam dwa razy. Zmieniłem buty, żeby był ślad tego drugiego. Wszystko obmyślane, inteligencja mnie nie zawiodła.

– I o wszystkim pan najpierw zapomniał...

– Tak, zapomniałem. Okresowa amnezja, to się zdarza. Bo ja żyję w podwójnym świecie. Kiedyś na przykład... Nie sypnie mnie pan?

– Słowo.

– Ale najpierw coś panu pokażę.

Wyjął z portfela pożółkły wycinek z gazety.

– Widzi pan? O mnie! Bez fotografii, psia ich mać. Przeczytam: „Wczoraj po południu do komisariatu policji na Ochocie zgłosił się pan Demetriusz L. – El, rozumie pan, bez nazwiska, ale pies z nimi walca tańczył – i złożył na siebie doniesienie...”. No i tak dalej.

– I co?

– „Po przesłuchaniu pan Demetriusz L. został zwolniony”. Takie gapy! Mieli mnie w rękę i wypuścili.

– Obiecał pan jeszcze coś opowiedzieć.

– O czym? Aha, o donosach. W prasie wciąż to się walczy: agenci, donosy. Którejś nocy budzę się i aż mnie poderwało: przecież to ja stale pisywałem donosy. Setki donosów. Ci ludzie są teraz strasznie ważni, a ja co wieczór, ołówkiem, przy świecy – nie wierzy pan? Lubiłem przy świecy, nastrojowo – na kratkowanym papierze, ołówkiem... O tych, co za dolary... Albo za ruble. To była moja twórczość. Coś, co po mnie pozostanie.

– A pseudonim?

– Różnie. Na przykład „Ziuk”. Albo „Półkozic” – to mój herb. Albo... już nie pamiętam. Luciano, najczęściej Luciano.

– To poważna sprawa, signor Luciano.

– Czy ja mówię, że nie?

– To proszę sobie przypomnieć pseudonimy.

Na czole wytworzyła mu się poprzeczna zmarszczka, kiedy usiłował sobie przypomnieć. Podał mi kilka kryptonimów, a ja je zapisałem. On:

– Narozrabiałem, fakt. Ale być może uratowałem ojczyznę – od upadku, od niewoli agenturalnej. Kiedyś mi to przyznają. I przypną coś do piersi. O, tutaj.

– Signor Luciano, pytanie. Mieszkał pan naprzeciw, kiedy posła Blaua zabili?

– Chciał pan powiedzieć: kiedy ja zabiłem? Mieszkałem.

– I obserwował pan wdowę.

– Obserwowałem.

– Nadal był pan nią zafascynowany?

– Byłem i jestem.

– Całkiem niezłą ma pan pamięć. Widywał pan tego Marcina?

– Widywałem.

– A jednak pan go nie zabił.

– Mówiłem już dlaczego. Ale może pan to zrobić?

– Co mam zrobić?

– Wykończyć tego faceta. Czy pan myśli, że ona go mogła kochać? Nie, to chyba niemożliwe.

Zaniepokoiło mnie to, co powiedział. Przecież ja tak samo: wciąż nie chce mi się uwierzyć, że ona może tamtego kochać. Jego – a nie mnie. Słyszę, jak Pickwick mówi:

– Panie Thompson, pan powinien się z panem Nahajem spotkać.

– Nie jestem przekonany.

– Może on coś panu powie. – Mówi jak mój wspólnik, nie jak zabójca. – Spójrzeć mu w oczy. Szefie, czy mógłby pan ofiarować pięć dych?

– Na kupony totolotka?

– Na wesołe życie. Tylko pięć dych. Chyba jestem wart.

Pomyślałem, zanim odpowiedziałem:

– Jest pan wart.

Dałem mu, ile chciał, i niespodziewanie dla samego siebie powiedziałem:

– A gdybym pana potrzebował, to gdzie pana znajdę?

Nabazgrał na serwetce swoje nazwisko i adres. Znałem to nazwisko, w siedemnastym wieku wiele ono w Polsce znaczyło: Ligęza, herbu Półkoczic. A adres? Odcyfrowałem miejscowość: znany podwarszawski zakład dla umysłowo chorych.

– Pensjonariusz? – spytałem. Starąłem się być rzeczowy.

– Pensjonariusz i pracownik – sprostował. – Half time duty. Dziś mam wolne.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Chciałem mu powiedzieć „bardzo mi pan pomógł”, ale tego akurat nie byłem pewny, a poza tym nie miałem ochoty

się zgrywać. Dłoń miał spoconą, palce jak ciepłe serdelki, więc ukradkiem wytarłem swoją dłoń o spodnie.

– O, pan szpieg przyszedł! – zawołała na mój widok Zosieńka. – Znowu szuka pan tu jakichś tajemnic? Dziadku, stówę od pana!

Była niedziela. Już po nabożeństwie, a pan pułkownik, dla wtajemniczonych „Antek”, nie tylko nie chciał ode mnie stowy, ale nawet poczęstował mnie swoimi czereśniami.

– „Luciano”, tak, pamiętam jego występ – mówił, kiedy siedzieliśmy już przy stoliku. – Takich, którzy się zgłosili, że to oni zabili pana Blau, było, jeśli się nie mylę, czterech. Wszystkim udowodniono, że nie mają z tym nic wspólnego, ale oni, wie pan, najczęściej upierają się przy swoim.

– Dlaczego się zgłaszają?

– Powody różne. Na przykład jeden domagał się nagrody: „Macie zabójcę, nie? Proszę wypłacić mamie”. Taki chytrus.

– Luciano tworzy sobie drugą rzeczywistość – podzieliłem się swoją opinią. – Mieszka w Tworkach.

– Chyba muchy by nie zabił. Ale w wyobraźni – tak, killer, terminator, co pan chce. Samobójstwo – owszem, to u takich bywa.

– To mamy dwóch. A dwaj pozostali?

– Chcieli, żeby o nich pisano. Świadomie czy podświadomie, wiedzieli, że ryzykują niewiele. Wikt i opierunek na koszt państwa, trochę szumu w mediach, a później, wiadomo, przepędzą ich.

– A gdyby policja się przy którymś uparła? Mamy zabójcę, poprawia nam się wykrywalność.

– Taka kombinacja może się zdarzyć, jak ktoś kogoś siekierą rąbnie. Ale nie w tym przypadku. Mord był polityczny, bez dwóch zdań. Zginął poseł z komisji spraw zagranicznych. Prokurator umorzył śledztwo. Nie, nie, lepiej nie bawić się w proces z podstawionymi winowajcami. Gratka dla prasy, nie, panie Jeff?

– Luciano szepnął mi na ucho, że pisywał donosy, setki donosów. „To moja twórczość” – tak to określił.

– Na kogo te donosy? – zainteresował się pułkownik.

– Na agenturę. Uratował ojczyznę od rozpadu.

Uśmiech.

– Do kontrwywiadu to nie trafiło. A powinno było. Podpisywał się „Luciano”?

– Tak, najczęściej.

– Nie było takich donosów.

Wyjąłem kartkę i odczytałem:

– „Sahib”, „Półkozic”, „Andriusza”, „Korab”, „Ziuk”.

Pułkownik „Antek” przez chwilę studiował kartkę. Zwrócił mi ją, twierdząc stanowczo:

– Nie było takich donosów.

– Pan by wiedział?

– Wiedziałbym. Analizowaliśmy kryptonimy. Bo wie pan, ludzie, wybierając je, mają trudności z odejściem od rzeczywistości. Prawie zawsze jest jakiś ślad. „Korab” – tak, z „Korabem” coś było, ale zupełnie co innego: współpraca z paryską „Kulturą”. On miał pisać ręcznie? – zapytał.

– Ołówkiem.

– Zająłby się tym grafolog.

– On mówił o tym z ogromną wiarą. Którejś nocy, powiada, obudził się i nagle go olśniło: „A przecież to ja pisałem! Całymi miesiącami pisałem”.

Olśnienie, przypomniałem sobie, to jest pojęcie, którego używają badacze schizofrenii.

– Panie Thompson, a panu nigdy nie przyszło do głowy, że popełnił pan coś... coś jakby we śnie... i pomyślał pan: cholera, to przecież ja, i nikt o tym nie wie?

Powiedziałem:

– Nie, panie pułkowniku. Ja odróżniam sen od jawy.

Przypomniała mi się tuląca się do mnie we śnie Matyllda i o mało nie dodałem: „niestety”.

– A ja nie – zwierzył się pułkownik Papierek.

Krażył teraz wokół stołu jak profesor Berlin, który podczas wykładu nigdy nie siadał, ale wciąż między nami chodził.

– Ja, panie Thompson, rozumiem, jak wytwarza się w takim facecie poczucie... czego? – Pułkownik szukał słowa. – Winy? On mówił o zasłudze, prawda?... – przypisuje sobie coś, co było ukryte gdzieś głęboko: pisałem, donosiłem, robiłem was w konia, kutasy, nic o tym nie wiecie. I widzi siebie przy stole, przy lampce nocnej (przy świecy – wtrącam), przy świecy, jeszcze lepiej, widzi jak skrobie, skrobie – i śmieje się...

– ...szatańsko – podpowiedziałem.

– Szatańsko, niech panu będzie.

– Pan siebie też tak widzi? – spytałem.

– No nie. Ale rozumiem taką obsesję. Gdybym dziś pił tak, jak wtedy, to nie ręczę za siebie.

Już miałem się pożegnać, kiedy sobie o czymś przypomniałem. Zapytam go.

– Panie pułkowniku, ten Luciano, herbu Półkozic, uważa, że powinienem rozpytać Marcina – wie pan, o kogo chodzi.

– Tego, co posuwał Blauową? – (Tak to jest: co dla tych dwojga było romantyczną sprawą, dla obcych jest wulgarnym „posuwaniem”). – Nie wiem, co to panu da. Prokurator go maglował, oczywiście.

– I umorzył sprawę.

– Był przyjacielem domu, mógł coś zaobserwować, no dobrze, niech pan z nim porozmawia. – (Zupełnie jakby udzielał mi przyzwolenia). – Co on teraz robi?

– Ma biuro podróży. Specjalność: Rodos, Kreta i tamte okolice.

– Cypr i pewnie pielgrzymki do Ziemi Świętej? Niech pan z nim porozmawia. Koniecznie. Zdaje się, że nie pali się pan do tego.

– Nie palę się. Dla mnie to był głąb. Trzy lata na pierwszym roku historii.

– A ta pani...? Nie przeszkadzało jej to?

– Miała do niego stosunek macierzyński – próbowałem wyjaśnić, choć nie wiedziałem jak. – Głuptas, który ją rozczulał. Ona w sobie to miała i chyba ma. Duże, ciepłe ciało, które potrzebuje wtulić w siebie mężczyznę.

Pułkownik zapakował mi czereśnie do plastikowej reklamówki. Mówił, odprowadzając mnie do furtki:

– Panie, jak pomyślę o kobietach... Nigdy nie potrafiłem ich zrozumieć. Zresztą, między nami, za dużo okazji nie było, nie mam dużych doświadczeń. – Westchnął. – Oj, nie. Teraz za późno, za późno. Zośka, nie podsłuchuj! – wrzasnął nagle. – Ona furt czyta te wszystkie kolorowe głupoty, wie kto z kim, a co te baby tam wygadują, panie Jeff, Sodoma i Gomora! Wszystko powiedzą, wszystko nazwą. I wszystko pokażą. Wszystko, niech skonam!

Już byłem za furtką, kiedy, dokładnie jak porucznik Columbo, zawróciłem.

– A dlaczego pan uważa, że ja muszę z nim porozmawiać? Dlaczego koniecznie?

– Bo widzi pan... Ci faceci, którzy prowadzą biura podróży... Czy muszę dokończyć?

– Rozumiem, że wywiad się nimi interesuje.

– Albo oni wywiadem.

– I ten głąb...?

– Głąb bywa dla firmy przydatny.

Bez pośpiechu, przyrzekłem sobie. Jeśli coś go łączy z tą sprawą, choćby jako kogoś z tego kręgu, powinien się spodziewać, że zechcę z nim nawiązać kontakt. Niech odczeka. Może go to zniecierpliwi. A może uśpi czujność. Bez pośpiechu, powtarzałem sobie.

CAŁUS OD PIEGUSKI, przeczytałem na swojej komórce. Mniejszymi literami: „Jutro wpadnę do ciebie w samo południe”. Więc już jest w Warszawie. Od jak dawna? – zadręczałem się. Nadałem: „Robota czeka, a ty się włączysz między terrorystami”. Ona: „Chcesz, żebym przyszła, czy nie?!”. „Czekam”. Nie powiem jej o Marcinie – w końcu co to ją obchodzi?

– Świetnie wyglądasz! – zawołała od progu. To było w mojej warszawskiej kawalerce. Rzuciła laptop na stół. Zawołała: – Siusiu! – i znikła w łazience.

Opalone nagie ramiona. Zarzuciła na nie miękki różowy szal.

– Ostia Lido? – spytałem, wskazując na ramiona. – Topless? – Kiwnęła głową.

– Pokaż!

– Mowy nie ma.

– Przecież tam się pokazywałaś!

– Tam to co innego – tłumaczyła jak głupiemu. – Obcy tłum. W ogóle nie czuje się zawstydzona.

– A przy mnie czujesz?

– Boże, Jeff, przecież chyba to rozumiesz. Czy to takie trudne?

– Nie wydaje mi się to logiczne.

– Jeff, logika nie ma z tym nic wspólnego.

Spytałem:

– Jak panowie terroryści?

– Wygląda na to, że ich wystraszyłam. Pokaż, co zrobiłeś. – Spojrzała na stos notatek. – Sporo. Wezmę do domu.

Zamówiłem telefonicznie lunch w „Jazz-Bistro”. W karcie dania, których nazw nie rozumiałem, ona świetnie się w tym orientowała. Pytała, jakie postępy robi Sherlock Holmes. Jakieś, odpowiedziałem. Przydałby mi się doktor Watson, może być głupi, bylebym mógł się z nim dzielić pomysłami.

– Zmarnowałaś ten czas – zrobiłem wymówkę.

– Niezupełnie – ona na to. – Popatrz.

Otworzyła laptop. Zobaczyłem wpisane strzępy polemik Gorkiego z bolszewikami.

- No co? – domagała się pochwały.
- Okej.
- Dziewczynka grzeczna? Odrobiła lekcję?
- Odrobiła.
- Nie dostanie klapsa?
- Dostanie, jak zasłuży.
- W gołą pupę?
- W golusieńką, śliczniutką.
- Nie wiesz, czy śliczniutką – zamruczała.

A ja pomyślałem, że ta kobieta, całkiem postawna, świetnie zbudowana, chce być czasem malutką, niegrzeczną dziewczynką, co dostaje klapsa w gołą pupę i piszczy, odbierając go, i może warto o tym pamiętać, myślę, może warto zastosować. Ale wiedziałem, że tego nie zrobię, nie lubię gry.

– Jeff – odezwała się – ten esemes o bolesnej tęsknocie... miałeś powiedzieć. Krępujesz się? Całkiem niepotrzebnie. Wiem, o co ci chodziło.

– Że uciekłem się do samogwałtu?

– To chciałeś powiedzieć, tak?

– Nie, nie to. – (Dziwisz się?) – Że przestaję cię kochać. Chciałem napisać: Tak boleśnie tęsknię, że przestaję cię kochać.

– To nielogiczne.

– Sama mówiłaś, że logika nie ma z tym nic wspólnego. Znowu mi się śniłaś – wyznałem nagle. – Ale tym razem nie w żadnych dzinsach, naga... Opowiadać?

– Jeśli musisz...

– Nie muszę.

– Mów.

– Całowałem twoje ciało. (Słuchała z opuszczoną głową, nie patrzyliśmy sobie w oczy). Aż pod wargami poczułem owłosienie twojego łona, było poskręcane. Ach, pomyślałem sobie, więc dostąpiłem tego, przygarnęła mnie. I wtedy się obudziłem.

Wciąż z pochyloną głową, milczała. Czy zastanowiło ją, że nie domagam się pocałunku, prawa do pieszczoty? Pewno nie zwróciła nawet na to uwagi. Uśmiechnęła się, można rzec, pobłaźliwie, i zabrała się energicznie do polędwiczek wieprzowych z makaronem. Ja:

– Popatrz, jak to jest. Marzę o twoim ciele, Kocham je, ale przecież go nie znam. Pragnę go dlatego, że jest twoje, a nie że jakieś nadzwyczajne. Nie wiem, jakie ono jest.

– Całkiem niezłe – zapewniła mnie ze śmiechem.

Kiedy byliśmy przy herbacie (i stocku), przystałem na to:

– Wierzę ci na słowo. Na pewno jesteś wspaniałym okazem dziewczyny, doprawdy moje życie nabrało blasku, odkąd cię poznałem, ale masz jedną kolosalną wadę.

Zaśmiała się:

– Że jestem nietykalska?

– Nie, nie to. (Ależ KONKRETNA!) Że mnie nie Kochasz.

Znowu się zaśmiała.

– Wszystko jeszcze może się zdarzyć.

– Po co mnie zwodzisz?

– Powiedzmy, że to taka filozofia życiowa... Umówiłeś się z Erną? – spytała.

– Jeszcze nie.

– Ale umówisz się?

– Chyba tak.

– Jakie ona ma piersi? – zainteresowała się nagle.

– Piersi? Nie pamiętam. (Rzeczywiście, nie zwróciłem uwagi).

– Pewnie wcale nie ma piersi – mówiła Matylda. I wykrzyknęła, z wyraźną satysfakcją: – To ci do niej nie stanie! Lepiej się nie umawiaj...

– Pies na sianie – powiedziałem. – Słyszałaś o tym? Taki, co sam nie zje i drugiemu nie da.

– Żebyś wiedział. – Podniosła kieliszek. – Za naszą księgę. Lechaim!

Wypiliśmy. Ja:

– Matti, czy nie uważasz, że w naszym stosunku nie ma równowagi? Ty masz męża, przyjaciela. – Zdobyłem się na to, by o tym wspomnieć. – A ja? Mam ciebie – wirtualną. Mnie pchasz do samogwałtu.

Jej oczy były pełne ciepłej zieleni, kiedy mówiła:

– No to co? Możesz sobie pofantazjować. Czytałam, że to nawet zalecane.

– A to świetnie – ja na to – zaraz się zonanizuję.

– Świntuch!

– Matti, jesteś niemożliwa. Nawet się upić z tobą nie mogę, bo masz tego peugeota.

- Nie peugeota!
- Wszystko jedno. Tak jest, zajmę się Erną.
- Ale ona cię nie pociąga.
- To się może zmienić. Za sprawą dwóch pań: tej, która mnie nie chce, i tej, która mnie może zechce.
- To się wtedy do mnie nie odzywaj.
- Matti, z tej książki nic nie wyjdzie. Mam na myśli romans „Matyldy” w cudzysłowie z „Jeffem”. Sytuacja nierozwojowa.
- Nie może być rozwojowa – wtrąciła – dobrze wiesz. Wciąż to samo: on mówi „daj”, ona mówi „nie dam”. – (Matylda się śmiała). – Przecież to monotonne.
- Dla nich niekoniecznie.
- Dla nich nie, ale dla czytelnika.
- No to wymyśl coś.
- Nie jestem powieściopisarzem. Wiem tylko jedno: ja, Jeff, ten prawdziwy, nie fikcyjny, nie będę więcej mówił „daj”. Po to, żeby ci oszczędzić mówienia: „nie dam”.
- Dostałem całusa suchymi wargami.
- Jeff, mój mistrzu – mówiła rozczulona – uwielbiam twoje towarzystwo. Niech sobie uwielbia. Co ja z tego mam? Muszę się jakoś uwolnić.
- Wiesz co? – odezwała się raptem. Najwyraźniej coś nowego przyszło jej do głowy. – Niech oni się ze sobą prześpią. Dajmy mu to.
- I ma im być ze sobą dobrze?
- Ma być wspaniale. Zrób to – dla czytelnika!
- Aha, dla czytelnika.
- No pewnie.
- Uważasz, że jemu się to należy?
- On tego oczekuje – powiedziała z przekonaniem.
- Ale ja przecież nie wiem, jak to między nimi jest. Jak ona by to przeżywała.
- Jesteś tu panem, może sobie wyobrazić.
- Spytałem szeptem:
- Że Matti jest naga? (kiwnęła głową) W jego ramionach? (kiwnięcie głową) – Szeptalem: – Obcałowuje jej szyję? Piersi? (Ona już teraz nie reaguje, słucha z opuszczoną głową). On robi to wszystko, o czym śnił? I o czym ty śniłaś? (nie odpowiada) Narasta rozkosz i nagle...
- Co nagle?

– Ona krzyczy. Ty krzyczysz?

Oprzytomniała. Mówi niskim, głębokim głosem:

– Tego się nie dowiesz.

– To co mam napisać?

– Napisz sobie, co chcesz. (Udaje obojętną, chociaż policzki ma wciąż mocno zarumienione).

– Nie zrobię tego – mówię stanowczo.

– Ależ dlaczego?

– Nie zrobię tego, czego między nami nie ma. Nie będę robił czytelnikowi podarunków ze swoich upokorzeń. Nie znam go, nie wiem, kim jest, nie mam wobec niego żadnych zobowiązań. To by zresztą było oszustwo. Nic między nami nie ma, odtrącasz mnie, czasem mnie cmokniesz – i ja tu ni stąd, ni zowąd... Nie!

– Jeff, to powieść, tylko powieść. I całkiem ładnie to zaproponowałaś. Naprawdę ładnie. To nieważne, czy tak jest w rzeczywistości.

– Nie, Matti, ja nie rozróżniam ich i nas. Tak nie może być, że oni ze sobą śpią, a nam nie wolno. Nie, nie zrobię tego!

– Nie rozumiem cię.

– Dlaczego w książce ma być słodziej niż w życiu? Niech czytelnik się dowie, jak ciężko jest „Jeffowi” z tą dziewczyną, niech odczuje gorycz jego porażki. Niech ją przeżywa razem z nim. Przecież ludzie przeżywają porażki – dlaczego ja mam to upiększać? Ozdabiać świat, w którym jest tyle klęsk...

Spojrzała na mnie z ukosa, z filuternym uśmiechem:

– Dziewczyna niedobra?

– Niedobra. – Precyzuję: – Dla niego.

– I to właśnie chcesz napisać?

– Nic innego nie potrafię.

– No to cóż... Jeśli nie może być inaczej... To niech tak zostanie...

Teraz mogłem jej opowiedzieć o pewnym moim projekcie:

– Za dwa tygodnie, mniej więcej, wyskoczę na kilka dni do Berlina.

Muszę się z kimś zobaczyć.

– Znam Berlin – powiedziała. – Mogłabym ci służyć za przewodnika.

– Pojechałabyś ze mną?

– A chcesz tego?

– Myślę, że to by było wspaniale.

– No to okej. Ja też chcę. Na pewno jesteś świetnym kompanem.

– Co na to twój mąż?

– Przecież współpracujemy ze sobą.

Nie byłby o mnie zazdrosny, domyśliłem się i wcale mnie to nie ucieszyło.

– Matti – powiedziałem, czując rozpierającą mnie miłość – zafunduję ci to. Przelot, hotel – wszystko ode mnie.

– Czemu tak? Ja mogę sama.

– Ale ja chcę. Zamiast diamentów.

– Dobrze, to uprości sprawę. Lecę z tobą służbowo. (Ciarki mnie przeszły od tego słowa). Jako twoja asystentka.

Odprowadziłem ją do samochodu. Całowałem jej szczupłe palce. Paznokcie miała pokryte jaskrawym czerwonym lakierem.

– Dziewczyno – powiedziałem – przyglądam się temu i myślę, że chcesz się komuś wpić pazurami w plecy.

– Ze złości?

– Z roznamiętnienia.

– To niedobrze.

– Niedobrze. Nie w twoim stylu. To powinno być bardziej pastelowe.

– Pomyślę nad tym.

Nie wiem dlaczego, ale ilekroć otwiera drzwi od samochodu, nachodzą mnie najbardziej dramatyczne myśli. Zapinała pas, kiedy je wypowiedziałem:

– A nie przyszło ci na myśl, że mogłabyś skorzystać z pobytu w Berlinie, żeby się umówić tam ze swoim przyjacielem?

Pochyliła głowę, znowu jej cera pociemniała.

– Myślisz... – Głos miała wyciszony. – Myślisz, że mogłabym ci zrobić coś takiego?

Przypomniałem sobie pewne doświadczenie, o którym wolałbym zapomnieć, ale zapomnieć nie potrafię, i powiedziałem ponuro:

– Każda może.

Jest mróz, ale poeta Osip Mandelsztam, wyjątkowo zabezpieczony, ma na sobie starczą (jak ją nazwał) szubę; napisze o niej kawałek prozy, dobrze się w niej czuje, „jakbym własny dom na sobie nosił”. „A jednak – narzeka w tej prozie – nie mogę przywyknąć. Pachnie czymś niedobrym, kufrem, kadzidłem, duchowym testamentem”. Mieszkają z Nadią w Domu Sztuk (w tak zwanym Disku – Dom Iskusstw), na rogu Newskiego i Mojki, to dawna rezydencja Jelisiejewa, u którego petersburskie mieszczaństwo, moskiewskie także, zaopatrywało się w delikatesy. Osip powraca do siebie ze złodowaciałym przydziałem w rękach, musi uważać, żeby żelaznych poręczy nie dotknąć bez rękawiczek. Wtajemniczeni, a może tylko złośliwi, donoszą, że poeta cały przydział wymienia na słodycze. Straszny łasuch. Nadia się nie skarży. W jej pamiętnikach nie będzie o tym ani słowa – strzeże się, by nie osłabiać męczeńskiego wizerunku swojego bohatera. Jakby to mogło mu zaszkodzić... Bez przesady także o jego kochliwości, tak czy owak zawsze wracał do niej, ona była najważniejsza. Chociaż o jednym romansie jest mowa. Z Olgą Waksel, która przekazała Nadii wiersze, jakie zakochany Osip do niej pisał. (Nadia nauczyła się ich na pamięć i w ten sposób uratowała je od zapomnienia). – A listy? Gdzie jego listy? – Spaliłam je. Spaliła listy Osii! Nadia będzie utrzymywać, że przechowałyby je, nie czytając. (Co do tego, to ja, profesor Thompson z Indianapolis, mam pewne wątpliwości. Ale skoro ona taki obraz chce zostawić, nie protestuję).

W „Disku” mieszka też poeta Władysław Chodasiewicz. Wiktor Szkłowski, przez kilka miesięcy artylerzysta Armii Czerwonej, wrócił z Ukrainy ranny, chciano mu amputować zwisające kończyny, nie pozwolił, zrosły się w końcu, a on sam rozgościł się w dawnej sypialni Jelisiejewa, w szerokim małżeńskim łożu, był tu i kominek, a lokaje dawnego właściciela chętnie usługiwali panom artystom. (Trockiemu, który mieszkał na Kremlu, usługiwali dawni carscy lokaje, jeden z nich bardzo przywiązał się do Lenina – to jest pan, jak się patrzy. Synów Trockiego bawiło, że

chude posiłki jadają na talerzach ozdobionych dwugłowymi orłami). Do swojego pokoju, opowiadał Szklowski, wchodził „przez ogromną łazienkę o czterech oknach”, były tam natryski, rower gimnastyczny i inne burżujskie wymysły. Zamarzliby w tym Domu Sztuk, gdyby nie przedsiębiorczy Szklowski, odkrył opustoszały gmach banku, podłogi były usłane kartonami, brodziło się w dokumentach po kolana. „Cały bank szeleścił”. Najlepiej paliły się pudła nasycone parafiną.

Był jeszcze dom wspierania uczonych, KUBU, zorganizowany – żeby nie było wątpliwości – przez Gorkiego naturalnie. Uczni powinni mieć lepsze kartki, awanturował się, dostawać nie tylko chleb i śledzie, ale nawet kalosze. KUBU mieściło się w pałacu Marmurowym, dawnej siedzibie młodocianego wnuka Katarzyny, Konstantego, który opuścił ją dla ostatniego króla Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisława Augusta. I tak sobie myślę, że ten polski król nadawał się, jak mało kto, na patrona siedziby uczonych.

Włodzimierzu Iljiczu, pisze Gorki do Lenina, czy nie sądzisz, że wznowienie „Nowej Żyzni” byłoby na czasie? Podpisuje się prywatnie: A. Pieszkow. Bez odpowiedzi. *Myśli nie na czasie* były rzeczywiście nie na czasie.

Poetka Natalia Gruszko prosi Gorkiego o interwencję w sprawie mleka dla dziecka. Gorki interweniuje. Teraz poetce mleka nie zabraknie, tyle że zaopatrzeniowcy dzielnicowi wzdychają: „Ależ ten Gorki ma ogromną rodzinę!”. Tak przez delikatność, bo są pewni, że Natalia G. to jedna z jego licznych konkubin. Poetessa dostaje dodatkowo trzy pudy kiszonej kapusty. Trochę tego za dużo, myśli zakłopotany pisarz i zwraca się do „ispołkomu”: „Jeśli się tego przydziału natychmiast nie zmniejszy – strzeżcie się – zacznę tą kapustą spekulować”. To jeszcze nic, powiada Aleksy Maksymowicz, kiedy zgromadzonym przy stole trzeba trochę odprężenia. Przyszła do mnie, uważacie, taka paniusia, dziedziczka, słyszała, że ten Gorki coś tam ludziom załatwia, prosi o wstawiennictwo za dwoma mężami – tak, dwoma, nie przesłyszeliście się – więc ja obiecuję, spróbuję coś zrobić – a ona na to: „A ile pan sobie za to życzy?”.

Babla nie ma tu z nami – zaciągnął się do Pierwszej Konnej – będzie służył pod rozkazami Budionnego, między Kozakami – od dawna wie, że trzeba iść między ludźmi, tak jak młody Gorki, sięgnąć dna, w pocie i w smrodzie, oko w oko ze śmiercią. Zetknąć się z podłością i heroizmem.

Będzie prowadził dziennik, w telegraficznym skrócie; jeśli wyjdzie cało, może będą jakieś opowiadania, zobaczymy.

W redakcji przygotowano Gorkiemu małe święto, skończył pięćdziesiąt lat. W pucharach prawdziwa herbata (bez cukru), dla każdego kawałek rozkosznego placka. Fiedin opowiada o pannie, która pojechała na wieś po kartofle. A baba do niej: – Pieniądze? Na co mi twoje pieniądze? Mam tu całą beczkę pieniędzy. O, masz złoty ząb! Dawaj ten ząb i bierz sobie kartofli, ile uniesiesz. A Gorki: Idę sobie ulicą i widzę, jak za jednym oknem naprawiają remingtona. Przyglądam się, a obok przystaje ktoś i tak mówi: „Łajdaki! Czego to nie wymyślą! Mało im, że mogą pisać jak ludzie, a ci nie, tu też jakieś pieskie maszyny wcisnęli. Łajdacy!”

Aleksander Błok, urodziwy, w białym swetrze z wysokim kołnierzem (takim zapamiętała go wpatrzona w poetę Nina), „piękny, zbyt piękny” – mówił o nim Gorki – za tę urodę go nie lubią – Błok, najwybitniejszy z symbolistów – zbliżył się do Gorkiego już na początku wojny. Wyklócał się w jego miesięczniku „Letopis” z Zinaidą Gippius. Rozmyślał o ucieczce Lwa Tołstoja z Jasnej Polany, rozprawiali o tym z młodym, zadziornym Szkłowskim, Błok też pragnął ucieczki, „najważniejsze – to zerwanie z przeszłością”. W maju 1917 roku, kiedy odbyły się pierwsze wybory, oddał głos – warto przypomnieć – na blok eserów z mienszewikami. Zwracał się groźnie do Anglii i Francji: „My wykonamy naszą misję historyczną”. Zdaje się, że podobnie jak chwalcą imperium Kipling, odczuwał „obowiązek białego człowieka”. „Jeśli zgubicie naszą rewolucję, to znaczy, że nie jesteście już aryjczykami”. Napisał groźny poemat *Scytowie*, a później olśnił poematem *Dwunastu*, a w nim:

Rewolucyjny równaj krok!
Wróg nie śpi – wytęż słuch i wzrok!
Strach, towarzyszu, w sobie zduś.

I kończy się poemat takim obrazem:

...Idą, idą władnym krokiem...
Głodny pies za nimi bokiem,
Przed nimi – z krwawym sztandarem,
Niewidzialny ludzkim okiem,

Oślaniany od kul czarem,

Mocniejszy od złej zawiei,
W śniegów perłowej rozchwiei,

Jasnym światłem wszystkich zórz,
Kryjąc w wianku białych róż
Krwawienie krzyżowych ran,
Prowadził ich Chrystus Pan.

(Tłum. Wiesław Denhoff-Czarnocki)

Co ten Błok wypisuje! – zdumiewa się Zinaida Gippius i zapewne miota się i wrzeszczy. „Isus Christos” na czele dwunastu apostołów rewolucji – z krwawym sztandarem. To zdrada! Zhańbił swój talent. On, Jesienin, Biełyj.

W redakcji „Światowej Literatury” Błok odczytał referat: *Kłęska humanizmu*. „Artykuł wydał mi się niejasny, lecz pełen tragicznych przeczuć” – oceniał Aleksy Maksymowicz. Spozstrzega, że poecie drżą palce, kiedy kartkuje rękopis. „Nie rozumiałem, czy kłęska humanizmu smuci go, czy raduje”. Gorki buntuje się przeciw jego tezom. „Mówić (...), że cywilizacja jest dla ludu rosyjskiego niemożliwa – to oczywiście «scytyzm» i pojmuję to jako ustępstwo (zdaniem Gorkiego – niepotrzebne!) na rzecz organicznej niepaństwowości mas rosyjskich”.

W redakcji wyklócał się z poetą o język przekładów, a to, stwierdza z żalem, „nie przyczynia się do zbliżenia”. Pospacerowali do Ogrodu Letniego, podyskutowali, siedząc na ławce. (Gorki zawsze, kiedy pisze o kimś, umiejscawia go: „Stał przy oknie”, „siedzieliśmy na ławce”, „odwrócił się tyłem”). O inteligencji rosyjskiej mówił Błok „słowami potępienia, słowami szczególnie niewłaściwymi teraz, po rewolucji”. (Kiedy inteligencji trzeba bronić przed triumfującym Chamem). „Powiedziałem mu, że negatywny stosunek do inteligencji jest właśnie czysto inteligencki”. I powtarza Błokowi to, co już nieraz pisał: „Zawsze, i dziś, i wczoraj, i jutro, nasza inteligencja odgrywała, odgrywa i będzie jeszcze odgrywać rolę konia pociągowego historii”.

Na to Błok miał powiedzieć: „Kiedy się wywołało z mroku ducha zniszczenia, nieuczciwie jest mówić: to nie myśmy to zrobili, to tamci. Bolszewizm to nieuchronny rezultat całej pracy inteligencji na katedrach, w redakcji i w podziemiu”. (Ale czy w tym momencie on, Gorki – myślę sobie – nie wkłada w usta poety własnych sądów?)

Gorki proponuje Błokowi, aby wyobraził sobie świat „jako nieprzerwany proces dysocjacji materii”. To miała być propozycja optymistyczna: „Myśl to rezultat dysocjacji atomów mózgu”. Nieodwracalny rozwój – sugeruje Gorki. Błok tego nie przyjmuje. „Bo czyż można wierzyć w rozsądek ludzkości po tej wojnie i w przededniu nieuchronnych jeszcze okrutniejszych wojen? Nie, to pańska fantazja... Aż strach bierze!”

„Zabili młodą matkę – notuje kawalerzysta w okularach Izaak Babel. – Rzeź jeńców”. (O tym, że jest Izaakiem, nikt z tych Kozaków nie wie, nazywa się teraz Kirył Lutow i oficjalnie pisze korespondencje do „Czerwonego Kawalerzysty”). Westchnienie (chyba jednak po kryjomu): „Jak strasznie żal”. Wyrывa się do „zapachu Europy, który ciągnie stamtąd”. W cztery dni później notuje zrozpaczony: „Kim są nasi Kozacy? (...) rewolucyjny zapał, zwierzęce okrucieństwo. Jesteśmy awangardą, ale czego? Ludność miejscowa oczekuje wyzwolicieli, Żydzi swobód, a tu przyjeżdżają Kubańcy”.

Wciąża się w robotę sztabową i widzi, co to jest: „nikczemne planowanie mordu”.

Brody, miasto na kresach dawnej monarchii austriackiej, dla kawalerzysty w okularach symbolizuje teraz, mocą kontrastu, kulturę Europy. „Miasto w ruinie... Polska kultura”. A zarazem: „Stara, zamożna, żydowska osada”. Co się z nami dzieje? – wyśpiewuje pisarz swoje treny. Robimy rewolucję, a oto „...wszyscy są tak samo źli, tak samo obcy, pełni wrogości, dzicy...”, podczas gdy przedtem „było tu życie spokojne i, co najważniejsze, pełne tradycji”.

Łapczywie chwyta strzępy tego życia. „Bristol, kelnerki – (wszystko w telegraficznym zapisie, trzeba notować szybko, chyłkiem, żeby nie podpaść towarzyszom) – zachodnioeuropejska kultura, człowiek na to zachłannie się rzuca”. Och, Izaaku, Izaaku, dla którego Brody to upragniona Europa!

Potem znów – Brody, Leszniów. „Polska – w lśniących szatach na zwiędłym ciele. Grzebię w kupie książek jak wariat, biegnę do półek, a tu już potok, już grabią materiały biurowe (...). Odrywam się od książek z rozpaczą”.

Bo książki – to jego prawdziwy świat, podczas gdy taczanka z kulomiotem – to tylko rola.

Miasto przechodzi z rąk do rąk. I tu wyznanie pisarza, smakosza szczegółu: „W całej tej historii najbardziej mi żal niedopitej herbaty,

dziwne, jak mi szkoda. Myślę o tym całą noc i nienawidzę wojny”. (A dla tamtych, dla jego towarzyszy, to życie teraz, ta nieustanna gra ze śmiercią – przede wszystkim cudzą – to naturalny żywioł. Wreszcie wyzwoleni. Mogą być sobą).

Słyszy, jak dowódca armii, Siemion Budionny, za cara wachmistrz kozacki, krzyczy na dwóch dowódców: „Bo rozstrzelam!”. Pobladli, odchodzą na miękkich nogach.

„Żal dręczy, ukradłem dowódcy pułku kubek mleka, wyrwałem synowi chłopki podpłomyk z ręki”.

Wszystko obracają w ruinę, „znienawidzeni przez wszystkich, życie się rozpada”. Beresteczko. „W sąsiednim pokoju modły żałobne. Mnóstwo Żydów, przeciągłe, bliskie sercu zaśpiewy (...) Opłakują wnuczkę gospodarzy, zmarła ze strachu po rabunku”.

„Nienawiść do Polaków powszechna”. Torturowali. Po co? „Musieli zwariować, sami siebie tym gubią”.

Za to u księdza – w zrujnowanej plebanii – „starodawne księgi, bezcenne łacińskie rękopisy”. Kościelny dygocze („jak ptak”), szłocha. „Bestie – pisze wzburzony kawalerzysta – przyszli, żeby nagrabić, to takie proste; idą w gruzy stare bóstwa”. U hrabiów Raciborskich „ekskrementy na podłodze... fortepian Steinway, kanapy rozprute aż do sprężyn”.

Ale oczywiście nie zapomina się o agitacji. „Więc w zamkowym parku (...) Żydówki słuchają słów o rosyjskim rajach i sytuacji międzynarodowej, i o powstaniu w Indiach”.

Tych nerwowych notatek, gryzmołonych pośpiesznie w brulionie kopiowym ołówkiem, kronikarz nie ujawni, za to kilka lat później wyda zbiór opowiadań o Konnej Armii. I chociaż są to cudowności obrazki, nachylenie się nad człowiekiem, który „sprawdzał się” w kawalerii, Siemion Budionny nie zdzierzył, ostro zaatakował autora – nie, to potwarz, myśmy tacy nie byli, przynosiliśmy wyzwolenie i ideę. Aleksy Maksymowicz – ze swojego schronienia w Sorrento – zareagował. W artykule zamieszczonym w „Prawdzie” (rok 1928) pod tytułem: *Jak uczyłem się pisać*, Gorki ośmielił się przeciwstawić wąsatemu druhowi Stalina: „Towarzysz Budionny zmieszał z błotem *Armię Konną* Babla – wydaje mi się, że niesłusznie”. W kilka miesięcy później Budionny publikuje *List otwarty do M. Gorkiego*. Gorki nie poddaje się – będzie *Odpowiedź S. Budionnemu*: „Jestem uważnym czytelnikiem – nie widzę w książce Babla nic «karykaturalnego» ani «paszkwilanckiego»,

przeciwnie, książka ta wzbudza we mnie miłość i szacunek dla żołnierzy Armii Konnej”. Dalej: „Nie jest nas znowu tak wielu, żebyśmy mogli beztrzesko odpychać od siebie potrzebnych nam, utalentowanych ludzi...”.

Na tym się nie skończyło, bo w 1930 roku pisał do Gorkiego z Leningradu literat Wsiewołod Wiszniewski, eks-kawalerzysta: „Towarzyszu, wierzcie słowu żołnierza – nie taka była nasza Konna, jak ją przedstawił Babel”. Szkoda, dodaje, że Gorkiego nie było w Moskwie na zlocie budionnowców – oni by mu dużo mogli powiedzieć na temat jego sporu z Budionnym.

Gorki nie popuszcza – literatury trzeba bronić. Píše do towarzysza Wiszniewskiego z Sorrento. (Jednak bezpieczniej było wyklócać się, siedząc nad Morzem Tyrreńskim). „Babla źle odczytaliście i źle zrozumieliście – w tym sedno! (Myślę, że dobrze odczytali i dobrze zrozumieli, ale nie chcieli się z takim obrazem samych siebie pogodzić). Takich rzeczy jak wasza *Pierwsza Konna* i *Konarmia* Babla nie należy krytykować z wysokości konia”. „A zbiorek (waszych) opowiadań o *Pierwszej Konnej* – kiepski. Takie prace tylko kompromitują temat, spłycają go. *Armii* w tym zbiorze nie ma, są tylko zebrane anegdoty o niej. Takie książeczki czytelnikowi nic nie dają”.

Minęło dziesięć lat i utalentowanych, potrzebnych nam ludzi nie tylko „beztrosko odepchnięto” – to by było nie najgorzej – ale i beztrosko rozstrzelano. Enkawudyści w Butyrkach, tak zwana Trójka, która miała sądzić w styczniu 1940 roku Izaaka Babla, skazała go na karę śmierci po dwudziestu minutach rozprawy. Nazajutrz go rozstrzelano.

Budionny był już wtedy marszałkiem i bardzo by się zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział: „Siemion, a przecież ty powinienes go bronić. Broń swojego przeciwnika. Pokaż klasę!”. Według naiwnych pojęć, którymi nasiąkałem w Indianapolis, powinien był szepnąć do Stalina: „Josif, oni powiedzą, że ja się mszczę. To mnie hańbi”. Ale on zacierał ręce i warczał (jakbym go słyszał): „Tak jemu i nado. Sobakie sobaczja smiert”. Na wszystkich paradach stał na podium obok Stalina. Umarł w sędziwym wieku w swoim własnym łóżku.

Coś przyszło mi do głowy, jakaś nowa myśl w związku ze śledztwem – dziwne, że przedtem mnie to nie zaciekawiło – zadzwoniłem do Barbary. Ale albo nikt nie podnosił słuchawki, albo odzywała się jakaś starsza osoba, pewno sąsiadka podlewająca kwiatki: „Pani Blau nie ma w domu”. Pani Blau była za granicą, na wycieczce – zawsze namiętnie uprawiała

zwiedzactwo. Wreszcie ją złapałem. Z trudem namówiłem, by spotkała się ze mną w „Ambasadorze”.

Była niezbyt miła, najwidoczniej czymś rozdrażniona.

– Dlaczego wyciągasz mnie z domu? Chcę trochę pomieszkać. Byłam w Egipcie. O kilkaset metrów od mojego campingu terroryści wysadzili elegancki hotel. Dziesiątki trupów. Bez Polaków, bo naszych nie stać na takie luksusy. A ten camping wydał im się nie dość reprezentacyjny, niewart samobójstwa. Unikasz rozmów telefonicznych? – domyśliła się.

– Radził mi tak ktoś z doświadczeniem.

– Wciąż idzie ci o sprawę Wiktora?

– Tak.

– Robisz jakieś postępy?

Wolałem za dużo nie mówić.

– Zdaje się, że chodzę w kółko.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie wiem. Nawiasem: czy to w firmie Marcina załatwiłaś sobie tę wycieczkę?

– Ależ skąd! Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. – Zaśmiała się. – Wiem tylko, że się roztył i wyłysiał. Mężczyźni dzisiaj szybciej się starzeją od kobiet – powiedziała i na pewno wyrażała w ten sposób satysfakcję z własnego wyglądu.

Dopominała się komplementu, nie pożałowałem go, usłyszałem „miły jesteś” i to pozwoliło mi zadać pytanie:

– Czy Dzieciuch brał od ciebie jakieś pieniądze?

– Pomagałam mu, to chyba naturalne. Chodziliśmy na targowisko, kupowało mu się coś do ubrania.

– A co z gotówką?

– Pytałeś o to Jacka? – zaniepokoiła się.

– To by było nie na miejscu.

– Jacek był pewny, że to ja ciągnę od Dzieciucha pieniądze. Pamiętasz, krzyczał: „Kurwisz się! Dorabiasz sobie na plecach!”.

– Wolał to?

– Całkiem możliwe.

– Bo wygląda to tak, jakbyś płaciła Dzieciuchowi za usługi. – Poderwała się z krzesła. Osadziłem ją siłą z powrotem. – Siadaj! Nie skończyliśmy!

Usta jej dygotały, ale milczała.

– Płaciłaś? – nastawałem.

– Jeff, obrażasz mnie! – znowu wstała. – Jeśli masz zamiar mnie obrażać...

– Basiu, mówimy o morderstwie. Nie czas na obrażanie się.

– No dobrze – znowu siedziała. Spytała nieśmiało: – Czy on jest podejrzany?

Odpowiedziałem:

– Każdy może być podejrzany. Więc jak?

– Jeff, popatrz na mnie: czy taka kobieta potrzebuje sobie kupować dorzyncza? Dawałam mu pieniądze, bo to był dzieciuch, nie potrafił na siebie zarobić, stale mu ich brakowało. W końcu wyznaczyłam mu coś w rodzaju miesięcznego zasiłku. Póki z nim nie zerwałam...

– A później, po śmierci Wiktora, gdy wrócił na pewien czas do ciebie?

– Nie, wtedy już nie było o tym mowy.

Kiedy się z nią żegnałem, poradziłem:

– Zmień kierunek, Basiu. Ja na twoim miejscu wybrałbym się do Finlandii, zamieszkałbym na jednej z tysiąca wysp. W nocy, kiedy odwiedzający wracają barkami do Helsinek, byłabyś sama jak Robinson.

Wcale jej się to nie uśmiechało.

– Wolę towarzystwo głupich, plotkujących bab – powiedziała. – Zawsze się człowiek czegoś poduczy. Nie myśl o mnie źle – poprosiła i musnęła wargami moje wargi.

„Bardzo przepraszam, drogi Włodzimierzu Iljiczu, ale jestem zmuszony zwrócić się do Was ze skargą i prośbą – tutaj... nie ma się z kim dogadać”. Tym razem list (z 30 stycznia 1920 roku) podpisany jest: M. Gorki. Leninowi skarży się pisarz. Z drukarni „Kopiejka”, którą miało zarządzać jego wydawnictwo, a on sam był jej komisarzem, zabrano całą gromadę zecerów, introligatorów i maszynistów. Prosi wodza rewolucji o interwencję. (W tym czasie wódz pisze pokorny list do dyrektora biblioteki Rumiancewa z prośbą o wypożyczenie na noc dwóch słowników grecko-rosyjskich; wie, że to wbrew przepisom, ale „obiecuje, że z samego rana zwróci”. Aleksy Maksymowicz przypomina mu: Włodzimierzu, przecież jesteś dyktatorem, możesz rozkazać! – Jakim znowu dyktatorem? To wcale nie tak; oni mnie często przegłosowują).

W kilka miesięcy później zaprzyjaźniony – i według niektórych wciąż jeszcze wpływowy – pisarz skierowuje do wodza list, teraz jako A. Pieszkow, w innej sprawie, tym razem naprawdę poważnej. „Zwracam

niniejszym Waszą uwagę na konieczność podjęcia zdecydowanych środków celem zwalczania przestępczości dziecięcej”.

Bezdomność, nędza, anarchia sprzyjały wędrownikom setek tysięcy małych gwałcicieli, rozbójników, zawszonych obdartusów ginących jak muchy, ale może i tęskniących za dzieciństwem. Aleksander Niewierow pisze na gorąco książkę *Taszkient, miasto chleba*, bohaterem jest mały Miszka, który wybiera się daleko na południe, do Azji Środkowej, po zboże dla głodującej rodziny – światowa literatura dziecięca nie zna takiego bohatera, takich nieromantycznych przygód – po drodze umiera na tyfus koleżka, który mu towarzyszył – a kiedy wreszcie bezwzględny Miszka zwycięsko wraca, taszcząc ze sobą worek pszenicy, nikogo nie zastaje, chata jest pusta, wszyscy pomarli.

W kilka lat później, już po śmierci Lenina, Egon Erwin Kisch zwiedza kolonie małych przestępców, którym trzeba przywrócić nie tylko dzieciństwo, ale i wiarę w dorosłych, wiarę w to, że mogą istnieć takie pojęcia jak uczciwość, przyzwoitość, godność. Wielki temat porewolucyjnej literatury.

Gorki koresponduje z Wellsem, z którym zbliżył się swego czasu w Londynie, wciąga go w sprawy swojego wydawnictwa – może da się drukować rosyjskie książki w Szwecji – Wells myśli o przyjeździe do Rosji, chce zobaczyć ten nowy świat na własne oczy. Gorki uważa, że jego zadaniem teraz jest służyć Leninowi radą. (Ma złych doradców, obojętnych na losy ludzi. Zoszczenko – zauważa z gryzącą ironią pani Mandelsztamowa – do końca sądził, że można by dać im właściwą radę, chwyciliby się jej i byłoby inaczej). „Pozwolę sobie przypomnieć Wam – pisze Gorki do Lenina – że gdyby przeprowadziło się niektóre urzędy z Moskwy do Piotrogradu (który po rewolucji opustoszał, liczy teraz mniej niż milion mieszkańców – J.T.), zwolniłoby się mnóstwo mieszkań, kryzys mieszkaniowy w Moskwie nabiera z nastaniem chłódów tragicznego charakteru”. Nie dodaje, że rozrosła się potężna Biurokracja. Podobno w Moskwie jest ponad dwieście tysięcy urzędników. „Człowiek z teczką” (urzędniczą) to synonim władzy. Egon Erwin Kisch, komunizujący reporter, w kilka lat później spostrzega w Moskwie zjawisko zdumiewające: nie ma włamań! Powód raczej niezwykły: mieszkania są tak zatłoczone, tyle rodzin w nich mieszka, że zawsze ktoś jest w domu.

Nie, robotnik nie może administrować państwem! – twierdzi stanowczo Lenin. – Musiałby się najpierw zająć swoją edukacją. – Ależ Włodzimierz

Iljiczu, sam mówiłeś, że kucharka... – Ja? Że kucharka? Tak powiadają? Hm, hm... – Aleksy Maksymowicz z talentem naśladowuje swojego rozmówcę. – Może palnąłem... – Ale napisałeś w rozprawie *Państwo i rewolucja*... – Szaleństwo epoki Smolnego – ocenił w trzech słowach Lenin. – I o roli związków zawodowych... – Syndykalistyczne absurdy – odmachuje się Włodzimierz Iljicz. – Do kosza z nimi!

Towarzyszka Kołontaj domaga się, by stanowiska przydzielano za zgodą związków zawodowych. To koniec państwa! – wyrokuje Lenin. Ona gardłuje o równości płac. – Równość płac to utopia! Potrzebni nam są spece, trzeba im płacić, żeby chcieli się u nas zatrudnić. (Podobno wojskowi chętniej idą do czerwonych niż do białych, nie podobają im się demokraci z tymi ich wiecznymi skrupułami).

Tak, koniec utopii. Koniec myśli o tolerancji. Przewodniczący Sownarkomu Uljanow-Lenin w liście do komisarza sprawiedliwości zaleca trybunałom TERROR. Dzierżyński przekonuje, że „mienszewików i lewych eserów należy postawić pod ścianą i rozstrzelać”. (Kiedy Feliks stanął na czele Czerezwyczajki, niektórzy towarzysze byli przeciw: człowiek niezrównoważony, nie powinien zajmować takiego stanowiska). Gorki wszystko zapamiętuje (choć nie wszystko zapisuje). Lenin: – Pisałeś kiedyś o zatruciu władzą. Władzą nad ludźmi. Jest coś takiego, na pewno. Lubię muzykę – zwierza się – Beethovena, Czajkowskiego – ale boję się słuchać, „staję się sentymentalny. Chciałoby się wtedy głaskać ludzi po główkach, a przecież nie można, nie da się”. Idea idea – przypomina trzeźwo – ale ubikacje w Piotrogradzie trzeba rozmrozić. Nie lubi słowa „leninizm” – opowiada Gorki domownikom. „Kto to wymyślił? – sarka. – Może jakiś przeciwnik?” (Nie, raczej pochlebca, niektórzy uważają, że Karol Radek).

Wiedział, że teraz, kiedy rozpadają się imperia, czynnik narodowy staje się decydujący. Inna rzecz, że nie można bezkarnie przez dwa dziesiątki lat wzdychać do światowej rewolucji. Ta wizja znowu przed nim zamajaczyła, kiedy w Niemczech upadło cesarstwo. Marzyło mu się, że zmobilizuje trzy miliony czerwonoarmistów – i ruszy na Europę. Mój profesor pisze cierpko, że złamanie rewolucji niemieckiej, egzekucja Liebknechta i Róży Luksemburg były „opatrznościowe dla komunizmu rosyjskiego”, uratowały go przed „fatalną awanturą”. Róża Luksemburg nie byłaby tą interwencją zachwycona, w swojej ostatniej pracy zdążyła ostro zaatakować dyktaturę bolszewicką. „To niebezpieczna fanatyczka” – określił ją kiedyś Lenin.

Niebezpieczna fanatyczka była przeciwniczką terroru. Jeszcze raz wróciła wizja światowej rewolucji, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy. Teraz polska klasa robotnicza – przewidywał mąż stanu, trzeźwy praktyk polityczny – wystąpi przeciw swojemu klasowemu państwu. Po klęsce nad Wisłą co gorętsi towarzysze nie od razu chcieli z tej wizji zrezygnować, namawiali, żeby „przegrupować siły” i ponownie zaatakować. Ale wódz naczelny, Lew Trocki, przekonał Lenina, że pora wrócić na ziemię i zawrzeć pokój. I znowu państwo radzieckie uratowało się – dzięki błogosławieństwu porażki.

Dyskutują ci dwaj – wódz i pisarz – wyklócają się nawet, ale Lenin do tego dopuszcza, nie tylko dlatego, że nie uważa się za dyktatora („wcale nie mam większości w KC”), ale po prostu dlatego, że Gorki to partner. Trudny partner, ale – Lenin szuka odpowiedniego określenia – sympatyczny. Czasem, kiedy go o coś proszę – opowiada Aleksy Maksymowicz – patrzy na mnie z politowaniem, zajmujecie się, mówi, głupstewkami, błahostką, mówi, kompromitujecie się w oczach towarzyszy. Ale dla pisarza to nie były błahostki, tylko właśnie sprawy poważne. „Towarzysze – odpowiada Leninowi – odnoszą się nazbyt lekko do wolności człowieka, do życia wartościowych ludzi (a co z życiem ludzi mniej „wartościowych”? – chciałoby się zapytać) i to oni kompromitują sprawę rewolucji zbyt czynnym i nieraz bezmyślnym okrucieństwem”. Odtrącają przez to ludzi godnych szacunku. Hm, hm... – warczał Lenin i przytaczał Gorkiemu fakty, „kiedy inteligencja zdradzała sprawę robotniczą”. A robotnicy cierpią, tak, ale to oni zwyciężą, bo „taka jest wola historii”. Często używał tego pojęcia: wola historii, i nie było w tym nic fetyszystycznego, zastrzegął się Gorki, on wiedział, że „wola historii” nie realizuje się sama. Warczał, ale moim prośbom – chwalił się Aleksy Maksymowicz – nie odmawiał. Nie wszystko się udawało, moi kochani, bo przecież weźcie to pod uwagę, „nie da się wykluczyć czyjejś złej woli, niechęci do ulżenia ludzkiej doli, uratowania życia...” („Ten wasz Gorki – mówiła towarzyszka Kamieniewa, siostra Trockiego – osłania samych łajdaków. I sam jest łajdakiem! Gdyby nie Lenin, siedziałby w więzieniu”).

– Nie żal wam ludzi? – spytał któregoś dnia Gorki.

– Mądrych mi żal. Mądrych mamy niewielu. Jesteśmy narodem na ogół utalentowanym, ale rozum mamy leniwy.

Ach, Martow! wspomina. Jak świetnie się z nim dyskutowało! Zadziwiający, czysty człowiek! (Na pewno lepiej czuł się w jego

towarzystwie, mimo całego krytycyzmu, niż przy Stalinie i Zinowjewie). Nadia, ona też tamte czasy wspomina z sentymentem. Gotowała obiady, prowadziła dom, przychodzili goście, przyjaciele.

Przysyłają mu podarunki. Rybę z Astrachania. Obrusza się:

– Jak jakiemuś dziedzicowi. Jak się od tego wymigać? Odmówisz, nie przyjmiesz – obrażą się.

Kto mówi, że w oczach towarzysza Lenina nigdy nie pojawia się łza? Ależ nie, zalewał się łzami – kiedy się śmiał. Rozśmieszałem go do łez – opowiadał Gorki. Ależ z was humorysta! – wykrzykiwał – do głowy by mi to nie przyszło... Zazdrościł mi umiejętności rozśmieszania. To cudowne, mówił, że umiecie na porażki reagować z humorem. To piękne, zdrowe. On sam, owszem, żart wychwytywał, ale skarżył się, „kiedy ja próbuję, jakoś mi to nie wychodzi”. A przecież śmieszności mamy w życiu, mówił bardzo poważnie, nie mniej niż tego, co wpędza w smutek – a może i więcej.

Perorował:

– Ci, którzy przyjdą po nas, będą żyć lepiej. Nie doświadczą tego, co my. Życie nie będzie takie okrutne. – Po chwili (opowiadał Gorki): – A jednak im nie zazdrozczę. Nasze pokolenie dokonało niezwykłej roboty, jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia historii. Życie było okrutne, ale okrucieństwo było wymuszone, okoliczności je wymusiły – i to zostanie zrozumiane i usprawiedliwione. Wszystko będzie zrozumiane, wszystko! (A szatan słuca i szczyrzy zęby).

No cóż, może nie wszystko będzie zrozumiane. Kiedyś – był przy tym i Łunaczarski – Lenin przyznał, nie bez melancholii: – Tak, ci demokraci to są porządni ludzie, uczciwi, zawsze występują przeciw prześladowcom i w obronie prześladowanych. A kto teraz jest prześladowcą? Czeka! My! A oni są prześladowani! – wykrzyknął i wybuchnął nerwowym śmiechem.

Aleksy Maksymowiczu – chcę się między nich wdrzeć – powiedz mu, powiedz to wreszcie, że oni używają słów fetyszy, słów magicznych – „rewolucyjny proletariatus”, „światowa rewolucja” – pełno mają takich słów, są tymi słowami zaczadzeni, mgła przesłania im oczy. Ale najgorsze z tych słów magicznych jest słowo: „rozstrzelać!”. Wierzą w nie jak w bóstwo. Padają przed nim na kolana. Rozstrzelać – i sprawa będzie załatwiona. Powiedz mu, co o tym myślimy – my, teraz, po latach! Przekonaj go!

Gorki przy wódce, w kłębach dymu, pali papierosa za papierosem. (Włodzimierz Iljicz wódki nie pije, czasem wino, i w ogóle nie pali).

W mieszkaniu na Prospekie Kronworskim jest po kolacji, będą się odprężyć, grając w loteryjkę.

– Kiedyś mi powiedział – mówi Gorki – „wy, Aleksy Maksymowiczu, jesteście człowiekiem zagadkowym”. Miało to być żartobliwe. „W pisarstwie niby przyzwoity realista, ale w stosunku do ludzi niezły romantyk. Wszyscy są u was ofiarami historii”. Tak, przyjaciele – ja romantyk, on realista.

A lud wzdychał: „Ach, gdyby to Iljicz rządził!”.

„Każda może”. Wciąż to słyszałem – moje własne słowa. Nie odpowiedziała, drzwi samochodu trzasnęły, silnik zamruczał, zdążyłem krzyknąć: „zapnij pas!” – odjechała. Zła, obrażona – bo ją na czymś przyłapałem. Tak, na pewno coś takiego chodziło jej po głowie, przeganiała tę myśl, wiedziała, że to nieprzyzwoite, wręcz świństwo – „czy myślisz, że coś takiego mogłabym ci zrobić?” – ale to wciąż do niej wracało: pokój w hotelu (tuż obok mojego pokoju), wśliźniesz się niepostrzeżenie, nareszcie sami, we dwoje, rano znikniesz, ostrożnie, ukradkiem, nie zauważy nic, to podniecające, prawda?

Nie odzywa się. Zdaje się, że jest na Mazurach. Na desce z żaglem. Muskulatura opalonego instruktora. Posyłam SMS: „Co z Tobą? Kiedy się spotkamy?”. Odpowiedź: „Nie wiem, czy się spotkamy. Zraniłeś mnie”. Ja: „Zraniłem siebie. Zanadto Cię kocham”. Ona: „Tak, kochasz – dupa dupa”. Aha, to ma znaczyć: ty mnie tylko pożadasz, nie szanujesz mojej osobowości – zraniłeś mnie. Przyjemnie, myślę, jest czuć się zranioną i skrzywdzoną. Można wtedy nie zauważyć, że się krzywdziło i raniło. Można rozgrzeszyć siebie. Nadaję: „Piegusko, chcę cię zobaczyć. Omówimy nasz Berlin”. Nie mogę z nią zerwać. Jeśli trzeba będzie przeprosić, cóż, przeproszę. Ona: „Nie wiem, czy pojedę do Berlina. PRZEPLAKAŁAM PÓŁ NOCY”. I potem informacja: „Zwiedzam z Anulką Malbork”. To zdanie zabrzmiało optymistycznie: bo dlaczego mnie o tym informuje? Usiłuję przełamać jej opór. Piszę: „Całuję łyzy. Zawsze przy Tobie czułem się szczęśliwy. Spotkamy się?”. Odpowiedź: „Nie wiem”. Po chwili następnym SMS: „Nie byłeś szczęśliwy. Powiedziałaś, że taka miłość to nieszczęście”. Tak powiedziałem, tak to czułem – powiedziałem, pamiętam, i zalałem się łzami. Ale ona tych łez nie widziała, odwróciłem się. Więc jeszcze SMS do Pieguski, że tęsknię. Czekam na krótkie: „Ja też”. Nie doczekałem się.

Uciec od tej miłości. Odczepić się od dziewczyny. Muszę się ratować. Chciałbym coś takiego powiedzieć: rzucam ci słowa miłości – i brak

oddźwięku; jakbym rzucił złotą monetę na stół pokryty grubym zielonym suknem, nie ma dzwonięcia, jest głucho. Rzucam diament – i tonie w ciemnej wodzie.

Człowiek jest ułomny – mam ochotę jej powiedzieć (może, żeby jednak ją zranić) – każdy człowiek, więc choćby przez to żaden nie jest wart aż tyle, by kochać bez odwzajemnienia. Każda uroda jest ułomna. Twoja też. Rozświetla się od uczucia, od mojego uczucia, ale i od twojego uczucia, od radości, którą ci wnosi. To wzajemność – odrobina wzajemności, choćby tyle, co czerwonego lakieru na paznokciu małego paluszka – czyni z niej najbardziej ukochaną i najbardziej pożądaną kobietę na świecie. Jej obojętność czyni z niej osobę odpychającą (dosłownie). Jej uroda gaśnie. Miłość, miłość – miłość nie wszystko usprawiedliwia. Można się zakochać w głowie osła – Szekspir tego nie wymyślił – na Boga, on to wziął z życia! Kochasz ją, dopóki trwa działanie odurzającego napoju. Ale w pewnym momencie może nastąpić przebudzenie. Czar się ulotnił. Co wtedy? Pustka, choć w łeb sobie strzel.

Nie, ona tego nie przyjmie. Ustawiła sobie to wygodnie: on kocha – i musi być szczęśliwy z tym, co mu ofiaruję – moje towarzystwo (od czasu do czasu), pozwalam mu wyznawać uczucie, wciąż mnie to jeszcze nie nudzi (lub udaję, że mnie to nie nudzi, przez delikatność – staram się być miła). Powinien czuć się szczęśliwy.

Oczywiście, nigdy tego monologu przed nią nie wygłoszę. Nie wpiszę go nawet do księgi. Pozostanie w mojej głowie – jako myśl o kształcie kalekim, niezbyt fortunna. Człowiek jest ułomny, więc i myśl jego jest ułomna (usprawiedliwiam się), żadna nie jest doskonała, skończona, myśl to nie równanie matematyczne, mylił się Platon, mylił się Freud, mylił się Jung i różni inni, do diabła z nimi, nie muszę się nimi zajmować, wiem swoje.

Ale czy można mówić językiem politologa racjonalisty o czymś tak irracjonalnym jak uczucie? Trzeźwo o szaleństwie? Wystarczy jedno jej spojrzenie, jeden obejmujący cię uśmiech, jakieś radosne „świetnie wyglądasz!”, okrzyk: „głodna jestem! co bierzemy?” – i cały gmach twojego rozumowania rozpada się jak podczas trzęsienia ziemi.

Zaglądam do notatek. Może teraz o ojcu Trockiego? Pan Dawid Bronsztejn prowadził gospodarstwo rolne, duże, nowoczesne – Żydom na Ukrainie to się zdarzało – kiedy wybuchła rewolucja. Znalazł się w podwójnym niebezpieczeństwie: dla białych był Żydem, dla czerwonych

– bogaczem. Syn sprowadził go do Piotrogradu, wystarał się o to, by mógł zarządzać jakimś młynem. Stary wdowiec sarkał: „Ojcowie pracują i pracują, żeby mieć coś na starość, a potem przychodzą synowie i robią rewolucję”.

W otoczeniu Gorkiego pojawia się ktoś nowy: Mura. Tak ją nazwał w swoim pamiętniku wydalony z Rosji brytyjski dyplomata Lockhart i niech tak już zostanie, zgodzili się wszyscy. Gorki w listach pisze o niej z szacunkiem: Maria Ignatiewna. Z domu hrabianka Zakriewska (z polskimi korzeniami), po mężu, zamordowanym carskim dyplomacie, Benckendorf. Miała dwadzieścia osiem lat, kiedy wygłodzoną, przygnębianą (ale śliczną), z kartką żywnościową trzeciej kategorii, przyprowadził ją do Gorkiego, naczelnego redaktora „Światowej Literatury”, Korniej Czukowski. Przyszli wieczorem (opowiada Nina Berberowa), na stole stał samowar, Mura po raz pierwszy od dłuższego czasu pije prawdziwą herbatę (choć cienką, uzupełnia natychmiast Nina). Zna języki – zachwala młodą kobietę Czukowski – niemiecki, francuski, angielski, może tłumaczyć. Języki zna, zwłaszcza angielski, ale tłumaczenia wychodzą jej kiepsko, najgorzej jest bowiem z rosyjskim. Zostaje jednak na Kronwerskim, imponuje elokwencją, błyskotliwością, wszechstronnością zainteresowań, sekretarzuje Gorkiemu, który jest nią zafascynowany. (Nina też podziwia Murę, napisze o niej książkę *Kobieta z żelaza*). Dla swojego bossa Mura tłumaczy listy do wielkich kolegów z zagranicy, do Rollanda, Stefana Zweiga, no i do Wellsa, oczywiście, Aleksy Maksymowicz jest nią zauroczony, tak, zakochany niewątpliwie, miłość dojrzała, wiele potrafi wybaczyć.

Błok też jest nią zauroczony, napisał wiersz, który zaczynał się od słów: „Choć los Cię nie przeznaczył dla mnie / Zjawiałaś mi się, Pani, we śnie...”. A niektórzy domownicy pokpiwają (przez zazdrość, ma się rozumieć), że Titka (tak ją z ukraińska nazywają) wciąż ma nowych wielbicieli – nawet Zamiatin, taki oporny, i ten też podpadł.

„Zjawiałaś się, Pani, we śnie...” – sny nie kłamią, sny nie uznają twojego buntu. Budzę się ze snu ze szlochem, który mi się śnił, doprawdy nie wiem dlaczego, przecież jej nie kocham, ale widać pod tymi popiołami wciąż coś się żarzy, wystarczy podmuchać, czułe słowo rzucone przez aktorkę z ekranu telewizora, jej ręce obejmujące partnera, jej usta szukające jego ust – albo sen, mój własny sen – żeby żar wybuchł płomieniem łez.

Zatęskniłem do ust, które kiedyś mnie zapragnęły, zadzwoniłem do pani, nazywanej w myślach Erną. Nie bez obaw, że ona jest na wakacjach, sama lub z nim, lub jeszcze z kim innym, wszyscy są teraz albo na wakacjach, albo wybierają się na wakacje. Ale odezwała się kobieta – głos miły, lekko zdarty, fonogeniczny, kuszący głos – to chyba ona, dziennikarka radiowa, bądź co bądź.

– Pani Erna? – spytałem.

– Tak, to ja. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry pani. Chciałem się przypomnieć...

– Chryste Panie! – wykrzyknęła. – To pan? Naprawdę? Profesor Thompson! To pan?

– Tak mi się wydaje.

– Skąd pan dzwoni? – W głosie radosny pośpiech. – Z Indianapolis?

– Z Warszawy. Ale że też pani mnie rozpoznała... Po akcencie?

– Ależ nie, po głosie. Niech się pan tak nie dziwi, powtarzaliśmy czasem to nagranie i ja zawsze sprawdzałam, czy to się jeszcze nadaje. Że też panu przyszło na myśl zadzwonić! Strasznie się cieszę.

Wszystko tak, jak sobie wyobrażałem, zadziwiająco.

– Jest pani sama? Możemy porozmawiać?

– Jeśli pan tylko chce... Zygmunt jest za granicą. Karaiby – powiedziała. Powtórzyła, rozciągając zgłoski: – Ka-ra-i-by.

– A ten uroczy chłopczyk, za którym pani się uganiała?

– Pamięta pan? No tak, ja wtedy czułam na sobie pańskie spojrzenie. I wie pan co? Poczułam się lekka, można rzec, zachwycona sobą. Śmieszne, prawda? Ale chyba tak kobieta powinna reagować. Julek studiuje w Edynburgu. Niedawno u niego byłam.

Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć.

– Pani Erno...

– No proszę.

– Ja coś pamiętam.

Milczenie. Po chwili:

– Ja też – usłyszałem.

Pamiętaliśmy to samo: jej podbiegnięcie do mnie, pocałunek w usta – i ucieczka.

– Jeff... mogę tak do pana mówić?

– Możesz, Erno. Często o tobie myślałem.

– I ja o tobie. Powiem ci dlaczego. Wtedy, kiedy przeprowadzałam tę rozmowę... Sprawiało mi to ogromną satysfakcję. (Najwyraźniej bała się słów, bała się wyrazić za dużo). Twój głos – twoje argumenty – gestykulacja. Tak, gestykulacja też, chociaż mikrofon tego nie wychwytuje. Byłeś taki inny. To znaczy inny niż mój mąż. Wiesz, on nie chodzi, tylko się posuwa z podniesioną głową; z wypiętym brzuchem – dodała złośliwie. – Ruszający się pomnik. Twój akcent, oczywiście, też miał znaczenie, te śmieszne błędziki gramatyczne, one mnie roztkliwiały.

– Jakie błędziki? – zaniepokoiłem się. – Pamiętasz może?

– Na przykład... czekaj, aha, już wiem, powiedziałeś: „odpowiedź Gorkiego filozofu Filosofowu”.

– A jak powinno być?

– „Filozofowi Filosofowowi”.

– Przyznasz, że moja wersja brzmi zgrabniej.

– Przyznaję. (Śmiech). Zresztą słuchaczom bardzo się twoje błędy podobały. Siedziałam naprzeciw ciębie, oczy w oczy, usta w usta. Wiedziałam, wyobraź sobie, że się mocno zaangażowałeś w jakiejś pani, że wyjechała za granicę do kuzyna czy wujka, ty tego na przyjęciu nie ukrywałeś, wypiełeś z panami za jej powodzenie, miałeś taką potrzebę, rozumiem to. Pamiętasz jeszcze, jak miała na imię?

– Pamiętam.

– Jeff, jak ty wyglądasz? Roztyłeś się?

– Znowu jestem w normie. Włosy mi posrebrały.

– Czyli jesteś jeszcze bardziej interesujący.

– Chciałbym to powtórzyć – powiedziałem nieśmiało, ale i trochę uwodzicielsko. – Wiesz, tamto.

– Ja też, ale dobrze rozumiem, że to niemożliwe, nie uda się. Musiałyby być podobne okoliczności: my w tej uliczce na Saskiej Kępie i ta sama spontaniczność, niespodzianka, bo dla mnie to też była niespodzianka – Chryste Panie, Jeff, wcale się tego po sobie nie spodziewałam, ja przecież wcale taka nie jestem, a tu bęc, jak nastolatka, taki impuls. Nie, Jeff, tego nie da się powtórzyć.

– Ale może się spotkamy? Jakaś kawa? Przyjaciele „od kawy”?

– Nie, lepiej nie. Nie wyglądam źle, ale Chryste, to już nie ta Erna, na pewno, cera i to wokół oczu, i już się tak nie poruszam, kręgosłup, masaże, nie, po co, porozmawiajmy, od tego jest telefon.

Przyznałem jej, że tak, od tego, bąknąłem tylko: „jeśli się rozmyślisz” – i podałem jej numer swojej komórki. Potem spytałem:

– A tata tego chłopaczka? Jesteś z nim?

– Tata jest w pewnych kołach bardzo szanowany. Pisze opowiadania – wiesz jakie? – patriotyczne. Znęca się w nich nad komuchami. Zapomniał, że starał się u tych komuchów o różne prezesury, udział w redakcjach, komisjach, bardzo o to zabiegał. Pamiętasz, co pisał? Takie „opowieści o prawdziwym człowieku”.

– Nie udało mi się jakoś z nimi zapoznać. Mam spore braki.

– Masz sporo szczęścia. Jego narrator, wtedy i dzisiaj, zawsze wszystko rozumie i zawsze właściwie rozstrzyga. Żadnych rozterek. Żadnych wahań.

– Nie podoba ci się to?

– Jeff, ja bym to przyjęła, gdyby Zygmunt doszedł do tego drogą ewolucji... Gdyby pamiętał, kim był, gdyby to go męczyło... Nie jest pozbawiony słuchu, o nie. Mógłby napisać coś interesującego – właśnie na ten temat. Ale on tego nie robi. Nigdy. Jeff, mnie się zdaje – przepraszam, że zabieram głos – ale proza polityczna nie może być dobra bez rozumienia racji drugiej strony. Bez tego nie ma dramatu.

– Próbowalaś mu to powiedzieć?

– Nie będę go wychowywać. – (Gardzi nim, zrozumiałem). – On dobrze wie, co robi i dlaczego to robi.

Zawsze się dziwiłem, jak ona może żyć z takim nadętym, sztywnym facetem. Odezwałem się ostrożnie:

– Nie wydaje mi się, by on cię teraz szczególnie pociągał.

– Och, Jeff, to nie jest taki wielki problem. Tam, gdzie mamy posiadłość, pod Warszawą, przychodzi do sprzątania dziewczucha, młódka, szeroki zad, krzepkie, krótkie nogi, Zygmunta to podnieca, no i dobrze, niech sobie ją ma, w środy staram się tam nie bywać, środy są jego, wszystko ułożone. No, ale zdarza się, że mu przychodzi ochota i na mnie, w weekendy szczególnie. Do kolacji pijemy wino.

Słyszę śmiech w jej głosie.

– I co ty na to? Odpychasz go? Przepraszam, że o to pytam.

– Jeff, małżeństwo to przecież umowa.

– Rozumiem.

– Skoro się nie rozwodzimy...

– Rozumiem – powtórzyłem. Czemu nie mogę jej się zwierzyć? Co mnie powstrzymuje? Erno, powiedziałbym, jestem tak ciężko zakochany, i tak mi

z tym niedobrze – wybucham radością, kiedy ona się pojawia, a potem gorycz i niedosyt, kiedy się żegnam – ona się śpieszy, pędzi do tamtego, do rozkoszy z tamtym, dla mnie czułe słówka, podniecające, dla niego piersi i zalana wilgocią pochwa – nie mogę sobie dać rady z tą miłością! Wysłuchaj mnie...

Ale nic nie powiedziałem. Za to Erna mówiła cicho, swoim z lekka skrzypiącym, właśnie jak skrzypce, głosem:

– Jeff, miły, żałuję, że nie wolno nam się spotkać. Bo ja czasem o spotkaniu z tobą myślałam. Przed snem. Albo nawet, kiedy on się do mnie dobierał. Wykorzystywałam cię. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że to ty. Jeff, skończmy tę rozmowę. Mam mokre oczy.

– Ja też.

Ona ma rację, myślałem, wchodząc do kuchenki, zachowajmy niezmacone tamto urocze wspomnienie, uruchomiłem bezprzewodowy czajnik, sięgnąłem po herbatę, wciąż mędrkując, i nagle usłyszałem huk piorunu, wystrzeliło tuż obok, jak nad uchem. Patrząc, a w pokoju dym, bucha płomień, dywan koło stołu się pali. Pochwalę się, że nie straciłem zimnej krwi. Przeskoczyłem przez ogień do tapczanu, zdarłem z niego huculską narzutę i zdusiłem nią ogień. Może zawdzięczam to naszemu wychowawcy ze szkoły średniej, może skautingowi, ale zawsze w takich chwilach mobilizuję się i zachowuję spokój. Wietnam – tak, Wietnam też; niektórzy dostawali drgawek, wracali do domów roztrzęsieni, ja byłem nastrojony fatalistycznie, stanie się, co się ma stać, nie ma na to rady, no i miałem dla siebie jeszcze literaturę, obcowanie z Conradem, Czechowem, no i w ogóle. Teraz tak samo: spokój, zobaczymy, co się stało. Kiedy pył opadł, zgarnąłem miotełką odłamki w kąt pokoju i wróciłem do robienia sobie herbaty. Herbata mnie uratowała. Ale przed kim?

W pół godziny później pojawiła się policja. Pięć osób, w tym dwóch w cywilu. Ci cywile rozglądali się po pokoju, odłamki zgarnęli do plastikowego woreczka, dotykali różnych przedmiotów przez gumowe rękawiczki. Podziękowali za herbatę i zaczęli przesłuchanie.

– Był napad? Widział pan kogoś?

– Nikogo. Byłem w kuchni. Granat wrzucono przez otwarte okno.

– To nie granat – odezwał się starszy cywil. – Bomba domowej roboty. Zapalająca.

Najwyższy stopniem mundurowy zapytał:

– Dlaczego pan nie zawiadomił policji?

– Po co? Nic takiego się nie stało.

– Jak to po co? Ktoś na pana poluje. Domyśla się pan kto? Ma pan jakichś wrogów? Podejrzewa pan kogoś?

Przypomniałem sobie opowiadanie Karela Čapka. Spokojny pan radca Tomsa – chyba tak się nazywał – siedzi przy stole, coś siorbie, nagle trach, trach – tuż koło głowy padają dwa strzały, kule utkwily w ścianie. Przychodzi policja, zabezpiecza ślady i pytają tak samo: Ma pan jakichś wrogów? Podejrzewa pan kogoś? Nie, nie mam wrogów – odpowiada pan radca – nikogo nie podejrzewam. Ale kiedy pan komisarz sobie poszedł, radca Tomsa zaczyna sobie to i owo przypominać. Komuś niechący zrobić krzywdę, kogoś nie poratował, ktoś mógł się poczuć dotknięty. Zanim zasnął, już tych możliwych zabójców było kilkunastu. I udał się rankiem pan radca do komisariatu i poprosił pana inspektora, żeby umorzył śledztwo: tych, którzy mogliby mnie nienawidzić, jest tylu, że... panie inspektorze, przyszedłem prosić, „abyste tu věc nechali plavat”. Opuśćmy to sobie. Tak i ja pomyślałem: mam wrogów, ale lepiej policji w to nie wtajemniczać.

– Jest pan Amerykaninem – powiedział ten, który był chyba inspektorem.

– Może tu zagrał wątek iracki?

– Raczej nie – powiedziałem. – W mojej publicystyce widać sprzeciw wobec tej wojny.

– Oni nie muszą o tym wiedzieć.

– To prawda. Mogła tu zadziałać jakaś szaleńcza agitacja.

Inspektor:

– Ponieważ to pana dotyczy, panie profesorze, odkryję panu coś w zaufaniu. Ale proszę to zatrzymać dla siebie. Działa tutaj taki imam, Ibn Jusuf, Jordańczyk zresztą. Gardłuje za – wie pan za czym. Mamy go na oku. Jeszcze raz proszę, żeby pan to zachował dla siebie.

Uśmiechnąłem się:

– Chyba żeby to miał być przeciek kontrolowany.

Odpowiedział uśmiechem.

– Chyba że tak. – I zapytał: – Czy tam, u was, spotkały pana za to jakieś represje?

– Nie, skądże.

– Tak myślałem. Bomba domowej roboty – zastanawiał się na głos pan inspektor. – Może jakiś gówniarz? Chciał ją wypróbować. Wysoki parter, okno otwarte, jakiś podejrzany Amerykanin. Co pan na to?

– Nie wykluczam tego.

– Żadnego wątku nie będziemy lekceważyć – zapewnił inspektor. Gestem znanym mi z hollywoodzkich filmów podał mi wizytówkę. – Tu jest mój numer telefonu. Gdyby panu przyszło coś do głowy...

– Dziękuję.

– Radziłbym przenieść się piętro wyżej.

– Zrobię to.

– Ten gówniarz może zechce powtórzyć. Będziemy dyskretnie obserwować pańskie okna.

– Wolałbym bez obserwacji – powiedziałem porozumiewawczo.

Policjanci wciąż jeszcze rozglądali się po mieszkaniu. Inspektor zajrzał do kuchni.

– Miał pan sporo szczęścia, panie profesorze.

– Nawet więcej, niż pan myśli. – Wskazałem na piętrzące się na stole notatki. – Gdyby ta bomba padła na stół, kilka miesięcy pracy poszłoby z dymem.

Miałem ochotę wysłać do Matyldy dramatyczny SMS, ale powstrzymałem się: nie, to nie ja, na razie przemilczę. W godzinę później stawilem się na wezwanie w naszej ambasadzie. Przyjął mnie wysoki, szczupły, czarnoskóry młody człowiek w białej koszuli z czarnym krawatem. Oficer, jak się okazało.

– Pan Thompson? – spytał.

– Yes, sir – odpowiedziałem, bo domyśliłem się, że stanowisko zajmuje znaczące.

– Jestem porucznik Franklin Abrahams, dla przyjaciół „Abe”.

– To zaszczyt dla mnie, sir.

– Och, profesorze, nie dyskutujmy o zaszczytach.

– Jeff, jeśli można prosić.

Siedzieliśmy przy okrągłym stoliku. Bez whisky, bez kawy, w karafce woda z cytryną.

– Jeff, miałeś nieprzyjemną przygodę – zaczął porucznik. – Wydaje mi się, że powinieneś wrócić do domu.

– Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

– Nic ci się nie uda – powiedział Abe. – Jesteś spalony.

– Mam tu parę spraw osobistych.

– Z grubsza orientujemy się w twoich sprawach. (Skóra na mnie ścierpła, że usłyszę coś o Matyldzie. Ale nie). Wiemy, że piszesz książkę dla

wydawnictwa „Rakieta”. Chyba się nie mylę?

– Nie.

– Otóż wydaje mi się, że w Indianapolis można pisać z równie dobrym skutkiem.

– Muszę się z kimś spotkać.

– Czy to konieczne?

– Tak, konieczne.

– Jesteś wolnym człowiekiem, Jeff. Ale sądzę, że mają cię na oku.

– Spotkam się z tym kimś w Berlinie – powiedziałem.

– To niezły pomysł – przyznał czarnoskóry młodzieniec.

– Czy słyszałeś – spytałem – o imamie Ibn Jusufie? Bardzo aktywny.

– Jest takich aktywnych imamów kilku. Ale ten szczególnie elokwentny.

– Czy nie powinien robić swoje bardziej dyskretnie?

– Powinien. Na szczęście, nie robi tego. Upaja się słowami, taki temperament. Bardzo charakterystyczny. – Porucznik był ostrożny w doborze słów. Najwyraźniej wolał, by nie posądzono go o polityczną niepoprawność. – Nie martw się o niego, Jeff. To nasza sprawa. – Po chwili: – Mam zaufanie tylko do siebie.

– Naturalnie, sir.

– On ma trzy żony – mówił dalej. Z grzecznym uśmiechem. – Ale mu nie zazdroszczę.

– To byłby może pretekst do wydalenia go? Łamie prawo i namawia do tego innych.

– Nie jest polskim obywatelem. Za agitację, tak, to co innego. – Porucznik kręci głową, jakby nie dowierzał sam sobie. – Profesorze, dlaczego one się z tym godzą? Dlaczego nie uciekną?

Przypomniałem sobie Erneę, to, co mówiła o pożyciu z mężem, i powiedziałem:

– Bo taka jest umowa.

Porucznik wstał ze słowami:

– Pamiętaj, że nie jesteśmy w stanie cię chronić.

– Zadbam o siebie.

– Tak, zrób to. Good luck! Jeff, to zaszczyt dla mnie, że mogłem się zaprzyjaźnić z tak wybitnym Amerykaninem.

– To samo myślę o poznaniu ciebie, Abe – odpowiedziałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Ledwie przeszedłem na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczyłem nie kogo innego, jak samego Luciano, to on, ze swoją pocziwą, jowialną gębą Pickwicka.

– Świetnie, że pana widzę – przywitałem go. – Bardzo chciałem pana zobaczyć.

– Domyśliłem się – na to rozpromieniony pan Luciano. – Czekałem tu na pana. Wiem, że miał pan grubą nieprzyjemność.

– Mam nadzieję, że to nie pańska robota.

– Szefie, ja? Jakim cudem?

– Mam do pana pytanie. Jedno, ale zasadnicze.

– Będzie piwo et cetera?

– Pod warunkiem, że nie będzie pan wypełniał kuponów.

– Porzuciłem to! – Luciano podreptał do ogródka kawiarni. – Tu będzie klawo. Oni teraz mają inne wyrażenia, ale ja ich nie lubię, ja po staremu mówię „klawo”, bo był taki magister Klawe, który produkował pigułki przeczyszczające – działały łagodnie, nie przerywając snu.

Siedliśmy, zamówiłem dwa piwa z beczki, dla niego jeszcze jakieś „et cetera”, mniejsza o to co, nie pamiętam. Ona tu powinna być obok mnie, sączyć cappuccino; ta kelnerka, jasnowłosa dziewczyna z końskim ogonem, w granatowej spódniczce mini – uśmiech, no tak: zdziwiona, że jej tu nie ma.

– System mi się nie sprawdził – mówił Luciano, herbu Półkozic. – Rozsypał się. Już się chyba nie wzbogacę.

– Mogę pytać?

– S'il vous plaît.

– Idzie mi o to załatwienie pana Blaua. Zdaniem policji morderców było dwóch.

– Bo było dwóch – zgodził się Luciano.

– A pan mówił, że był jeden, tylko pan.

– Ja tak mówiłem? – zdziwił się mój rozmówca.

– Tak. Że wszedł pan drugi raz w innym obuwiu.

Luciano zachichotał.

– To niezłe. Całkiem zabawne. I ja tak powiedziałem?

– Tak, po omlecie z pieczarkami.

– Sorry, nie pamiętam. To znaczy omlet tak, owszem.

– Więc tę wersję odrzucamy?

– Wedle życzenia. Mogę jeszcze jedno piwo?

Pstryknąłem palcami, pojawiła się ta dziewczyna, znów się uśmiechnęła: a gdzie ta piękna pani? Dziś stocków nie będzie? – zamówiłem tym razem heinekena.

– Więc tak – zaczynam, podczas gdy on ciągnie to piwo, spoglądając na mnie znad brzegu kufla. – Dogadaliśmy się: morderców było dwóch. Jednym był pan, tak?

– No, ja.

– A drugi? Kim był ten drugi? Ten, który przeciął mu szyję scyzorykiem?

– Mój kumpel.

– Gdzie on jest?

– Nie żyje.

– Załatwili go?

– Może. Utonął.

Nabrałem powietrza w płuca. Jesus Christ, zakląłem w duchu (wzorem Erny), co tu jest prawdą, co opowieścią wariata, pełną wściekłości i wrzasku? Matylda przypatrywała mi się pilnie. – I ty twierdzisz, że mnie kochasz? Jesteś tego pewny? – Tak. – Teraz też mnie kochasz? – Tak. – Skąd wiesz? Skąd ta pewność? – Bo nie opuszczasz mnie ani na chwilę. Lekki wietrzyk powiał, odczułem cmoknięcie w policzek.

– To gdzie to było? – spytałem.

– Na Mazurach. Na jeziorze.

– Pański kumpel?

– Niezupełnie. Przesadziłem. Nie wiem nawet, jak miał na imię. To było na obozie żeglarskim.

– Umie pan żeglować?

– Od knajpy do knajpy.

– To skąd się pan tam wziął?

– Kobieta, panie Thompson. Kobieta.

– Ona?

– Zawsze ona. Jedyna i na zawsze. Pojechałem za nią. Boże, jak ona wyglądała w kostiumie kąpielowym! Co za ramiona, jakie uda. A ten brzuch z gołym pępkiem.

– Luciano, darujmy to sobie. Próbował się pan do niej zbliżyć?

– Tylko się gapiłem. – Pickwick posmutniał. – Nie była sama.

– Z mężczyzną?

– Był ten Marcin. Ja go przecież znałem z widzenia. Raz nawet, przy samej przystani, ukłoniliśmy się sobie.

Przez chwilę dorzucałem tę wiadomość do archiwum swojej pamięci. Niech się tam zapisze.

- I wtedy tam ktoś utonął?
- Tak, młody człowiek. Mówiono, że student.
- W jaki sposób utonął?
- Nie wiem. Rano wypłynęło na brzeg ciało.
- Był w ubraniu?
- W jakimś kombinezonie.
- I znaleziono przy nim scyzoryk?
- Chyba pan żartuje.

Jest zupełnie normalny. Trafiłem na lucida intervalla.

- Dlaczego przyszło panu na myśl, że to ten drugi?
- Bo była tam pani Blau. Tak mi się to skojarzyło. Morderca ciągnie za ofiarą.

- Pan też?
- Ja też.
- Ale nie za ofiarą, tylko żeby gapić się na wspaniałe ciało kobiety.
- Niech i tak będzie.

Jest zupełnie normalny. „System” mu się rozsypał, wobec tego czas nim wstrząsnąć.

- Panie Ligeza – powiedziałem – pan nie zabił posła Blaua.
- Dlaczego pan mi to zabiera?
- Bo gdyby pan go zabił, znałby pan tego, kto mu przeciął szyję scyzorykiem. A pan go nie znał. Przychodzi panu do głowy, że może to ten topielec. Ale nie zna pan nawet jego imienia.

- Czyli co?
- Czyli to nie pan.
- Szkoda – mruknął. – Szkoda, że to nie ja. Da mi pan pół stowy?
- Dam stowę. Ale mam prośbę.
- Szefie, do usług.

– Jest taki imam, Ibn Jusuf, wygłasza kazania. Ale nie o kazania mi chodzi, może sobie gadać. Niech pan mu się przypatrzy. Kto do niego przychodzi. Z kim się kontaktuje. Niech się pan nie rzuca w oczy.

- Szefie, jestem stary, doświadczony agent.

Niedobrze, pomyślałem, znowu to w nim wzbiera. Prawie żałowałem swojej propozycji.

- Może się pan z tego wycofać – podsunąłem.

– A stówa pozostanie?

– Skoro pan już ją ma...

– Zobaczymy. Zobaczymy – powtórzył. – Bo kroi mi się nowy system. Podzielić liczby na strefy. Ograniczy to kombinacje. Co pan na to? – Chuchnął w banknot. – Stówa się przyda.

A później, kiedyśmy się żegnali:

– Szefie? Dotrzemy do nich? Chwycimy ich?

Powiedziałem szczerze:

– Mam nadzieję. Bardzo mi pan pomógł.

Nazajutrz się przeprowadziłem. W tej samej starej kamienicy znalazłem dwupokojowe mieszkanie na drugim piętrze (chyba wydzielone z dużego przedwojennego apartamentu), umieszczone dostatecznie wysoko, żeby niełatwo było wrzucić przez okno granat i nie tak wysoko, żeby wypadając, ponieść śmierć na miejscu. Młody, sympatyczny chłopak, który był tu dozorcą, a wieczorami uczył się angielskiego, bo zamierzał wyjechać do pracy w Szkocji, pomógł mi przenieść książki. Nie chciał pieniędzy, więc podarowałem mu *Bellowa i Styrona w więzieniu*, z autografem, wiem, że tego nie przeczyta, ale wydawał się bardzo zadowolony.

Układałem książki na półkach – Gogola, Puszkina, Henry’ego Jamesa i trochę pozycji, które można nazwać zawodowymi, Berlina, Ulama i tak dalej – jeszcze się z tym na dobre nie uporałem, kiedy zabrzączała komórka. SMS: „Co u Ciebie? Jaki nastrój?”. I podpis: „Matti”. Ani słowa, że zraniona. Nazwałbym to „otwarciem”. Odpowiadam: „Bardzo mi Ciebie brak, Pani. Może jutro? O zwykłej porze i w zwykłym miejscu? Twój jak zawsze”. Odpowiedź wymowna: „OK. Cieszę się na jutro. Całusy”. Poczulem po tych całusach podniecenie. Przez chwilę miałem ochotę ją o tym powiadomić, ale nie, nie trzeba, nie wszystko musi wiedzieć, i tak za dużo wie.

Czekałem na nią na ulicy, stojąc przed witryną antykwariatu „Logos” i opłacając się drobnymi sumkami zaprzyjaźnionym pijusom. Teraz powinienem napisać o radości (może nawet o Radości), jaką zawsze sprawia mi jej pojawienie się. Mogę być gniewny, rozjątrzony, smutny – bez różnicy – ale kiedy ona się zbliża, tym swoim rozkołysanym po hiszpańsku krokiem, przez chwilę czuję się szczęśliwy. Hell! (klnę wesoło w duchu) – ależ ta dziewczyna wbiła mi się w kości! Czy myślisz, że „Jeff” jest zakochany w „Matyldzie”? – przesłałem jej kiedyś SMS-em pytanie.

Ona: – Kocha jak szalony! – Spytałem: – A co „Matylda” na to? (Nie, nie powiem, co „Matylda” na to. Poczułem się upokorzony).

Cmok w policzek, jakbym był co najmniej choreografem. Ale w jej oczach uśmiech: jesteśmy znowu razem. Zdążyłem powiedzieć: – Dziewczyno, jesteś taka piękna! Czy ktoś ci to już dziś powiedział? – Nikogo dziś nie widziałam. – Kiedy to mówiła, coś znaczącego było w jej spojrzeniu: widzisz, przybiegłam od razu do ciebie. Podoba ci się to? Czarna bluzka w żółte kropki, złota rozetka na dekolcie obsypanym piegami, zerkająca ku mnie obłóć prawej piersi, obcisłe spodnie z białego płótna (bez kwiatów). – Tak, bardzo. Obróciła się: – A spodnie? – Dupa – odpowiedziałem z westchnieniem. Zwycięski uśmiech i „dziękuję”.

Znaleźliśmy się w starej, ciasnej windzie. Moje ręce były nieruchome. Zaraz powie: „Świetnie wyglądasz”. Winda stanęła. Matylda powiedziała: – Świetnie wyglądasz. Miałem na sobie szorstkie džinsy i granatowe polo. Dodała: – Młodzińczo. (Dobrze, zapamiętam to sobie).

Wpuściłem ją do mieszkania. Rozglądała się po nim, chyba niezbyt zachwycona.

– To teraz twoje? Pustawo. Ale rozumiem – masz więcej powietrza. Stół, tapczan, fotel – wyliczała, rozglądając się. – *Słoneczniki* van Gogha. Gospodyni ci to zostawiła? Dwa krzesła. Może i nie potrzeba więcej.

Pokazałem jej grubą amerykańską powieść *The Tracker of Affections* Sydneya Simmonsa.

– „Tropiciel uczuć” – powiedziałem – albo coś w tym rodzaju. Powieść o upartej miłości. Jak w *Szkole uczuć*. Ale nie do niedostępnej czyjejś żony, lecz do kochanki, która odeszła do innego. I mimo to... mimo że zadała mu cios... – Nabrałem tchu. – Może przetłumaczysz?

Wzięła książkę, spojrzała na okładkę, zainteresowało ją zdjęcie autora:

– Wygląda jak trener bokserski. Dziękuję, może się tym zajmę. To twoja narzuta? Strasznie zniszczona... Co ty z nią wyprawiałeś?

– Wrzucono mi bombę do pokoju – powiedziałem to takim tonem, jakby był to psikus bez znaczenia.

– Nie żartuj! Prawdziwą bombę?

– Domowej roboty – ale prawdziwą. Byłem akurat w kuchni. Dym, pył, ogień. Niezłe zamieszanie.

– Zdążyłeś uciec? – Pytając, przyciskała „Tropiciela uczuć” do piersi.

– Gdybym uciekł, wszystko by poszło z dymem. Ściągnąłem z tapczanu narzutę i zdusiłem ogień.

W nagrodę cmok w policzek, zupełnie tak, jakbym rachitycznymi nóżkami emerytowanego choreografa wykonał przy stoliku wdzięczne pas.

– Nie przestraszyłeś się!

– Może i przestraszyłem. Ale mam za sobą Wietnam.

– Chybabym umarła ze strachu.

Miałem dla niej omlet ze szpinakiem i porcję frytek. Stock, za moje ocalenie. Bo mogłem zginąć.

– Płakałabyś?

– Nawet wyobrazić sobie nie możesz. Ryczałabym – i mąż by się tym gorszył. Kilka dni temu była awantura.

– Nie powiesz, że z mojego powodu?

– Z twojego. Ty wciąż o tym Jeffie i Jeffie. Jak jest taki nadzwyczajny, krzyczał, to go sobie adoptuj!

– Niezły pomysł.

– Dwa dni aresztu domowego – opowiadała ze śmiechem.

– Teraz jest spokojnie?

– Tak, złagodniał.

– Może wolisz, żebyśmy się nie spotykali?

– Byłoby smutno. – Chwilę się z tym mocowała. – Było smutno.

– Bo czułaś się zraniona?

– Bo się nie spotykaliśmy.

Teraz ja ją cmoknąłem, i to tak, jakby dokonał tego przelotem jeden z tych panów od stolika. Podniosłem kieliszek.

– Lechaim. (Aluzja wiadomo do jakiego żarcia).

– Lechaim – powtórzyła za mną. – Z utęsknieniem wspominam ten gęsi pipek. A czulent!...

Już po odniesieniu talerzy do kuchni pokazała się na serwetce jakaś zapomniana frytka. Sięgnąłem po nią, po chwili ujawniła się jeszcze jedna, Matylda ją złapała i wrzuciła do ust. – Widzisz, jaka jestem łąsa? (Wypiła dziś chyba trochę więcej niż zwykle). Ale ty też! – triumfowała.

– Ja nie – zaprzeczyłem. – Ja dlatego, żeby był na stole porządek.

Rozmarzyła się.

– Powtórzmy kiedyś ten gęsi pipek?

– Może w Berlinie?

– Nie wiem, czy mam ochotę jechać z tobą do Berlina.

– Ja muszę.

– Dobrze, zastanowię się. Znasz niemiecki?

– Trochę.

– Ja dobrze. A jidysz znasz?

– Nie, niby skąd. Chociaż, wiesz, kiedy przebywałem w Bronksie, nauczyłem się wzdychać po żydowsku.

– Naucz mnie! – wykrzyknęła. – Ja też chcę sobie westchnąć.

– Dla zabawy? Lepiej tego unikać. Żeby tak wzdychać jak oni, trzeba wczuć się w ich los.

Wstała od stołu, zaczęła przechadzać się po pokoju. Stała przed półką z książkami.

– Pamiętasz? – Nie dopowiedziała, o czym mam pamiętać, zdjęła z półki tom Gogola. – *Miortwyje duszi* – przeczytała. – Tak to się wymawia? Pamiętasz – wróciła do tamtego – jak były te uroczystości w Oświęcimiu, zimą? W Auschwitz – poprawiła, żeby nie było nieporozumień. – Pamiętasz? – Wstawiła Gogola na miejsce, odwróciła się do mnie. W twarzy dostrzegłem napięcie – rzadko je u niej widuję, pewnie tak wygląda, kiedy obraża się na męża. Była piękna, mówiąc: – Te dzieci pędzone do gazu – Jeff, strasznie płakałam. Nie mogłam się uspokoić. Czułam się jedną z nich.

Pochyliłem się ku jej dłoniom i całowałem te palce, które tak mnie rozczulały. Szepnąłem:

– I powiedziałaś sobie, że już po tym nic tobą nie wstrząśnie.

– Tak, dokładnie.

– I wkrótce przekonałaś się, że na wydarzenia nie ma wakacji.

Kiedy oderwałem usta od jej palców, uśmiechnęła się, pokazując mi swoje różowe paznokcie:

– Widzisz? Posłuchałam cię.

– Cieszę się. (Cmok).

– Jeff, kiedy masz imieniny?

– Nie mam imienin.

– Zapomniałam. A urodziny?

Podaliśmy jej datę. Spytałem:

– Dlaczego cię to interesuje?

– Bobym ci coś podarowała. Chcesz mieć mój portret? Mateusz mnie maluje.

– Jaki znowu Mateusz?

– Mój przyjaciel. Migot. Przecież ci go pokazywałam.

– Tak, pamiętam, fascynujący mężczyzna.

- Nie kpij. Chcesz mieć ten portret?
- Ale jak on cię maluje? Jedno duże zielone oko, usta z boku, pod podbródkiem wydma obsypana piegami.
- Potrafisz być złośliwy – zachnęła się – nie spodziewałam się tego po tobie. To jest całkiem tradycyjny portret.
- Czy jesteś na nim równie piękna jak teraz, tu, u mnie?
- No widzisz, potrafisz być miły. Aprobuję go.
- Ten Mateusz będzie zły, że oddajesz mi jego dzieło.
- Nie dowie się. – Mrugnęła wesoło okiem. – Dostaniesz na urodziny portret i upragniony pocałunek.
- Wspaniała perspektywa. – Chwyciłem ją za ramiona, jęknęła: boli, ja: przepraszam, rozluźniłem uścisk, powiedziałem to, co chciałem, i to nie od dziś: – Nie chcę takiego pocałunku! Pocałunek powinien być spontaniczny, powinien być potrzebą, pragnieniem, zaplanowanego nie chcę...

Teraz powinna objąć mnie (spontanicznie), zawołać: „Jeff, chcę tego!”, wpić mi się w usta i powinniśmy tak stać długo, złączeni pocałunkiem, do zawrotu głowy. Ale nic się nie stało. Matylda przeszła do fotela i siadając w nim, powiedziała:

- To już jak chcesz...
- Ukląknęłam obok niej.
- Matti, muszę jechać do Berlina.
- Masz sprawę?
- Tak.
- Jaką?
- Kiedyś się dowiesz.
- Coś z wykładami?
- Nic przed tobą nie da się ukryć. Pojedziesz ze mną?
- Bardzo bym chciała.

Dźwignąłem się z kolan i podszedłem do szafy. Wyjąłem z kieszeni marynarki garść banknotów i podałem Matyldzie.

- Matti, pędź do swojego biura podróży i załatw bilety. – Spojrzałem na zegarek. – Zanim zamkną!
- Dlaczego ja?
- Bo jesteś wytrawną globtroterką. I zamów pokoje hotelowe.
- Dlaczego ja? – powtórzyła pytanie.
- Bo lepiej, żeby o mnie nie wiadano.

– Rozumiem. Zadzwoń do swojego hotelu na Prenzlauer Allee. Powinni mnie pamiętać.

Trzymała te banknoty, nie powiem, że niezdecydowanie, nie, to było coś innego, zatrzymanie czasu, stop-klatka w akcji – jakby chciała, żeby dotarło do niej bardziej wyraziście to, co między nami się dzieje.

– Zupełnie jakbyś dawał mi kwiaty – powiedziała wreszcie, starając się przy tym, by nie zabrzmiało to nazbyt patetycznie.

– Wiem, dlaczego się zgadzasz – odezwałem się.

– Dlaczego?

– Bo jesteś przekonana, że możesz liczyć na moje zachowanie.

– Jestem go pewna.

Pomyślałem: będę skrępowany, cholernie skrępowany, bardziej niż w przypadku, gdyby płaciła za siebie. Już wiedziałem, że będzie to trudny pobyt, udreka nieprzespanych nocy – zamarzyłem nagle, żeby się wycofała – żeby powiedziała: Jeff, nie mogę, nie pojedę, nie możesz na mnie liczyć, jedź sam. Ale ona zapytała tylko:

– Jeff, dlaczego to robisz?

Postarałem się o lekki ton. Zacytowałem:

– „Lubow nie kartoszka – nie wybrosisz przez okoszek”. Miłość nie kartofel – za okno nie wyrzucisz.

– Zabawne. „Lubow nie kartoszka...” Zapamiętam.

Po dwóch godzinach otrzymałem od niej triumfalny SMS: MAM BILETY!!! Hotel załatwiony! JEDZIEMY!!! Hurra!!!

My z Matyldą do Berlina – a Herbert George Wells do Piotrogradu. Jest październik 1920 roku, zima za progiem. Autor *Wehikułu czasu* nie chce cofnąć się w neolityczną przeszłość, nie chce też umknąć do przyszłości, jakiej spodziewa się za dwa tysiące lat – chce zbadać teraźniejszość, która wydaje mu się równie egzotyczna, ale i o wiele ciekawsza. Autor *Wyspy doktora Moreau*, gdzie opętany profesor przetwarza zwierzęta na ludzi, chce zobaczyć krainę, w której profesjonalni politycy dokonują eksperymentu: wierzą (albo mówią, że wierzą) w zlikwidowanie z czasem tego, co w człowieku jest z bestii.

Przyjeżdżam – telegrafował Wells do Gorkiego, którego uważał za swojego przyjaciela – i dodał, że jest entuzjastą przemian zachodzących w Rosji; marzy o rozmowie z Leninem. Drogi Wellsie, napisał Gorki, hotele w Piotrogradzie nie działają, będzie pan mieszkał u mnie; zajmie się panem moja sekretarka, urocza hrabina Benckendorf-Zakriewska (Mura, tłumacząc na angielski te komplementy, miała prawo rozjaśnić się z zadowolenia).

Wells przyjechał 17 października, wraz z synem, dwudziestoletnim Gypem, który całkiem nieźle władał rosyjskim. Pomieścili się w mieszkaniu przy Kronwerskim 23, apartament doprawdy był z gumy. Wells ożywiony, ciekawy wszystkiego, błyskotliwy. Gyp od razu zaprzyjaźnił się z młodymi, Maksymowi podarował piżamę, ostatnią londyńską nowość. Przewodniczką i tłumaczką gościa została, tak jak to zapowiedział Gorki, Mura – co więcej, Kreml wyraził na to oficjalną zgodę.

Nazajutrz, 18 października. W Domu Sztuki uroczyste powitanie znakomitego gościa. Rozstawiono stoły, pojawiły się na nich dawno niewidziane frykasy (centralnie zadysponowane). Dopiero przy deserze wstaje Gorki, dzwoni w szklanice – prosimy o ciszę – wygłasza mowę powitalną, Mura tłumaczy. Wells, z angielskim cygarem między palcami i z uśmiechem na ustach (według relacji Jurija Annienkowa) podkreśla w odpowiedzi, jak bardzo chce przyjrzeć się osobiście „temu szczególnemu doświadczeniu historycznemu”.

Podrywa się jeden z pisarzy, Amfiteatrow, i – może to wpływ kolejnych toastów – napada na Wellsa. Jadł pan, powiada, siekane kotlety i ciastka, ale nie domyślił się pan, że te kotlety i te ciastka, przygotowane, by pana uczcić, bardziej nas poruszają niż spotkanie z panem, niż pańskie cygaro! I tak dalej o tym, że wielu wybitnych zaproszonych nie pojawiło się, bo nie mają przyzwoitej marynarki, a gdyby ktoś odważył się rozpiąć kamizelkę, to okazałoby się (według relacji Annienkowa), że „nie ma pod nią nic prócz brudnych łachmanów, które dawniej, jeśli się nie mylę, nazywano bielizną”.

Przez chwilę cisza – i zaraz podrywa się Szkłowski, nie byle jaki znawca literatury angielskiej, i krzyczy o nienawiści – ich, głodnych, zaszczytów zwierząt – niech pan to powie w tej waszej Anglii! – nienawidzimy was za tę waszą nieludzką blokadę, „za mękę, strach i głód, które nas wyniszczają!” I oni to nazywają „szczególnym doświadczeniem historycznym”!...

Wells wysłuchuje tego spokojnie, można rzec – ze zrozumieniem, co jeszcze bardziej rozwściecza Szkłowskiego, inwalidę Armii Czerwonej. „Słuchaj no, ty zimnokrwista, czerwona gębo!” – krzyczy (Mura tego nie tłumaczy, Gyp też woli nie rozumieć). I wygraża Wellsowi, że „zapach naszej krwi przedrze się kiedyś przez waszą blokadę (...) i zburzy wasz niezachwiany spokój!”.

Akurat w tej sprawie, o czym Szkłowski nie mógł wiedzieć, Wells się z nim zgadzał i dał później wyraz obawie, że sklepy na Regent Street mogą kiedyś być tak samo zabite deskami, jak te na Newskim Prospeckie, „a panowie Galsworthy i Bennett (piewcy konserwatywnej Anglii) będą musieli ratować dzieła sztuki z bogatych pałacyków na Mayfair”. O Szkłowskim w swoim sprawozdaniu Wells nie wspomina, wymienia tylko Amfiteatrowa. „Było to nad wyraz przygnębiające przemówienie i – jeśli chodzi o moją osobę – całkowicie zbędne”.

Wells nie tracił czasu. Chce się, oczywiście, spotkać ze światem literackim, uczonymi, artystami, chce się dostać do Lenina, ale przede wszystkim chce poznać życie, ulicę, dzień powszedni. (Tak jak w kilka lat później Egon Erwin Kisch, ale ten to profesjonalista, reporter, komunizujący, owszem, ale komunizmem europejskim, prasko-wiedeńskim; przybył do kraju swoich nadziei, stara się dostrzec błyski przejawów pozytywnych, ale nie ukrywa tego, co go drażni, martwi, a nieraz i śmieszy. Europejczyk, utalentowany, erudyta, zderza się z dwiema niezwykłościami, z którymi musi się zmierzyć: z Rosją –

i z bolszewizmem. Dwie nieznanne rzeczywistości splątane w węzeł, tworząc trzecią, trudno rozpoznawalną. Do przywódców się nie pcha, odwiedza więzienia, sądy, szkoły, łaźnię turecką – w Armenii, odbywa wielodniową podróż pociągiem, obserwując stopniową degradację pasażerów, włóczy się między straganami bazarów, przy czym uderza go, że sprzedaje się... sierpy i młoty – ach, więc to są narzędzia, które do czegoś służą, nie tylko symbole nowej rzeczywistości. Wells nie miał ambicji zawodowego reportera. Ufał wrażeniom i pisarskiej intuicji. Napisze cienką książeczkę *Rosja we mgle*, która wzburzy, nie wiadomo właściwie dlaczego, Lenina i Trockiego. Mieszczkański pisarz – przykleją mu etykietkę, bo mają tu skłonność do przyklejania etykietek. Kisch w 1926 roku wyda tom *O carach, popach, bolszewikach*, w którym jeszcze będzie mowa o Trockim, o jego dziełach zebranych, i nie pojawi się nazwisko Stalina).

Ulica. Sklepy pozabijane deskami, notuje sławny pisarz angielski, farba się odłupała, witryny popękane, na resztkach towaru ślady much. Zdumiewające! – wykrzykuje. – Nic nie można kupić, ale są kwaciarnie. (Więc ktoś hoduje kwiaty...) Za siedem szylingów – cieszy się – kupił duży bukiet chryzantem. Na próżno szuka dla siebie szklanki, udało się wreszcie kupić u jakiegoś spekulanta. (Każdy, kto handluje, określany jest jako „spekulant”). Co można dostać? Herbatę, papierosy i zapałki.

Tramwaje kursują tylko do szóstej wieczór. Obwieszone „gronami”. Ludzie spadają. Dwóch znajomych wyciągnięto spod kół z połamanymi nogami!

Mężczyźni niedogoleni. Jakiś znajomy: dziwi się pan? Już od pół roku gołę się tą samą żyłką.

Horror! Autor przerażającej *Krainy ślepców* jest wstrząśnięty: wybitni uczeni, pisarze bez kołnierzyków! „Szyje mieli okręcone szalikami”.

Szpitala bez lekarstw. Połowa łóżek niezajęta – stwierdza przybysz z Anglii – bo brak lekarzy i pielęgniarek. Nie ma proszków przeciw bólowi głowy ani tabletek na przeziębienie. (Nie przyszło mu na myśl, entuzjaście eksperymentu, przywieźć takie drobiazgi przyjaciołom). Co będzie zimą? – trwoży się, nie bez powodu. Ubiegłoroczna była okropna. „Ziejący zemstą francuscy wierzycciele, tępy angielski dziennikarz – napisze wzburzony – ponoszą znacznie większą odpowiedzialność za te srogie cierpienia niż którykolwiek komunista”.

Trudno, stwierdza ze smutkiem, musi zaakceptować rozstrzeliwanie rabusiów i maruderów. Przelew krwi („poza jakimiś wyjątkami”) jest celowy: „walka z grabieżą i bandytyzmem nie ma nic wspólnego z bezmyślnymi rzeziami, jakich dopuszczał się Denikin”.

Dni spędzał na rozmowach z Gorkim w jego gabinecie, Mura siadała między nimi i tłumaczyła, polubili się oboje z Wellsem, a może i więcej niż polubili, Herbert był na pewno pod jej urokiem, jej imponowała jego inteligencja, dowcip, powściągliwe zachowanie.

Pojawiała się u gospodarza domu elita kulturalna – Zamiatin, Czukowski, wspaniały Szalapin, także profesor Iwan Pawłow, bardzo elokwentny przeciwnik reżymu, ale który, zapewne staraniem Łunaczarskiego, a może i samego Lenina, miał zapewnione środki na badania naukowe, na żywność dla swoich psów, u których śledził odruchy warunkowe. No cóż, mechanizmy odruchów warunkowych warto poznać, mogą się przydać w praktyce propagandowej. „Moi panowie! – wołał na jakiejś konferencji Pawłow (do towarzyszy). – Nauka, moi panowie, ma prawo wypowiadać także to, co sprzeciwia się panującemu ustrojowi państwa!” Pawłowowi wszystko uchodziło na sucho. Jakiś narkom odpowiedział, że nie podejmą przeciwko uczonemu żadnych kroków, „gdyż – jak argumentował – jesteśmy jedynym państwem świata, które ukonstytuowało się w oparciu o teorię naukową”. Na próżno jednak próbowano szukać u Marksa wskazówek na czas obecny – Lenin stwierdzał z goryczą: nie ma takich!

Marksa Wells nie lubił: „Uważałem go zawsze za okropnego nudziarza”. (Zapewne nie wiedział, że w młodości i on, i Engels byli, mimo zacieklej pracy, wcale zabawowymi panami, można by ich nazwać playboyami). Podczas pobytu w Rosji „moja bierna niechęć do Marksa zmieniła się w zdecydowaną wrogość”. Pokpiwa sobie z Marksowej brody. Taka broda „sama nie wyrasta; trzeba ją pielęgnować i patriarchalnie wynosić ponad świat”. Zawsze pożerało go, mówi, „jedno nieprzeparte pragnienie: ogolić Karola Marksa”. Odnosił wrażenie, że Marks („Karolek” – jak mówił o nim lekceważąco nie kto inny, ale sam Gorki!) świadomie stylizował się na „Mojżesza walki klas”.

Przedziwne w Piotrogradzie jest to, że codziennie odbywa się ponad czterdzieści przedstawień. Andriejewa, którą Wells uważa za żonę swojego gospodarza, gra w *Otelli* Desdemonę i podbija widownię, chociaż jest to aktorka nie najmłodsza. Fiodor Szalapin śpiewa w *Cyruliku sewilskim*

Rossiniego, Wellsowie spostrzegają, że członkowie orkiestry poubierani są dziwnie, ale nie dyrygent – nie, ten jest we fraku i z białym krawatem.

Szalapinowie zaprosili Wellsów na rodzinny obiad. Było dwóch prawie dorosłych pasierbów i dwie małe córeczki, mówiące całkiem poprawnie po angielsku. Szalapin odmawia występowania za darmo, żąda za występ równowartości 15 funtów angielskich, a kiedy trudno o żywność, żąda honorarium w mące, jajkach lub w innych produktach. Pani Szalapina pyta, co się obecnie w Londynie nosi, ma żurnal sprzed trzech lat. (Kiedy Kisch, w pięć lat później, jechał wlokącym się przez Rosję pociągiem dalekobieżnym, damy też i jego pytały, co się nosi w Niemczech. Jakiej długości spódnice? „Każda chce dostać żurnal mód... I co się tańczy w Berlinie?” Reporter, na miarę swojej zręczności, demonstruje w korytarzu pociągu jive’a, bluesa i charlestona).

Do Gorkiego zachodzą czasem działacze bolszewicy, on toczy z nimi namiętne spory, pisarz boi się obsesyjnie, że Rosja osunie się (według jego słów) w azjatyckość. Ten lud, zauważa wizjoner racjonalista, całuje ikony, zapala świece. Z kolei niektórzy bolszewicy „gotowi są zabronić chemii w szkołach, jeśli nie będzie to chemia «proletariacka»”. Jeszcze gorzej ze stosunkiem do literatury: uważają, że należy „odrzuć całą dawniejszą literaturę, z wyjątkiem dzieł o tendencjach rewolucyjnych”. Zabroniono nauki języka hebrajskiego, uznając go za reakcyjny. „Większość spośród najwybitniejszych bolszewików, z którymi się zetknąłem – napisze Wells i zabrzmi to jak polemika z tymi, którzy wszystko upraszczają – wcale nie była pochodzenia żydowskiego, przeciwnie (takiej formuły używa pisarz angielski) – byli to Aryjczycy”.

Radio Moskwa gorszy się, że „ruch robotniczy na Zachodzie nie postępuje tak, jak to przewidział Marks”. Jemu, Wellsowi, wciąż zadają pytanie: „Kiedy nastąpi rewolucja socjalna w Anglii?”. Niecierpliwą się – i dziwią, że ciągle się z tym zwleka. Pytanie to słyszy nawet z ust Lenina i Zinowjewa.

Chwali szkolnictwo, oddanie i talent pedagogiczny nauczycieli. W jednej ze szkół nauczyciel zwraca się do uczniów: – Rebiata, a kto jest waszym ulubionym autorem? Chóralna odpowiedź: – Gerbert Dżordż Uells! Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – myśli autor *Wojny światów*. Wpadają z Murą niezapowiedziani do innej szkoły – i wróciła normalność: „Ani jedno dziecko nie słyszało o takim człowieku”, a w bibliotece szkolnej nie było w ogóle jego książek.

Handel pokątny, spostrzega bystro, znajduje się w rękach dzieci, szybciej przystosowują się do nowych czasów, są bezwzględne, nie znają rozterek sumienia. Ich los bardzo obchodzi „byłych ludzi”, tutaj widzą pole do pracy dla siebie, władze (na razie) nie mają nic przeciwko temu i oni, ci „bywsiyje”, zajmują się przytuliskami dla dzieci – uważa Wells – „z czystym sercem”.

W tej chwili, twierdzi pisarz angielski, bolszewicy to jedyna możliwa tutaj władza, trudno wyobrazić sobie inną. Gdyby któremuś z awanturników wojennych udało się „fatalnym zbiegiem okoliczności zagarnąć władzę”, to do rozgardiaszu, pijackich skandali, kradzieży kazonnych pieniędzy, wszelkiego rodzaju nadużyć, „doszłaby jeszcze bezecna samowola rozpustnych utrzymanek”.

Niestety, rządzący „mają do pomocy wyjątkowo nieudolny personel”. Przypatrzył się, zebrał pewne doświadczenia i to wystarcza, by stwierdzić, że „kadry administracyjno-techniczne są teraz bardziej potrzebne od żywności i lekarstw”. Ale nie mówi, zapewne przez delikatność, kto te dawne kadry, całkiem niezłe, przepędził lub zlikwidował.

Zaproszono Wellsów na posiedzenie Piotrogradzkiej Rady Delegatów. Siedzieli w drugim rzędzie za stołem prezydialnym, przed nimi zaś, przy stole, przewodniczący obradom Zinowjew. Tematem były warunki traktatu pokojowego z Polską. Czuło się, że ciężko przeżywają porażkę Czerwonej Armii, są przeciw polskim propozycjom. Ale Zinowjew przekonał zebranych, że jest „konieczność kapitulacji: żądania Polaków są oburzające, ale w obecnej chwili Rosja musi iść na ustępstwa”. Wszystko to z powodu bezbożnictwa! – wybuchnął jakiś starszy delegat. „Rosja ponosi karę za swoje grzechy”. Okażcie skruchę i wróćcie do Boga! Obecni raczej nie podzielali jego poglądów, ale mu nie przerywali. Głosujemy: kto za traktatem pokojowym? Większość.

Głos zabierze nasz znakomity gość z Anglii, Gerbert Dżordż Uells. Herbert przygotował sobie krótkie wystąpienie na piśmie, Mura przełożyła je na rosyjski. Zaczął od tego: „Nie owijając w bawełnę, oświadczyłem im, że nie jestem marksistą i nie jestem komunistą, lecz jestem kolektywistą...”. Powiedział też, co być może doktrynerom się nie podobało, że „narody państw zachodnich (...) są za tym, aby Rosja mogła kroczyć własną drogą, ale aby ich własna ewolucja (nie rewolucja) mogła potoczyć się innymi torami, zgoła odmiennymi od rosyjskich”.

Dyskutowano potem inne zagadnienia i pisarz angielski stwierdził – nie bez pewnej satysfakcji, jak można się domyślać – że „brak organizacji, brak precyzji i aktywności czyni Piotrogrodzką Radę” bardzo niepodobną do parlamentu brytyjskiego, który jest jak staromodny zegar, niezbyt dokładny, ale „mimo wszystko wciąż jeszcze wskazuje, która jest godzina”.

Teraz do Moskwy, na audiencję u Lenina. Ulice zalane październikowym słońcem, życie wydaje mu się tu „łżejsze i ruchliwsze”, handel kwitnie, więcej dorożek, targowiska pootwierane. Ale tramwaje nie przewożą pasażerów, lecz transportują żywność i opał.

Cerkiewne krzyże wciąż jeszcze lśnią. „Tłumy modlących się z tą samą żarliwością co dawniej”. Całowanie ikon. U wejścia tradycyjne mamrotanie żebraków. A naprzeciw kaplicy modne hasło, wyrwane z artykułu Marksa: RELIGIA TO OPIUM DLA LUDU.

Kreml. Był tu w 1914 roku i wtedy dało się go zwiedzać bez przeszkód. Ale teraz (o czym Wells jakby zapomina) jest to siedziba rządu. Formalności trwają długo, Wells się niecierpliwi, być może przychodzi mu na myśl, że warto by teraz było się wcielić w Niewidzialnego.

Wreszcie w gabinecie Lenina, w towarzystwie pana Rotsztejna, amerykańskiego „towarzysza” z ogromnym aparatem fotograficznym. Lenin za biurkiem, w fotelu, „nogi jego zaledwie dotykały podłogi, odwrócił się do mnie (Wells z jego prawej strony), opierając się łokciami o pliki papierów”. Lenin, świadczy pisarz, doskonale wysławia się po angielsku, jednak „Rotsztejn wtrącał swoje spostrzeżenia i uwagi”.

Uprzedzano go, że Lenin ma zwyczaj pouczać rozmówców – nic takiego nie miało miejsca. Mówiono też o jego śmiechu – że czasem bywa cyniczny – nie zaśmiał się ani razu.

Dwa główne tematy rozmowy (według relacji Wellsa). Pisarz: „Jak pan sobie wyobraża Rosję w przyszłości? Jaki rodzaj państwa stara się pan zbudować?”. Lenin: „Dlaczego nie obalacie w Anglii ustroju kapitalistycznego i nie zabieracie się do budowy komunistycznego państwa?”.

To marzyciel – powie o Leninie autor książki *Ludzie jak bogowie*. Trzeźwy Anglosas zderzył się z romantyką idei, którą na domiar jej wyznawca uważał za naukowo uzasadnioną.

Zdaje się, że powrót na Kronwierski, do apartamentów „Doży” (tak, chyba za sprawą rozswawolonego Maksyma, domownicy nazywają teraz Gorkiego), przyjął Wells z ulgą, niby powrót do siebie. Znów udostępniono

mu pokój Mury, która nocowała teraz w pokoju nieobecnej „Molekuły” (Marusi Heinze). Rano Mura zaprowadziła go do pałacu Marmurowego, w którym mieściła się komisja troszcząca się o uczonych (KUBU). Na posiedzeniu Wells usłyszał (co podaję na odpowiedzialność pani Niny), że „rosyjskim uczonym potrzebna jest słonina i mąka, bez których nie przeżyją najbliższej zimy”. Dowiedział się, że o naftę trzeba będzie się starać u samego Zinowjewa, i nie mógł zrozumieć, dlaczego profesorowie uniwersytetu, pod groźbą utraty kartek żywnościowych, muszą brać udział w odśnieżaniu ulic. Nikt mu nie powiedział, że co gorętsi rewolucjoniści głosili hasło: „Dołoj gramotnych!”, czyli „Precz z piśmiennymi!”.

Trzeba się pakować, czas wracać do domu. Jest pożegnalna kolacja, Nina (biografka Mury) wylicza, co udało się na nią zgromadzić: wino, pięć puszek sardynek, trzy duże słoiki faszerowanej papryki, jakiś znakomity ser, wspólnym wysiłkiem kobiety sporządziły sałatkę ziemniaczaną. Nastrój, opowiada Nina, był wesoły, przyjazny („jedzenie, od jakiego zdążyli już odwyknąć”). Rozeszli się do swoich pokojów po pierwszej, Mura zadowolona, bo Wells obiecał wstąpić do Rewala, zobaczyć się z jej dziećmi, które tam się znajdowały pod opieką Missi. Kiedy po godzinie snu nagle się obudziła, zobaczyła wpatrującego się w nią Wellsa – był w piżamie. Co nastąpiło potem, dokładnie nie wiadomo, podobno nie przepędziła go (mówi plotka) – podobno wyciągnęła do niego ramiona. Gorki nigdy o to nie pytał. Zażyłość Mury z Wellsem była w późniejszych latach oczywista – i całkiem możliwe, że zbliżyła ich ostatnia noc spędzona przez pisarza w apartamencie przy Prospekcie Kronwerskim, nr 23.

Północ. Jestem w hotelu, na Prenzlauer Allee. Pokój dla niepalących. Plastikowy komfort, wygody, że wyc się chce. Wolałbym jakiś prymitywny szałas i posłanie z liści, na które rzuciłbym się wyczerpany drogą i zapadł w sen bez snów. Ona o kilka pokoi dalej – śpi. Najprawdopodobniej. W przeddzień, wieczorem w Warszawie, brała udział w jakiejś hucznej imprezie towarzyskiej, byli tam wszyscy długonodzy podrywacze od stolika, fascynujący mężczyźni, utalentowani, z powodzeniem zawodowym, nie to co ja, piła za dużo wina, w głowie jej się kręci – wciąż ktoś przynosił wino, brałam kieliszek i szłam dalej – ale był ktoś, z kim się całowałaś – tak, to znaczy nie, to był jego wieczór, tylko muśnięcie. On też tam był, nie mogę przestać myśleć, ten jej nieznany ON, wymknęli się i po tym wyczerpująca noc, to nie wino, to rozkosze ją wyczerpały. „Zazdrośnik jesteś” – zrobiła mi kiedyś wyrzut. Nie zazdrośnik, tylko zazdrosny – to zasadnicza różnica. Ona teraz mocno śpi w pokoju obok. O ten sen jestem zazdrosny.

Jesteśmy razem w Berlinie. Udaję, że się cieszę. Nie cieszę się. Chyba jej teraz nie kocham. Jestem zawiedziony – nie tym, że nie ma zbliżenia, nie mogło być – bo to by znaczyło coś za coś, nie, nie domagałem się – zawiedziony brakiem temperatury. A zanosilo się na taką radość! Spoglądaliśmy na siebie, czekając na wywołanie do samolotu, oczy nam się śmiały i nie mogliśmy się przestać zdumiewać – dziewczyno, lecimy razem! Coś nadzwyczajnego! Ona: – Niesamowite! A potem w samolocie: malutki, ciasny, tylko trzy miejsca w rzędzie. Ona przy oknie, ja obok – zapiąć pasy – samolot odrywa się od ziemi, wznosi – Matylda szepcze: Uwielbiam latać. Stewardesa serwuje whisky, ona z wodą, ja z lodem. – Matti, naprawdę lecimy razem? Ona, raz jeszcze: – Niesamowite, prawda?

Wyciąga notesik (który ja jej podarowałem).

– Załóżmy – proponuje – taki dwuosobowy notes berliński. Ty i ja. – Podaje mi notes. – Najpierw ty. – Piszę:

„JEFF. Wznosimy się. Ona obok, powieki opuszczone, chyba śpi. Wszystko, co o tym powiem, zabrzmi banalnie. Powinienem czuć się szczęśliwy. Czy jestem? Chyba nie mam odwagi o tym myśleć. Musi mi wystarczyć właśnie to: ona jest obok. Przyjąć to za wyróżnienie”. Chwilę się zastanawiałem, czy słusznie użyłem tego słowa. Tak, wyróżnienie. Ciesz się, jeśli potrafisz.

Świadomość, że za chwilę ona to przeczyta, nie ułatwia. Ale starczyło mi odwagi, żeby wyrazić swój niedosyt. Po co to zaaranżowałeś? Z miłości, oczywiście. Żeby wszystko – prawie wszystko – przeżywać wspólnie. Żeby odczuć promieniujące z niej ciepło. Obawiam się, że tego właśnie się nie doczekam.

Kończę swoją notatkę, która jest przecież także dla niej: „Otworzyła oczy. Zamyślona. O czym myśli? O kim? Nie spytam. Jej świat, jej prawdziwy świat (odważam się pisać!) – to ten, do którego nie należę. Jest w nim margines dla mnie. Czy to mi wystarczy?”.

Ciekawe, czy zechce się nad tym zastanowić. Podaję jej notesik i wieczne pióro: – Teraz ty.

Nie będzie w jej zapisie odpowiedzi na moje rozterki. Ale za to ile poetyczności – gdzie mnie się z nią równać?

„MATYLDA.

Lecimy! Unosimy się w przestworzach, uwielbiam ten stan. W samolocie już nic nie zależy od nas, jesteśmy w brzuchu MATKI, WIELKIEJ RYBY, maleńcy, bezbronni, spokojni.

Wszystko może się zdarzyć, wspaniale, błogo (?!), strasznie...

Ciesz mnie ta podróż z Tobą. Czuję wielki szacunek dla Ciebie”.

Ta jej notatka – to unik. Ale w tym uniku przekazała prawdę: nie ma uczucia, myśli o mnie „z szacunkiem”. Do diabła z szacunkiem! Już to przerabiałem. Chcę tęsknoty twoich ust i rąk.

Kiedy wychodziliśmy z lotniska, zbliżyła się do nas młoda, krótko ostrzyżona, ciemna blondynka w szarym kostiumie, z białym, wyłożonym kołnierzykiem bluzki, owal twarzy delikatny, na kształtnym nosie wąskie, modne okulary, a spoza nich uważne spojrzenie niebieskich oczu. Przez ramię miała przewieszoną torbę, którą nosiła, jakby to była wojskowa połówka.

– Profesor Thompson? – spytała.

Matyllda jakby dla niej nie istniała. Potwierdziłem i przedstawivszy Matyldę, dodałem:

– Moja asystentka.

Kobieta bez żenady zmierzyła Matyldę wzrokiem. Spytała, całkiem bez uśmiechu:

– Nie ma w Polsce asystentek mniej urodziwych? – Podała Matyldzie (która zdążyła wybąkać „thank you, madame”) dłoń i przedstawiła się:

– Jestem miss Annie MacLaren, mam zawieźć pana profesora do hotelu – macie państwo zamówiony apartament? – rzuciła pytanie i zrozumiała, że tak, zamówiony, nie zwracając uwagi na odpowiedź Matyldy („dwa pokoje, proszę pani”) – well, zawiozę państwa i umówimy się z panem profesorem na jutro.

Siedząc za kierownicą, powiedziała:

– Mam dla ciebie diety za trzy dni, profesorze. – Wyjęła z torebki plik banknotów euro. – Może pan się poczuć swobodny. Rachunków pan nie przedstawia. Jutro mi pan podpisze. – Zwróciła się do siedzącej z tyłu Matyldy: – Dla pani nie mam nic.

– Dam sobie radę – zapewniła ją Matylda.

– Wierzę. Piękne kobiety zawsze sobie jakoś dadzą radę.

Ostro. Ale czy całkiem nieprzychylnie? Nie mam pewności.

– Nie była zbyt miła – stwierdziła Matylda podczas kolacji w hotelowym barze.

– Nie spodziewała się asystentki – tłumaczyłem.

– Liczyła na czułe sam na sam. Zawiodłeś ją. – Zauważyłem, że mówienie złośliwości sprawia Matyldzie przyjemność. Zjadliwy uśmiech. Nie znałem go przedtem.

– Moim zdaniem była okej – powiedziałem. – Spodobałaś jej się.

– Lesba – odmachnęła się Matylda. (Nie bardzo to się zgadzało z tym, co mówiła przedtem). Ma takie kanciaste ruchy.

– No i co z tego? – Wiedziałem swoje, ale nie o wszystkim muszę mówić, nawet jej. – Pewnie była harcerką. A może wspinała się w Himalajach.

– Skąd wiedziała, jak wyglądasz?

– W książce jest zdjęcie. – Kiedy trzeba, znajduję szybką odpowiedź. – Ty też wiedziałaś.

Wychodziliśmy z baru późnym wieczorem. Na plecach wyczuwałem wzrok dryblasów sączących przy stolikach piwo.

– Wiesz, co oni sobie o nas myślą? – zwróciłem się do Matyldy.

– Że idziemy do łóżka – odpowiedziała bez wahania.

– A ty co myślisz? – spytałem.

– Że zaraz padnę kamiennym snem.

Jutro będę powściągliwy jak angielski lord, powiedziałem sobie. Także z komplementami.

Nie mogę spać. Gonitwa myśli. Od razu prostuję: nie gonitwa – pełzanie. Podkradają się i obejmują mackami mózg. Mam ze sobą *Życie Klima Samgina* Gorkiego, po rosyjsku. Wydanie sprzed pół wieku, papier poszarzał, druk wyblakł, czytanie sprawia trudność – może zasnę. Otwieram książkę, odczytuję pierwsze zdanie i myślę z zazdrością: nie zaczął od elegii, nie poskarżył się: „nigdy jej nie objąłem, nie znam smaku jej ust” (żeby potem tę skargę skreślić), ukochana kobieta była przy nim, była jego sekretarką, naprawdę nią była, a nie wymyśloną dla miss MacLaren asystentką, i to jej, Murze, Marii Ignatiewnie, ta książka jest poświęcona, on siedzi nad kartką liniowanego papieru, w kłębach dymu, bo pali papierosa za papierosem, kaszle, ale nic sobie z tego nie robi, kaszle czasem i z krwią, to zwykła rzecz, pisze piórem zamaczanym w kałamarzu, z fotografii na biurku uśmiecha się do niego Mura, a prawdziwa Mura, też miło uśmiechnięta, wnosi bezszelestnie herbatę, dolewa atrament do kałamarza, znika bez słowa, tsss, palec na ustach i prosi spojrzeniem domowników: nie przeszkadzać, „Doża” pracuje. Zaczął: „Iwan Akimowicz Samgin uwielbiał to, co oryginalne, i dlatego, kiedy żona urodziła drugiego syna, Samgin, siedząc przy łóżku położnicy, zaczął ją przekonywać: – Wiesz co, Wiera, dajmy mu jakieś rzadkie imię. Dość już mam tych niezliczonych Iwanów, Wasylów... Hę? Umęczona męką rodzenia, Wiera Pietrowna nie odpowiedziała”. Tak to się zaczyna. Książka o ludziach, pięćset postaci, niesłychane! Ludzie, których znał czy tylko ich sobie wyobraził, stworzył – nieważne, wszyscy plastyczni, do zobaczenia i usłyszenia – mistrz, myślę z podziwem, to nie to, co ja, który muszę iść wiernie za Matyldą, za jej zachowaniem i powiedzonkami, za swoją odrzuconą miłością, nie potrafię sobie innej wyobrazić, nie ośmielam się innej sobie wyobrazić – pedantyczny politolog literaturoznawca z Indianapolis.

Notuję: Twarz Klima, „raczej nieprzyjemna”, czytam – dlaczego nieprzyjemna? – bo tak się zachciało autorowi? Autor, niby Stworzyciel, mógł mu dać przyjemniejsze rysy – wymowa od tego by się nie zmieniła, nabrałaby nawet wielowymiarowości. Dlaczego tak zrobił? Chciał go

dobić? (Nie przewidział – taki jest los autora – że w końcu się do niego przywiąże). Miał na myśli kogoś konkretnego?

Ciężka książka wypada mi z rąk. Nie walczę z tym. Zapadam w sen.

Nazajutrz.

Budzę się o ósmej, pod powiekami piasek – gdzie jestem? – rozglądam się po nieznanym mi pokoju – łazienka na lewo od tapczanu czy na prawo, jak w Konstancinie? – gdzie u diabła jestem? Aha, hotel, Berlin, przyleciałem wczoraj – Matylda – Boże mój, Matylda, ona tu jest, obok, niezwykle – ale dlaczego nie ma radości? Dzwoni telefon – ona. Tak, wyspana, choć w głosie wciąż jakby senność. Czy wiesz, jak się uruchamia wodę w wannie? Po godzinie pukanie. Witamy się: ona całuje mnie w policzek, czas na śniadanie. – Jak spałeś? – Jakoś. – Ja jak zabita. – Podczas śniadania jest bardzo aktywna, zna ten hotel, smaży sobie naleśniki, dla mnie po kobiecemu troskliwa, to ona przynosi mi herbatę, odnosi talerzyki.

Kiedy wracamy do pokoi, sami w windzie, nie próbuję się do niej zbliżyć, jej spojrzenie jest wyczekujące, z uśmiechem jak prowokacja: Tylko spróbuj – odepchnę. A tu nic – angielski lord. Dotknąć, otrzeć się – jakie to żalosne pragnienie... Jakbym był sztubakiem, który nie miał jeszcze kobiety. Który odkrywa dopiero dotyk. Dobrze, że przynajmniej wiem, jaki jestem śmieszny.

Lunch z miss Annie. Matti teraz sama. Łazi po mieście, zalicza raz jeszcze Reichstag, hotel Adlon, w którym podczas wojny mieścił się sztab partii hitlerowskiej, a teraz w hallu wokół dużego okrągłego stołu hałasują rozbawieni młodzi milionerzy, nowi Rusczy, grają w numery banknotów, ona wycofuje się na Unter den Linden, uniwersytet Humboldtów, Deutsches Museum – strasznie się do tego paliła, Pergamon Museum ze starożytnościami, bliska depresji, ratuje Galeria Narodowa – Dürer, Rafael, Lenbach i – co za atrakcja! – wypożyczony z Monachium Botticelli, przy stoliku ktoś mi wmawiał, że uciekłam z jego obrazu. Obiad w wietnamskiej restauracyjce. Zakupy.

Kupiła sobie dwie kolorowe bluzki, coś latynoskiego, muszę to obejrzeć i pochwalić, mam z tym kłopot. Ona zawiedziona.

– Nie w moim stylu? – dopytuje się niespokojnie.

– Ty sama decydujesz o swoim stylu.

Kilka par majteczek. Do czego to służy? Jakiś paseczek na gumce, pośladki nieosłonięte.

- Wyglądają, jakby wcale ich nie było.
- Ale ja takie lubię.
- No tak, oczywiście: jak nie ma szparki, to nie potrzeba i majteczek.

Wybuchnęła śmiechem:

- Żebyś wiedział!

Wychodzimy na miasto między rozedrgany śmiechem kolorowy tłum przy Zoo, kupujemy kolorowe lody, siadamy na brzeżku fontanny, z której tryskają kolorowe strumienie. I wtedy ja:

– Jaki inny Berlin! Trzydzieści lat temu, kiedy stacjonowałem tu jako młody żołnierz, każdemu starszemu panu, choćby był najbardziej dystyngowany, przyglądałem się pilnie i obsesyjnie: ktoś ty taki? A teraz w ogóle mi to nie przychodzi do głowy. Czuję się wolny! I mam wrażenie, że i oni wreszcie czują się wolni. Hitler przewraca się w grobie. Wymieszanie ras! Dobrobyt bez Lebensraumu. Bezpieczeństwo dzięki obcym wojskom. I to, że ty tu jesteś ze mną – pośpieszyłem dodać.

Znowu bezsenna noc. Notuję, notuję. Sięgam po *Samgina*, ale nie zasypiam, książka nie wypada mi z rąk. Słyszę pukanie, nieśmiałe, leciutkie – zrywam się z łóżka – otwieram drzwi: korytarz pusty. No, naturalnie, omamy, zwykła rzecz w takiej sytuacji, przerabiałem to piętnaście z górą lat temu – z Luizą, w Krakowie – tylko że ja jej tego pobytu nie fundowałem – oboje byliśmy mniej skrupowani – niczego się nie domagałem – zostaliśmy kochankami, bo oboje tego chcieliśmy.

Przerzucam kartki, znam tę powieść dobrze, szukam opisu inicjacji Klima, ma szesnaście lat, przygarbiona go do siebie szwaczka Rita, ona go wtajemnicza, obdarza kobiecym ciałem. Klim wraca do siebie i zdumiewa się: jakie to wszystko proste. „Leżał na pościeli i kołysało nim: wydawało mu się, że jego ciało jest teraz lżejsze i silniejsze, chociaż było przeniknięte przyjemnym znużeniem”. Samego opisu stosunku nie ma, jest tylko to, co go poprzedza, kiedy dziewczyna, niby opierając się, mówi: „No co też pan? Czy tak wolno?”. „Potem, zeskoczywszy z łóżka, nachyliła się nad nim (...), trzy razy go pocałowała, ciężko oddychając i szepcząc: Ach, paniczu, paniczu...” Pisarz daje sygnał, że ona to też przeżyła. A wszystko rozegrało się w pisarskiej wyobraźni: Alosza Pieszkow nigdy nie był „paniczem”, nikt dla niego nie najmował pociągającej szwaczki (jak matka dla Klima), jego inicjacja na pewno wyglądała inaczej.

Szwaczka lubi sobie pogadać, pomonologować, panicz wykształcony, dużo czyta, wysłucha, zrozumie, dobry chłopak, warto go pouczyć,

przestrzec – przed babami, jakie złe, podstępne, brr! „Dobrze ci, chłopaku, że nie jesteś nadto gorący. Nasza siostra takich gorących lubi rozżarzyć, a potem spalić na popiół”. „Ty w miłość babską nie wierz” – dużo na ten temat. „Pamiętaj, że baba nie duszą kocha, ale ciałem. Podstępne są babska, och, i jeszcze jak... Jedna drugiej nie lubi, przypatrz się na ulicy, z jaką złością i zazdrością na siebie spoglądają, przez chciwość to, chłopcze, każda się złości, że prócz niej jeszcze inna po ziemi chodzi”. Nie są to, myślę, monologi skonstruowane, ta gadanina Rity jest autentyczna, Alosza takie dziewczyny znał, słyszał i pewnie obcował z nimi, tyle że dużo później, kiedy bosymi stopami przemierzał Ruś. „Rozżarzyć i spalić na popiół” – czy to nie aby mój przypadek?

Już po trzeciej, a ja wciąż nie mogę zasnąć. Nikt do mnie nie zapuka. Ty w miłość bab nie wierz. Notes, w który wpisuję nałogowo poczucie porażki – i niepotrzebność tej wspólnej wyprawy (z czym nie wolno mi się zdradzić). Przebrnąć przez tę noc, przez jutrzejszy dzień, znowu noc – i powrót, odzyskanie wolności. A może takie są koszty dobijania do brzegu zubożenia? – notuję. Muszę przez to przejść, żeby otrzeźwieć (nie wiem, czy to właściwe słowo). W trakcie kolacji spytała: „Czy będzie ci lepiej bez kochania?”. „Trzeba spróbować” – ja na to lekko. Potem: „Czy mógłbyś pokochać inną?”. „Trzeba spróbować”. Potem, już zupełnie serio: „Pokochać to nie, ale może być związek ciepły, czuły, wzajemna wymiana usług i trochę szacunku”. Bez spalania się na popiół (to w myśli). „Nie – mówi ona – nie możesz przestać mnie kochać”. „Skąd wiesz?” „Wiem”. Śmieje się, ale myśli tak naprawdę. Nie do końca to było żartobliwe. Spróbuję się położyć (już świta). Przedtem udało mi się zapisać: „Nie mogę spać, bo nie mogę się przytulić do żadnej myśli”. Coś w tym jest. Jeff, budzi się w tobie instynkt pisarski. (Niedobrze, on mnie unieszczęśliwi). Kładę się wreszcie do łóżka, zamykam oczy.

Trzy kwadransy niebytu. Budzę się, znowu piasek pod powiekami. Trzeba się doprowadzić do porządku, żeby jakoś wyglądać, chociaż psu na budę się to zda. Podczas śniadania Matylda jest jeszcze bardziej aktywna i czuła niż wczoraj. Może zjesz parówki? Trochę jajeczniczy? Ach, te bułeczki!... Herbaty? Jakiej chcesz? Wszystko ona przynosi. Zerka na komórkę (nie używa zegarka – po co? Zegarek jest tylko dla złodziei – w komórce mam wszystko) i mówi:

– Jeff, nie masz za wiele czasu. Harcerka czeka. Szkoda. Dobrze by było porozmawiać.

– Porozmawiamy w samolocie.

– Nie, w samolocie mnie nie będzie. Lecisz sam.

Nie ukrywałem zdziwienia.

– Sam? A ty? Piechotą?

– W trzy dni później. Dostałam SMS z Lipska, od Reclam Verlag, od Frau Heinker, poznałam ją w Warszawie, organizują takie sympozjum, wydawcy i tłumacze – zostałam zaproszona, bardzo jej na mnie zależy – to wyróżnienie, nie uważasz? – możesz mi pogratulować.

– Gratuluję.

– Mówisz to bez entuzjazmu.

– Bez entuzjazmu – potwierdziłem.

– Musimy dokądś jeszcze razem pojechać.

– Proponuję Pragę – powiedziałem.

– Dobrze, Praga. A potem Paryż. – Westchnęła. – Świetnie by z tobą było w Paryżu. Znasz?

– Mogę ci służyć za przewodnika.

Czy mielibyśmy tam być na tej samej zasadzie? I słyszę:

– Przeżyłam kiedyś coś w Paryżu... – Urwała.

– Co przeżyłaś?

– To stara historia.

„To stara historia” – formuła, która się powtórzyła. Matylda, nieoczekiwanie:

– Przepraszam.

Widzę, że jest zaczerwieniona. Mówię wesoło:

– Aha, umiesz przeproszać, to wspaniale. Większość kobiet nie zna tego słowa. Większość, tak sobie powiedziałem, ale miałem na myśli moją Mirchon, nie umie przeproszać.

– Może przeprosza po uzbecku i ty nie rozumiesz?

– Chybabym zrozumiał. Matti...

– Co?

– Uchlajmyz blan.

– Wiem, co to znaczy. Czy mam rozumieć, że jeszcze mnie chcesz? A może ci przeszło?

– Matti, co za różnica? Czy powiem „chcę”, czy „nie chcę” – rezultat będzie ten sam. To najlepiej nie powiedzieć nic.

– Idę po kawę.

Przyniosła dwie czarne kawy. Słodząc je, także dla mnie, mówiła:

– Ale jakże ja ci się mogę oddać? Jesteś moim mistrzem, autorytetem...

– Właśnie dlatego. Wyciągnij ramiona i powiedz: mistrzu, weź mnie, chcę tego.

– Zabawny jesteś – powiedziała. To była pierwsza reakcja. Po chwili nastąpiła druga, całkiem poważna: – Ale ja nie chcę, żebyś przestał być autorytetem.

– Czy to mi grozi?

– Naturalnie. Każdemu mężczyźnie w pościeli to grozi. Chłop w pościeli to tylko chłop w pościeli. Nie może być taki jak przedtem. W łóżku nie ma mędrca. Coś się zmienia.

– Co?

– Funkcja.

– Masz takie doświadczenia?

Odpaliła:

– Nie muszę ci się zwierzać.

Aha. Na to ja:

– Dziewczyno, nie chcę być dla ciebie autorytetem. I w ogóle, wolałbym, żebyś nie wspominała o szacunku. Nie chcę go.

– To ci się nie uda. (Oboje jeszcze nie wiedzieliśmy, że to właśnie się uda, i to bardzo). – Z westchnieniem: – Czasami chciałabym być wolna. Życie bez nadzoru i uwag. – Zamyśliła się. – Ale byłabym samotna.

Ja, całkiem szczerze:

– Ty?! Akurat!... Już widzę, jak sznur panów ustawia się w kolejce do twojej ręki.

Zamilkła.

– Dlaczego przycichłaś? – spytałem.

– Właśnie myślałam, czy ty byś się też ustawił.

– Na pewno. Jeśli ci się to nie znudziło, to przypomnę ci, że cię kocham.

– Ale masz żonę.

– Mirchon jest muzulmanką.

– Ale ja nie jestem.

– Jesteś, jesteś – powiedziałem prawie ze złością. – Tylko o tym nie wiesz.

– Wcale nie podoba mi się to, co mówisz.

– Prawda rzadko się podoba – powiedziałem.

Wstaliśmy chmurni od stołu. Odprowadziła mnie jednak do pokoju i pomogła wybrać krawat, w którym mógłbym się pokazać pannie

MacLaren. Dostałem cmoknięcie.

– Lubię cię w krawacie, Jeff. (Była to dla mnie spora niespodzianka). Nie bądź z nią za długo, bo będę zazdrosna. Całe szczęście, że to lesba.

– Powinniśmy pójść wieczorem do dobrej restauracji, zrobić sobie pożegnalny wieczór.

– Znam coś fajnego na Unter den Linden. – Wyjęła z torebki notesik. – Coś z tradycją hipisowską. Przystoi tam jeść dania rybne. Co ty na to?

– Wytrzymam.

– Tam musi się zamówić miejsce.

Zadzwoiła przy mnie i chyba po to, żebym usłyszał tę rozmowę.

– „Fischergalerie?” – Przedstawiła się: – Jestem pani Thompson. Chciałam zamówić na dziś wieczór stolik na dwie osoby, dla mnie i dla męża. Profesor Jefferson Thompson. Thank you, madame. Będziemy dokładnie o ósmej. Nie szkodzi, będzie nam bardzo miło. Thank you very much.

– Na co powiedziałaś „nie szkodzi”? – zapytałem.

– Mówiła, że dookoła będą stoliki z głośno zachowującą się młodzieżą.

Rozstaliśmy się (cmok): ona na miasto, załatwić zmianę daty odlotu, ja na spotkanie z Annie (mówiliśmy już sobie, rzecz prosta, po imieniu). Uzgodniliśmy parę spraw. Mniejsza. Przejdę do czegoś innego. Do czegoś, co wspominam z sentymentem. Więc tak: lunch w barku hotelowym, potem u mnie w pokoju herbata i po kieliszku stocka. Miło nam się gawędzi (przepraszam za tę staroświeckość, to tylko wstęp, zanim przystąpię do opowieści). Ona w pewnym momencie mówi (to już należy do opowieści):

– Dobrze nam tu ze sobą, prawda, Jeff?

– Powiedzmy.

– Nie jest ci dobrze?

– Jest różnie. Czasem czuję się wręcz nieszczęśliwy. W nocy. Noc to udręka.

Zieleń pełna zdziwienia.

– Dlaczego?

– Matti, nie udawaj.

– Wiesz już o mnie tyle.

– Co wiem?

Roześmiała się.

– Jakie majteczki noszę.

– Wiem, że nie masz szparki.

– No właśnie. Rozchmurz się!

– Matti, ja naprawdę niewiele o tobie wiem. Tyle, co z ulotnych spotkań. Nie wiem, jaka jesteś sama ze sobą. Tajemnica. Zagadka. (– I niech tak zostanie!) Nie znam twojej fizjologii. (– I nie potrzeba – wtrąciła). Jak przechodzisz okres. (– Upadek nastroju). Zdaje się, że teraz jesteś w całkiem niezłym. (– Wyśmienitym!) Nie wiem, z kim się spotykasz. (Uśmiezek w kąciku ust). Z iloma się spotykasz (uśmiezek głębszy, swawolny blask w oczach). (Nina: – Jak pan śmie? Proszę się do mnie w ten sposób nie odzywać!) Nie wiem, czego wymagasz od mężczyzny, jak przeżywasz rozkosz, jak dochodzisz do orgazmu – i ile razy. (Nina: – Proszę przestać! Żegnam pana!) Nic o tobie nie wiem.

– No i bardzo dobrze – Matylda na to, raczej rozweselona. – Aha, jeszcze czegoś nie wiesz.

– Czego?

– Że lubię tańczyć. A ty?

– W Moskwie, przy Mirchon, tańczyłem kozaka. Po pijanemu oczywiście.

– Tak myślałam.

– A jednak – powiedziałem – moglibyśmy ze sobą być. Myślę, że byłaby z nas szczęśliwa para.

– Nie, Jeff, chyba nie.

– Poważnie?

– Chyba nie nadajemy się do siebie. Nie chodzi o różnicę wieku. Chodzi o to, że ja jestem zupełnie inna.

Nosi pod powiekami inne obrazy. Inne kolory. Nie zna smaku ostatnich kropel wody. I tak każdy z nas. Nikt do nikogo się nie nadaje. Powiedziałem jednak, z pełnym przekonaniem:

– No i chwała Bogu.

– Ja czego innego chcę od życia.

– Czego chcesz?

– Wszystkiego. – Po takim powiedzeniu można tylko czekać. – W tobie jest za dużo rezygnacji. Mam czasem wrażenie, że gardzisz tym, co dla mnie się liczy.

– Chyba niezupełnie tak jest. Umiem przeżywać radość. Ja też robię to, co mi daje satysfakcję.

– Zależy, co komu daje satysfakcję.

– No to spróbujmy. – Znowu nadałem swoim słowom ton żartobliwy.

– Twoje teoretyczne rozważania w praktyce mogą się nie sprawdzić. Może nam być ze sobą cudownie.

– Nierealne.

Wypiła stock do dna i zerwała się z miejsca.

– Jeff! Chodźmy pogapić się na sklepy.

– Upatrzyłaś sobie coś? – domyśliłem się.

– Tak, oczywiście. – Roześmiała się. – Na Kurfürstendamm. Czego masz taką minę? Zapłacę z karty, nie bój się.

Szliśmy, trzymając się pod rękę. Ona wiedziała, że rozkoszuję się ciepłem jej ramienia. Wie, co to dotyk, pulsowanie krwi, zmysły. Wprowadziła mnie do wąziutkiej uliczki przecinającej Kurfürstendamm, sklepów tu było niewiele, ale na pewno drogie.

– Popatrz! Popatrz na to! – W jej głosie były podziw i emocja. Staliśmy przed sklepem z obuwiem. – Popatrz na te pantofle. Jaka linia, jaka wytworność. Francuskie. (Aha, oglądała je już dzisiaj). Coś cudnego.

Nie bardzo wiedziałem, czym się różnią te czarne wieczorowe pantofle od innych czarnych wieczorowych pantofli, ale ona wiedziała, musiałem jej wierzyć. Ciężko westchnęła:

– Muszą być piekielnie drogie.

– Wejdźmy tam, przekonamy się. Zawsze masz prawo przymierzyć.

Weszliśmy. Trzy ekspedientki z miejsca się nami zajęły. Matylda wskazała na pantofel z witryny.

– Mamy tylko jedną parę – zastrzegła się sprzedawczyni, najwyższa z tej trójki. Spojrzała na stopę Matyldy. – Zdaje się, że to pani numer.

Trochę ze sobą porozmawiały na boku i Matylda ujęła mnie mocno pod ramię.

– Chodźmy. – Szepnęła. – Drogie, że... Szkoda gadać.

Wyszliśmy na ulicę. Matylda mówiła, jakby śpiewając:

– Co za pantofle... W całym Berlinie nie znajdziesz drugich takich.

Poemat.

Przystanąłem.

– Co się stało? – zaniepokoiła się.

– Wracamy do sklepu!

– Zwariowałaś.

– Matti, chcę ci kupić te pantofle. Chcę, żebyś je miała ode mnie!

– Ależ dlaczego? (W domyśle: przecież nie jestem twoją kochanką).

– Dlatego, że jesteś, jaka jesteś, chère madame. Chodźmy!

Wróciliśmy do sklepu. Najwyższa z tych ekspedientek zrozumiała, co się święci. Zaczął się rytuał przymierzania. Matylda dostała jedwabne skarpetki, na które łatwiej było wciągnąć pantofle. Wstała z zydelka wyższa teraz o kilka centymetrów. Ekspedientka spoglądała na klientkę z zachwytem.

– Jak się pani w nich czuje? – spytała.

– Idealnie.

– Bierzemy! – zdecydowałem.

– Jeff – powiedziała cicho – zastanów się.

– Proszę pakować – zadysponowałem.

– Wiesz, że będę miała najpiękniejsze pantofle w Berlinie?

Wyjąłem z kieszeni czterysta euro.

– Gotówką?

– Tak najprzyjemniej – powiedziałem.

– Ja też tak myślę – zgodziła się ekspedientka. Do Matyldy: – Zazdrozczę pani.

Podawała nam dwie plastikowe (niestety) szklaneczki z szampanem.

– Proszę wypić, żeby się dobrze nosiły.

Stuknęliśmy się bezdźwięcznie.

– Jeff, dziękuję. – Objęła mnie i pocałowała mocno w policzek, co usługująca jej pani przyjęła z aprobatą. Matylda przypomniała sobie:

– Lechaim.

Ta pani wtrąciła:

– O tak, to jest bardzo dobre zaklęcie. Na zdrowie!

Piliśmy szampana, oboje czegoś poruszeni, kiedy ja zdobyłem się na żart po angielsku:

– Słyszałaś? Pani ci zazdrości twojego mężczyzny.

Matti parsknęła szampanem, trysnęło na mnie, wszyscy troje się śmieliśmy. Ekspedientka mówiła:

– To na szczęście, łaskawi państwo, będzie się dobrze nosiło.

– Tylko kiedy? – zafrasowała się Matylda. – Chyba na jakimś przyjęciu dyplomatycznym.

Na ulicy co chwila przystawała.

– Jeff, wiesz co?

– Nie domyślam się.

– Żadna Polka nie ma takich pięknych pantofli!

Znowu kilka kroków i znowu przystanąła.

– Powiedzieć ci coś?

– Mów.

– Mam najpiękniejsze pantofle w całym Berlinie. – Pocałowała mnie. – Dziękuję. Jeszcze raz dziękuję. I jeszcze raz. – Znowu pocałunek. Nagle odsunęła się ode mnie. – Ty, ty... uspokój go!

– Dziwisz się? – spytałem.

Ze śmiechem:

– Nie za bardzo. To ten prezent tak działa?

– Twoja radość. Cieszę się, że to zauważyłaś. Teraz wiesz, że wszystko ze mną w porządku.

Ona, poważnie:

– Nie miałam wątpliwości. – Pogroziła palcem. – Samiec.

(Na opustoszałym placu Isaakijewskim, tuż koło hotelu „Astoria”, dwie ziębnące na wietrze postacie: Nina i zauroczony nią Chodasiewicz. „Władysławie Felicjanowiczu, proszę go uspokoić!” Nie, nigdy czegoś w tym rodzaju nie powie. Nie widzi zresztą tego, co nie należy. Profesorze Thompson, co też panu przychodzi do głowy! Przyzna się tylko wiele lat później, na starość: chciałam się pozbyć dziewictwa, „błonka dziewczica budziła we mnie wstręt”).

Szykujemy się do kolacji, każde w swoim pokoju. Nie byłem jeszcze gotów, kiedy usłyszałem pukanie. Otwieram: stoi piękna pani w białych spodniach, z pantoflem na głowie.

– Przypatrz się! – mówi. – Czy nie piękny? Przypatrz się.

Robi piruet, pantofel nie spada.

– Musisz mi zrobić takie zdjęcie. Ja z tym pantoflem na głowie.

– Wiesz, jak wyglądasz? – zachwycam się i ja. – Jak pomnik symbolizujący warszawiankę. Zamiast miecza – Syrena z pantoflem. Nie ruszaj się! Odchodzę na krok. – Tak, figura pięknie wyrzeźbionej pani.

Potrząsnęła głową, pantofel stoczył się, ona zręcznie go złapała.

– Jeff, Jeff – powtarzała. – Cudowny jesteś.

Cmok. Poszła dokończyć przebieranie.

W restauracji, wąskim, długim refektarzu zapełnionym stolikami, hałaśliwym i przesyconym zapachem piwa, ryb i frutti di mare, to ona, Matylda, przejęła inicjatywę, podeszła swoim tanecznym krokiem do biurka z napisem „dyrekcja”, za którym przyjmowała zgłoszenia kobieta dumnie nosząca spiętą w kok młodą siwiznę.

– Jestem lady Thompson – przedstawiła się Matyllda. – Mamy tu zarezerwowany stolik na dwie osoby.

Dyrekcja sprawdziła w laptopie. Tak, zgadza się. Stolik, jak się okazało, miał wysoki numer, gdzieś w głębi tej kiszki.

– Zaprowadzę państwa. Bitte, Herr Professor Thompson. Bitte, lady Thompson.

Jedliśmy supkę z homara – pyszności!, entuzjasmowała się Matyllda, a potem ona mule, a ja śledzie w trzech gatunkach z ziemniakami. Nie bardzo mi to smakowało, wolę śledzie w oliwie w „Czytelniku”, które podawała mi z porozumiewawczym mrugnięciem oka pani Jadzia (profesorze, dla pana, ostatnia porcja), ale nie lubię narzekać. Tym bardziej że riesling był w porządku.

– Jeff, wiesz co?

– Wiem, pantofle.

– Nie, zupełnie coś innego. Przyjemnie jest uchodzić za lady Thompson. Schowam sobie ten kartonik na pamiątkę. A ty jak?

– Szczęśliwy, że jest przy mnie pani Thompson.

– Nie wiem, czy ci wierzyć. Mówiłeś, że jesteś nieszczęśliwy.

– Matti, zapamiętaj: świat jest huśtawką, tak to określił pan de Montaigne. Za godzinę mogę być zupełnie inaczej usposobiony. Teraz jestem szczęśliwy.

– Powiedz dlaczego.

– Przecież wiesz.

– Nic nie wiem. Powiedz. Chcę słyszeć. (Prawie prośba).

– Bo ty! – Nie mogła mieć wątpliwości: wskazałem ją wyciągniętym palcem. – Ty – tutaj!

Milczała. Przyglądała się misce, w której piętrzyły się skorupy nieruszonych muli. Poskarżyła się:

– Nie mogę tego dojeść. Złośliwość losu. Chodźmy. Trzeba się pakować.

Dwa przystanki metrem, a potem idziemy pustą ulicą, dyskretnie tylko oświetloną, witryny zaciemnione, w niektórych opuszczono żaluzje. Oboje suniemy tanecznym krokiem, ja nucę (Ona: Co to jest? Skądś to znam – Samba z *Czarnego Orfeusza*), potem to, czego nauczyłem się w Moskwie: – „Tiomnaja noc’, tolko puli swistiat po stiepi” – i inne takie, którymi imponowałem mojej żonie Uzbeczce. – „Ach, słowiki, słowiki, uciszcie swój śpiew”, „Sierdce, tiebie nie choczetsja pokoja”... A potem przypomniałem sobie swoje wyczyny ze szkoły średniej w Indianapolis: –

You know, in my high school – tłumaczę Matyldzie. Zwinąłem dłonie przed ustami i przebijając palcami jak po wentylach instrumentu, zagrałem na trąbce jazzowej. – Jeff! – zawołała ona. Wspaniale! Zagrałem *Continental*. – „You kiss while you’re dancing” – potem *Alexander Jazz*, potem *Chattanooga Chouchou* – i znowu *Continental* – „Your voice is gentle and sentimental” – zupełnie jak w filmie Felliniego *Ginger i Fred*. Szliśmy tak półmrokiem ulicy, nieliczni przechodnie czasem oglądali się za nami, dwoje zaklaskało, Matylda próbowała mnie naśladować, przytknęła zwinięte dłonie do ust, ale nic z tego nie wychodziło, tylko popiskiwanie. Sunąc obok mnie, spytała:

– Jak ty to robisz?

– Pojęcia nie mam. Jakoś to się robi.

Zrobiłem piruet i zacząłem podrabiać chód Chaplina. Ona obejrzała się niespokojnie:

– Profesorze, błąznujesz.

– Stateczność przystoi właśnie młodzieży, uważał Montaigne, ona dopiero idzie ku światu, starsi mają prawo poszaleć, nic nie mają do stracenia.

– Co ty wciąż z tym Montaigne’em?

– A czy to źle? Pociecha na trudne noce. Wszystko jest okej. Ja chcę być błąznem. Twoim błąznem, milady.

– Błązenkiem – na to ona czule.

– Okej, twoim Błązenkiem. – Spytałem, trochę jednak zaniepokojony: – Czy Błązenek może być autorytetem?

– Naturalnie. Jeszcze większym. – Roześmiała się. – Bo także w grze na trąbce.

Teraz powinna powiedzieć: – Błązenku, kocham cię. – Nie mówi tego. Nie kocha. Nigdy tego nie usłyszę.

Potem u mnie w pokoju, pożegnalna herbata ze stockiem. Ja:

– Jesteśmy jak kochankowie – bardzo sobie bliscy – i tak się zachowujemy. Kochankowie – bez łóżka.

Ona to chętnie podjęła.

– Kochankowie intelektualni.

To mi się nie podobało.

– Papierowi. Nie, Matti, nie uda nam się nic wymyślić, nic naturalnego, bo sytuacja jest fałszywa. Kochankowie to kochankowie – i kropka.

Rozstawaliśmy się w milczeniu. Bez entuzjazmu. Bez żadnego „uspokój go”. Zwyczajowe cmoknięcie – ona: „śpij dobrze” – i ja: „ty też”. W otwartych drzwiach przesłała jeszcze powietrzny pocałunek i mruknięcie: „Dziękuję”.

W nocy nikt nie zapukał. Leżałem z przymkniętymi oczyma, bez snu, z otwartym *Klimem Samginem* na kołdrze. Przebrnąć przez tę noc. Niech się ono wreszcie skończy, to moje niiby-szczęście. Czasem coś zanotowałem, jakiś paradoks, który od razu przekreślałem. „Jeśli miałem potrzebę cierpienia – bo może miałem – po to, żeby miłość mocniej dotknęła – żeby jej osoba mocniej mną targnęła – to już przez ten etap przeszedłem. Teraz albo satysfakcja, albo ucieczka”. Zanotowane. Przekreślone.

Albo myśl, że jednak powinna była u mnie zostać. Wynagrodzić mnie swoim ciałem. Zabrakło jej – czego? – męczyłem się nad doborem słowa, które oddawałoby mój żal, moje rozczarowanie – zabrakło jej... może wielkoduszności? Tego, co powinno charakteryzować zwycięzców. Tylko zwycięzcy mogą obdarzać. Wiedziałem, oczywiście, że nie ma w tym zbyt wiele sensu – bo przecież nie mogę dyktować jej ciała, na co ma mieć ochotę – ale trochę w tym sensu było, nie za dużo, odrobinę – skoro jest tu ze mną, skoro doznała tylu radości... Gadaj zdrów, ona nigdy tego nie zrobi. Żadnej niespodzianki, żadnego zaskoczenia. Zawsze wie, co można, a czego nie – co „nas zbyt daleko zaprowadzi”. Może jednak zasną. Nie, chyba się nie uda, oczy mam zamknięte. Wciąż to pełzanie myśli – najazd pragnień – żal – niedosyt – nie zasną, trudno.

Ostatnie nasze wspólne hotelowe śniadanie. Spakowani, torby podróżne już w recepcji. Matylda, trochę roztargniona, myślami daleko, ale nadal troskliwa, przynosi dwie herbaty.

– Błazenku – odzywa się nieoczekiwanie czule. – Wiesz, pomyślałam sobie, że smutno mi będzie bez ciebie. – Po chwili: – Ale i tobie będzie smutno beze mnie. Budzisz się w tym swoim warszawskim mieszkaniu – pusto, nie ma Pieguski.

– Tu też jej nie było.

– Była, tuż obok. I jemy razem śniadanie.

– Tak, będzie smutno. Ale wszystko może się rozjaśnić. Wystarczy jakiś dobry esemes.

– Będziesz go miał – zapewniła. Wstaliśmy. – Odprowadzę cię na lotnisko.

W hali lotniska, już bez bagażu. Pogładziła mój policzek.

– Błazenku – powiedziała – było wspaniale. Było, prawda? Powiedz, że było wspaniale.

Nie, wcale nie było wspaniale.

– Przecież wiesz – mówię. Ona:

– Nie mogłam zasnąć. Kręciłam się z boku na bok. Myślałam sobie: dobrze by było popłakać.

– Chciało ci się płakać? Dlaczego?

– Nie wiem. Bez powodu. Może boję się tego Lipska. Nie udało mi się zapłakać.

– Trzeba było zadzwonić do mnie. Przyszedłbym, otulił cię ramionami i ładnie byś zasnęła.

Niewesoły uśmiech.

– Zgapiłam się. – Po chwili: – Ale potem miałam erotyczny sen.

– Jaki?

– Nie powiem.

Powie. Lizanie. A ja na to: będę to miał na uwadze. Nie powiedziała. Wobec tego ja:

– Powiedz jaki. Dostosuję się.

– Błazenku, wygłupiasz się.

– A jaki ma być błaznek? Muszę iść.

Teraz zarzuci mi ręce na szyję i będzie długi, rozkoszny pocałunek. (Pamiętaj, bez żebraniny). Ale nic takiego się nie stało. Powiedziała:

– Zobaczmy się wkrótce.

Cmok w policzek. Spytałem:

– A usta?

Muśnięcie ust. Nalegam:

– Mocniej.

Kręci głową.

– To by nas zbyt daleko zaprowadziło.

Jeszcze raz poczułem na wargach szybkie muśnięcie jej suchych warg – i odfrunęła. Kilka razy jeszcze się odwracała, za każdym razem przesyłając uśmiech i wymachując wysoko uniesioną dłonią.

Kiedy siedząc na plastikowym krzeselku, czekałem na wezwanie do samolotu, zabrzczała moja komórka, na szczęście jeszcze niewyłączona. Serce mi załomotało, nie ukrywam, „BŁAZENKU – odczytałem – dziękuję za wszystko i za Twoje wspaniałe towarzystwo. Mocno całuję. Pieguska”.

Brak było słowa „Twoja”. Ale i tak ciepło rozlało mi się po ciele.
Wyłączyłem komórkę.

Z Lipska nic nie nadeszło. Musi być bardzo zajęta. Musi jej być dobrze, pomyślałem jeszcze. Gdyby jej było źle, natychmiast by mnie o tym zawiadomiła. Dostawałem czasem takie wiadomości – ale z Warszawy, z domu: „Samotna, smutna, załamana”. Odpowiadałem czułością, pocałunkami, „Twój”, „bardzo Twój”, „stopy całuję” – być może, tego jej trzeba było, męskiego ciepła (przyjmijmy, że o to szło), które by ją ogarnęło. A teraz nic. Zachowam dyskretne milczenie, nie będę jej przeszkadzał. Bała się tego Lipska, nie mogła spać w nocy, chyba nic złego się nie stało, nie było czego się bać. Zajmij się robotą.

Nina. Stara kobieta wspomina, jak ją, dwudziestolatkę, podrywał Nikołaj Gumilow, rozwiedziony mąż Anny Achmatowej, czołowy akmeista (akmeiści „dążyli do doskonałości”), założyciel „Cechu poetów”. Miała trzynaście lat, kiedy znała już jego wiersze na pamięć. Teraz czekało ją spotkanie, zobaczy go, bo to on ma się wypowiedzieć i przyjąć ją do Związku. Była wiosna, wspomina pani Nina, w Ogrodzie Taurydzkim śpiewały słowiki. „Majestatyczna nędza Petersburga – napisze w swoich pamiętnikach – pełna była ciszy i znieruchomienia”. Miasto „uśpione i martwe”. Porównała je – w pamiętnikach, więc dziesiątki lat później – do katedry w Chartres lub Akropolu.

Tak to się widziało szukającej metafor poetce, ale tak martwo – i zarazem pięknie – nie było: od dwóch miesięcy funkcjonował już NEP – czyli Nowa Ekonomiczna Polityka. Miała ona ratować rynek, wprowadzić swobodę gospodarczą, pozwolić bogacić się ludziom przedsiębiorczym, skończyć z przymusowymi dostawami zboża. „Wyznajmy nasze grzechy!” – wołał Lenin na dziesiątym zjeździe partii, bo wcale niełatwo było przekonać towarzyszy, że „nowa ekonomiczna polityka” nie jest zdradą ideałów rewolucji. „Zgrzeszyliśmy – mówił – idąc zbyt daleko w nacjonalizacji handlu i przemysłu”. O możliwości budowy socjalizmu w jednym kraju powie: „Było wśród nas wielu fabrykantów złudzeń”. W rok później Lenin wykrzyknie jeszcze mocniej: „Szkoda, że wypędziliśmy naszych

kapitalistów, bo oni umieli produkować towary, a wy nie umiecie!”, Marks, niestety, nie dał odpowiedzi, jak budować socjalizm w zacofanym chłopskim państwie. Szkoda, że nie zajął się zagadnieniem, które ich teraz trapi: „Jak kapitalizm państwowy może współistnieć z komunizmem”. Jeszcze marzy mu się czasem, by odwołać się do Marksa, jeszcze miewa wizje światowej rewolucji, która rozstrzygnie o ostatecznym zwycięstwie, ale – jako praktyk, jako gracz polityczny, którym teraz się stał – wie już, że to nie to, że UTOPIA PRZEGRAŁA. Poeta Władysław Chodasiewicz, przeciwnik bolszewizmu, sarkał – i nie on jeden – na wprowadzenie NEP-u. To załamanie się idei socjalistycznej, ustępstwo na rzecz mieszczaństwa, hodowla drapieżnych dorobkiewiczów i utracjuszy. „Za cośmy krew przelewali!” – krzyczeli czerwoni kombataneci, wymachując naganami. Bucharin wyjaśniał wątpięcym: „Towarzysze, ustępujemy w sprawach gospodarczych właśnie po to, żeby nie ustąpić w sprawach politycznych”.

Nie mogę pisać, w ogóle nic nie piszę – narzeka przed ludźmi „Doża” – wciąż coś załatwiam. Codziennie całe przedpołudnie przy biurku, pochylony nad kartkami, tak, ale to tylko listy, do wielkich kolegów z Zachodu, do France’a, Wellsa, Galsworthy’ego, Blasco Ibáñeza, do Romain Rollanda, Uptona Sinclaira, także i do Herberta Hoovera, który zarządzał amerykańską pomocą (American Relief) – alarmuje ich, że w Rosji głód, żeby domagali się pomocy dla głodujących. Wieczorem wpadają, na ogół bez zapowiedzi, goście, Łunaczarski, Feliks, Bucharin, Szalapinowie, dziennikarze zagraniczni, raz pojawił się, będąc w Piotrogradzie, Lenin. Murę trzeba wysłać za granicę, Zinowjew nie da jej spokoju, uderzając w nią, chce uderzyć w Gorkiego – nie mogę pisać, nie dają mi pisać – przy stole wódka i opowieści, opowiada znakomicie, zachwyca się Chodasiewicz, ale nie zawsze pamięta, że już to opowiadał, słowo w słowo, gest w gest, i łyży w najbardziej wzruszającym miejscu, płacze jak bóbr, kiedy czyta jakieś opowiadanie, ale płacze i nad cudzymi. Lenin wyraźnie ostatnio rozdrażniony, Gorki radzi mu w liście, żeby wyjechał na urlop, gdzieś na południe, żeby odpoczął od „Starej Ekonomicznej Polityki”. „Żartuję, oczywiście. Wiem, że nigdzie nie wyjedziecie”. Wie, że Lenin jest przekonany, że bez niego wszystko będzie szło gorzej.

„Spojrzał na mnie z wyżyn swojego pokaźnego wzrostu” – pisze o Gumilowie Nina Berberowa. Oczy jasne, zezujące, czaszka kopulasta, więc twarz wydłużona. „Był brzydki brzydotą pełną wyrazu...”

Niesympatyczny i z lekka przerażający: „długie ręce, jakiś defekt mowy, wyniosłe spojrzenie, przy czym jedno oko było stale nieobecne...”. (Brzydota mężczyzn nie odstręczała Niny – jakby liczyły się tylko wiersze, talent, uduchowanie. To, że Chodasiewicz był o czternaście lat starszy od niej, nie miało oczywiście znaczenia, ale okazało się, że także i to, że – zdaniem Erenburga – jego twarz przypominała trupa czaszkę. Zafascynowana dwudziestolatka widziała go inaczej, zapamiętała przede wszystkim długie, proste, czarne, równo obcięte włosy). Kiedy czekała na werdykt – przyjmą ją czy odrzucą – Mikołaj Ocup przypomniał jej, że kiedyś przychodziła do jego siostry, przypomniał chyba po to, żeby uprzedzić: „Nadia pracuje teraz w Czeka. Chodzi w skórzanej kurtce i ma rewolwer. Spotkałem ją niedawno na ulicy, powiedziała, że takich jak ja należy rozstrzeliwać”.

Przyjęto ją. (Legitymację z 30 lipca 1921, z podpisem Gumilowa, być może ostatnim, jaki złożył w swoim życiu, przeniosła przez wszystkie wędrówki, jest w jej archiwum). Potem czytali kolejno wiersze. Gumilow zaczął ją po swojemu podrywać. Najpierw tym, że on tu jest dowódcą plutonu, w poezji także obowiązują rangi, może nawet bardziej niż gdzie indziej. Było w tej gadaninie jakieś oficerstwo, i to białogwardyjskie. Nie podobało jej się to, tylko słuchała. A on później o tym, że to on zrobił z Achmatowej poetkę, „zrobiłem Mandelsztama, teraz robię Ocupa. Jeśli pani zechce, mogę zrobić i panią”.

„Jestem anarchista – wyznał nagle. – Przed cerkwią zawsze robię znak krzyża. (No, więc taki konsekwentny anarchizm to nie jest, mogła pomyśleć Nina; jednak się czemuś podporządkowujesz). – I znowu: – Jeśli będzie pani robiła to, co pani każe, być może będzie z pani poeta...” Roześmiała się. On nie chciał tego obrócić w żart – nie miał poczucia humoru. Zapraszał do swojego studium w „Disku”: „Nauczę panią pisać wiersze. Bo pani nie umie pisać wierszy”.

Nazajutrz spotkanie w Ogrodzie Letnim (w tym samym, w którym Gorki dyskutował z Błokiem). „Wymogłam na nim, aby przyznał, że Achmatowa sama siebie zrobiła, a on jej nawet w tym przeszkadzał...” W końcu wylądowali w kawiarni przy moście Policyjnym, pili kawę i jedli nepowskie ciastka, a on powiedział, że ma teraz „czarny ceratowy zeszyt, do którego będzie wpisywał wiersze napisane dla niej. („Kiedy zobaczyłem – powiedział jej później akmeista Gieorgij Iwanow, ten sam, który chciał, żeby Osip Mandelsztam opuścił Nadię – że on częstuje panią ciastkami,

zrozumiałem, że sprawa jest poważna, bo nieboszczyk był skąpawy”). Na ulicy odepchnęła jego łase ręce i wtedy on powiedział: „Jest pani straszliwie rozsądna, dorosła, poważna i nudna... Pani nie chce się ze mną bawić”. Bo on się przy niej czuje, jakby miał dwanaście lat. To prawda, zgodziła się, w dzieciństwie także niezbyt lubiła się bawić i „bardzo się cieszę, że nie mam już dwunastu lat”.

Były potem jeszcze dwa spotkania, to drugie w studium w Domu Sztuk. Czytali wiersze. Gumilow pokazał to, co napisał do niej. „Dziwna to jest myśl – mogła przeczytać – że w świecie /Coś istnieje oprócz ciebie”. „Podziękowałam mu. Powiedział: Tylko tyle?” Siedzieli potem aż do zmroku na placu Senackim przed pomnikiem Piotra Pierwszego, zatarł się wreszcie napis: „Petru Primo – Catarina Secunda”. „Rozdzielała nas – wspomina ten wieczór stara, mądra pani – jego pewność siebie, jego mentorstwo, fałszywe poczucie wielkości”. Dodaje: „I zupełna niewrażliwość”. Cały czas jednak pamiętała, że to wielki poeta. I co z tego? Powiedział, że nie uznaje przyjaźni z kobietami – „nie szukam pani przyjaźni”. Żegnając się, powiedział: „Pójdę teraz pisać wiersze o pani”.

Więcej się z nim nie zobaczę – postanowiła. Postanowienie całkiem niepotrzebne, bo o świcie 3 sierpnia aresztowano go. Przypisywano mu udział w „spisku Tagancewa”, od nazwiska młodego profesora geografii, miał to być spisek monarchistyczny, same dobre nazwiska, kwiat profesury, wśród nich znajomi i przyjaciele Gorkiego. Oczywiście, Aleksy Maksymowicz rzucił się do interwencji, hamowano go, „tylko im zaszkodzisz”, bo całą sprawą kierował jego wróg Zinowjew.

Przez kilka dni Nina zaczytywała się wierszami Gumilowa, niektóre znała na pamięć, ale to nie znaczy, że je podziwiała tak samo jak kiedyś, dostrzegała w nich „infantylnizm, a zarazem staroświeckość, ich niewspółczesność i sztuczność, nieprzystającą do naszego czasu”. Za późno się urodził, stwierdziła. „Teraz wiem – wyraża skruchę na starość – że był znakomitym poetą”.

Siódmego sierpnia szła do Domu Literatów przez ulicę Bassiejną. Na dziedzińcu było pusto i cicho. Na drzwiach zobaczyła wilgotną jeszcze klepsydrę: „Dziś, siódmego sierpnia, zmarł Aleksander Aleksandrowicz Błok”. („Błok zmarł? – pytano na ulicy Szkłowskiego. – Henryk? Ten bankier?”) Nina szła ulicą, a ktoś ją zapytał: „Panienko, dlaczego płaczesz?”. Weszła do świeżo otwartej kwiaciarni (wczoraj jej jeszcze tutaj nie było). „Kupiłam cztery białe lilie na długich łodygach”. Tramwajem

zajechała pod dom, w którym mieszkał Błok. Drzwi uchylone – każdy może wejść. Przez ciemny przedpokój wchodzi do gabinetu poety. Kładzie kwiaty na kołdrze i długo przygląda się zmarłemu. Nie jest podobny do tego, kogo znała. Jakiś „nieznajomy trup”. Płoną świece.

Dotarła do swojego domu, ktoś przychodzi, piją herbatę z marchwi, zajadają czarnym chlebem.

Jurij Annienkow rysuje portret zmarłego poety. Wiktor Szkłowski z przygłuchawą Mariettą Szaginian udają się do odpowiedniego urzędu po gips na maskę pośmiertną. Urzędnik odmówił: „Gipsu nie ma! Zabieramy go nawet dentystom”. Szkłowski, ze złością: „Nawet na maskę pośmiertną Aleksandra Błoka?” „Nie możemy – odpowiada urzędnik. – Gips został już przydzielony”. Szkłowski zwymyślał go – bardzo głośno, żeby Marietta też dosłyszała. Byli oboje już na schodach, kiedy rozległy się za nimi pośpieszne kroki. Pędził zdyszany urzędnik. „Nie obraziłem się – powiedział cicho, wręczając kartkę. – Oto zlecenie na gips”.

A tamtych prowadzą na śmierć. Niepotrzebne śledztwo, sąd – to wrogowie: rozstrzelać! Stoją pod ścianą, sześćdziesiąt dwie osoby, Gumilow z numerem „33”, naprzeciw pluton egzekucyjny. Rzucam się między skazańców i strzelających, krzyczę, wypruwając z siebie żyły: NIE STRZELAJCIE! Nie róbcie tego! Błagam! Nie rozstrzeliwujcie nadziei! Nie słyszą mnie. Pal! Salwa. Pal! Salwa. Pod ścianę zwalają się trupy, przed chwilą jeszcze ludzie, choć drżący i pobladli. „Zrobili to!” – myślę. Zrobili to. Co za głupcy. Zrobili – stało się. Nalewam sobie kieliszek stocka. Podnoszę go pod światło. Za następną nadzieję? O nie, w nic takiego już nie wierzę. Wypijam. Znowu nalewam. Za...? Za sygnał od ciebie. Za twoją pamięć. Wypijam. Chyba się dziś nie upiję, nie uda się. Zrobili to, nie posłuchali mnie. Myśleli, że rozstrzeliwują jakichś monarchistów, a rozstrzelali siebie. Już w niczym nie mogę im pomóc. Mogę tylko opowiedzieć.

Gorki w depresji. Gorączkuje, pali papierosa za papierosem, pluje krwią. Wszystko się załamało. Ten Gumilow – jaki był, to był, któż z nas zresztą jest bez słabości – ale co za inteligencja, jaki poeta, i tyle czasu spędzili razem, debatując w redakcji. I tyłu przyjaciół wśród rozstrzelanych. Lenin namawia Gorkiego do wyjazdu. Przecież jest chory, jakieś przyzwoite sanatorium zachodnie postawiłoby go na nogi. Naprawdę ten list znaczy: wyjeżdżaj, nie przeszkadzaj mi! A może także: zmiataj stąd, nie jestem w stanie cię dłużej chronić. W innym liście: „Jeśli nie wyjedziecie, to was

wyślemy!” (Bliższe prawdy). Aleksy Maksymowicz o jednym wie na pewno: jeśli ma wrócić do pracy literackiej, musi opuścić Rosję. A pisać chce mu się coraz bardziej. Widzi postaci, słyszy rozmowy, pojawiają się Artamonow i synowie, czeka na swoją kolej Klim Samgin i dziesiątki innych.

Maria Ignatiowna (czyli Mura) już od kilku miesięcy jest poza Rosją. Zinowjew ją prześladował. Uderzając w nią, celował w Gorkiego. Dokuczyć. W apartamencie na Kronwerskim zrobiono rewizję – do tego się posunął! Dwie godziny przeszukiwano pokój Mury – tej, według Zinowjewa – brytyjskiej agentki. Musi uciekać – i uwolnić od siebie Dożę. W styczniu przyłapano ją na granicy z Estonią, została aresztowana. „Doża” interweniował w Czeka. Naczelnik Bokij (który miał swój udział w udanym wyjeździe księcia Gawriiła Romanowa) zatelegrafował do Dzierżyńskiego. Nina twierdzi, że pomagała też Katia Pieszkowa, pierwsza żona Gorkiego, „dawna przyjaciółka i wielbicielka Dzierżyńskiego”. Feliks Edmundowicz zgodził się, żeby obywatelka Benckendorf (takie było wciąż jej oficjalne nazwisko) opuściła Kraj Rad.

Pod koniec stycznia wysiadła z pociągu w Tallinie, znalazła się w mieście – pisze Nina Berberowa, jej biografka – europejskim, w którym „pełno było białego chleba i pachnącego mydła, i sklepów, i gazet”. Spotkała się wreszcie ze swoimi dziećmi, przebywały tu od śmierci jej męża, dyplomaty carskiego Benckendorfa – zamordowali go chłopcy w jego majątku pod Rewalem (jak wówczas nazywał się Tallin) – od tego czasu opiekuje się nimi Missi. Nie mogła jednak nacieszyć się dziećmi – od razu ją aresztowano: dla Zinowjewa była agentką brytyjską, dla Estończyków – sowiecką.

Podano jej spis adwokatów: byli w nim Rosjanie, Niemcy i Żydzi. Rosjan się bała – mogli jej mieć za złe wszystko: to, że wyjechała, i to, że przyjaźniła się z Gorkim. Niemcy raczej nie wchodzili w rachubę. Wybrała Żyda, pana R. Najlepiej by było, powiedział, zmienić nazwisko. Może by pani wyszła za mąż? Znajdzie kogoś. Ale najpierw będzie się starał o przedłużenie jej estońskiej wizy.

Gorki przysłał jej przez Dresdner Bank tysiąc dolarów. (W kilka miesięcy później następny tysiąc). Adwokat ma kandydata na męża: to młody człowiek, baron Budberg, nicpoń między nami mówiąc, jest obywatelem estońskim, potrzebuje pieniędzy. Jego żona, będąc obywatelką Estonii, nie powinna mieć kłopotów z wizami. Nina cytuje słowa mecenasa R.: „Robię

to wszystko dla mojego ulubionego pisarza. Dla światowej sławy autora *Na dnie* i... *Czełkasz*". (Pamiętał te tytuły pewno z dawnych czasów).

Od października 1921 roku Gorki jest już za granicą. Wyjechał do Niemiec przez Finlandię i Sztokholm. Przedtem, w Piotrogradzie, próbował zorganizować Komitet Pomocy Głodującym. Artyści wspierali go z zapalem. Odbyło się zebranie, mówiono o „odrodzeniu społecznym”, wiązano nadzieję z NEP-em. A potem komitet aresztowano. Gorki uznał, że zrobili z niego prowokatora. Nie będzie dłużej zwlekał z wyjazdem. Na Dworcu Fińskim żegnał się z przyjaciółmi, łykając łzy. Maszynista i palacz poprosili go o autograf.

W Berlinie ulubiony pisarz mecenasa R. dowiedział się, że Mura wychodzi za mąż. Za jakiegoś młodzika, utracjusza z tytułem barona! „Tajemniczo i bezsensownie” – pisze do Ładyżnikowa, który prowadzi wszystkie jego sprawy wydawnicze. „Bóg z nią!”

Mura dowiaduje się z listu Kriuczkowa (sekretarza i przyjaciela od serca Andriejewej), że po jej wyjeździe znowu przy Gorkim pojawiła się piękna Waria Tichonowa. Ale ona jest pewna swojej mocy: kiedy „Doża” znajdzie się wreszcie za granicą, będzie przy nim tylko ona, Mura. W grudniu, kiedy mogli już korespondować bez obawy przed intruzami, Mura tłumaczy Gorkiemu tajemnicę swojego ślubu. Pisarz oddycha z ulgą. Czeka na nią.

Wreszcie upragniony ślub. Jest adwokat R., jest Missi i dwoje oblubieńców. Narzeczony ma w kieszeni bilet kolejowy do Berlina – i pieniądze od niej. Odtąd Mura będzie baronową Budberg i świat stanie przed nią otworem. (A Nina zbiera, nie wiedząc o tym, materiał do książki, którą napisze za kilkadziesiąt lat. I dowiadujemy się z niej, że Maria Ignatiewna, nie wstępując do Gorkiego, pojechała wprost do Londynu, z kimś się tam zobaczyła i nigdy się z tego nie zwierzyła).

Nina Berberowa, jak zwykle czynna, po wyjeździe Gorkiego też nie traci czasu, uczy się w prywatnym studium sztuki przekładu poetyckiego. Oni to brali poważnie, trochę mnie to zaskakuje, studiowali tę umiejętność, a ja skądinąd wiem, że Polacy mają wspaniałego tłumacza, lekarza pediatrę, który nic nie studiował i tłumaczył cudownie Villona, Moliere’a, Racine’a i Verlaine’a. Nina była dobrą i pilną uczennicą – zresztą czymś musiała się zajmować, nie mogła czekać – nie wiadomo na co – najmilej było obcować z poezją, badać metaforę, szukać słów, dobierać rymy. Kiedy wychodziła z kolejnych zajęć i szła, z tomikami poetyckimi pod pachą, przez zaśnieżony Petersburg, tuż przy „Astorii” (nieraz tu wspominał)

wynurzyła się z zamieci jakaś ciemna postać i ktoś zawołał: „Ostrożnie! Tu ślisko!”.

Chodasiewicz. „Zmarzłem, czekając na panią”. Ma na sobie zbyt długie futro, ale za to jest mu ciepło, usprawiedliwia się, to od jego starszego brata Miszy, adwokata w Moskwie. Smarkuli podoba się ten poeta, „szczupły i lekki”, wyższy od niej (o co nietrudno). Prowadzi ją na kawę i zasypuje pytaniami. Czy mieszka „z tatusiem i mamusią?” Jacy oni są? „Czy jest pani w kimś zakochana?” Czy w nowym wierszu „jest jeszcze coś o szcnotce do podłogi?”.

Jest im ze sobą dobrze – i ciepło. Kiedy się żegnają, podając sobie nagie, ciepłe dłonie, u wejścia do „Disku” na Newskim, gdzie mieszka on, to ona patrzy za nim – i zapamiętuje sylwetkę: odchodzi „wyprostowany, z uniesioną głową”.

Odtąd tych spotkań będzie więcej. Stara pani wspomina wieczór „jasny i wygwieżdżony, kiedy śnieg chrząścił i błyszczał”, skwer obok teatru Michajłowskiego, para z ich oddechów krzyżowała się w poświacie, „rozświetlając nagle w nocnym, mroźnym powietrzu nasze uszczęśliwione twarze – dlaczego uszczęśliwione? Tak, już wówczas uszczęśliwione”. Piękna pani Nina opisuje swoje zakochanie – mój mężczyzna, mój wybór – i to, w innym miejscu (chyba o tym wspominałem), że pogardzała swoim dziewictwem. Dobrze się stało, że pozbawił ją tej „obrzydliwości” mężczyzna ukochany.

„Miał jeszcze wtedy – wspomina – podobnie jak my wszyscy, ojczyznę, swoje miasto, zawód, nazwisko”. Ale nie było wątpliwości, że Rosję opuścić muszą. To on nalegał. W kwietniu 1922, na tym samym skwerze Michajłowskim, gdzie poczuła się z nim szczęśliwa, Władysław powiedział, że ma dwa cele: być z nią i ocaleć. Albo też, poprawia się pamiętnikarka, ocaleć, by być z nią razem.

Ona ma z nim sporo kłopotów – jej mężczyzna jest chorowity, słaby, wychudzony, blady. Łatwo się męczy. W tym czasie nie spodziewają się jeszcze masakry ludzi kultury, są pewni, że Anatolij Wasiljewicz (czyli Łunaczarski) do niej nie dopuści.

Od marca 1922 można ubiegać się o paszporty na wyjazd. Złożyli podania. On „celem poratowania zdrowia”. Ona: „celem uzupełnienia wykształcenia”. Poświadczył podania komisarz Łunaczarski. Nie powiedział im tego, ale pewnie pomyślał: „Uciekajcie”. „Moim wyborem był on – przypomina pani Nina – i zdecydowałam się pójść za nim (...)

Uratowaliśmy się nawzajem”. Uratowała ich miłość. (Miłość zgubiła Mandelsztamów. Albo brak miłości. Nie myślał o Nadii, o ratowaniu jej, liczył się tylko on – jego literatura). W połowie maja Władysław i Nina dostali paszporty: numer „16” i „17”. Wyjechali z Moskwy do Rygi – wcale nie myśleli o tym, by to był wyjazd na zawsze.

Gdyby nie wyjechali w maju, i tak by Władysława w lipcu deportowano, był na liście. Deportacja sześciuset wybitnych postaci – pisarzy, artystów, uczonych – to był pomysł Zinowjewa i Kamieniewa. Nie oznaczało to koniecznie zerwania związków z Rosją. Przeszkadzacie nam, wyjeżdżajcie – taki był sens tej banicji. Niektórzy, ku zgorzeniu Niny, już po roku zaczęli wracać. Aleksy Tołstoj, Fiedin, Szkłowski – tam, w Rosji, było ich tworzywo i ich czytelnicy.

Ilja Erenburg wyjechał jeszcze w 1921 roku, legalnie, z sowieckim paszportem. Najpierw Ryga, jak większość z nich, i tak samo jak większość wygłodzony poeta studiował wywieszane na drzwiach restauracji jadłospisy – „brzmiały jak poezja”. Zamówił sobie befsztyk i – wściekły na siebie – nie mógł zjeść nawet połowy. W Paryżu spotkał się z Iwanem Buninem. Był nieprzejejdany, wspomina Erenburg. „Przerwał moje opowiadanie oświadczeniem, że może rozmawiać tylko z ludźmi swojego stanu”. (Gorki pokpiwał z Bunina w liście do Aleksego Tołstoja: na pytanie, czy raczy się z panem przywitać, podniósł w górę swoje czysto słowiańskie oczęta i po namyśle powiedział, że raczy).

Przeżywał swoje satysfakcje i pół emigrant Erenburg. Znakomity Georg Pabst, reżyser austriacki, kręcił jego *Miłość Joanny Ney*. I oto ataman Szkuro, organizator pogromów żydowskich na Krymie, teraz występujący w Paryżu ze swoimi dzygitami w cyrku, służy jako konsultant tego, jakkolwiek by było, proradzieckiego filmu. Jest w filmie scena pijatyki białych oficerów. Grają oficerowie Denikina w swoich własnych mundurach. Na rękawach mają trupie czaszki „batalionów śmierci”. Widział ich przy krwawej robocie na Krymie. I teraz ten literat, ten „Żydek”, kręci się między nimi, a oni wspominają z sentymentem dawne czasy. „Ale się żyło, Iljo Grygoryczu – czy to kiedyś wróci?” Dostali po piętnaście marek i byli zadowoleni. Potem była jeszcze ciekawsza propozycja: grać bolszewików. Kawalerzystów Budionnego. Na szpiczastych czapach mają teraz czerwone gwiazdy. I Szkuro do nich: – Rebiata, ano pokażcie, co potraficie! Zacierają ręce, pieniądze są niezłe, kręcą zapierające dech sceny ku chwale Konnej Armii Budionnego. To, co

się dzieje wokół filmu – stwierdzam to nie pierwszy raz – jest często ciekawsze niż sam film.

Kiedy Chodasiewicz z Niną zajechali do Berlina, czekał tu na nich list od Gorkiego. Zapraszał ich do siebie, do Saarow, gdzie leczył się w sanatorium.

No, nareszcie, lżej mi na duszy. Uratują się. Jeszcze są pod dobrymi, ciepłymi skrzydłami Aleksego Maksymowicza.

Nareszcie, myślę, odbierając brzęczący SMS: „Wylądowałam. Odezwę się. Całuję. Pieguska”.

Zwinąłem obie dłonie przy ustach w trąbkę i przebierając palcami, zagrałem *Chattanooga Chouchou*. Potem *Continental* (tu już saksofon). „Beautiful music... Dangerous rhythm...” Potem *Tiomnaja nocz*... Dla niej, żeby to do niej dotarło. Znowu *Continental*, melodia jak zaklęcie, niech leci ku niej, „Your voice is gentle and sentimental” – tak jej się to podobało – Błazenku, jeszcze raz – „It’s very subtle, The Continental / An invitation to moonlight and romance” – ściszam swoją trąbkę, nie, saksofon, wszystko jedno, w gardle dusi, a ja pogrążam się w łagodnym, słodkawym obłędzie. Próbuję zaglądać do korespondencji Gorkiego, tej z emigracji, ale nie mogę się skupić – ogarnia mnie zniechęcenie – znam to, wiem, w czym rzecz – brak wsparcia, brak słów: Jeff, nie mogę się doczekać tej książki, pisz, pisz – niech oni się kochają, koniecznie. Oni tak – a my nie. I nagle wibruje komórka: „DLACZEGO SIĘ NIE ODZYWASZ? Nie lubisz już Pieguski!”. Skąd jej to przyszło do głowy? Może uważa, że jest jakiś powód? „Czy mogę zadzwonić?” „Możesz, jestem w redakcji”.

Rzadko rozmawiam z nią telefonicznie i zawsze zaskakuje mnie jej głos, jakby matowy – zaskakuje dlatego, że kiedy ona na mnie spogląda, jej głos emanuje jasnością, zielenią, ma wsparcie w rozchyleniu warg, błysku zębów, muzyczności spojrzenia, w uśmiechu piegów rozsypanych nad piersią jak kwiatki na łące...

– Witam – tak zawsze zaczyna rozmowę.

Ja, oczywiście (bo jakże mogłoby być inaczej):

– Jak było w Lipsku?

– Znakomicie. Świetne towarzystwo. W dzień coś w rodzaju szkolenia, a wieczorem dyskoteka. Było trochę literatów z Polski. Jakiś Hiszpan, Szwed – wyliczała z dosłyszalną satysfakcją.

– I dlatego nic nie przysyłałaś...

– Ależ nie, Jeff, skądże. Wysiadła mi komórka. Nie wiem dlaczego. Może nie było zasięgu? Nawet z Anulką się nie kontaktowałam.

– A w domu jak cię przywitano?

Chrząknięcie i potem:

– Średnio. – Skrępowana, najwidoczniej. – Coś w rodzaju awantury. Z powodu pantofli. Przecież mam takie. – Zaśmiała się. – Jeff, on nie wie, że takich drugich nie ma!

– Nie musisz go uświadamiać – niech myśli, że są.

– Zwalili się goście i on się złościł, bo ja wciąż opowiadałam o tobie. Jak grasz na trąbce – pokazywałam jak. Wciąż ten Jeff!...

– Czy ty się przypadkiem we mnie nie kochasz? – spytałem.

– Kto wie...

– Teraz w domu spokój?

– Wszystko w normie.

To mogło zabrzmieć dwuznacznie, ale chyba nie o to jej chodziło. Zupełnie innym tonem, bardzo serio, niemal służbowo:

– Jeff, zaczęłam czytać tę powieść, którą mi poleciłeś. „Tropiciela uczuć”. Nie wiem, co ty w tej prozie widzisz. Tam są rzeczy niemożliwe. Trudno mi się z nimi pogodzić.

– Porozmawiamy, jak się spotkamy. Zajrzyj do swojego kalendarza.

Chwilę to trwało, zanim zdecydowała:

– Pojutrze. U ciebie, o piątej. Całuję – rzuciła i skończyła rozmowę, a mnie od tego „całuję” przeszedł wiadomy prąd. Ona tych „całuję” rzuca kilkanaście dziennie, nie żałuje nikomu, słowo bez znaczenia (co mnie w Polsce zawsze uderza) i tylko na mnie, purytanina z Indianapolis, działa tak, jakbym był wybrańcem. Widziałem niedawno w „Czytelniku”, jak obściskiwiała się i obcałowywała z jakimś piersiastym pulpetem w okularach, i miałem o to do niej idiotyczny żal.

Pojutrze. Zajrzałem do korespondencji Gorkiego (tom 29. *Pism*, strasznie śmieszny, ocenzurowany bezwstydnie, bo na przykład okazuje się, że przez cały rok 1922 był tylko jeden list, podczas gdy wiadomo, że on pisał około dziesięciu d z i e n n i e – czy nie było to świadome mrugnięcie redaktorów do czytelnika – rozumiecie, że Gorki pisał wtedy takie listy, których władza woli nie przypominać?), przeglądałem ten tom, zastanawiając się, co ja z niego zdołam wyciągnąć, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Kobieta.

– Czy pan profesor Jefferson... przepraszam, Jefferson Thompson, czy tak?

– Tak. To ja.

– Tu sekretariat pana prezydenta Kwaśniewskiego. Czy będzie pan mógł teraz mówić z panem prezydentem?

– Jeśli tylko pan prezydent zechce.

– Bardzo chce. Łączę pana.

Chwila muzyki (Szopen) – i nagle słyszę jego głos, mojego kumpla z Detroit (czy nie tak się mówi po polsku?), Aleksa...

– Haj, Jeff – słyszę. Głos rozpoznawalny, chociaż bywało, że wtedy, po jakiejś bardziej lekkomyślnej nocy, pobrzmiwał chrypką.

– Dzień dobry, panie prezydencie – odpowiadam z szacunkiem, który właściwie lubię.

– Jeff, odrzuć tego prezydenta. Pamiętasz mnie jeszcze trochę?

– Pamiętam, Aleks. Przeżyło się co nieco.

Słyszę jego śmiech.

– O tym cicho sza, lepiej nie rozpowiadać. Mam do ciebie żal, stary.

– O tamte dwadzieścia dolarów? – spytałem. – Mogę je zwrócić.

– O to, że nie zgłosiłeś się do mnie. A jesteś już w Warszawie – zaczekaj, mam notatkę – tak, od prawie trzech miesięcy. Jako prezydent tego kraju chciałbym powitać znakomitego gościa. Pół godziny rozmowy w cztery oczy. Piszesz się na to?

– To byłby dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.

Aleks, obecnie prezydent, który po dziesięciu latach wkrótce odejdzie z urzędu, zaklął bardzo soczyście po amerykańsku. Ja tu tego nie powtórzę.

– Świetnie – przeszedł na język bardziej cenzuralny. – Spodziewaj się telefonu z mojego sekretariatu, te panie rządzą moim czasem. Do zobaczenia, Jeff!

– Do zobaczenia, panie prezydencie.

W kwadrans później już był ten zapowiedziany telefon. Zdawało mi się tylko, że to inna sekretarka.

– Pan profesor Thompson? Tu sekretariat pana prezydenta. Pan prezydent prosi pana do pałacu na pojutrze, godzina siedemnasta. Czy panu to odpowiada?

– Dziękuję, bardzo dobry termin.

– Proszę nie zapomnieć o paszporcie – usłyszałem jeszcze.

Pojutrze ma być spotkanie z Matyldą. Shit!... Zadzwoiłem do niej.

– Matti, mam kłopot z tym terminem.

– Co się stało? Pani Erna?

– Mam spotkanie z prezydentem.

– Z Kwachem? Zalewasz. Spotykasz się z Erną!
– Erna też tam będzie, u boku pana prezydenta.
– Więc ty wolisz jego ode mnie. Co się stało?
– Zadzwoił do mnie. Znamy się z Detroit. Stara historia – użyłem jej powiedzenia. – Trzydzieści lat temu rozwoziliśmy samochody. Zaczepiliśmy o ponad trzydzieści stanów.

– Musieliście niezłe rozrabiać. – Zaśmiała się.

– Mogło się zdarzyć. Wypiliśmy sporo piw.

– A wódki?

– Wszystko mogło być. On był młodzik, dwadzieścia dwa lata, ja już po trzydziestce, żonaty z Gladys – chyba przydałem mu się jako przewodnik po naszym dzikim kontynencie.

– Nie mów tak!

– Matti, zjrzyj do swojego kalendarza i zaproponuj nowy termin.

Usłyszałem, że w tym tygodniu już się nie zobaczymy, na weekend wyjeżdżają w góry. – Służbowo? – Z mężem. – Czyli służbowo. Jadą we troje, bo i z Anulką, do Zakopanego, a może w Bieszczady, jakoś mi to przeleciało koło ucha, pewnie dlatego, że z mężem, wszystko mi się poplątało.

– Napiszę do ciebie! – obiecała. Jak zwykle. Napisze albo i nie.

W tym samym dniu, w którym miałem być u prezydenta, zajechałem w samo południe na cmentarz komunalny na Powązkach, żeby pożegnać Henrykę, która widziała swoją śmierć w lustrze i tak się jej bała. Zmarła tydzień temu, kiedy ja w Berlinie miotałem się między szczęściem i udręką. Było może czterdzieści osób, nie więcej, zobaczyłem Barbarę i Jacka, objęliśmy się z nią bez słowa, oboje wzruszeni. Wysłuchaliśmy przemówienia starego polonisty, który współpracował z Henryką jeszcze podczas okupacji, przygotowywali potajemnie młodzież do konspiracyjnej matury, mówił o jej odwadze, dobroci i urodzie (a ja miałem przed oczyma jej wychudłą, siną twarz) – czysta prawda. Kiedy złożono tych kilka wieńców i wiązanek, położyłem i ja na kracie mogiły tych swoich pięć czerwonych róż i powiedziałem cicho, tak żeby nikt nie dosłyszał, tylko ona:

– No i widzisz, dziewczyno, nie było czego się bać.

Punktualnie o piątej stawilem się w pałacu prezydenckim. Myślałem, że Aleks od razu mnie przyjmie, że obowiązuje tu rygor czasowy – ale ktoś zabierał nasze cenne minuty, przedłużał swoje spotkanie, a prezydent

najwidoczniej nie umiał się go pozbyć. Młodzieniec w białej kurtce ze srebrnymi sznurami przeprosił za opóźnienie, wprowadził mnie do sali, z której można było przejść schodkami w dół do ogrodów pałacowych, wskazał na obitą wzorzystym brokatem ławeczkę, tutaj prezydent oczekuje gości zagranicznych, pouczył umundurowany urzędnik, dwa tygodnie temu siedział tutaj kanclerz Niemiec, a kilka dni temu pani, która jest doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa. Przyjąłem to z należyтым uszanowaniem. Usiadłem, zajrzałem do swojej książki, tej, którą chciałem mu ofiarować – *Three Big M: Machiavelli, Montaigne, Montesquieu* – no nie, nie będę sobie skracał czasu oczekiwania czytaniem własnej książki, wstałem i zacząłem się rozglądać po ścianach, jakieś przyciemnione pejzaże, raczej dość schematyczne, staw, a nad nim opadające gałęzie drzew, w oddali góra i wieża otoczona chmurami. Zegar barokowy na postumencie wskazywał dokładnie czas. Ciekawe, czy nakręca się go codziennie rano, czy też już wmontowano baterie, profanując jego zabytkowość. U podnóża marmurowego postumentu dwie walczące ze sobą, nagie postacie. Mężczyzna z wielkimi skrzydłami leży pokonany, ten młodszy go dobija. To chyba walka Jakuba z nasłanym na niego aniołem – po tej walce Jakub, zwycięski, choć ze złamanym biodrem, przybrał imię „Izrael”: „Wspomógł Bóg”.

Młodzieniec w białym mundurze odebrał telefon i zwrócił się do mnie: „Pan profesor jest proszony”. Wskazał mi drogę: schodami na piętro i na lewo. Serce mi trochę biło, kiedy wspinałem się do Prezydenta Rzeczypospolitej, którym od dziesięciu lat był mój kompan z Detroit, Aleks. Wyglądem mnie nie zaskoczy, bo czasem pokazywano go w telewizji, nawet amerykańskiej – ale czy on mnie rozpozna? Znalazłem się w sekretariacie: dwa biurka z zajętymi pracą paniami, mały telewizor nastawiony na program informacyjny. Jedna z pań za biurkiem odezwała się: – Jeszcze chwilkę. – I wskazała na drzwi w głębi sekretariatu. Otworzyły się i wyszedł z nich Aleks. Skronie w srebrze, tak jak się tego spodziewałem.

– To ty, Jeff? – odezwał się. Cofnął się trochę, żeby mi się przyjrzeć. – W porządku, rozpoznawalny.

Teraz otworzył ramiona, objęliśmy się. – Pozbyłeś się brody, jak widzę. – Tak, znudziła mi się. – On: – Wyszlachetniałeś. – Pozory – na to ja. On: – Ze mną to samo. – Ujął mnie pod ramię i rzuciwszy sekretarkom: „panie wybaczą”, wprowadził mnie do dużej sali, która była jego gabinetem.

Solidne biurko znajdowało się w głębi, pod ścianą (informacja, którą jestem winien potomności), mnie poprosił do okrągłego stołu bliżej drzwi, na którym stała karafka z wodą i kilka szklanek. Zerknął na zegarek.

– Mamy dwadzieścia minut. Sekretarki mnie załatwiły, kończę urzędowanie o północy. A rano lecę do krajów bałtyckich.

Tylko nie palnij tam czegoś, chciałem mu powiedzieć, ale nie powiedziałem. W oczach miał zmęczenie i coś w jego wizerunku nowego: chyba smutek.

– Zmęczony jesteś – zauważyłem.

– Taka profesja. Skarg się nie przyjmuje. Odpocznę trochę przy tobie.

Podąłem mu książkę.

– Machiavelli – powiedział, przyglądając się okładce. Pokiwał głową. – Za późno. Za kilka miesięcy mi się to kończy. Napiszesz tu coś?

Napisałem coś w rodzaju: „Panu Prezydentowi A.K. – jego przyjaciel” et cetera, nic mądrego. Spytałem, robiąc kolisty ruch ręką:

– Nie będzie ci tego brakowało?

– Jeszcze nie wiem. Tych złociń na pewno nie.

– Dziesięć lat w tych salonach...

– Ale czy to jest mieszkanie? Trochę jak wyrok: dziesięć lat pod nadzorem. Trudno o sentyment. To nie jest dom rodzinny – to tylko luksusowe miejsce postoj. I wymagające biuro.

– Może ci brakować wpływu na decyzje.

Chwilę milczał. (Co mu się rzadko zdarzało).

– Tak, może. Kiedy coś się robi, a ty myślisz, że zrobiłbyś to inaczej – i lepiej. Ale też, pomyśl, co za ulga, rano budzisz się – i nie musisz o niczym decydować, nie masz żadnego cholernego programu do wypełnienia. Pijemy sobie z Jolą kawę bez obciążeń.

– Czy ty się nie oszukujesz? – spytałem.

– No pewnie, nie wszystko jest takie radosne. Pożegnania. Zdarzało ci się czytać *Pana Tadeusza*? (Kiwnąłem głową). No więc, czuję się czasem, jak postać z tego poematu. Wszystko tam jest ostatnie. (– Także „ostatni, co tak poloneza wodzi” – zacytowałem). Dziękuję, Jeff, miły jesteś. Ostatnie wizyty, ostatnia zmiana warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Ostatnie przypinanie orderów. Ostatnie złościwości wrogich polityków. (Mylił się – na pewno nie ostatnie). Jakaś melancholia związana z tym jest. I czas na porachunki z samym sobą. Brak mi będzie zapewne tego, od czego się uwolnię. Tego zapracowania. Ale nie obecności w mediach. Nie tych

złośliwości, często insynuacji – nie o dziennikarzy mi idzie – idzie o paranoików, którzy dorwali się do mikrofonu, szczęśliwi, że mogą lżyć prezydenta... Nie, za tym tęsknić nie będę. Zresztą... – szukał słów. – Diabli wiedzą. – Z uśmiechem. – Bo czasem to właśnie było podniecające.

Po chwili:

– Jola... Rozumiesz, ona lepiej wie, co będzie robić, jak odczuwać. Kobiety mają to do siebie: łatwiej znoszą zmianę miejsca. Zresztą w jej przypadku ta zmiana nie będzie przecież gwałtowna. Przestaje być First Lady, ale nadal pozostaje sobą. A co u ciebie? Mów.

Poinformowałem go o rozwodzie z Gladys, o studiach w Moskwie, o Mirchon (wyczułem, że nie był zaskoczony), ani słowa oczywiście o mojej nietrafionej miłości. Pokiwałby z politowaniem głową: Jeff, w twoim wieku, daj sobie spokój. On:

– Gdybym wiedział, że zamiast polowaniem na urocze Latynoski zajmujesz się Makiawelem, poprosiłbym cię, żebyś został moim doradcą.

– Nie wiem, czy to byłby dobry pomysł.

Mogłem trochę pomędrkować, ale po co? – on to wszystko wiedział beze mnie. Natomiast ja nie wiedziałem pewnych rzeczy, o których wiedział on. Rozmawialiśmy przez kilka minut o problemach polityki zagranicznej, rozmowa była poufna, więc jej nie ujawnię. Może tylko zaznaczę, że nie zgadzałem się z nim w niektórych sprawach, ale odniosłem wrażenie – mówię to bez ironii – że on sam ze sobą się zgadzał.

Zegarek tykał niemiłosiernie. Zostały nam trzy minuty.

– Skoro tu jestem – powiedziałem – to chciałem cię prosić, żebyś mi w czymś pomógł.

I opowiedziałem w dwóch zdaniach, w jakiej sprawie przyjechałem do Polski i że mi się to jakoś łączy z odkrywaniem mordercy pośła Blaua.

– Pamiętasz tę historię? – spytałem.

Pamiętał. I to, że prokurator umorzył dochodzenie.

– I zginął w wypadku samochodowym – przypomniałem.

– Ostatnio też mieliśmy wypadek samochodowy z prokuratorem. – Z ulgą. – Ale żyje.

– Czy mógłbyś mi w czymś pomóc?

– O co chodzi?

Napisałem na karteczce: MARCIN NAHAJ.

– To był kochanek pani Blau – wyjaśniłem. – Chciałbym wiedzieć, co to za jeden. Chyba wystarczy wykonać telefon?

Uśmiechnął się.

– Nie, to nie jest takie proste. Kiedyś owszem – teraz już nie. Ale uruchomię to. Będziesz to miał.

– Dziękuję.

– Ktoś się do ciebie zgłosi.

– Aleks, czy może to być jakaś warta grzechu osóbka? Żeby powiedziała na przykład: Jest mi pan winien lody – zapomniał pan?

– Chyba masz rację, ostrożność nie zawadzi. Lody, bardzo dobrze, ja też jestem łasy na lody, chociaż Jola mi zabrania. Zaraz przekażę to Darkowi.

Nie wiedziałem, kto to jest Darek, ale zrozumiałem, że ktoś zaufany. Odprowadził mnie do drzwi. Tutaj zatrzymał się i powiedział, mrużąc oczy:

– Jeff, o ile wiem – wybacz, ale na moje biurko takie rzeczy trafiają – więc wiem, że jesteś przeciw Bushowi w sprawie Iraku.

– Zgadza się – potwierdziłem.

– A mimo to... – urwał.

– Mimo to – potwierdziłem. – Oni wiedzą, że odmienność poglądów nie ma tu nic do rzeczy. Jestem przeciw polityce wobec Iraku, ale nie przeciw Ameryce.

Objąwszy mnie, powiedział cicho:

– Boże, kiedy my do tego dojdziemy?

Zbliżała się siódma, słońce świeciło spoza dachów, ogrzewając wschodnią stronę ulicy, kiedy znalazłem się już na Wiejskiej. Ulica była pusta – wakacje – kręciło się dwóch zarośniętych, pociemniałych pijaczków – o tej porze ci warszawiacy, którzy zostali w mieście, śpieszyli do telewizorów, by się dowiedzieć, kto kogo nazwał przestępcą, kłamcą i oszustem i kto przewodzi w sondażach przed zbliżającymi się wyborami. Skądś znam tego jegomościa, myślałem, widząc zbliżającego się do mnie faceta z kluczykami od samochodu, które obracał wokół palca – kto to może być – dobiega sześćdziesiątki, prawie wysoki, wystający, okrągławy brzusek, jest w garniturze z krawatem, przy tym upale – no, no, przez rzadkie złotawo-srebrne włosy prześwieca różowość łysiny, uśmiecha się do mnie – zaraz się dowiem kto, zaraz w archiwum otworzy się klapka.

– Witam, panie profesorze – mówił, zbliżając się. Głos wesolutki. – Na długo pan do nas? Erna mi mówiła, że wspominaliście oboje pewną koleżeńską kolacyjkę na Saskiej Kępie. (Ach, Erna – już wiem). Erna była bardzo poruszona tym, że pan zadzwonił, że pan pamięta.

– Znalazłem kartkę z numerem telefonu – tłumaczyłem się, zupełnie niepotrzebnie. – Zadzwoiłem, bo to był bardzo miły wieczór.

– Piliśmy litewski suktinis, prawda?

– Zresztą pańska żona należy do kobiet, które się pamięta. – Ośmieliłem się powiedzieć: – Zawsze mi się podobała.

– Miło mi to słyszeć.

– A u pana co? – udałem zainteresowanie.

– Jakoś leci. Byłem ostatnio w Lipsku, Reclam zorganizował mi spotkanie autorskie.

Chciałem zapytać, czy spotkał się z Matyldą, ale nagle pomyślałem: milcz! Niech on gada! No i gadał.

– Mówiło się tam także o panu.

– O mnie? – Miałem prawo się zdziwić.

– No tak. Migot i jego żona. Migotowa się chwaliła, że redaguje panu książkę.

– Migotowa? Chyba się nie znamy.

– Matylda. Nie zna jej pan? Piękna kobieta. I ile w niej radości życia.

– I ma na imię Matylda? – Wciąż myślałem: może to nie ona, może to się odwróci.

– Tak, na pewno. Mówiła, że pisze pan dla wydawnictwa „Rakieta”.

– Ach, ona. Ona nie nazywa się Migotowa. – Usiłowałem być rzeczowy.
– Jakoś inaczej.

– Myślałem, że jest żoną tego malarza. No, na pewno są partnerami życiowymi.

– O ile wiem – mówiłem, starając się nie okazać zbyt dużej wiedzy – ona jest mężatką, żoną inżyniera. Z tego, co wiem – dodałem pośpiesznie.

Mąż Erny stuknął się palcem w skroń.

– Ojej. Zdaje się, że strzeliłem gafę. Ale ta zażyłość...

– Niech się pan nie przejmuje – uspokoiłem go. – Co u pana słychać? Zdaje się, że macie państwo posiadłość pod Warszawą?

– Jest coś. Może pan nas odwiedzi... Wie pan, nie jest łatwo uprawiać literaturę zaangażowaną. Koterie postmodernistów są nie do zwalczania. – Z uśmiechem. – Żałuję, że nie jestem gejem. Albo feministką. Podwieść gdzieś pana?

– Dziękuję. Mieszkam tu obok. Proszę pozdrowić panią.

Byłem jak należy. Jak prawdziwy WASP z przedwojennego hollywoodzkiego filmu, kiedy jeszcze nie pozwalano sobie na histerię. Na

pewno nie przyszło mu na myśl, że ta pani Matylda mnie cokolwiek obchodzi.

Migotowa. Nogi nie rozmiękły, pośpieszyłem do siebie, winda zajęta, schodami na drugie piętro – klucze, palce mi trochę dygoczą – spokojnie, nie trzęś się – zatrzasnąłem za sobą drzwi, z hukiem, jakbym chciał odrzucić wszystko, co mogło do mnie dotrzeć z ulicy Wiejskiej. Migotowa. Znalazłem w szufladzie cordipin, rozgryzłem go, bo jednak naczynia wieńcowe napierały na zębra – usiadłem w fotelu i... I popłynęły łzy. Niech płyną. To skuteczniejsze niż cordipin. Nie dusiłem szłochu – mogę się uzalić nad sobą, czemu nie, nikt nie widzi, chyba że Pan Bóg, jeśli nie ma akurat innych rozrywek.

Nie napiję się, postanowiłem jeszcze resztkami szłochu. Nie będę w takim zapomnieniu szukał ucieczki. Obmyłem twarz, rozgryzłem śliwkę w czekoladzie. Pić mi się chce, podniebienie suche, upał, a Kwach niczym nie poczęstował. Włączyłem czajnik bezprzewodowy („największy wynalazek dwudziestego wieku” – powtarzała Mirchon), zaparzyłem sobie herbatę. Uruchomiłem telewizor. HURAGAN KATRINA ZBLIŻA SIĘ DO NOWEGO ORLEANU. Wyłączyłem telewizor. Zbliża się – co ja na to poradzę? Próbowałem zapobiec rozstrzelaniu Gumilowa – i też się nie udało, rozstrzelali, nic mi się nie udaje. Migotowa. Siorbnałem herbaty, oparzyłem wargi. (Tylko je musnęła – i to wszystko). Jeff, spokojnie. Pomyśl: nic takiego się nie stało. Nic nowego. Jest, jak było. Nie zdradziła cię, nie porzuciła – nigdy nie była twoja. Była tam ze swoim kochankiem, no więc cóż, jej sprawa, przecież nie kryła, że ma kochanka, chociaż nazywała go „przyjacielem od kawy”. Migot, wzięty malarz, fascynujący mężczyzna, tak fascynujący, że mogłaby się w nim zakochać byle jaka smarkula. Możliwe, że w fascynacjach nie ma różnicy między dojrzałymi kobietami a smarkulami. Migotowa. Kochanek przestał być abstrakcją, kimś nienazwanym (jeśli się czegoś nie nazwie, to rzecz nie istnieje – mówili – chwileczkę, jak ich tam – „nominaliści”). Przedtem był to ktoś daleki, nieziemski – jak wysłannik bogów – bo tylko takiego mogła sobie wziąć. Teraz już wiesz i myślisz: więc to tylko ten? Już wiesz, komu oddaje swoje ciało, dla kogo rozrzuca nogi. Niby nic takiego się nie stało, a jednak się coś stało, kłamstewko, Reclam Verlag, świetne towarzystwo, szkolenie, dyskoteka – a przecież, Błazenku, smutno mi będzie, i tobie będzie smutno, bez Pieguski, smutno, prawda? – a wiesz, że mam najpiękniejsze pantofle

w Berlinie? – budzisz się i nie ma Pieguski – nie, nie wszystko jest w porządku.

Nieźle się sprawujesz, Jeff, myślałem, przeglądając notatki z korespondencji Gorkiego, z pamiętników Niny Berberowej, szykowałem je dla niej. W nocy obejmowałem Matyldę, szeptałem do niej, ona szeptała do mnie – Błazenku, rozkosznie ci? Prawda, że ci ze mną rozkosznie? Tylko do mnie ci stoi – nie możesz przestać mnie kochać, wiesz o tym dobrze, kochasz tylko Pieguskę. Nad ranem pomyślałem: jak to jest, że w ogóle nie wyobrażam jej sobie z tamtym, nie widzę jej nagiego ciała w objęciach mężczyzny. Ona z nim – z innym – to jest tylko moja wiedza – ale nie obraz, który by mnie dręczył. Dlaczego? Dlatego, że zawsze wpatrywałem się w jej oczy, chłonałem jej twarz, która była dla mnie jasnością, oto idzie ku mnie Radość, pięknie wyrzeźbiona, nigdy nie miałem jej w objęciach, ale była w jakiś istotniejszy sposób moja – men sen jachszy kuramán – uchłajmyz blan.

Potem znowu: Jeff, co się stało? Nic takiego się nie stało. Jest tak, jak było. Był niedosyt i jest – no, coś więcej niż niedosyt: odtrącenie stało się dotykalne. Mógłbyś je nazwać. Ale, chłopie, przyznaj, że w tym odtrąceniu była jakaś uczciwość: jestem z nim, więc nie mogę być z tobą. Nieuczciwe było to, że nie powiedziała mi: Jeff, zajmij się panią Erną, mam kochanka, to stara historia, ale wciąż aktualna, nic już nie zmienię, będę z nim w Lipsku, on tam ma wystawę, nie mogę z tobą lecieć do Berlina. Nie spała całą noc, chciało jej się płakać – przypomniałem sobie – nie było obok tego, za kim tęskniła, byłem ja, którego nie mogła wezwać. Poczula się skrzywdzona. Rozpamiętywała swoją sytuację życiową. Rozwieść się – być wolną – czy nie będę samotna? – iść do tamtego? Nie było w tych rozmyślaniach niszy dla mnie. Absolutny margines.

Tęsknię do niej, myślę, ale się z tym nie zdradzę. Nie wolno. Odtrącony, obolały, muszę to jakoś przetrwać, Sherlock Holmes musi doprowadzić zadanie do końca. Kanapka z ementalerem i małosolnym ogórkiem. Herbata. Telewizor. HURAGAN KATRINA ZAATAKOWAŁ NOWY ORLEAN. Nie pozwalają mi się martwić! Teraz dopiero rozpaczam. To nieludzkie – wciskają mi pod powieki dalekie nieszczęścia – i nagle stają się bliskie – krzyżące matki, którym utonęły dzieci – kocujący na dachach ludzie, szkielety rozwalonych domów, dobytek odpłynął. Huragan KATRINA jest przeciwko mnie – nie usuwa mojego bólu, tylko go degraduje. Patrzą na to zniszczenie, na oniemiałą rozpacz, i w oczach

wzbierają łzy. Już nie wiem, co mi je z oczu wyciska: mój ból, moja własna rozpacz – czy może trzęsienie ziemi, które dwieście pięćdziesiąt lat temu pochłonęło Lizbonę – a może te dzieci, które pędzono do komory gazowej, pędzono sześćdziesiąt lat temu, ale my je widzimy teraz, idziemy do gazu wraz z nimi i Matylda płacze. Wyłączam telewizor.

Mój wydawca przesłał mi wiadomość, że przelał na moje konto niezłą sumkę: ponad czterdzieści tysięcy dolarów, sprzedaż *Three Big M* idzie fantastycznie. Hurra, Matti – mamy pieniądze! Dziewczyno, poszalejemy! Mam ochotę przesłać jej SMS: „Kupimy najpiękniejszą torebkę w całej Europie Środkowej!”. Są pieniądze – a ja nie mam kogo tym ucieszyć. Po diabła on mi przysłał tę wiadomość. Zadepeszo wałem: „Daj na Nowy Orlean dwa tysiące”. „Okej, Jeff – odpowiedział. – Odliczymy Ci to od podatku”. Okaże się, że ta szczodrość jeszcze mi się opłaci. Można się wściec.

Rozmawiam ze sobą, jakby było nas dwóch: ten, który jej broni, i ten, który ją atakuje. Jeff – mówi obrońca – pomyśl, ona doprawdy nie ma obowiązku cię kochać, nikt takiego obowiązku nie ma; jeśli popatrzy sz na to rozsądnie... Tak, wiem, na pewno, ale... Czy to nie ty przekonywałeś ją, że kobieta ma większe prawa do obrony samej siebie, bo ma więcej do stracenia? Podkreśliłeś nawet coś w tym sensie w powieści Simmonsa *The Tracker of Affections* – przeczytaj ten kawałek, mówiłeś, odnieś to do siebie. Ale ona powiedziała, że tam są rzeczy niemożliwe. – Nieważne, pomysły pana Simmonsa nie odbierają mi mojego prawa do bólu. Nie byłoby tego prawa, gdyby nie poczucie UTRATY. Tak to chyba jest, kiedy nagle usuwa się grunt pod nogami, kiedy zapadasz się w grzęzawisko. Właśnie to czułem wtedy na Wiejskiej – Migotowa, piękna kobieta, wydawnictwo „Rakieta” – jego wesolutka twarz – grząski grunt, on nic nie widzi, ja pogrążam się powoli, głowa mi jeszcze wystaje, breja zalewa mi usta, uśmiecham się i pytam: a co u pana? Bo wprawdzie mnie nie zdradziła – ale zdradzona została nadzieja – że jestem kimś dla niej ważnym, jedynym, że wreszcie się tego dochrapałem. Każdy ma taką utopię, na jaką go stać.

Wystukałem SMS na komórce: DZIEWCZYNO, KIEDY CIĘ ZOBACZĘ? ZŻERA MNIE TĘSKNOTA. CAŁUJĘ. TWÓJ JEFF. Nadam. Dwa razy wystukałem OK. Brakowało tego trzeciego OK: polecenia realizacji. Poczulem podniecenie: słowo – afrodyzjak, miałem rację. Zawahałem się. Czy powinienem tyle wyznawać? Czy odpowie tęsknotą na

tęsknotę? Nigdy jeszcze tego nie zrobiła. Co tu jest ważniejsze: ona, kobieta daleka, zimna – czy też sama tęsknota? Niedosyt, ból, który mnie nęka, o to tu idzie, a nie o tę, która mnie odtrąca i spędza radosne chwile ze swoim kochankiem. Żal mi było tego SMS-a, słowa były prawdziwe, tęsknię, na pewno, zmienię adresatkę, niech zostanie ZŻERA MNIE TĘSKNOTA – bo zżera – CAŁUJĘ – po JEFF dodałem THOMPSON – niech ktoś otrzyma ten dowód mojej tęsknoty – kto? – Erna! – wysłałem SMS do Erny. Podniecenie trwało.

Zadzwoiła nazajutrz, wczesnym rankiem.

– Cześć, Jeff. Ciepło mi się zrobiło od tego esemesa. Naprawdę zżera cię tęsknota?

– Chwilami – odpowiedziałem ostrożnie. – Świat jest huśtawką – zacytowałem.

– Rozumiem. Przyjmuję, że tęsknisz za tą dziewczyną, która cię wtedy pocałowała?

– Innej nie znam.

– Akurat myślałam o tobie. Bo Zygmunt przekazał mi twoje pozdrowienia. Śmiał się, że wyznałeś, że zawsze ci się podobałam.

– Chyba ci to nie zaszkodziło?

– Nie, zupełnie, on to uznał za niewinne i nawet żartobliwe. Możemy swobodnie mówić, bo on jest teraz w naszej posiadłości – i korzysta z życia. Jeff, ta redaktorka – to ona?

– O czym mówisz?

– O tej, o której opowiedział ci Zygmunt. Czy to twoja wielka miłość?

– Dlaczego tak myślisz? Nic o niej nie wiesz.

– Bo Zygmunt mówił, że ciebie to w ogóle nie zainteresowało. Odgadłam w tym jakiś unik. Gdyby ci ta piękna kobieta nie była bliska, podnieciłaby cię sama plotka. „Co pan powie? A to dopiero!” Mam rację?

– Erno, jesteś niebezpiecznie przenikliwa.

– Kobietom z doświadczeniem to się zdarza. Popatrz, Jeff, jak to jest: przesadna dyskrecja czasem ujawnia to, co miało być ukryte.

Byłem gotów się zaśmiać.

– W dyskrecji także potrzebny jest umiar – potwierdziłem ja, badacz Montaigne’a. – Jak we wszystkim.

– Zygmunt wyraził się, że „strzelił gafę”. Sypnął panią inżynierową. Powiedz mi, mój drogi, kochany: czy to było bolesne?

– Ta nowina? Dosyć.

- Płakałeś?
- Dlaczego o to pytasz?
- Płakałeś? – upierała się.
- No, zdarzyło mi się.
- To mi się cholernie podoba. Żyliście ze sobą?
- Och, nie, skądże. Bliskość gastronomiczna. Szpinak i tak dalej. Usłyszałem aprobujący śmiech.
- Czyli ona jest w zasadzie w porządku?
- Mniej więcej – odpowiedziałem.
- Dlaczego tylko mniej więcej?
- Bo wydawało mi się, że jestem najważniejszy.
- Och, Jeff, to tobie się wydawało – nie jej. Ten malarz, kiedyś go widziałam w „Czytelniku”, raczej przystojny.
- Podobno namalował jej portret. Ale czy ona go kocha – nie wiem.
- To ja ci powiem, dlaczego ona stawia ci opór. Bo ona czuje, że gdyby uległa, to by skomplikowało jej życie. Że ty nigdy nie pogodziłbyś się z tym, że to tylko przelotny kaprys. Nigdy nie pozwoliłbyś jej odejść. A ona nic w swoim życiu nie chce zmienić.
- Bronisz jej.
- Staram się ją tylko zrozumieć.
- W każdym razie dziękuję.
- Jeff, nie wiem, czy ona cię kocha. Ale jestem pewna, że masz dla niej ogromne znaczenie.
- To mało – szepnąłem, rozmiękczony, znowu bliski łez.
- Jeff, a może klin klinem?
- Nie rozumiem. (Chociaż domyślałem się, co ona ma na myśli).
- Takie polskie powiedzonko. Poznam cię z pewną panią. Atrakcyjna szatynka po przeżyciach. Mogłoby wam ze sobą być dobrze.
- I ból by się zatarł?
- Czy nie o to idzie?
- Pocieszony. Spłynęło jak woda po gęsi. Czy coś się stało? Zdziwienie w pamięci. Jakieś niepotrzebne cierpienie. Wspomnienie o osobie obojętnej.
- Erna... – wydusiłem z siebie.
- Coś nowego?
- Nie wiem, czy to nowe. Ale...
- Mów!

– To jest warte cierpienia.

Milczenie w słuchawce. Czekam cierpliwie. I w końcu:

– Jeff, powiem ci coś: zazdroszczę ci.

– Jesus Christ! – wykrzyknąłem.

– I zazdroszczę pani Matyldzie. Powiem ci coś jeszcze: malarz nie jest wieczny. Może on sam się wykończy – i z dnia na dzień ona przestanie być nastolatką i będzie znowu kobietą.

– Czasem ją rozumiałem. Czasem myślałem sobie: przyczepiłeś się ze swoim uczuciem do bogu-ducha-winnej kobiety – tak to się mówi po polsku? – czy to jej wina, że tak się pograżyłś?

– Ale jej się to twoje uczucie podobało, Jeff. Mam rację?

– Czasem mogło się tak wydawać.

– Spotkacie się, oczywiście, i co jej powiesz?

– Nic.

– Ani słowa o pani Migotowej?

– Ani słowa.

– Pochwalam. Jednak jesteś przebiegły.

– Nie mam wyjścia – powiedziałem.

– Ona z ciebie nie zrezygnuje. – Westchnęła. – Ja bym nie zrezygnowała.

– Dodała z uśmiechem: – Skoro się nie roztyłeś.

Nie zrezygnuje. Nadszedł SMS: „Całusy od Pieguski”. Nie odpowiedziałem, nie umiałem nic wymyślić. Wertuję *Klima Samgina* – „Doża” wkrótce do tego zasiądzie, jest pod przymusem, nagabują go postacie, dziesiątki, setki nawet, pojawiają się przed snem, przemawiają do niego rankiem, podczas mycia zębów, golenia, świetnie się myśli podczas golenia, kiedy rozrabia się pianę (wtedy jeszcze rozrabiano pianę), także pod brzytwą, natrysk, najpłodniejsze myśli są pod strumieniem wody – to ja, Jeff Thompson, tak się zachowuję i przypisuję takie zachowanie, co za czelność, Gorkiemu, który czort znajet, może byt’ i wowsie nie upotreblajet dusza, natrysku, nie lubił go, wolał moczyć się w wannie, oni wtedy mieli w swoich apartamentach duże wanny, dwuosobowe co najmniej, więc on się moczy, a Mura, baronowa Budberg, szoruje gąbką, prawdziwą, z Morza Egejskiego, pokryte rudawą szczecina płecy. Poranna kawa, papieros, pojawia mu się panna Warawka, Lidia, czarnowłosa, śniada, chuderława, błyskotliwa dziewczyna, na której Klimowi tak zależy, ona droczy się z nim, odtrąca go – miłość, co wy widzicie w tej miłości, jej ciało nie marzy, jeszcze nie zna tego pragnienia – Klim nie może się

zdecydować, czy dziewczyna jest ładna, czy nie, wie, że jest inna, budzi w nim ciekawość, podnieca młodzieńczą ambicję, która objawia się w pożądaniu. Lidia ma własne myśli, które zaskakują i gorszą Klimę – złe myśli Aleksego Maksymowicza (moim zdaniem), te, które z siebie przepędzał. „To dziwne – mówi Lidia, a ja notuję do mojej księgi – że są ludzie, którzy potrafią myśleć nie tylko o sobie. Mnie się zdaje, że jest w tym jakieś szaleństwo. Albo coś sztucznego”. A to już na pewno spostrzeżenie autora, które przypisuje tej smarkuli: „Mnie się wydaje, że oni mówią o miłości do ludu z nienawiścią, a o nienawiści do władzy z miłością. Przynajmniej ja tak to widzę”. Ta Lidia dusi każdy zachwyty, nie podziwia natury, życia, wciąż wnosi pretensje. „Morze nie jest takie, jak myślałam. To po prostu wielka, ciekła nuda. A góry – to kamienna nuda”. Morze, według niej, „młaszczuje jak tysiąc świń”. Po powrocie z wakacji: „Nie rozumiem, dlaczego wszyscy się umówili, że Krym jest piękny”. Wszyscy wokół niej czytają książki, Klim też, Lidia (która też czyta, ale ukradkiem) buntuje się: „To dziwne przyzwyczajenie – czytanie. To jakby żyć na cudzy rachunek. (Ależ, panienko – chciałoby mi się wtrącić – często właśnie o to idzie). I wciąż się nawzajem przepytują: czytałeś, czytałaś, czytaliście?”

W końcu i ją pociągnęło do Klimy. Miał ją wreszcie, tego swojego upragnionego chuderlaka. Kiedy skończyli i Klim, usatysfakcjonowany, chciał ją pieścić i całować, usłyszał: „I to wszystko? Dla ludzi i dla zwierząt – to samo?”.

Dostaje SMS: „Dlaczego się nie odzywasz? Czy chcesz się spotkać?”.

Nie wiem, czy chcę się spotkać. Jeszcze nie teraz. Myślę: nie mogę żyć z tobą i nie mogę żyć bez ciebie. Muszę sobie od nowa powtarzać: nic się nie stało, nic się nie zmieniło. Komórka zabręczała. Jej zmatowiały głos:

– Witaj, tu Matti.

– Hej, Matti.

– Dlaczego nie reagujesz na mój esemes?

– Nic do mnie nie dotarło. – Kłamię. Ona czasem też kłamie. – Co w nim było?

– Pytałam, czy chcesz się spotkać. Jestem od wczoraj w Warszawie. Chcesz?

– Tak, chcę. (Bo wiem, że chcę).

– A może znowu ci Kwach przeszkodził? Powiedz prawdę. Bo jeśli nie chcesz...

– Chcę. – Znowu zawibrował znajomy prąd. – Ale w kawiarni – kapryśną, nie wiadomo dlaczego.

– Nie chcesz mnie widzieć w swojej chacie?

– Gospodyni będzie sprzątać.

Umawiamy się: ta sama kawiarnia, ta sama godzina, to samo zamówimy.

Ona, ożywiona:

– Przyniosę ci mój portret.

– Nie, nie przynoś. Nie będę mógł go zabrać.

– Dlaczego?

– Mirchon wydrapie mi oczy.

– Przecież to muzułmanka!

– Muzułmanki też wydrapują oczy.

– To sobie przynajmniej spojrzysz.

– Z góry wiem, że będę wolał oryginał.

Zaśmiała się.

– Skończyłam tego „Tropiciela uczuć”. Widzisz, wykonałam zadanie. –

Znowu: – Grzeczna dziewczynka?

Zapomniałem o tym, że ona lubi w sobie tę dziewczynkę i że obiecałem sobie to wykorzystać. Ale jakoś mi się nie udaje. Widzę w niej kobietę, młodą, nęcącą fizyczną dojrzałością.

– Piegusko... – szepnąłem, czując rosnące pożądanie.

– Do jutra! – zakrzyknęła i wyłączyła komórkę.

Minęło pół godziny i komórka zabrzęczała. Masz wiadomość. Odczytuję: CIESZĘ SIĘ NA JUTRO. PIEGUSKA. Chyba nigdy dotąd tak nie demonstrowała chęci spotkania. Czy jest niespokojna? Migotowa. Nic się nie stało, nic się nie zmieniło. JA TEŻ SIĘ CIESZĘ. TWÓJ BŁAZENEK. Na tym polega (między innymi) różnica. Ja nadaję „Twój”, z jej strony nigdy nie ma „Twoja”. Bolesne, ale uczciwe. Nie jest moja.

W kawiarni zająłem stolik pierwszy od wejścia, tuż przy oknie, usiadłem tyłem do sali. Nie spóźniła się. Pojawiła się roześmiana, no, promieniejąca, w dzinsach i w czerwonej bluzeczce w czarne kropki, nad obsypaną piegami obłością piersi złota rozetka, poderwałem się, ona mocno pocałowała mnie w policzek, chciałem zaprotestować: cmoknięcia zostaw sobie dla choreografa, ale nic nie powiedziałem, przez chwilę tuliłem ją do siebie, a ona, zanim usiadła, błysnęła ku mnie świeżą zielenią, by wybuchnąć:

– Tak się ucieszyłam, że cię zobaczę! Leciałam jak na skrzydłach!

Zaraz:

– Świetnie wyglądasz! – Głośno, niemal triumfalnie, jakby to było jej zwycięstwo: – Zeszczuplałeś!

A ja poczułem się, do cholery, szczęśliwy. Dopiero teraz siadła, spojrzała porozumiewawczo na młodą, atrakcyjną kelnerkę – pani już wie, co? – tak, cappuccino i stock, dla pana stock i herbata. Podałem Matyldzie grubo wypchaną kopertę z notatkami. Zajrzała do środka: – Nie próżnowałeś. – Kiwnąłem głową. Tylko ja jeden wiem, ile mnie to kosztowało. Spytałem:

– Wiesz, dlaczego usiadłem tyłem do sali?

– Skąd mam wiedzieć?

– Żeby cię nie skompromitować. Bo ja cierpię na chroniczne zapalenie spojówek, mogę zalać się łzami – i ludzie pomyślą, że to z twojego powodu. Lubisz, jak mężczyzna płacze z twojego powodu?

– Uwielbiam!

– To będziesz to miała.

Przypatrzyła mi się uważniej.

– Jeff, co z tobą? Jakiś jesteś niewyraźny. Stało się coś? Coś z Sherlockiem Holmesem?

Nie wie i niech się nie dowie. Dla niej nic się nie stało, wszystko jak przedtem, chociaż nie, niezupełnie, bo byliśmy w Berlinie, papierowi kochankowie, coś ze mną przeżyła. Dlaczego się z tym godzę? – myślałem z niechęcią do siebie. Dlaczego nie wybucham? Wiem dlaczego: bo ona chce zachować POZORY. To coś znaczy, także dla mnie, i to, że coś jeszcze nas łączy: spisek nieczystych sumień. Ciekawe, co Tamten wie o mnie? Że byliśmy razem – wie, na pewno. Ale chyba nie, że ja to pokrywałem. A może mu powiedziała i wtedy on – co on na to? – parsknął śmiechem zwycięskiego mężczyzny: ale frajer!

– Nie mogę sobie dać z tym rady – powiedziałem, usiłując zapanować nad łamiącym się głosem.

– To może wolisz, żebyśmy się nie spotykali?

Takie proste pytanie może zadać tylko osoba, która nie przeżywa rozterki, pomyślałem.

– Nie – powiedziałem. – Nie wyobrażam sobie tego. Nie potrafię. No widzisz – mówiłem zalany łzami. – Spojówki.

Chwilę pozwalałem łzom płynąć, potem wyjąłem czystą papierową chusteczkę i osuszyłem oczy.

– Okulistka twierdzi – paplałem – że nie należy się tym przejmować, łzy są zdrowe, oznaką choroby jest raczej suchość oczu. – Słuchała tego z uśmiechem, a ja, broniąc siebie, nie ustawałem w gadaniu: – Pewnie sobie myślisz, co to za chłop, co ma oczy na mokrym miejscu? I jeszcze z Indianapolis, tam na pewno nie leją łez. Otóż nie, powściągliwość emocjonalna to jest nakaz ostatnich czasów, wymagało się jej od oficerów imperium brytyjskiego, biały człowiek nie miał prawa ujawniać słabości – miał być mocny, twardy, budzić respekt. Bohaterowie Homera płakali, bogowie na Olimpie płakali i herosi biblijni – Absalomie, synu mój – i Jeremiasz płakał – i Jezus zapłakał, lacrimae Christi – i rycerze średniowieczni lali łzy, wszyscy ci Rolandowie, Tristanowie, pewnie i Lancelot, nie ukrywali swoich emocji, dawali im wyraz, łzy były w cenie, Jagiełło i Witold to byli twardziele – no nie? – a objąwszy się, płakali rzewnie, kiedy w zatargu z zakonem krzyżackim nadszedł z Rzymu niepomysłny dla nich wyrok. (– Jagiełło i Witold? – wtrąciła – czy to możliwe? – Pewne – odpowiedziałem). Łzy są w madrygałach poetów baroku, a potem Rousseau, cierpienia młodego Wertera, romantycy – no i mój Gorki z Tołstojem – wzruszali się do łez.

– Dziękuję za wykład – powiedziała i cmoknęła mnie. – Kiedy myślę o tobie, wiesz, co czuję?

– Że mnie kochasz.

Uśmiechnęła się:

– Wszystko może się zdarzyć. – Uśmiezek, jakby nie wierzyła w to, że może się zdarzyć. – O co innego mi chodzi. Że jestem dumna.

Dumna, dziwne. Może tak zareagowała jakaś koleżanka. A może ten choreograf. Milczałem. Nie nadawałem się do tego, by o czymś takim słyszeć. Nie byłem z siebie dumny.

Matylda przywołała kelnerkę. Jeszcze po stocku. Sącyłem go powoli. Nie będę mówił o Migocie, ale jest pewna sprawa... Czuję niepokój – ze względu na nią.

– Ci twoi przyjaciele od kawy... Mam na myśli tego malarza i tego drugiego fascynującego pana...

– Znowu jesteś złośliwy.

– Oni piją, Matyldo. Szczególnie ten malarz.

– Mateusz? Nic podobnego – zaprzeczyła stanowczo.

– Nie zauważyłaś?

– Ani trochę. Nie więcej niż my z tobą.

– Słyszałem o tym inaczej. – Nie zmyślałem, tak mówiono. – Skończysz z nimi jako stara pijaczka. To najgorsze, co może spotkać kobietę. Poniżenie kobiecości.

Wypiła tego drugiego stocka jednym haustem. Taką poczuła potrzebę – rozmowa chyba drażniąca – na granicy prawdy i kłamstwa.

– Mnie to nie grozi – powiedziała stanowczo.

– Więć dobrze, zamknijmy ten temat.

– Zamknijmy – zgodziła się.

Zdaje się, że ją to zastanowiło: czy on coś wie? Ja:

– Jeśli się czegoś nie porusza, to tego nie ma. Więć pewnych spraw nie poruszajmy. Nie będzie ich między nami.

I tym razem się zgodziła.

– Masz rację. Błazenek jest wielkim mądrałą.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka. Numer nieujawniony.

– Odbierz – zezwoliła Matylda. Wstałem i wyszedłem na korytarz.

– Słucham.

– Jeff? – usłyszałem rozradowany głos.

– Jeff.

– Tu Maryśka!

– Bardzo się cieszę. Ale jaka Maryśka?

– Ach, toś ty taki? Podrywałeś mnie przy lodach – i już nie pamiętasz!

– Maryśka, przy lodach, naturalnie, pamiętam. Lody były pistacjowe i jagodowe.

– Obiecałeś, że mnie zaprosisz!

– Pamiętam. Ale tym razem proszę o truskawkowe. (Truskawkowe są z daleka bardziej widoczne).

– Truskawkowe, fajnie, ja też takie wolę. Jutro przy kiosku obok parku Ujazdowskiego – wysłuchałem polecenia.

Ustaliliśmy godzinę i wróciłem do Matyldy.

– Kto to był? – spytała.

– Maryśka.

– Poderwałeś jakąś Maryśkę? Mam sobie odejść?

Ta zazdrość jest częścią jej zabawy. Odrobina zazdrości może i przebłyскуje, ale gdybym naprawdę miał jakąś kobietę – bez zakochania, dla wymiany usług – specjalnie by jej to nie obeszło.

– Nie odchodź – mówię surowo – zamówimy omlet ze szpinakiem.

– Nie chcę omletu. Co to za Maryśka?

- Nie wiem.
- Randka w ciemno?
- Niezupełnie. Ma dla mnie pewną wiadomość.
- Czy to ma związek z Sherlockiem Holmesem?
- Tak.
- I może z Kwachem?

Zaczyna kojarzyć. Stop. Wyhamuj.

- Pana prezydenta proszę w to nie wciągać.
- Ale ty robisz swoje, prawda?
- Nie mam wyjścia.

Gładziła czule moją dłoń.

- Błazenku, twarżesz z siebie.
- Mimo łez?
- Właśnie dlatego. – Zerknęła na komórkę. – Muszę lecieć.

Jak na skrzydłach? Brzydkie podejrzenie wpełzało we mnie. Czy nie służyłem czasem za alibi? Gdzie byłaś? A ona na to: Z panem Thompsonem, kupa roboty.

– Dziesięć minut – poprosiłem. Pokręciła głową. – To siedem. – Kiwnęła głową. – Dlaczego uważasz, że w „Tropicielu uczuć” są rzeczy niemożliwe? Na przykład co?

– Na przykład ta sprzątaczką. Nocowała u chorego Stanleya – i to za zgodą męża. To niemożliwe. Gdybym ja nocowała poza domem, mąż by się ze mną rozwiódł. (A Berlin? A Londyn? A Rzym?) I w ogóle, ten epizod ze sprzątaczką. On, profesor – z uśmiechem – tak jak ty, i ta prosta kobiecina. Przyznaj, że to niemożliwe.

– Matti – powiedziałem – co się z tobą dzieje? Gra uczuć to nie jest giełda, gdzie się ocenia wartość akcji. I co z tego, że sprzątaczką? Może więcej warta, nie tylko fizycznie, od pań redaktorek i profesorek. U was panowie szlachta wydzielali sobie wsie dla jakiejś prostej dojarki, która swoim wdziękiem ich oczarowała! Zapomniałaś o tym?

Ona milczała. Ja, poirytowany:

– Tłumaczysz, redagujesz i pewno wytworzyło się w tobie takie zawodowe skrzywienie: że wszystko wiesz lepiej.

– Ależ, Jeff... Przecież nie od ciebie!

– Od autora. Autor to jest taki ktoś, kogo ty przyłapujesz na błędach i musisz go przed nimi ratować. Jest coś takiego?

Uśmiech.

– No, może...

– Trzeba czytać z większą pokorą. Jeśli w książce coś ci się wydaje niemożliwe, to znaczy, że napisanie jej miało sens – po to ona powstała, by pokazać coś innego, coś, czego sama nie doświadczyłaś. Nie zakładaj z góry, że ty wiesz lepiej. W ogóle myślę tak. Rozmijanie się autora z doświadczeniem czy odczuciami czytelnika bierze się stąd – trzeba to głośno powiedzieć – że pisarz nie jest reprezentatywnym samcem, jest człowiekiem o szczególnej wrażliwości, cienkoskórym, raczej refleksyjnym. Stąd czasem zdumienie czytelnika: dlaczego on aż tak cierpi, dlaczego nie wyrwie jej po męsku z serca? Ten wrażliwiec jest, rzecz prosta, kiepskim materiałem na męża i być może dyskusyjnym na kochanka. Kobieta w końcu pragnie mężczyzny o pewnych przyjętych walorach – i znajduje kogoś innego. Być może, taki mężczyzna, w zderzeniu z realiami życia, skazany jest na cierpienie, jest ono wpisane w samo szczęście jego miłości.

Matylda spojrzała na komórkę.

– Dziękuję za kolejny wykład. Jeszcze trzy minuty.

– Cztery.

– Okej, cztery. Więc dobrze, może ja jestem zazdrosna o te kobiety, które przewinęły się przez tapczan Stanleya. Jakaś podświadoma zazdrość.

– Ale on cały czas kocha jedną – tę, która go porzuciła. I wciąż ma nadzieję, że ona do niego wróci.

– Z tym właśnie nie mogę się pogodzić. Przecież ona nie jest warta aż takiej miłości!

Dlaczego ona nie przymierza tych teoryjek do swoich własnych doświadczeń? Dlaczego nie odnosi tego do siebie? Dlaczego? Bo ja to co innego. Dla siebie ludzie mają więcej zrozumienia.

– A czy ja mogę kochać ciebie? – W moim głosie był żal i może nawet odrobina gniewu. – Opowiedz komuś, jak wyglądają nasze stosunki, opowiedz prawdę – nikt w tę miłość nie uwierzy. A przecież ona jest.

– Naprawdę jest? – spytała, spoglądając kokieteryjnie z ukosa.

– Bez wątplenia.

– Świetnie. (Cmok) Jeff, co ja jadłam w „Fischergalerie”?

– Mule.

– Nie mogłam ich dojeść. A zupełnie pamiętasz?

– Z homara.

– Cudowności. A wiesz, że...?

– Wiem: najpiękniejsze w środkowej Europie!

– Odgadłeś! I ty grałeś dla mnie na trąbce. Jeff, przeżyliśmy coś niezapomnianego. Coś, co w nas zostanie – entuzjazmowała się.

Nie, nie opowiem jej o tej forsie, która na mnie spłynęła, nie krzyknę: Matti, szalejemy!

– Nie – powiedziałem – niewiele zostanie. Wyjadę i zapomnisz o mnie. I ja o tobie.

Wzburzyła się.

– Co ty wygadujesz!

– To, że obracamy się w kręgu słów. Wirtualne całusy, Błazenek, Pieguska. Słowa to tylko słowa. Wycierają się jak zapis ołówkiem. Pamiętają zmysły. – Nie byłem pewny, czy tak jest, ale przypuszczałem, że raczej tak. – Palce, wargi. Rozkosz cielesna. Nie dopuściłaś do tego. Pytałem raz pewną pianistkę, która już dziesięć lat nie grała, bo zżerała ją trema, a ona po tych dziesięciu latach przerwy zagrała dla nas „Polonaise Impromptu”, utwór trudny: „Pani to pamięta?” A ona na to: „Ja nie pamiętam, palce pamiętają”. Pomyślałem wtedy, że wszystko u nas się zatrze. Twoje ciało to by był ten cudowny instrument, którego moje palce by nie zapomniały.

Jej spojrzenie było pełne politowania.

– Gaduła!

– Nie autorytet?

– Pleciesz. Daj buzi! Lecę.

Muśnięcie ust. Już miała odfrunąć, kiedy zawołałem za nią:

– Nie odchodź! Muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

Zatrzymała się między stolikami. Grubas mocujący się samotnie z figurami na szachownicy podniósł wzrok, kiedy usłyszał jej stanowcze:

– No to mów!

– Muszę cię uprzedzić, że nie jestem masochistą. Ani fizycznym, ani duchowym. Pamiętaj o tym. Jestem normalny, to znaczy przeciętny. Freud nic by ze mną nie uzyskał.

Nie wiem, czy dotarł do niej sens tego, co powiedziałem.

– Odprowadź mnie do samochodu – poprosiła. Rzadko to się zdarzało, kiedy byliśmy w kawiarni, ona pędziła (Anulka czeka!), a ja zostawałem chwilę przy stoliku, żeby uregulować rachunek. Podała mi ramię. Poczulem w łokciu ciepło, rozczulającą bliskość jej ciała. Piegusko, pomyślałem,

jednak cię kocham, a raczej nic nie pomyślałem, poczułem tylko, że jest mi dobrze. Jednak powiedziałem:

– Nie wzięliśmy ze sobą ślubu, Matti. Będziesz mnie miała dosyć, to powiesz: Jeff, mam cię dosyć.

Doszliśmy do samochodu. Koniec tchnącego rozkoszą ciepła. Kluczyk pisnął dwa razy. Matylda otworzyła drzwi.

– Nie mam cię dosyć – powiedziała.

Kiedy usiadła, opuściła szybę i uśmiechnęła się.

– Następnym razem musisz mi dać kwiaty!

Uśmiechnięta, szczęśliwa – mogła sobie pogratulować, do najtrudniejszej rozmowy nie doszło, do wyrzutów, tłumaczeń, wykrętów. On nic nie wie! – pomyślała i mogła odetchnąć z ulgą.

21

Stała przy przeszklonym kiosku, trzymając wysoko w górze, tak żeby były zauważalne z daleka, dwa rożki z lodami: truskawkowe i waniliowe. W niczym nie przypominała miss MacLaren, nie wyglądała na harcerkę: pulchna, piersiasta młoda kobieta w spódniczce mini opinającej tęgie pośladki; krótkie, mocne nogi na wysokim obcasie, czarne włosy obcięte tuż nad szyją, spoza okularów błyskały czernią małe, roześmiane okrągłutkie oczy, w ogóle buźka milutka, pulchne wargi (tak zwane w Polsce „usteczka”), niewielki nosek, nieco zaokrąglony. Świetny kamuflaż, jak na oficera wywiadu, którego się spodziewałem.

– Maryśka! – wykrzyknąłem i cmoknąłem ją w pulchne policzek. – Ładnie pachniesz!

Podawała mi rożek.

– Dobrze, że jesteś punktualny – powiedziała – boby mi się lody roztopiły. – Uścisnęliśmy sobie dłonie. – Zapraszam do parku.

Usiedliśmy na ławce w cienistej alei, wokół naszych stóp podskakiwały upasione gołębie, czekając zapewne na okruchy.

– Grażyna – przedstawiła się, patrząc przed siebie. – Wszystko, co powiem, proszę zapamiętać. Żadnych notatek.

– Rozumiem.

Przez chwilę lizała starannie lody. Ja swoje zdążyłem już pochłonąć.

– Nie mam dla pana dobrych wiadomości – zaczęła, wpatrując się uważnie w podskakującego gołębia, zupełnie jakby chciała sprawdzić, czy nie uprawia podsłuchu. – Ten osobnik, o którego pan pytał, Marcin Nahaj, nie może być o nic podejrzany – to nasz człowiek. Z wywiadu.

Pomyślałem sobie, że to nie jest taka zła wiadomość, ale wolałem się z tego nie zwierzać.

– Dawno u was? – spytałem.

– Od szczeniaka. Mógłby przejść na emeryturę. Najpierw, jeszcze jako student, był w Bezpieczeństwie. Pseudonim „Szwagier”. Zapamięta pan?

– Na pewno. Czyli w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym...?

– Był tajniakiem. Zdaje się, że zrobiło to na panu wrażenie.

– Tak, zrobiło – przyznałem.

– Chciał go pan dopaść, a okazuje się, że to nie ten trop.

Tajniak przystawiony do posła, który im przeszkadzał. „Szwagier”. Powiem jej coś niecoś, ale nie od razu. Tak, byłem pod wrażeniem: coś się we mnie otwarło, w moim mózgu, dotąd rozchybotanym, a teraz, dzięki tej informacji – tajniak „Szwagier” – nagle zdyscyplinowanym, rozumowałem ściśle, z wyobraźnią (bo w tym ścisłym rozumowaniu potrzebna jest i wyobraźnia), fakty nizały się jeden na drugi, jak ogniwa łańcucha, dedukcja stawała się nieubłagana.

– Zweryfikowano go? – spytałem.

– Uznano, że jest przydatny i nie powinien opuszczać tajności. Przepytywano go w związku ze śmiercią posła Blaua – był z nim zaprzyjaźniony – ale nie wniósł nic do sprawy.

– Prokurator umorzył śledztwo – przypomniałem.

– No widzi pan.

– I zginął w katastrofie samochodowej.

– Katastrofy się zdarzają. Sądzi pan, że w tej ktoś był zainteresowany?

– Nie tylko ja tak sądzę. Czy teraz pan Nahaj jest w wywiadzie?

– Tak, od czasu, jak zaczął pracować w biurach podróży. Teraz ma własne.

– I nadal „Szwagier”?

– Miał jeszcze zapasowe ksywy. Przykro mi, że pana rozczarowałam.

– Pani Grażyno, nie rozczarowała mnie pani. To, co pani mi udostępniła, to całkiem niezła wiadomość. Pseudonim „Szwagier” – a wie pani dlaczego?

– A pan wie?

– Domyślam się. Zajmował się żoną posła Blaua. Był jej kochankiem.

Rozkruszyła pozostałości rożka dla gołębi.

– Tego w aktach nie znalazłam.

– Może nie było. Może usunięto. W każdym razie sypiał z nią za wiedzą służb.

Westchnęła.

– Miałam wtedy dwanaście lat. Ładna była kobieta?

– Nie musiał się poświęcać.

– Znał go pan? – spytała.

– Pobieźnie. Przystojniak z bujną czupryną. Podobno roztył się i wyłysiał.

– Podobno? – powtórzyła za mną. – Więc pan się z nim nie widział?

– Nie musiałem.

– Rozmowa mogłaby go spłoszyć?

– Cenię w pani fachowca.

– Dziękuję. Co pan teraz zamierza?

– Są dwie sprawy do załatwienia. Aha, czy pani jest śledzona?

– Wszystko być może.

Objąłem ją ramieniem, dotknąłem ustami pyzatego policzka i szepnąłem do ucha:

– Kręci się tu jakiś dziwny suchotnik.

– Widzę. – Podała mi usta. – Całujemy się.

Facet chwilę się nam przyglądał, ale nagle uznał najwidoczniej, że może zachowuje się niewłaściwie, bo podniósł się powoli ze swojej ławki i oddreptał sobie.

– Odszedł – powiedziała moja „Maryśka”.

– Szkoda – na to ja, jak przystało na dżentelmena. – Dobrze było.

Nie podjęła tematu. Spytała rzeczowo:

– Jakie sprawy?

– W końcu sierpnia dziewięćdziesiątego roku wyłowiono z jeziora w Mikołajkach topielca. Podobno student historii. Trzeba by sprawdzić w aktach. Kto to był? Czy aby na pewno samobójstwo?

– A co to ma wspólnego z naszym „Szwagrem”?

– To, że on tam wtedy był, w Mikołajkach, podczas tego turnusu, i to z panią Blau, którą pocieszał po utracie męża.

– Cholerna historia – na to pani Grażyna. – Skąd pan o tym wie?

– Od jednego gościa, któremu kobiecie urok pani Blau nie dawał spokoju.

Pojechał za nią do Mikołajek.

– Dobrze, zajmiemy się tym. Koniec sierpnia? Okej, prosta sprawa.

– Chodzi o to, czy denat, jak to się u was mówi, mógł być kolegą naszego tajniaka.

– Myśli pan, że wspólnik?

– Ktoś kompromitujący.

– A druga sprawa?

Zabrzęczała moja komórka: SMS. Zerknąłem na panią Grażynę i spytałem:

– Można?

– Proszę.

Odczytałem: JAK TAM TWOJA LESBA? CAŁUJĘ. PIEGUSKA.

Odpowiedziałem: CAŁKIEM MIŁA, CIEPŁA PANIENKA. DZIĘKI ZA PAMIĘĆ. BŁAZENEK. Nacisnąłem „OK” i zwróciłem się do pani Grażyny: – Przepraszam.

Znak ręką, że nie szkodzi, proszę. I znowu to samo pytanie:

– A druga sprawa?

– Dotyczy imama Ibn Jusufa. Prowadzi agresywną agitację.

– Obserwujemy go. Chyba trzeba będzie go wydalić.

– Pani Grażyno, zaczekajcie z tym, proszę o małą prowokacyjkę. Rozpuśćcie pogłoskę, że imam ma być aresztowany.

Pokręciła głową.

– Nie ma podstaw prawnych, żeby aresztować. Możemy go tylko ekspulsować – jako uciążliwego cudzoziemca.

– Idzie o przeciek informacji – wyjaśniłem. – Od was. Za pieniądze – sprecyzowałem – nie dla jakiejś głupiej idei. To jest sprawa, która nas interesuje.

Dziewczyna gryzła wargi. Przyznała, najwyraźniej z ciężkim sercem:

– Za pieniądze, tak, to prawda. Są tacy. Sprzedadzą wszystko, co się da. Każdemu. Jak pan to sobie wyobraża?

– Powiedzmy, że zapadła poufna decyzja o aresztowaniu imama. I niech pan Marcin Nahaj zostanie o niej poinformowany.

– Sądzi pan, że on go o niej uprzedzi?

– To facet, który dla pieniędzy dużo zrobi. Trzeba sprawdzić, jak się zachowa Ibn Jusuf. Czy to do niego dotrze, czy nie.

– Załatwię to – powiedziała Grażyna.

Nieżle to brzmi, pomyślałem. Załatwi. Ma poczucie władzy.

– Wie pani już, kto powinien być pod obserwacją?

– Obaj.

Powiedziała to porywiście i stanowczo. Ciekawe, jak by nam się z taką kobietą żyło. No, Gladys nie była dużo łagodniejsza, też się nadawała na oficera wywiadu, chociaż nie od razu to się ujawniło, w narzeczeństwie była miluchna, słodka kicia, a później...! A Mirchon? Mogłaby być komendantem policji. A Matylda? Matylda – nie, jej odpowiada zabawa w niegrzeczną dziewczynkę, branie klapsów w gołą pupę, oczywiście czułych klapsów. Żeby się z tego pośmiać. Powiedziałem:

- Jest ktoś trzeci do obserwacji. Pan Anatol Sianko.
 - Ten redaktor?
 - Pani o nim słyszała? To dla niego zaszczyt.
 - Niedobra sprawa. Z dziennikarzami zawsze są kłopoty. Wolność słowa i tak dalej. Co pan sądzi o wolności słowa?
 - Jestem entuzjastą – powiedziałem. – Ale jeśli opinia jest opłacona, to chyba tak zwana wolność słowa ma z nią niewiele wspólnego.
 - Domyślam się, że interesuje pana ewentualny kontakt pana Sianki z panem Nahajem. To wszystko?
 - Teraz to już prawie wszystko.
- Rozejrzała się.
- Żegnamy się tutaj. – Ton rozkazujący. – Proszę mnie nie odprowadzać.
 - Pani Grażyno... Coś osobistego.
 - Do usług – powiedziała.
 - Jestem na podsłuchu. To mi przeszkadza.
 - Każę zdjąć z pana podsłuch.
 - Dziękuję.
 - Coś jeszcze?
 - Dziękuję za lody.
 - Muszę panu wyznać, że nie lubię truskawkowych, ale skoro pan sobie życzył... Jak będę miała nowe informacje, to pan postawi. Hej!

Rozstaliśmy się: ona szybkimi, krótkimi kroczkami pośpieszyła w stronę placu Na Rozdrożu, ja skierowałem się w przeciwną stronę, do Pięknej.

Moja misja zbliża się do końca. Wiem już dużo, prawie wszystko. Co dalej? Zostawić ją? Uciec? Ugodzony w samo serce, pomyślałem, zaraz roztkliwię się nad sobą. Otworzyłem tom korespondencji Gorkiego – już stamtąd, z emigracji. Berlin 1923, pisze do młodziutkiego Kawierina: „Drogi panie Zylberg! (Naprawdę nazywał się Zylber, ale Aleksy Maksymowicz wbił sobie to końcowe «g» do głowy...) Czy Pana chwałę, czy ganią, powinno Panu być obojętne”. (Łatwo to mówić, jak się jest Gorkim). Zaproponował mu druk prozy w wydawnictwie „Kniga”, „część honorarium będzie Panu przekazana niezwłocznie”. Łowca i protektor talentów udziela młodziutkiemu prozaikowi rad, jak ma pisać swojego *Szulera*. Opamiętuje się jednak: „Zresztą niech mnie Pan nie słucha!”. Dopytuje się (jak zwykle): „Ciężko Panu? Nie potrzebuje Pan pieniędzy? Mógłbym się o nie wystarać”. Zawiadamia swojego nowego

korespondenta: „Jutro jadę do Czechosłowacji, w Tatry, mam recydywę gruźlicy, pluję krwią”.

Następny list do Kawierina nie jest już taki ciepły, koniec pieśszot, bo jest książka, mówmy o niej. „...pochwalić Pana nie mogę (...). Język Pana jest ubogi, pospolity, bezbarwny i często prawie psuje całą Pana grę”. Dalej o sobie: mieszka w Marienbadzie, w hotelu „Maxhof”. Jest po sezonie, „dwie trzecie domów stoi pustką, z zamkniętymi okiennicami, a ja, Chodasiewicz (i oczywiście Nina, o której brak wzmianki) i moja rodzina mieszkamy sami w trzypiętrowym budynku...”. Kawierin, ten smarkacz, odszczekuje się: „Pisze Pan o bycie, o tym, że życie codzienne dostarcza cennego materiału (...) Rada ta, proszę mi wybaczyć, nie jest nowa...”. Aleksy Maksymowicz nie ma zwyczaju się obrażać. Radzi Kawierinowi zająć się samym sobą – artystą. „To jednocześnie bardzo dobry bohater. Wszystko, co napisał Lew Tołstoj, napisał o sobie, tak samo jak Puszkina, Szekspir, tak samo jak Goethe”. Kończy: „Chodasiewicz przesyła Panu pozdrowienia, Berberowa również”. Mieszkają, co Nina często będzie przypominać, „pod jednym dachem”.

O tej zimowej przeprowadzce do Marienbadu jest też w liście do Michaiła Priszwina (wirtuoza opisów przyrody): „A ja przeprowadziłem się z głodujących Niemiec do sytej Czechosłowacji i uważam, że syci żyją nudniej niż głodni”. (Priszwin pewnie pomyślał: „No cóż, chętnie się trochę ponudzę”). „Głodu zaś duchowego – zauważa Gorki – jak i wszędzie indziej, gdzie przebywam, nie daje się odczuć”.

Nina chyba lubiła tę zimową pustkę w Marienbadzie, wspomina, jak wybrali się saniami do kina w siedmioro; panowie: Gorki, jego syn Maksym, Chodasiewicz i malarz Rakicki – w otoczeniu pięknych pań: Mura wtulona w ramię Gorkiego, ona, Nina, roześmiana, na swój sposób szczęśliwa, i Nadieżda Pieszkowa, urocza żona Maksyma, już wtedy nazywana Timoszą. Nina przywołuje tytuł *Ostatni dzień Pompei* (oglądałem to w Indianapolis w Muzeum Kina) i komedijki Maxa Lindera. Mógł też być jakiś ekspresjonistyczny film niemiecki, to kino przeżywało wtedy swój szczytowy okres. Osip i Nadia Mandelsztamowie, którzy nie chcieli emigrować (Brikowie, to znaczy Osip i Lila, którą kochał i czytał wierszami Majakowski, wytykali im, że są „emigracją wewnętrzną” – ta para wynalazła to pojęcie), z trudem przebijali się do druku i do łyżki stawy. Osia zdobył się nawet na to, że wymęczył krytyczny artykuł o swojej przyjaciółce Annie Achmatowej, „chciał wyjść z izolacji”, tłumaczyła go

w swoich wspomnieniach Nadia, w kilka lat później odważnie się tego artykułu wyrzekł. W 1922 roku dwukrotnie wypowiadał się po stronie Salieriego przeciw Mozartowi, co władzom powinno się być spodobać – natchnienie, genialność nie mogą usprawiedliwiać kapryśnej spontaniczności – Osip był apologetą rzemiosła, pracował nad wierszem miesiące całe, podczas gdy Nadia głodowała.

Po latach, któregoś wieczora, pierwszego maja, kiedy byli w pensjonacie skierowani tam przez związek pisarzy (Nadia później twierdziła, że była to zastawiona pułapka), a ona wyrzucała mu, że jest szalony, że niepotrzebnie się naraża i kiedy on, skruszony, obiecał, że już więcej nie będzie, odtąd postara się być ostrożny, właśnie wtedy zapukali do drzwi enkawudziści. Nigdy nie mogła sobie wybaczyć, że w tę noc, ostatnią ich wspólną noc, dręczyła go wyrzutami. Zapamiętała jeszcze, że enkawudzista użalał się przed nią nad swoim losem: „Widzicie, jak to jest – pierwszy maja, ludzie świętują, bawią się, a my przy pracy”. – Wzdychał: „Przeciążenie”.

Nareszcie „Doża” może pisać! Pracuje rankiem nad powieścią *Artamonow i synowie*, potem redagowanie cudzych maszynopisów, stale z czerwonym ołówkiem w ręku. Nina zauważa, że on nie umie się powstrzymać od robienia poprawek, nawet na wydrukowanych książkach. Ledwie ktoś wyda dziełko, to od razu, jeszcze wilgotne, wysyła je do Aleksego Maksymowicza. A on wszystko czyta. Entuzjazmuje się talentami – „Berberini” nawet pokpiwa, że wciąż odkrywa kogoś, kto, jej zdaniem, wcale na to nie zasługuje i wkrótce przykryje go całun zapomnienia, nic więcej ten rewelacyjny pupilek z siebie nie da – ale też pozwala sobie na ojcowską, czasem bardzo ostrą krytykę. Do Michaiła Słonimskiego (kuzyna polskiego pisarza o tym nazwisku), jednego z „Serapionowych braci”: „U was wszystkich prawie – z wyjątkiem Wiaczesława Iwanowa – słownik jest uboższy od zdolności”. Ich technika, zadania, które sobie stawiają, „wymagają większego bogactwa słów”. Narzekanie na ubóstwo języka staje się obsesją. Siebie zresztą też nie oszczędza. On sam też ma ubogi język, napisał z dziesięć sztuk teatralnych i żadna mu się nie udała. „Za dużo było odchyień (...) w stronę aktualności” – pisał do Fiedina. Na krytyków akurat on nie może narzekać: „Chwalili mnie równie często, jak bez sensu”.

Zachwyca się Chodasiewiczem: „Pisze zdumiewające wiersze”. „Pozdrowienia dla Zoszczenki. I dla wszystkich”.

W innym liście do młodego „serapionowca” Słonimskiego – znowu o Chodasiewicz: „To przede wszystkim wspaniały poeta. Poza tym jest

rzeczywiście zjadliwy. Bardzo prawdopodobne, że jest to jedna z jego zalet, ale, niestety, on robi ze swojej zjadliwości – rzemiosło”. (Zjadliwy, może i tak, ale nie wobec mnie – myśli Nina. Wobec niej jest potulny).

Kwiecień 1923, Słonimski donosi, już z Piotrogradu, jak on i Fiedin odebrali krytykę swoich książek. Pobiegł z listem Gorkiego do Fiedina, ten wita go blady, przerażony. Słonimski czyta list na głos „i ja natychmiast zgadzam się ze wszystkim. Fiedin również się zgadza. Obaj czujemy się ohydnie. (...) Zupełna katastrofa i panika, wszystko przepadło, łajdacy jesteście i piszemy fatalnie. Fiedin płacze, ja płaczę, Lowa (Łunc)..., z termometrem pod pachą, też płacze”.

Kiedy „Doża” skończył *Artamonowów*, zaczął powieść niemiłosiernie poprawiać i, zdaniem Niny, zepsuł ją. A są tam sceny znakomite. Gorzej, że postanowił im całość przeczytać, czytał przez trzy wieczory, i ona, i Mura, Chodasiewicz też, wytrwale słuchali (coś mu się należało za to, że ich gościł), tylko Maksym i Timosza, przytuleni do siebie na kanapie, słodko spali.

Do Saarow, a potem do Marienbadu, przyjeżdżała Katia Pieszkowa, pierwsza żona Aleksego, matka Maksyma, i przywoziła plotki z Kremla. Włodzimierz Iljicz w maju 1922 miał atak, częściowo był sparaliżowany, szybko mu to minęło, po kilku tygodniach wrócił do pracy. – Muszę pewnemu miłemu towarzyszowi kupić w prezencie jakąś piękną cygarniczkę – zwierza się Katia. – Pomogę ci – na to z ochotą Chodasiewicz. Prowadzi ją do sklepu. Chodasiewicz, którego gust Katia ceni, dokonuje wyboru, cygarniczka wytworna, cieszy się matka Maksyma, spodoba się obdarowanemu. Wieczorem, podczas kolacji, Chodasiewicz dowiaduje się, że cygarniczka, którą wybrał, jest dla towarzysza Dzierżyńskiego. Zrobiło mu się, opowiadał, ciężko na duszy.

(Przepraszam, to było nieco później, już w Sorrento, do którego dwór „Doży” przeprowadził się z początkiem roku 1924 – chciał wrócić na Capri, ale tamtejsze władze poprosiły go, żeby nie przyjeżdżał, będą komplikacje polityczne – więc dobrze, Sorrento, biała willa „Il Sorito” na urwisku nad samym morzem. Widać kopiec wulkaniczny Wezuwiusza, a w nocy brylantową kolumnę świateł Zatoki Neapolitańskiej. Podaję to w tym miejscu, bo akurat podwinęła mi się ta notatka, Matylda nie wpisała jej jeszcze do laptopa, wszystko nieuporządkowane, proszę wybaczyć. Nie mam zresztą nic przeciwko temu, żeby czytelnik umieścił tę wiadomość sam w odpowiednim miejscu albo też, jeśli uzna ją za błąd, wyrzucił. Wracam

do opowieści Chodasiewicza). O tym, że po wyjeździe Katii (z Sorrento, przypominam, ale podobnie było zapewne i przedtem) atmosfera zrobiła się lżejsza, „Aleksy Maksymowicz jakby odmłodził i znowu zrobił się rozmowny”. Ujawnił, że Katia ciągnęła syna do Moskwy (w domyśle: do służby w Czeka). Chodasiewicz: „No cóż, niech jedzie, jeśli ma na to ochotę”. Gorki się zezłościł: „A jak ich tam wszystkich pozabijają, to co?... Mimo wszystko żal mi tego głupka. Zresztą im nie o niego chodzi. (...) Oni myślą, że ja pojedę za nim. A ja nie pojedę – figa”.

Z kremlowskich opowieści. Włodzimierz Iljicz jest stale podrażniony, łatwo wybucha gniewem. Kiedy mienszewicy po wprowadzeniu NEP-u przypominali: „A co, nie mówiliśmy? Na nasze wyszło!”, zakrzyczał: „Albo się zamkniecie, albo pójdziecie pod ścianę!”. Włodzimierz Iljicz, opowiada Maria Andriejewa, zniechęcił teraz grę polityczną, pochłania go gospodarka i administracja, trochę zanadto się tym interesuje – mówią między sobą spece i niektórzy działacze, wnika w szczegóły, na które po prostu nie powinien mieć czasu. Nie należy rozdrażnienia zrzucić tylko na chorobę – choroba może być czymś wtórnym, skutkiem porażki, której doznał. On już wie, że to jest jego osobista porażka: jego wiara, że rewolucja, a zatem komunizm, rozwiąże wszystkie problemy, się zawaliła. Spozregł już chyba, że z materii ludzkiej nie da się ulepić socjalistycznego Raju. Marks łudził się, że wystarczy zmienić stosunki produkcji, a człowiek, jak ów dobry dzikus pana Rousseau, okaże swoją bezgrzeszną naturę. Pewien polski przedwojenny krytyk teatralny, którego recenzje ostatnio wertuję, trzeźwo przypomniał: „Garbatemu nawet Marks nie usunie garbu”. Otóż to akurat, myślę, przy postępie medycyny może kiedyś być możliwe. Ale Marks nie usunie złości, intryg, próżności, zawiści, zdrad, zbrodni, instynktów morderczych, chciwości, nielojalności, zabobonów, egotyzmu, nudziarstwa – i głupoty. Maria Fiodorowna Andriejewa, która chętnie tu wpada ze swoim młodym sekretarzem, Kolą Kriuczkowem (oficjalnie zarządzają finansami Gorkiego, ale swoje archiwum pisarz złożył przezornie w sejfie w Dresdner Bank), nalega, żeby Aleksy zajął się biografią Lenina. Któż, jeśli nie ty? Wydawałoby się, że mógłbym być jego sumieniem, myśli Gorki, które by krzyczało: nie rób tego! Błagam! Powstrzymaj się! Złudzenia. Sumienie – tak, to by było piękne, ale ja nigdy tego nie powiem, a on nigdy mnie nie posłucha.

Najbliższa jest teraz Iljiczowi, opowiada Andriejewa, jego siostra Maria Iljiczna, pracuje w redakcji „Prawdy”, Wołodia nie pcha swoich bliskich

na jakieś odpowiedzialne stanowiska, jego brat Dymitr jest lekarzem, a nie narkomanem. Trocki nie lubi Marii, uważa, że to „zasuszona stara panna, skryta i uparta... W trosce o brata rywalizowała z Krupską... Umysł ciasny i fanatyczny”. Była w jakiejś komisji kwaterunkowej i Nadia Mandelsztam pamięta jej, że „nalegała, żeby Mandelsztamowi nie dano drugiego pokoju w zrujnowanym skrzydle Domu Hercena...”. „Miała zasady – ironizuje ugodzona tą krzywdą Nadia. – W związku z tymi zasadami zapomniała policzyć, ile ona sama ma pokoi...” Zaś Nadia Krupska, która z taką czułością wspomina czasy, kiedy gotowała obiady, przyjmowała gości na herbatce, teraz, jako zarządzająca bibliotekami, wydaje nakaz, żeby usunąć z nich dzieła filozofów „burżuazyjnych” – od Platona poprzez Tomasza z Akwinu, Woltera, Rousseau aż do naszych czasów, wszystkich, którzy nie zdążyli zostać marksistami. „Doża” zgrzyta zębami, „ta idiotka! – warczy – jak on w ogóle może z nią żyć!”, pisze list do Rykova (złe języki mówią, że tylko groził, iż napisze, ale nie, napisał naprawdę), że jeśli to zostanie wykonane, to on, Maksym Gorki (dumny z dorobku umysłowego ludzkości), zrzeknie się obywatelstwa radzieckiego. Poskutkowało. Możliwe, że Łunaczarski i Bucharin też interweniowali. Nie odtrącajmy Gorkiego! Lenin jest czasem krytykowany, że z sowieckiego budżetu dotuje się gorkowską „Biesiedę”, wychodzącą w Berlinie. (Do czasu. Wkrótce straci debity).

Jest rok 1923. Proces eserów. Jeszcze zanim do niego doszło, Gorki pisze do Rykova (przyjeżdżał czasem do Berlina na coś w rodzaju odwyku od alkoholizmu): „Jeśli proces socjalistów rewolucjonistów zakończy się ich zabójstwem, to będzie to zabójstwo z premedytacją (...) tysiące razy zwracałem uwagę władz sowieckich na bezmyślność i zbrodniczy charakter wyniszczania inteligencji w naszym nieoświeconym i niekulturalnym kraju”. Nie pomogło. Trzydzieści cztery osoby zasiadły na ławie oskarżonych. (Wśród nich dwunastu agentów, którzy sypią pozostałych). Grozi im kara śmierci. Wprawdzie Komintern (który zbiera się za granicami ZSRR) przyjął zobowiązanie, że żaden rewolucjonista nie może być skazany na śmierć z oskarżenia politycznego (za uchwałą głosowali delegaci rosyjscy, Radek i Bucharin, co rozgniewało Lenina – to jest ingerencja w nasze sprawy! Nie do przyjęcia! – napisał nawet artykuł: *Zapłaciliśmy zbyt drogo*; i tu jeszcze dodam, że humanitarną wymowę tego zobowiązania, dzięki któremu na przykład Trocki został wydalony, a nie rozstrzelany, przypisywano później dobremu wujowi Wołodii – no

i w porządku, niech tak zostanie, niech sobie ta legenda trwa), jednak eserów uznano najwidoczniej za zbrodniarzy niepodpadających pod tę łaskawą definicję. Gorki publikuje emocjonalny list otwarty do Anatola France'a, błaga go, by zorganizował opinię europejską przeciw temu procesowi.

Lenin jest chory, po drugim ataku, otoczony lekarzami, pielęgniarkami i sztabem sekretarek. To on sam przeprowadził kiedyś uchwałę, że zdrowie przywódców jest sprawą polityczną, sprawą partii i teraz triumwirat sprawujący techniczną władzę – Stalin, Bucharin, Kamieniew – wydał dyktatorowi zakaz pisania dłużej niż pięć minut, czasem wyjątkowo dziesięć, zakaz przyjmowania wizyt, Włodzimierz Iljicz sprytnie go omija, pomaga mu jedna ze sprzyjających mu sekretarek, z którą podobno flirtuje, w ogóle szepczą sobie, że chory Lenin zauważył wreszcie, że kobiety bywają ponętne, że ich ciało może sprawić radość. Wśród sekretarek jest od pewnego czasu Nadia Allilujewa, młodziutka żona Stalina, czyli na razie stosunki między nimi są niezłe, Lenin troszczy się, by urocza Nadia mogła zamieszkać w odpowiednim dla niej apartamencie, do Josifa Wissarionowicza ma zaufanie, chwali jego pracowitość i zmysł organizacyjny.

Prasa sowiecka atakuje Gorkiego. Na ulicy zorganizowane „masy” demonstrują oburzenie przeciw oskarżonym eserwcom i ich socjal-burżuazyjnym adwokatom. Z masami maszeruje Bucharin. (Będzie pomagał Mandelsztamowi w uzyskiwaniu tłumaczeń, żebyśmy nie zdechli z głodu, myśli, obserwując go Nadieżda – ale jeśli będzie nas bronił, to nie heroicznie). Mój profesor Adam Ulam mówił, że Bucharin, obecny na sali sądowej i przysłuchujący się mowom oskarżycielskim, miał próbę generalną procesu, który za lat kilkanaście będzie się toczył przeciwko niemu. Jednak była pewna znamienna różnica: nie wymuszano jeszcze przyznawania się do winy, nikt też tego nie uczynił, nikt sam siebie nie oskarżył, że jest japońskim czy brytyjskim szpiegiem. Co z nimi zrobić? Dwunastu oskarżonych skazano na śmierć, ale na wniosek Kamieniewa wykonanie kary zawieszono – trzeba dać tym przestępcom możliwość wykazania skruchy.

Matylda pamiętała o moich urodzinach, przysłała mi SMS: „W tym dniu życzę Ci spełnienia tego, co najbardziej chcesz”. „A więc życzysz mi siebie” – odpowiedziałem. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że tak mogę jej życzenie zrozumieć. A ja już zdążyłem w sobie rozbudzić

nadzieje. „Jak to? – ona do mnie, ale dopiero po godzinie. – Na pewno masz i inne pragnienia”. „Żadnych. – Dodałem: – Mam tylko obowiązki”. Zamilkła. Zastanawiający jest ten brak domyślności – naprawdę nie wie, co „najbardziej chciane” – a może tylko udaje? Jeff, to wcale nie jest takie zagadkowe – monologowałem w duszy – „domyślność serca” jest wtedy, kiedy jest uczucie. A tu jest tylko wędrowanie po Krainie Czułości – jak w romansidle pani de Scudery. Wieki minęły, zamiast lokajów pędzących z liścikami fruują SMS-y, ale zabawa podobna: z Młyna Lubyh Zwierzeń przedzieramy się do Gaiku Tkliwych Starań, by przebrnąć Rzekę Ufności et cetera. Ona tę zabawę lubi – tkliwe starania ją satysfakcjonują. Już nie byłem podniecony, jak przed godziną, kiedy przysłała mi tyle rokujące życzenia. Zeunuszyła mnie, myślałem z żalem, i to takim, jakbym chciał wystawić jej rachunek. Dobrze, wyjaśnimy coś sobie. PIEGUSKO, MON AMOUR – przesłałem jej. – ZOBACZYMY SIĘ W PRZYSZŁYM TYGODNIU? Milczenie. No tak, najwidoczniej jest skrępowana, nie może odpowiadać. Dopiero nazajutrz: W PRZYSZŁYM TYGODNIU NIE. WYJEŹDŹAM SŁUŻBOWO DO LONDYNU.

Londyn. To powrót do rzeczywistości. Skończyła się podróż po Krainie Czułości i Złudzeń. Rzeczywistość – to jest tamten: stabilizacja w związku jeden plus jeden. Nie jeden plus półtora. Nie ma miejsca dla ciebie! Usłyszałeś przecież to nieraz – „nie, nie możemy”, ale nie chciałeś wierzyć w to, co słyszysz. Prawda, że nie bez przemyślanej zachęty z jej strony: nie wierz w to, co słyszysz, jesteś mi bliski i drogi, płyniemy ku, wszystko może się zdarzyć. Poczuję się obrażony. LONDYN! SŁUŻBOWO! Kiedy już się wydawało, wydawało – nie mogłem się uspokoić – shit! fuck! Co ci się, do cholery, wydawało?

Staczałem się w pustkę – bez nadziei. Nikt się nie zjawi, nie zatłucze mi serce, kiedy błysnie czerwień samochodu – ona? nie! nie licz na zaskoczenie! „To nie ja” – powiedziała kiedyś, bardzo świadoma siebie. Albo: „nie możemy się zobaczyć, samochód w naprawie”. Pokolenie, które bez samochodu, komórki, laptopa, e-maili nie potrafi komunikować uczuć. Dławię swoją wyobraźnię. Myślę o M. nieustannie, ale jakoś bez pragnienia. Chłód, który bije od niej. Nie możesz mieć o to żalu. Zeunuszony – tym razem pokpiwałem sam z siebie. Shit! Wróc do swojego dzieła. Korespondencja z Romain Rollandem. Rollandowi nie spodobał się, jak się zdaje, artykuł Gorkiego o Anatolu Fransie. Po co wychwalać tego wytwornego sceptyka, który z takim dystansem (tak się Rollandowi zdaje)

traktuje sprawy ducha? Ale on, Gorki, polubił igraszki tego umysłu – i o tym pisze. Zazdrości narodowi, który „zaliczył do swoich przewodników Montaigne’a, Renana, France’a (choć jego epikureizm jest mi obcy). Chyba Pan się zgodzi (dyktuje, a wpatrzona w niego Mura pilnie tłumaczy), że łatwiej się z nimi żyje niż z Tołstojem i Dostojewskim”. Gorki, za młodu romantyczny autor *Pieśni o sokole* i *Pieśni o Zwiastunie Burzy* (której teraz nie lubi), jako miłośnik mojego Montaigne’a – to coś nowego! Nowa twarz. Wyczuwam, że dostrzeżemy ją w nadciągającej powieści.

Z Sorrento koresponduje z Fiedinem – to jest partner do rozmowy – a zresztą on sam, M. Gorki, czuje narastającą potrzebę zastanowienia się nad sobą, podsumowania siebie. Człowiek jest mu drogi, pisze (zapewne w odpowiedzi na jakieś narzucane mu opinie), nie za cnoty czy wady, lecz „za swą wolę życia (...), za swój monstrualny upór, by stać się czymś więcej od siebie samego”. „Rzeczywistą historię człowieka – stwierdza z dumą – pisze nie historyk, lecz artysta (...) Historyk nie napisze Doktora Fausta, Don Kichota, Iwana Karamazowa”. (Znamienna zmiana stosunku do znienawidzonego przedtem Dostojewskiego!) Fiedin prowokuje, popędza go swoimi zaczepkami do rozważań. „Dla artysty – odpowiada Gorki – geniusz jest tyleż wart, co idiota”. (Wyczuł Faulknera, jego *Wściekłość i wrzask*, a zresztą u niego samego nie brak „jurodiwych”). Fiedin pisze o jego „czynnej miłości do człowieka”, Gorki ripostuje, że ta jego miłość „to prawdopodobnie mit. Prawdą zaś jest to, że człowiek interesuje mnie do udręki, nie daje mi spokoju”. (Mnie też – myślę – ja, drugorzędny profesorek Thompson – człowiek w trybach historii). „Ten list do pana – pisze przykuty do biurka «Doża» – jest dziś jedenasty”.

Kiedy Fiodor Gładkow, prozaik zaangażowany, krytykuje tendencyjność *Matki*, Gorki z miejsca przyznaje mu rację: „Zła książka, napisana w stanie zapalczowości i podrażnienia”. (Wyrzuca sobie teraz, że dał się wciągnąć w pisanie agitki). Zirykowało go pytanie w liście Gładkowa: „Czy jest Pan całkowicie z nami?” Gorki odpowiada bardzo zasadniczo, nie siląc się na uprzejmość: „Nie mogę być «całkowicie» z ludźmi, którzy zamieniają psychikę klasową na kastową, którzy mówią «my, proletariusze jak mówiło się «my, szlachta»”. „Robotnik wcale nie jest organizatorem i kierownikiem nowego życia, lecz takim samym tyranem, jak każdy inny dyktator i tak samo głupi (...) Stanowisko, które zajął robotnik, bynajmniej nie wymaga, żeby kradł, był chuliganem, gwałcił dziewczęta i bił lekarzy”.

Miło się za to koresponduje z Michałem Zoszczenką, który zamieszka w Leningradzie. Aleksy Maksymowicz pozwolił sobie wyrazić opinię (raczej lekkomyślną), że „umysł Lwa Nikołajewicza (Tołstoja) był moim zdaniem, w porównaniu z jego talentem, niewielki (!?). Chcę przez to powiedzieć, że nie był to umysł filozoficzny”. Nie wiem, co na to znakomity humorysta Zoszczenko; przypuszczam, że spojrzenie Gorkiego zamącone zostało przez to, że obcował osobiście z wielkim pisarzem, pogadywali sobie o głupstewkach – no i Tołstoj zsunął mu się z piedestału na ławeczkę, na której zasiadali.

Zoszczenko, nie bez skrępowania, poprosił kiedyś Gorkiego o interwencję w spółdzielni mieszkaniowej, żeby mu zostawili dawnego współlokatora, do którego się przyzwyczał, i nie wciskali nowego, z którym nie wiadomo, jak się ułoży. Gorki posłusznie pisze żądany list. W zarządzie spółdzielni panika: bo okazuje się, że to jest spółdzielnia „imienia Maksyma Gorkiego” i oto sam patron do nich pisze! I jak tu nie spełnić jego prośby? Zoszczenko, jak zwykle pełen skrupułów, gotów jest na wszystko machnąć ręką: niech już zostanie tak, jak spółdzielnia zarządziła. Współczuje Gorkiemu, pisze: „Nie chciałbym posiadać czwartej części pana legendarnej sławy, ponieważ wiąże się to z wielką odpowiedzialnością i zmusza, by być tak dobrym człowiekiem”. Chodasiewicz i jego Nina przyglądali się akcjom „Doży” z ciekawością i sympatią. Pomagał ludziom – to było dla niego coś oczywistego – ale w zamian czegoś wymagał: wdzięczności? – o, nie! – „wręcz żądał – tak to widział Władysław – prawa do marzenia o lepszej przyszłości osoby, której pomagał”.

Pochlebstw nie znosił, pochwały przyjmował z dystansem, krytyk wysłuchiwał uważnie – jeśli dotyczyły sztuki pisarskiej, nie przesłania, nie idei utworu – bo to była jego wypowiedź i bronił swojego prawa do niej. Pokazał Chodasiewiczowi kilka swoich wierszy. Dostrzegł brak entuzjazmu. – Kiepskie moje wiersze? – Kiepskie. – Szkoda; okropnie szkoda, przez całe życie marzyłem, żeby napisać choć jeden dobry wiersz. Omawia się najnowszy numer „Biesiedy”, w której, trochę dla eksperymentu, zamieścił kawałek prozy pod nazwiskiem „Sizow”. I oto ktoś przesyła krytykę: „a wypociny jakiegoś Sizowa niepotrzebnie drukujecie”. Gorki natychmiast uprzedza Chodasiewicza: lepiej niech pan mu nic na ten temat nie mówi. „Będziemy się wstydzić jeden drugiego, jak dwie gołe zakonnice”.

„Kult Gorkiego” – spółdzielnie, szkoły, ulice, parki, może i kolchozy – to wszystko go krępowało i irytowało. Prawdziwe szaleństwo, kiedy na początku lat trzydziestych wrócił do Rosji (wciąż go nagabywano: „Gdzie Gorki? Czemu o nas zapomniał?” Majakowski zamieścił wierszowany list otwarty. Gorki spodziewał się, że jedną nogą będzie wciąż w Sorrento, ale nie udało się, już go nie wypuszczano, „ze względu na stan zdrowia”). Urządzono mu jubileusz. Teatr MChAT (Stanisławskiego), w którym wystawiał swoje sztuki Czechow – imienia Gorkiego. Miasto Niżny Nowogród, w którym się urodził – teraz GORKI. „Dziś po raz pierwszy na kopercie (...) napisałem GORKI. To niezręczne i nieprzyjemne”. Stalin zwykł wpadać do niego ze swoimi kompanami (marzył o tym, żeby Gorki napisał jego biografię, Aleksy Maksymowicz udawał, że nie rozumie, o co chodzi). On i Kliment Woroszyłow zobaczyli kiedyś na stole egzemplarz utworu *Dziewczyzna i śmierć*. Stalin napisał na stronie tytułowej: „To silniejsze niż *Faust* Goethego”. Obaj się z Klimentem podpisali. Ten nieszczęsny zapis cytowano później w podręcznikach szkolnych. Gorki złościł się: „Durnie! Zrobili to po pijanemu!” Nigdy nie przychodziło mu do głowy, aby mógł napisać coś lepszego, „silniejszego” niż Goethe.

Jestem ciężko zakochany, pomyślałem nagle, rzuciłem te notatki i osunąłem się bez siły w fotel. Spojówki. Znowu te cholerne spojówki. Co mam ze sobą robić? Cierpię dlatego, że nie uznaję realiów, buntuję się przeciw nim. Czy ona naprawdę kocha tamtego dryblasa? Czy on też jest „mistrzem”? Skąd wiesz, że nie? Nie podsłuchałeś ich rozmów, przekomarzań, może przy niej staje się interesujący, błyskotliwy, podbija inteligencją? A kiedy tryska radość i świat staje się piękniejszy, wszystko cieszy, słyhać śmiech, nieważne dlaczego, po prostu jest radośnie, nie znasz tego, bo nie jesteś z nią, chociaż nie, znasz, inaczej ale znasz, kiedy idąc obok niej, grasz dla niej *Continental* – beautiful music, dangerous rhythm... Posyłam SMS: „Będę ćwiczył godzenie się z rzeczywistością”. Na co (po kilku godzinach) nadeszła odpowiedź poetycka: że rzeczywistości jest wiele, ona wybiera samotność i coś tam jeszcze. Depeszuję: ZBLIŻA SIĘ MÓJ WYJAZD. KRAŻEK Z NOTATKAMI MOŻESZ ZOSTAWIĆ W CZYTELNIKU. Szorstka odpowiedź: PROSZĘ BARDZO. Po kilku dniach mojego milczenia nadchodzi SMS: „ODRZUCIŁEŚ MOJĄ PRZYJAŻŃ? To smutne. Jestem w Londynie i zachwycam się Rembrandtem”. Rembrandtem? Po co mi o tym komunikuje? Milczę. Uważam, że zerwaliśmy ze sobą.

Wracam do stołu, zbieram kartki z notatkami, zły na siebie, że ręce mi drżą. TESTAMENT LENINA. Spokojnie, Jeff, weź się w garść – ona ma rację: nie nadajecie się do siebie, ona widzi świat inaczej, różnica nie tylko wieku, przede wszystkim doświadczeń – rzeczywistości jest wiele, Rembrandt – shit! Misja zbliża się do końca – wkrótce odezwie się „Maryśka” – jeszcze tylko kilka drobnych szczegółów, do cholery z tym Rembrandtem, to hell with him, wkrótce koniec, jeszcze dwa, trzy maźnięcia i obraz będzie zakończony. Nie ma tej dziewczyny i nigdy jej nie było. Przyjaźń, Boże mój, jakaś pieprzona przyjaźń! Wybieram samotność, tak jak ona. Wróc do rzeczywistości. Wyjedziesz. TESTAMENT LENINA. Tajemniczy tekst, prawie legendarny, bo schowany pod płótno. Sporządził go, czując zbliżający się drugi wylew, na zalakowanej kopercie dopisek: „Otworzyć może tylko W.I. Lenin lub, po jego śmierci, Nadieżda Krupska”. Ocenia w nim krytycznie przywódców partii: Trockiego, Bucharina, przypomina zachowanie Zinowjewa i Kamieniewa w przeddzień rewolucji październikowej („nie było przypadkowe”), ale nie powinno się teraz wytaczać tego argumentu przeciw nim. Towarzysz Stalin, sekretarz generalny, „skupił w swoich rękach kolosalną władzę i nie mam pewności, że potrafi jej użyć z należytą oględnością”. Napięcie w stosunkach między Stalinem a Trockim stanowi istotne niebezpieczeństwo dla jedności Komitetu Centralnego. Miał też przestrzec, że „Stalin jest brutalny”, na co Stalin, już po śmierci Lenina, kiedy odczytywano ten testament, oświadczył: „Tak, jestem brutalny – i będę zawsze brutalny wobec wrogów klasy robotniczej”.

Do Gorkiego dotarła wiadomość (najpierw myśleli, że to plotka – wiadomo, wokół dworu zawsze krążą plotki – ale nie, przyjechała Maria Fiodorowna ze swoim sekretarzem i potwierdziło się), więc plotka, że gensek Stalin zagroził towarzyszkę Krupskiej wydaleniem z partii. To był marzec 1923, chory Lenin wzburzył się, podyktował list do swojego dotychczas faworyzowanego Gruzina: „Drogi towarzyszu Stalin. Pozwoliliście sobie grubiańsko grozić przez telefon mojej żonie”. Włodzimierz Iljicz każe mu wziąć pod uwagę, że „wszystko, co się czyni przeciwko mojej żonie, czyni się także przeciw mnie”. Sprawa wygląda tak: „albo cofniecie swe słowa, albo też, jeśli wolicie, zrywacie wszelkie stosunki z nami”. Podobno Nadia błagała Wołodię, żeby nie wysyłał tego listu. Namawiała sekretarkę, żeby go schowała, na próżno. List dotarł do adresata, który najprawdopodobniej jakoś tam poprosił o wybaczenie.

A Nadieżda Krupska, pełna najgorszych obaw o swój los, oczekiwała śmierci męża.

Telegram do Marienbadu od Jekatieriny, matki Maksyma: „Zawiadam, jaki ma być napis na szarfię wieńca”. Jest 23 stycznia 1924. Wczoraj zmarł Iljicz. Napis niech będzie prosty: ŻEGNAJ PRZYJACIELU! M. Gorki”. W Moskwie tłumy stoją na dwudziestostopniowym mrozie, żeby spojrzeć na zwłoki Lenina. „Oni idą do niego – szepcze Osip Mandelsztam do Nadii – żeby poskarżyć się na bolszewików”. Zakończenie listu, w którym Aleksy Maksymowicz zawiadamia Andriejewą, że napisał wspomnienie o Leninie („powiadają, że niezłe”), w wydaniu zbiorowym zostało ocenzurowane. Mimo że starał się oddać hołd zmarłemu przyjacielowi, jak go teraz nazywał. W tym liście skrobął kilka pochlebnych słów na temat tych, którzy przejmą władzę – „Doża” nauczył się dyplomatyżowania. Pisał, zwierza się Marii, zalewając się łzami, bardziej niż po śmierci Tołstoja, a i teraz jeszcze ręka mu drży. Emigranci, oburza się, zdziczali – tak to jest, kiedy jest się oderwanym od swojego rosyjskiego domu. Młoda „Berberini”, podpatrując, jak on pisze wspomnienie o zmarłym przywódcy, jak się męczy, by miało ono rozmach literacki, by nie było zwykłym w takich razach nagromadzeniem banałów, powiedziała sobie: „Wróci. Jestem pewna”. Na razie się myliła – nie miał zamiaru wracać. Zmagał się z trudnym tematem. Nie ukrywał ostrości konfliktu. I pewnych cech charakteru Lenina, które budziły w nim grozę: znęcanie się w dyskusjach nad oponentami, bezwzględność i nawet okrucieństwo. Wielkopańskość („szlachetka!”) w traktowaniu mas. Niektóre z tych opinii usunie (nie wiem – sam czy pod naciskiem), kiedy w 1930 roku zamieści to wspomnienie w nowym wydaniu zbiorowym.

Maria Fiodorowna jest przekonana, że teraz Alosza pokaże swojego Lenina. Może w cichości już tę książkę przygotowuje? (Kiepsko go znała – wspólne łóżko nie zawsze pozwala dotrzeć do człowieka). Chyba nie zmarnuje takiego tematu, rozmów z Włodzimierzem Iljiczem, bogactwa obserwacji. Żaden człowiek pióra nie miał takiego dostępu do władcy na Kremlu. To prawda, ale Gorki, pisarz i obserwator, kiedy przyglądał się

swojemu rozmówcy, myślał o nim – ze współczuciem. Gdyby pisał tę książkę, rozważał, paląc jak zwykle papierosa za papierosem, byłaby to rzecz o człowieku, który chciał bogom wykraść ogień – i przeliczył się z siłami. Bo całe zamierzenie było nie na miarę rodzaju ludzkiego. Wziął na siebie straszliwy ciężar – i zginął przywalony tym ciężarem. Bo czymże innym była jego choroba niż krachem pokonanego organizmu?

Pisać będzie o tych, którzy pojawiają się w wyobraźni, pukają do serca i mózgu autora – chcą żyć! W gabinecie w białej willi nad urwiskiem przygląda mu się Mura z fotografii na biurku – cudownie jest czuć się zakochanym, cudownie jest wiedzieć, że ukochana łączywie się na rękopis rzuci, że jest chłonna i inteligentna (co przyznaje jej nawet zazdrosna o blaski Nina). „Pan wie, jestem monarchistką – tłumaczy komuś Mura swoją postawę – ale on, Aleksy Maksymowicz, który utrzymuje tyle osób i potrzebuje dziesięciu tysięcy dolarów rocznie, on musi liczyć się z odbiorem tam, w Rosji; bo tam jest jego czytelnik i dla tych ludzi jest bożyszczem – nie chcę go tego pozbawiać”. To wszystko toczy się poza Gorkim, on zatapia się w prozie, ogromne zamierzenie ten *Klim Samgin*. W liście do Wiaczesława Iwanowa „Doża” napisał zgryźliwie o Prouście, narzekał na psychologiczną powieść francuską. Ale już w kilka tygodni później otrząsnął się z tej niechęci, bo pisał (do Gładkowa): „...prawdopodobieństwo dla artysty to rzecz niebezpieczna. Zola, Goncourtowie, Pisemski są prawdopodobni (...), ale Defoe czy Cervantes bliżsi są prawdy o człowieku niż «naturaliści», fotografowie”. W portretach psychologicznych *Samgina* jest więcej proustyzmu, niż sam podejrzewał. Nauczyciel Tomilin, asceta oddany wiedzy i ludziom, do którego chłopcy przybiegają, aby słuchać jego monologów („za dużo aforystycznych sformułowań, Aleksy Maksymowiczu” – będą młodsi koledzy wytykać), mówi głosem, jakby recytował: „Dla sprawy wolności wady despoty są o wiele mniej niebezpieczne niż jego cnoty”. (Towarzyszu Gorki, co właściwie chcieliście przez to powiedzieć?) Tomilin utrzymuje, że pożyteczne przemyślenia przedstawia się zwykle w formie pytającej: może to tak, jak sądzicie? „Pomysły szkodliwe zawsze są podane w trybie twierdzącym: to jest właśnie tak, a nie inaczej”. Klim, naszkicowany jako sprytny oportunist, przyswajał sobie oryginalne myśli nauczyciela, przy dziewczętach „powtarzał je jak swoje i zyskał reputację mądrali”.

Życie *Klima Samgina* pisał Gorki sceptyk, czytelnik Montaigne’a i France’a, i jego to chyba myśli wyraża nauczyciel, kiedy mówi:

„Umysłowi rosyjskiemu obcy jest sceptycyzm, podobnie jak umysłowi Hindusa czy Chińczyka. (Czego Gorki bał się obsesyjnie, to właśnie zazjatkowania psychiki rosyjskiej). Wszyscy u nas dążą do wiary. Wszystko jedno w co, choćby w zbawienną niewiarę. W Chrystusa. W chemię. W lud. A dążenie do wiary to dążenie do spokoju. Nie ma u nas ludzi, którzy skazaliby siebie na niezależną pracę myśli”. W innym miejscu: „Droga do prawdziwej wiary biegnie przez pustynię niewiary. Wiara jako wygodne przyzwyczajenie jest nieporównanie bardziej szkodliwa niż zwątpienie”.

Ci młodzi chłopcy chcieliby, żeby nauczyciel mówił im o kobiecie, tego są najbardziej głodni. („Ciągnie mnie do onanizmu – wyznaje jeden z nich – że choć ręce odrąb”). Ale nauczyciel, samotnik, pewnie porzucony („gada, jakby chwycił Pana Boga za nogi – szydzi jeden z chłopców, prostak, brutalny prześmiewca, zarazem żądny wiedzy – a na portkach łaty”), ten nauczyciel na upragniony temat mówi tylko tyle: „O kobiecie trzeba mówić wierszem, bez przyprawy to pożywienie niestrawne. A ja nie lubię wierszy”.

Nie, chyba nie zerwaliśmy ze sobą, bo dostaję SMS-a: SMUTNO BEZ PRZYJAŹNI. JUTRO W WARSZAWIE. MATTI. Znowu ta przyjaźń. Odpowiadam: GDZIE KRAŻEK? JEFF T. Ona: „Krażek przekażę ci osobiście. Co Ty na to? Podpis jakiś chłodny”. A jaki ma być? Co wyniknie z gorącego podpisu? Odpowiadam delikatnie: „Nie potrafię wymyślić niebanalnego, wybac. Dobrze, że się zobaczymy. Trzeba obmyślić jakieś pożegnanie. Czekam”. Bez podpisu. Nazajutrz – na: DLACZEGO WCIAŻ O POŻEGNANIU? CO CIĘ TAK PĘDZI?, odpowiedziałem: ZROBIŁEM SWOJE. NA MNIE CZAS.

Zadzwoiła Grażyna. Tak się przedstawiła, już nie żadna Maryśka. I bez gadania o lodach.

– Ma pan ochotę na szybki lunch? – Dodała z uśmiechem: – Na koszt firmy.

Aha, do czegoś się przydałem. Nie miałem ochoty na przesiadywanie w restauracji. Straciłem dziewczynę, która nigdy nie była moja, ale jakoś była moja. Radość, kiedy ukazywała się na progu kawiarni. A ona pisze o smutku! Mnie!

– Pani Grażyno, spotkajmy się w tym samym parku. Naprzeciw tej kamiennej baby, którą wyrzeźbił Wittig.

Tym razem nie była w spódniczce mini, była w szarym kostiumie, spódnica do kolan, niebieska bluzka z krawatem – tak ubrana wyglądała

całkiem zgrabnie, nic z pulpeta – na powitanie, rzecz prosta, uśmiech – podaliśmy sobie dłonie bez żadnego cmokania, można rzec, służbowo.

– Pospacerujmy – powiedziała.

I podała mi ramię.

– Panie profesorze, mam dobrą wiadomość. Ptaszek w klatce.

– Pan Nahaj? – upewniłem się.

– Tak, aresztowany. Będzie oskarżony o dwa morderstwa. Pan się tego domyślał, jak rozumiem.

– To drugie to ten student z Mikołajek?

– Nie student. To był ślusarz Alojzy W., na razie nie będzie się publikować nazwiska. Kumpel Nahaja. Ujawniła nam to jego była konkubina. Jest mężatką, dwoje dzieci, stateczne życie, ale nie odmówiła współpracy.

– I ci dwaj do spółki załatwili pana posła?

– Zgadza się. Na zlecenie pewnej szajki bezpieczniejskiej. Za niezłą kasę.

– Konkubina coś mówiła o dochodach swojego faceta?

– Owszem. Że nowy telewizor „Sony”, magnetowid, no i inne takie. Komplet garnków – powiedziała pani Grażyna i roześmiała się.

– Nahaj przestał potem brać pieniądze od swojej kochanki.

– I dostał koncesję na założenie firmy.

– Poseł Blau za dużo wiedział – przypomniałem. – O czym?

– O pieniądzach. O ropodolarach, które wpływały dla całej siatki dziennikarzy. Miał dokumenty, które zamierzał przedstawić premierowi. Pan się tego domyślał, prawda?

– Tak. Nie można pisać takich świństw z czystej miłości do kłamstw. Nienawiść też chce być opłacana.

– I domyślał się pan, że Nahaj?

– Od pewnego momentu. Ktoś znajomy i nawet lubiany. Poseł otworzył mordercy drzwi. Kochankowi żony.

– Kryptonim „Szwagier”.

– Boże – powiedziałem – jak ją o tym powiadomić?

– Będzie pan miał trudne zadanie. – Z uśmiechem: – Miło się z panem spaceruje.

Spytałem:

– Jak na to wpadliście?

– Dzięki panu po części. Zatrzymaliśmy imama na lotnisku, kiedy wsiadał do samolotu, miał lecieć do Dubaju. Nie było wątpliwości, że

Nahaj go ostrzegł. Imam śpiewał jak ta lala. – Roześmiała się. – Oczy przerażone, bał się tortur. Postraszone go kastracją. Sypał Nahaja bez zajknięcia.

– Więc dochodzi jeszcze sprzedaż tajnych informacji – zauważyłem.

– Tak, ale co to znaczy wobec dwóch morderstw?

– Czy on przyznał się do zabicia swojego współnika?

– Nie, zaprzecza wszystkiemu. Ale najpierw zaprzeczył, że go znał – i to kłamstwo jest obciążającą poszlaką.

– Czy pani Blau będzie musiała zeznawać?

– Obawiam się, że tak.

– Chryste... – szepnąłem.

– Nie da się tego uniknąć. Ona przecież była z nim w Mikołajkach, mogła coś zauważyć. – Pani Grażyna przez chwilę milczała. – Postaramy się, żeby prokuratura wykazała trochę subtelności. Do pana wiadomości: komunikat dla prasy wydamy za dwa dni. Tyle ma pan czasu, żeby panią Blau uprzedzić.

– Co z imamem?

Wzruszenie ramion.

– Wydalimy go i to wszystko. Jeszcze trzeba będzie go przeprosić.

Zatrzymaliśmy się, a ja spojrzałem w ciemne oczy połyskujące spoza okularów.

– A co z redaktorem Sianką?

– Nic, panie profesorze. Absolutnie nic.

– Opłacali go za pisanie wrednych artykułów!

– To nie jest zabronione – powiedziała stanowczo. – Dziennikarz może być płatną świnią, kodeks karny do tego się nie wtrąca.

– Szkoda.

– Chyba że zdradzałyby jakieś tajemnice państwowe. Ale on ujawniał tylko, że oficjalna polityka była stronicza. O czym wszyscy wiedzieli.

– Szkoda – powtórzyłem.

– Załatwiliśmy tylko to, że zwolnią go z redakcji. Pora na emeryturę.

– Będzie miał więcej czasu na robienie świństw – powiedziałem.

Doszliśmy do szeroko otwartych żelaznych wrót parku, przed którymi stał kiosk z lodami.

– Mogę zaproponować? – spytałem.

– Odchudzam się. Tamte dwie gałki zlizalam dla dobra sprawy. Służbowo.

Zamilkłem. Pani Grażyna powiedziała ze smętnym uśmiechem:

– Ciekawe, jaką drogą będą do pana redaktora przepływać teraz pieniądze. – Po chwili, równie melancholijnie: – I kto będzie teraz sprzedawać informacje. Chętnych nie zabraknie.

Ucałowaliśmy się ceremonialnie. Ona, ciepło, mimo oficjalności:

– Panie profesorze, firma dziękuje panu za pomoc.

W Alejach Ujazdowskich wyrósł przede mną Luciano. Uśmiechnął się swoją pełną, pyzată gębą i zawołał:

– O, pan profesor! Dobrze, że pana widzę.

– Bardzo mi miło – powiedziałem uprzejmie. – Ile dzisiaj?

– Pół stowy.

– To nazbyt skromnie, Luciano. Należy się panu więcej.

Dałem mu stowę i poinformowałem:

– Morderca za kratkami.

– Jaki morderca? Kto znowu?

– Marcin.

– I oni mówią, że to on?!

– Tak, on. A pomagał mu ten topielec z Mikołajek, na którego pan zwrócił uwagę.

– Topielec? Marcin? To niemożliwe!

– Dlaczego? Wszystko udowodnione.

Luciano posmutniał.

– Niemożliwe. – Owiał mnie piwnym oddechem. – Morderca rozmawia właśnie z panem.

Podąłem mu rękę.

– Panie Ligęza – zwróciłem się do niego prawdziwym nazwiskiem. – Do widzenia. Nieprędko się zobaczymy.

– Do widzenia. – Mówił, kręcąc głową. – Chyba mi tego nie zabiorą... Chyba nie będą tacy podli...

Uciekłem. Bywam tchórzem, nie przeczę. Wykonałem kilka pożegnalnych telefonów. Do eks-pułkownika Papierka: Wie pan, mówię, to był Marcin N. – Tak myślałem – odpowiedział i zachichotał. Do kancelarii prezydenta (który akurat był za granicą). Do porucznika Abrahamsa wstąpię jutro z samego rana. Do Erny postanowiłem zadzwonić z lotniska. Teraz do Jacka (z kołającym sercem).

– Jacku – mówię – uprzedź matkę, że za godzinę przyjdziemy.

– Koniecznie ze mną?

– Koniecznie. Czy masz jakieś tabletki uspokajające? To weź je ze sobą.

Więc za godzinę. Siedziałem w fotelu z przymkniętymi oczyma, pogrążony w przygnębieniu: mimo zwycięstwa byłem przegrany. Czy wciąż ją kocham? Czy kocham tę panią, której nigdy nie całowałem, której jestem obojętny – czy też kocham swoje uczucie, od którego kręci mi się w głowie? Skąd się brało owo szczęście, które wносиła, pojawiając się, ona, kochanka innego? Z mocy tego uczucia, odpowiedziałem sobie. Z treści, którą wypełniała moje życie, nadawała mu sens. (Chociaż sama miłość była „bez sensu”). Wszystko straciłem.

Właśnie kiedy się w tę zapaść pogrążałem, jakbym grzęznął w gęstym mroku – z pustką w sercu, przedziwne uczucie, mój ból jest mi obojętny, coś nowego – wolałbym to przeżywać bardziej emocjonalnie, wolałbym wściekać się, rozpaczać – właśnie wtedy zabręczała komórka. Spojrzałem na cyferki: Matti!

– Słucham cię – starałem się nie okazywać radości.

– Witaj! – zawołała. – Jestem w Warszawie.

– To bardzo dobrze. Nadal chcesz mi przekazać krążek osobiście?

– Naturalnie. Skoro uciekasz w dalekie kraje, to wypada się pożegnać.

U ciebie!

Ustaliliśmy godzinę. Ona:

– Wyprawisz ucztę pożegnalną?

– Wedle życzenia. A może być bez szpinaku?

Zaśmiała się:

– Liczę na ciebie. Na pewno się nie zawiodę. Błazenku...?

– Słucham.

– Cieszę się, że cię zobaczę.

Ja też się cieszyłem, ale nie chciałem się do tego przyznać.

– Obiecałem ci kwiaty – przypomniałem.

– Już się bałam, że zapomniałeś. Jeff, mówiłeś, że zrobiłeś swoje. Co to znaczy?

– Wykonałem swoje zadanie.

– Jakie?

– Powiem ci, jak się zobaczymy.

– Całuję! – wykrzyknęła.

– Ja też – powiedziałem. No bo co miałem powiedzieć? – I wcale nie wirtualnie. Czuję się tak, jakbym cię dotykał.

– Widzisz, jak ci dobrze? Hormony w porządku. Pa!

Nie miała pojęcia, co ją czeka.

Wstąpiłem do Jacka. Słuchał chmurny mojej zwięzłej opowieści.

– Musimy to zrobić? – spytał.

– Musimy. Za dwa dni dowie się o wszystkim z gazet. Będzie inwazja dziennikarzy. Trzeba ją przygotować. Czy ona miała kłopoty z sercem? – spytałem.

– Stabilna choroba wieńcowa.

Jacek włożył do kieszeni bluzy tabletki. Objął malutką Szoszanę.

– Czuwaj przy telefonie.

– Beseder – odpowiedziała dziewczyna, a Jacek mi przypomniał: to znaczy „w porządku”.

Barbara powitała nas uściskami, na szczęście bez słodkawego uśmiechu. Miała na sobie kwieciste japońskie kimono, dostatecznie obszerne, by zakamufłować okrągłości imponującego ciała.

– Wybaczcie, że tak was witam, ale wiedzcie, że to bardzo droga rzecz, nie byle szlafrok, doceńcie. Herbaty?

Odmówiliśmy. Czułem się paskudnie. Za chwilę miałem dokonać straszliwej operacji. Gdybym był chirurgiem, musiałbym odmówić i przekazać skalpel asystentowi. Tutaj nikt nie mógł mnie wyręczyć.

– Basieńko. – Staralem się mieć głos możliwie łagodny. – Siadaj, proszę cię. (Usiadła w fotelu). Jest coś, czego musisz spokojnie wysłuchać.

– Mów.

– Odkryto mordercę Wiktora. Aresztowany.

– Na pewno? Tym razem już wiedzą?

– Na pewno.

– Nareszcie – powiedziała i uśmiechnęła się. – Trochę to trwało, ale najważniejsze, że go w końcu mają. Kto to jest?

– Marcin.

Zerwała się z fotela.

– Mój Marcin?

– Tak.

– Co ty wygadujesz? To niemożliwe, niemożliwe – powtarzała, wpatrując się we mnie. – Powariowaliście.

– Chciałbym, żeby tak było. Że ja zwariowałem i wszystko to wymysł chorego mózgu. Ale niestety... – mówiłem. – Zrobił to na zlecenie jakiejś grupy w bezpiece. Był tajniakiem.

– Chryste... – szepnęła. – I ja z nim...

– Zadzwoił do drzwi, Wiktor mu otworzył i wtedy on...

Urwałem. A ona wreszcie zmieniła się na twarzy, wreszcie zaczęła krzyczeć:

– Nie! Nie! Nie!

Krzyczała aż do nabrzmienia żył na szyi. Aż krzyk przeszedł w spazmy. Osunęła się na kolana i biła głową o fotel, spazmując.

– Mamo – błagał Jacek, kładąc dużą, ciepłą dłoń na jej plecach. – Mamo, połknij to... Mamo, proszę.

Ona wciąż krzyczała, klęcząc przed fotelem.

– A ja się z nim pierdoliłam! (Mamo – usiłował ją powstrzymać Jacek, ale ona nie słyszała). Tuliłam go, pieściłam, całowałam... Mordercę mojego męża!

Dźwignęła się z kolan, objęła mnie i zaczęła obsypywać pocałunkami.

– Jeff, kochany, drogi, wybacz mi... wybacz... wybacz... – powtarzała między tymi pocałunkami.

Trzymałem ją mocno w objęciach. Twarz miałem mokrą od jej łez.

– Basieńko – mówiłem – nie mam ci co wybaczać. To nie twoja wina, że świat jest łajdacki. Zażyj jeszcze jedną tabletkę.

Nie wiem, czy ta druga tabletkę, którą popiła kilkoma łykami wody, czy moje objęcia, w których wytrwale ją trzymałem, czy może jej własny krzyk spowodowały nagłe uspokojenie. Takie zapadnięcie się w spokój. Ułożyliśmy ją z Jackiem na sofie, przykryliśmy kocem. Widziałem, że oczy jej się kleją. Dotknąłem jej ramienia.

– Basiu, słyszysz mnie? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Dziennikarze będą cię napastować – uprzedzałem. – Odpowiadaj, że toczy się śledztwo i zabroniono ci udzielać informacji. Rozumiesz?

Znowu kiwnęła głową. Leżąc z opuszczonymi powiekami, spytała:

– Jeff, czy to znaczy, że on od początku był do mnie przystawiony? – Milczałem. Ona: – Już wtedy, kiedy mnie podrywał?

– Śpij – powiedziałem.

– Czy to znaczy, że on mnie nigdy nie kochał?

– Śpij – powtórzyłem. – Szoszana będzie przy tobie.

Jacek zadzwonił do domu, rozmawiał z Szoszaną po angielsku, ona powtórzyła: beseder, w porządku. Potem Jacek odprowadził mnie do drzwi.

– Zaczekam na Szoszanę – powiedział.

– Będzie spać. Naczynia wieńcowe nie zareagowały.

- Wykrzyczała się – na to Jacek. – Dobrze, że się wykrzyczała.
- Też chciałbym się wykrzyzczeć – powiedziałem. – Ale nie potrafię.

23

W słoju po ogórkach czekały na nią trzy długie lodygi meksykańskiej kurkumy z liliowymi kielichami, w sam raz do wypicia małego stocka – przyglądałem im się zafascynowany, bo jej oczyma. W patelni, na małym ogniu, podgrzewała się polędwica grillowana z makaronem i żurawiną, dostarczona przez gońca z „Jazz-Bistro”. Sałatkę po grecku przygotowałem sam. Otworzyłem butelkę bordeaux, „Reserve des Barons” z 2002 roku, podobno udany rocznik. Matylda wiedziała, co to jest dobre wino, albo udawała, że wie.

Przyszła w swojej legendarnej jasnobeżowej sukni w duże kwiaty, długiej, do łydek, ale lekkiej, z wycięciem z lewej strony prawie do biodra – w tej samej sukni, dla której domagała się kiedyś SMS-em pochwały, a ja odpowiedziałem, że „zawartość jest oszołamiająca”. Nad piegami okrapiającymi obłóci jej piersi, które ku mnie zerkwały (lubiła to określenie) – naszyjnik z rozkwitłą złotą rozetką. Wszystko jak kiedyś, pomyślałem. Pocałowała mnie trzykrotnie, spytała: „jak pachnę?”, „uroczo” – odpowiedziałem, „to od ciebie” – prawie ze wzruszeniem, otworzyła torebkę, pokazała rzeźbiony w grubym szkle flakonik – „widzisz, zawsze mam to ze sobą”, odstąpiła o krok, oczy jej się śmiały, kiedy wykrzyknęła:

– Świetnie wyglądasz!

Miałem na sobie niebieską koszulę i ciemny krawat w stonowanych kolorach, trudnych do nazwania – dla niej go założyłem, bo kiedyś coś o krawacie napomknęła, zawiązany niedbale, zwisał pod niedopiętym kołnierzykiem. Teraz dostrzegła kwiaty.

– Piękne! Nie znam ich. Wiesz, chyba powinniśmy się częściej zegnać. – Uśmiech. – Albo gniewać się i przepraszać. – Wyjęła z torebki pudełeczko z krążkiem CD. – Spisane zostały twoje czyny i słowa, proszę.

Położyłem krążek na biurku, na stosie zapisanych przeze mnie karteluszków.

– Aż strach zajrzeć – odezwałem się.

Na co ona:

- Nic się nie bój, wszystko jest super. Jeff...
- Madame?
- Wyluzuj się.

Nie znałem tego słowa i pomyślałem: warto zapamiętać. Nalałem do kielichów czerwone wino (ona oglądała butelkę z miną znawcy, kiwając głową z aprobatą), poszedłem do kuchni po naszą polędwicę. Stuknęliśmy się kielichami mojej gospodyni, usłyszałem „mni-am-mni-am”, a potem, po spróbowaniu makaronu, jej okrzyk:

– Wspaniale! Jeff, jesteś niezrównany! Wiesz co? Pożegnajmy się jeszcze raz.

Potem, zjadając ze smakiem, spytała:

- Skąd ten pośpiech? Mirchon się stęskniła?
- Mirchon całkiem dobrze czuje się beze mnie.
- Mówiłeś, że wykonałeś zadanie. Jakie?
- Wyjaśnię ci po obiedzie. Nie psujmy sobie apetytu.
- To może mi się nie spodobać?
- Kto wie...
- Zrobię kawę – zdecydowała i wstała od stołu.

Ja wnosiłem do kuchni talerze. Później, już przy kawie z kruchymi ciasteczkami, rozejrzała się raz jeszcze po pokoju.

- Nie widzę amfory – zauważyła. – Nie przyniosłeś jej stamtąd?
- Przyniosłem.
- Potłukłeś ją?
- Właścicielka się nią zajęła. Na wszelki wypadek.
- To teraz już mogę mówić o przyjaźni?
- Ile wlezie. To i tak bez znaczenia.
- Dlaczego bez znaczenia?
- Bo nie ma przyjaźni. Puste słowa.
- Uważasz, że nigdy nie czułam do ciebie przyjaźni?
- Tak uważam.

Spochmurniała.

- Nie wiem, co ty nazywasz przyjaźnią. – Dopiła kawę i wstała od stołu.
- Dobrze, że jesteśmy już po obiedzie.

Ja też wstałem.

– Właśnie to ci sugerowałem. Bo muszę cię o czymś powiadomić. Przyjechałem do Polski z pewnym zadaniem.

- I znalazłeś zabójcę?

– Udało się.
– Naprawdę? – Uśmiech. – Brawo! Ale nie ukrywaj nic, gadaj, strasznie mnie to ciekawi. Kto zabił?
– Kochanek jego żony.
Wykrzyknęła:
– Nie mów!
– Tak, on. Tajniak o pseudonimie „Szwagier”.
– Aresztowany?
– Jak najbardziej.
– A ona? Ona już o tym wie? Że jej kochanek...?
– Wie.
– I co?
– Spazmy. – Nic więcej nie powiedziałem.
– I to było zadanie, które sobie postawiłeś?
– Nie, to przy okazji. Nie o zabójcę szło, ale o kreta w polskich służbach wywiadowczych. Zdemaskowałem go.
– Fiu-fiu! – podziwiała. – Jaki dzielny! I teraz będzie z tym spokój?
– Spokoju nie będzie nigdy. Na miejsce tego jednego pojawi się dziesięciu innych.
– Więc po co...? – Urwała i spojrzała na mnie ostro, prawie z odrazą. Nozdrza jej zadygotały. – Jeff, ty jesteś z CIA!
– Nie jestem z CIA, tylko wykonywałem zadanie dla CIA.
– Co za różnica?! – wybuchnęła.
– Spora. – Siliłem się na spokój – to był fałsz, gra, za chwilę błyskawica rozedrze niebo, byłem na to przygotowany, to ja tego chciałem. – Różnica duża, na przykład w finansach.
– Drań – warknęła. Rozejrzała się. – Szkoda, że nie ma już tej amfory. Rozbiłabym ją na twojej głowie. – Krążyła wzburzona po pokoju. – Zakochany! Miłość go zżerała! A on... – Do mnie: – Uciekłeś od żony! Męczyła cię! Nudziła! A ja miałam być radością... Kłamałeś! Kłamałeś, tak? Przyznaj się!
– Kłamałem.
– A Gorki? A Lenin? A ten cholerny krążek?
– Czymś trzeba było się zająć.
– Nie nudziło cię to?
– Nie. Całkiem zajmujące.
Ręce jej drżały, kiedy przypominała:

– A mówiłeś, że cię to pasjonuje! Że chcesz przygwoździć zło! Że...
Wszystko to jest w tym krążku! Wszystkie twoje kłamstwa!

Moje serce boleśnie się tłukło, ale postanowiłem nie słabnąć. Udało mi się wzruszyć ramionami.

- Coś trzeba było powiedzieć.
- Cynik! I ten człowiek mówił, że mnie kocha!
- Kłamałem.
- Zalewałaś się łzami.
- Och, to nietrudne. Chcesz, to ci się zaraz rozpłaczę.
- Chciałeś mnie uwieść!
- Owszem, chciałem.
- Chciałeś mnie zaciągnąć do łóżka!
- Czemu nie?
- Bo dobra dupa?
- Całkiem niezła.
- Ty świntuchu! Ty łajdaku! Samiec! Egoista! A ja myślałam...
- Czy było ci przykro? – spytałem. – Lubiałaś, kiedy udawałem miłość.
- A ta harcerka – ta z Berlina – z którą się spotykałeś? Też z CIA?
- Też. Oficer.
- Lesba.
- Ani trochę.
- Posuwałaś ją! – wykrzyknęła.
- Pierwsza zasada: żadnych romansów między pracownikami.
- Ale miała na ciebie ochotę. – Powiedziała to już spokojniej.
- Nie wiem.
- Na pewno miała!

Okrążyła teraz stół. Jak tygryska zamknięta w klatce. Dobrze, że talerze są już w zlewozmywaku. Ale zostawały jeszcze filiżanki po kawie. Zwróciła się do mnie twarzą w twarz:

- Dałam się nabrać?
- Na to wygląda.
- Triumfowałaś?
- Miałem swoje satysfakcje.
- „Pieguska”. „Pięknie wyrzeźbiona”. „Radość” – powtarzała epitety, teraz już odwrócona ode mnie. – „Twój Błazenek”. „Twoje piękno we mnie wchodzi”. Jeśli udawałeś, to trzeba przyznać, że w sposób wyrefinowany. Właściwie perfidny.

- Szkolono nas – powiedziałem.
- Jak to szkolono?
- Nie wiedziałaś? My z CIA przechodzimy specjalne szkolenie. Każdy musi umieć udawać miłość.
- I łać łyzy?
- To najłatwiejsze. Byle aktorzyna ci to powie.
- Pantofle! Kupiłeś mi piękne pantofle!
- Koszty zostaną zwrócone.
- Przedstawisz im rachunek?
- Już przedstawiłem.
- Cappuccino? Stock?
- Wszystko.
- I kwiaty?
- Kwiaty nie. Kwiaty są ode mnie.
- Przynajmniej to – mruknęła.

Teraz milczy. Obrażona, czy też zaczyna coś podejrzewać. Przyglądała mi się bacznie, podczas gdy ja osunąłem się bez siły na fotel.

– Powinnaś się była domyślić, że udawałem miłość – mówiłem cicho. – Aż tak to nikt nie kocha. Gdybym cię naprawdę kochał, czy mógłbym znieść te wszystkie upokorzenia, takie stałe bezwzględne odtrącenie? Który mężczyzna by się z tym pogodził? Nie ma takiego mężczyzny. Nie ma, nie ma – powtarzałem. – Pogodzić się z tym, że ukochana kobieta oddaje całą siebie innemu... A jemu... Nie, nikt się z tym nie pogodzi.

Jej głos, zmatowiały, dochodził jakby z daleka, zza kurtyny:

– Więc byłam aż taka niedobra?

Nie poddam się.

– Tak by on to odczuwał – mówiłem – gdyby jego miłość była prawdziwa. Tylko miłość udawana mogła znieść jej zachowanie.

– Mówisz „on”, mówisz „jej”.

– Mówię o tej parze w cudzysłowie. – Odwróciłem głowę, żeby nie widziała moich łez.

– Była niedobra?

– Była sobą. Nie miała obowiązku być dobra.

– I ty to tak napiszesz?

– Jeśli napiszę...

Cisza. Słyszę zbliżanie się bosych stóp. Pochyliła się nade mną:

– Dlaczego płaczesz? – spytała.

- No widzisz, jakie to łatwe.
- Może to spojówki? – Osuszała mi oczy chusteczką.
- Nie, aktorstwo.

Uniosła brzegi sukni, żeby się nie pogniotła, i usiadła na moim kolanie.

- Jeff – powiedziała. – Jeff, jesteś kiepskim aktorem.

Milczałem. Odgadła wszystko. I wszystko, co teraz robiła, robiła świadomie. Kobieta, która zna swoje ciało i zna mężczyznę. Nigdy przedtem nie usiadła na moich kolanach. Teraz chciała, żebym ją odczuł: ciepło nagich ud – i to gorąco, które buchało spomiędzy nich od rozkosznej miękkości. Wilgoć, która parzy. Lekкими muśnięciami całowała mi policzki i wargi jej też były gorące. Rozchyliła usta w uśmiechu.

– Stoi ci. Do harcerki ci nie stał, mogę się założyć. Tylko do Pieguski ci stoi.

Zsunąłem ją łagodnie z kolan.

– Napijemy się herbaty – powiedziałem. I dodałem z chytrym uśmieszkiem: – Zamiast.

Kiedy wróciłem z herbatą, ona stała pośrodku pokoju, wyprostowana, jakby miała ten pantofel na głowie, skupiona, nie znałem jej takiej.

– Jeff – odezwała się. Głos już nie zza kurtyny, ale niski, prawie zachrypnięty. – Będiesz pisać tę książkę? O Matyldzie i o Jeffie. Będiesz?

Rozłożyłem ręce.

– Po co?

– Dla mnie. Chcę przeczytać.

– Trudne zadanie.

– Napisz. I napisz, że oni ze sobą spali.

– Przecież wiesz, że tego nie było.

– W książce wszystko może się zdarzyć.

– Powtarzasz się – powiedziałem. Szorstko: – Nie wszystko może tam być. On nawet nie zna smaku jej ust.

Staliśmy blisko siebie. Ona zarzuciła mi ręce na szyję i szepnęła do ucha:

– Więc niech pozna.

Rozchylone usta. Za chwilę stracą dziewictwo. Długi był to pocałunek, czuły i wyrafinowany zarazem, usta jak deszcz wiosenny, jak trawa zwilżona rosą – tak miało być, ale było jakoś inaczej, jakoś bardziej zwyczajnie – czego się spodziewałeś? – usta, w głowie ci się nie kręci – oderwała się ode mnie, zieleń oczu zamglona i dopiero po chwili zwycięski uśmiech:

– No jak?

I o to tyle hałasu? – chciałem powiedzieć. Ale nie powiedziałem tego. Powiedziałem:

– Mało.

– Mało – powtórzyła za mną. – Ona nie powinna mu żałować. Niech ona go obejmie i...

A potem, po tym drugim pocałunku i jeszcze następnym, usłyszałem jej zduszony głos:

– Te pieguski... niech on je pieści.

Pomogłem jej rozpiąć stanik. Odetchnęła z ulgą, kiedy w rozpięciu, pod rozpryskiem piegów, zasterczały piersi, poczułem w dłoniach ich obrzmiałość – szeptała: one ją męczą, czujesz? – niech on ssie, pozwól mu, niech zazna wszystkiego, do czego tęsknił – ona teraz musi być dla niego dobra, tak trzeba... Jeff!

Prawie mnie odepchnęła. Zieleń jej oczu błyskała, jakby wśród traw buzowały płomienie.

– Jeff – powiedziała ustami przy moich ustach. – Ona powinna być naga.

Zsunęła ramiączko sukni, potem drugie, suknia opadła na podłogę. Naga. Pięknie wyrzeźbiona. Szmer słów:

– Niech ona mu powie, że go kocha. Tak. Tak powinno być. Zapisz tak. Niech powie: Kocham cię, Jeff. Myślisz, że on dosłyszał? Ona jest skrepowana, nie jest łatwo wyznawać miłość. I niech ona powie... Jeff, ona musi to powiedzieć: Wezmę go do ust.

Nagi przed jej nagością. Przekroczony Rubikon. Wstyd przełamany. Nie bój się. Całuję jej szyję lekkimi muśnięciami... Jeszcze tu – i tu – i tu... Jej palce błądzą po mnie, leciutkie jak powiewy wiatru, już grają, Continental grają – dangerous rhythm, subtle and sentimental. – Niech ona... – Co ona? Osuwa się na kolana. Ludzie ptaki wzbijają się w przestworza, szybują nad przełęczami w niebieskich przepaściach, unoszę się między nimi, nurkowanie w dół, lecę w przepaść, zielono, i znowu unoszenie się, szybuję, w głowie się kręci. Es schwindelt. Dobra w tym jest... Wie jak... Wie. Śliski jęczyczek zwija się jak zmijka. Machnięcie skrzydłami, wznoszę się nad przełęczą – z nią uskrzydloną – chyba coś przy tym przeżyła, jakiś kurczowy szczyt, niektóre od tego szczytują. Podnosi się z kolan, obejmuje mnie rozparzoną nagością, ślizga się po mojej piersi swoimi obrzmiałymi piersiami, szepcze, szepcze, wciąż coś szepcze, szeptem łatwiej. – Pamiętasz, co jej się śniło? Wtedy w Berlinie, pamiętasz? Niech on jej to

zrobi. Przecież on tak tego chciał. Chciałeś, błagałeś, to niech on... – Pada plecami na tapczan, pociągając mnie, jego – mnie – za sobą. Przeciągle och... Chciałeś!... I już milczenie. Tylko oddech, urywany, spazmatyczny, jej głowa miota się na poduszce w zaciekłym nienienie. Po pierwszym spazmie syk przez zęby: Ty draniu! Sadysta. Znęcasz się nade mną. On... Nie, ty! Ty! TERAZ!

Krzyknęła, zupełnie jakby ją zabolalo. Samiec! Potem coś szeptała, litania słów o tym, co się między nami dzieje, co z nią robię, słowa miłości, słowa orgiastyczne, słowa pochwały. Szybki, kurczowy oddech nagle się zatrzymał, otworzyła szeroko usta, błysnęły zęby, zieleń zastygła w przeczuciu orgazmu – i rozległ się krzyk, przeciągły, rozdzierający, krzyk rozkosznej męki.

Leżała, ciężko łapiąc oddech, a ja całowałem jej palce (paznokcie pokryte delikatnym lakierem, tak jak sobie życzyłem), pieściłem jej piersi, już nie tak obrzmiałe, obcałowywałem twarz, spocone czoło.

– Jeff – powiedziała poprzez rwący się oddech – słyszałeś, co mówiłam? Słyszałeś?

– Byłaś nieprzytomna.

– Ona powiedziała, że go kocha.

– Mówiłem, że byłaś nieprzytomna. Ja też.

– Ale przecież ona może mu to powiedzieć.

Podąłem jej wystygłą herbatę. Dobrze to wyczułem. Kiedy odstawiła filiżankę, spytałem:

– A tamten? Jej partner? Ten malarz?

Zamachała rękami.

– Jest. Po prostu jest. Ona nic nie może zmienić. Ale kocha Jeffa. Tylko przy nim... – Urwała. – Zresztą to nie musi być malarz. – Uśmiech. – Ona powinna kochać swojego Błazenka...

– Tak myślę.

Wyciągnęła ku mnie ramiona.

– Błazenku. – Obejmując mnie, szeptała: – Coś ci muszę powiedzieć.

– O niej ?

– O sobie. Zwierzenie. Kiedy opowiadałam, co mi się śniło, to wiesz, z kim to było?

– Ze mną.

– Och, Błazenku...

Znowu szeptę, których nie śmiem powtórzyć, i znowu orgazm, a ja dumny, szczęśliwy, jak zwycięski jeleń na rykowisku.

– Samiec – mruknęła, tym razem inaczej, z uśmiechem. – Sadysta. Jestem ledwo żywa. Umieram z głodu.

Dobrze, że przygotowałem coś do przegryzienia. Naga, na krześle, zając kanapkę z łososiem, mówiła:

– To teraz powiedz coś. Coś o nas. Coś do rzeczy.

– Men sen jachszy kuramán.

– No, nareszcie. Doczekałam się.

– Widzę, że abyś coś zrozumiała, muszę wyrażać się po uzbecku.

– Błazenek... To będzie w książce? Wszystko będzie?

– A chciałabyś, żeby było?

– Nie wiem, może nie wszystko. Na pewno nie te świństwa, które ci wyszeptywałam do ucha.

– Chyba masz rację.

– Teraz już wiesz, jaka ona jest. Możesz pisać.

– Zastanowię się.

– Coś już masz.

– Brulion.

– A „Jeff”? Będzie tak wrzeszczał jak ty?

– Ja wrzeszczałem?

– Jeszcze jak!

– Pojęcia nie miałem. A mam napisać, że ona go kocha?

– Napisz, co ci szkodzi... – Mocniej: – Napisz, koniecznie.

Już ubrana, gotowa do wyjścia (jeszcze tylko błyszczak nałożyć na wargi), skubiąc długie łodyżki kurkumy, spytała:

– To teraz już będziesz mnie pamiętał. Będziesz tę pamięć miał w palcach. Jak ta pianistka.

– Na pewno. Palce zapamiętają.

– Jeff, nie wyjeżdżaj. Będzie mi ciebie brak. Jak sobie to wyobrażasz? Bez Błazenka – jaka może być Pieguska?

Powiedziałem cicho:

– Świat się nie kończy, dziewczyno. Jeszcze nie. Wszystko może się zdarzyć.

– Nie zapomnisz?

– Nigdy. Nigdy – powtórzyłem. – Chyba że...

– Że co?

– ...że dostanę alzheimera.

Uderzyła mnie piąstką w piers, ale roześmiała się.

– Łobuz.

Przez chwilę przeglądała się w lusterku (czy nic nie widać? czy mogę się tak pokazać?), najwidoczniej ją to uspokoiło, schowała lusterko do torebki i odezwała się:

– No widzisz, ten twój Gorki – on swoje dzieło napisał. A ty?

– Nie jestem Gorkim – przypomniałem jej. – Jestem skrobiącym coś na papierze profesorem.

– Napisz. O Matyldzie.

– Może ci się nie spodobać.

– Przeżyję. Ważne, żeby była księga.

– Księga gniewu? – upewniłem się.

– I miłości.

Jakby się bała, że mogę o tym zapomnieć. Księga gniewu i zazdrości. Nieustająca zazdrość i niedosyt. Ale ona o tym nie myślała.

Pisać w mroku, jak tamten, w tajemnicy, przy pełgającej świecy. Krążek CD leżał na stosie notatek. Wyglądały kusząco: jest w tych literkach czerniących karteluszek moja krew, coś w nich pulsowało, jest czyjś gniew, i żal, i rozpacz.

– Gorki – powiedziałem – miał na biurku zdjęcie ukochanej kobiety.

Milczała. Mogła powiedzieć: masz przecież moje zdjęcie. Ale to by była deklaracja. Ja:

– Zdjęcie kobiety, która była z nim. Jego kobiety.

Bezradny uśmiech. A może dyplomatyczny. Spytała:

– Napiszesz?

Chciałem powiedzieć: nie, nie napiszę, ale powiedziałem, nie tylko przez delikatność:

– Nie wiem.

Konstancin, 24 września 2005.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

W nocie niniejszej autor podaje, z niezmiernie dużej ilości źródeł, tylko te, które cytuje, lub na które bezpośrednio się powołuje. Najczęściej cytowanym autorytetem jest **Adam B. Ulam** i jego treściwa księga *The Bolsheviks*. Obok niego czołowym źródłem jest autobiografia **Niny Berberowej**: *Podkreślenia moje* (tłum. Eugenia Siemaszkiewicz). Często autor powołuje się na wspomnienia **Nadzieży Mandelsztam**: *Wspominania, Wtoraja kniga* i na jej szkice *Mozart i Salieri* (tłum. i oprac. **Ryszard Przybylski**). W tym miejscu wspomnieć należy także o prozie **Osipa Mandelsztama** *Podróż do Armenii* (również w tłum. i opracowaniu Ryszarda Przybylskiego).

Cytaty z dzieł, listów i szkiców Gorkiego z oryginału rosyjskiego, w tłum. autora. Wyjątek stanowią *Portrety literackie* (wybór i przypisy Jan Lenarczyk; wspomnienia o Lwie Tołstoj – tłum. Lucjan Rudnicki; o Aleksandrze Błoku – Roman Zimand). *Korespondencja z pisarzami M. Gorkiego* (oprac. i tłum. **Zofia Korczak-Zawadzka** i **Wacław Zawadzki**); *Myśli nie na czasie* (wybór i tłum. Andrzej Poraj); inny wybór tych tekstów, pod tytułem *Niewczesne rozważania*, zamieścił w „Literaturze na Świecie” Jan Gondowicz. W tym samym numerze (X 1988), poświęconym Gorkiemu, znajdują się dwa wspomnienia **Władysława Chodasiewicza** (tłum. Natalia Woroszyńska), fragment książki **Niny Berberowej** o baronowej Budberg (również w tłum. Natalii Woroszyńskiej), szkic Chodasiewicza *O śmierci Gorkiego* (tłum. Natalia Woroszyńska), wspomnienia o Gorkim **Jurija Annienkowa** (tłum. Jolanta Piasecka), **Wiaczesława Iwanowa** *Dlaczego Stalin zabił Gorkiego* (tłum. Jerzy Szokalski), **Donald Famera** *Niezwykłe sprzeczności M. Gorkiego* (tłum. Jerzy Jarniewicz).

Inne cytowane lub przywoływane źródła:

Lew Trocki – *Moje życie* (tłum. Jan Barski i Stanisław Łukowski);

Victor Serge – *Vie et mort de Leon Trotsky*;

Ilja Erenburg – *Ludzie, lata, życie*, t. 2–4 (tłum. Waława Komarnicka);
Izajasz Berlin – *Dwie koncepcje wolności* (tłum. Maciej Tański, Hanna Bartoszewicz, Sergiusz Kowalski);
Izajasz Berlin – *Pod prąd* (tłum. Tomasz Bieroń);
Izajasz Berlin – *Oryginalność Machiavellego; Monteskiusz* (tłum. Zofia Dorosz);
Walter Isaacson – *Benjamin Franklin. An American Life*
Gorkij w wspomnieniach sowriemiennikow;
Korniej Czukowski – *Sowriemienniki*;
Wiktor Szkłowski – *Ze wspomnień* (tłum. Adam Galis);
Izaak Babel – *Dziennik 1920* (tłum. i oprac. Jerzy Pomianowski);
Adam Pomorski – *Sceptyk w piekle* (stąd zwłaszcza teksty Wołoszyna i o Wołoszynie);
Arkadiusz Stołypin – *Cesarstwo i wygnanie* (tłum. Paweł Hertz);
Borys Sawinkow – *Koń wrony* (tłum. Jan Gondowicz);
Herbert George Wells – *Rosja we mgle* (tłum. Józef Brodzki);
Egon Erwin Kisch – *O carach, popach i bolszewikach* (tłum. Maria Traczewska);
John Reed – *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* (tłum. Wiktor Grosz);
Wiktor Woroszyłski – *Życie Majakowskiego*;
Simon S. Montefiore – *Stalin. Dwór czerwonego cara* (tłum. Maciej Antosiewicz);
Paweł Malkow – *Pamiętniki komendanta Kremla* (tłum. Igor Zakrzewski);
Aleksandr Niewierow – *Taszkient, gorod chlebnij*;
Anastas Mikojan – *Tak było*;
Slavoj Žižek – *Revolution at the gates. Selected writings of Lenin from 1917*;

Wspomnieć też chciałbym o bardzo użytecznym *Informatorze* pióra **Wiktorii Śliwowskiej**, dołączonym do książki Niny Berberowej *Podkreślenia moje*.